PIĄTEK – ŚRODA
21–26 GRUDNIA 2018

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

NR 248/249 (4898/4899)
ROK 24 ISSN 2080-6744
NR INDEKSU 348 066

PATRZYMY OBIEKTYWNIE. PISZEMY ODPOWIEDZIALNIE

DGP
gazetaprawna.pl
DZIENNIK.PL
FORSAL.PL

na święta

7,90 zł
CENA GAZETY
(W TYM 8% VAT)

Wygoda

Lekko, łatwo, niebezpiecznie

fot. Orbon Alija/Getty Images

9 772080 674051 51

Finansowaliśmy kluczową dla Polski infrastrukturę – **drogi, autostrady, lotniska, koleje**

Finansowaliśmy **nowoczesne obiekty handlowe, biurowe i mieszkalne**

Podpisaliśmy umowę programów gwarancyjnych UE – **COSME na rekordowe 1,2 mld zł**

Aplikacja mo
PeoPay zdo
nagrodę EF
jako **najlep**
Innowacj
2018 r.

Zdobyliśmy 4. raz z rzędu tytuł **Best Private Bank Award**

2018 rok był dla nas wyjątkowy,
pełen sukcesów i nagród.

Nie byłoby to możliwe
bez naszych Klientów.

Dziękujemy za okazane zaufanie!

**W nadchodzącym roku 2019
życzymy wszystkim realizacji
marzeń i planów.**

Zarząd Banku Pekao S.A.

bilna
była
MA
sza
a

90 lat

Bank Pekao

DZIŚ W DGP

Wygoda: gorsza chciwość, czyli jak sprzedamy ojca i matkę **za jedno kliknięcie** ... 4

Rigamonti razy 2 Ewangelia jest radykalna. Ale my nie Ludzie tacy jak kardynał Krajewski, siostra Chmielewska – oni grają z Jezusem na jednym boisku. A ja stoję na trybunie, kibicuję, macham szalikiem – mówi **Szymon Hołownia** ... 10

Duża zła świnka uczy ekonomii Czujesz się ofiarą kapitalizmu? Może dlatego, że **rodzice czytali ci bajki** ... 18

Liberał jeńców nie bierze Bardziej empatyczni, otwarci, tolerancyjni, ciekawi świata, gotowi na zmiany. Dawno i nieprawda. Polski liberalizm jest dziś równie **radykalny i zamknięty na debatę** jak konserwatyści z PiS ... 24

To jest też wina sędziów Nikt nie ma całościowej wizji nowego prawa. W dużej mierze to my, ludzie w togach, jesteśmy temu winni – mówi **sędzia Aneta Łazarska** ... 30

Nawet z pracą nie ma kołaczy Co z tego, że jesteśmy coraz wydajniejsi, skoro **nie odczuwają tego nasze portfele.** Jakby tego było mało, rozjazd między płacą a pracą w Polsce jest większy niż w innych krajach ... 36

Ubrudzić białe kołnierzyki Areszty wydobywcze, pokazowe zatrzymania i **dziwne zbiegi okoliczności.** Szeryf Zbigniew Ziobro wrócił do gry ... 40

Pochwała nieporadności Zamiast ustawić się w kolejce po socjał, chcieli pokazać, że potrafią zadbać o rodzinę. Znaleźli lepszą pracę, przekroczyli magiczne progi o kilka złotych i stracili prawo do zasiłków. Zostali sami z przekonaniem, że **w tym kraju zaradność nie jest w cenie** ... 45

Dzieci z domu na skarpie Kiedy dorośli adoptują dziecko, czują, że zrobili coś bardzo dobrego. I tak jest. Ale nie należy w zamian niczego oczekiwać – mówi **Ewa Milewska-Celińska** ... 49

Gdzie są Lego z tamtych lat Żółte ludziki opanowały świat. Ale duńskie klocki to także przykład, że **kreatywność wśród dzieci** umiera ... 54

Miazmaty, wirusy i strupy w proszku Na początku XX wieku polscy nacjonaliści przekonywali, że szczepienia to metoda na wyniszczenie narodu. Okazało się, że jednak działają i powstrzymały rozwój choroby. Niestety ruchy antyszczepionkowe nie upadły z tego powodu – mówi **Włodzimierz Gut** ... 74

Siła komfortu Nic tak mocno nie pcha ludzkości do przodu jak wygodnictwo jednostek i **lenistwo całych społeczeństw** ... 80

Więcej improwizacji, mniej przewidywania Jeśli uważamy przyszłość za możliwą do przewidzenia, to jesteśmy analfabetami – mówi **Riel Miller** ... 84

Czy jesteś sfomowany? 4 mln Polaków przejawia silne objawy **lęku przed odłączeniem od sieci.** Pora pomyśleć o odwyku ... 90

A czy wiesz, że... Plotka wyrwała się z zamknięcia, przestała być wstydliwa. Dziś króluje na salonach – mówi **Agnieszka Mościcka-Teske** ... 95

Każdy naród ma swoje disco Mieszkaniec Bukaresztu nie przyzna się do słuchania manele, **rumuńskiej wersji popowego folku.** Ale przeboje z tego nurtu podbijają serca milionów słuchaczy ... 100

Rozmowa Mazurka Otarłem się o Paulo Coelho Ja nawet nie rozumiem, dlaczego mi się coś udaje. Bardzo chciałbym zrozumieć fenomen „Weź nie pytaj". Napisałbym wtedy drugą taką piosenkę – mówi **Paweł Domagała** ... 108

Od pana Verloca po pana Lichta Poczet **nowoczesnych szpiegów** ... 113

Pędź i odpoczywaj Samochody, które dają wytchnienie. Pozwalają odpocząć nawet, gdy siedzi się za kierownicą ... 120

Znów jadę z tatą Są tacy, którzy myślą, że Bóg się rodzi tylko w Polsce. Ale w Kalifornii rodzi się tak samo jak nad Wisłą – mówi **Jan Emil Młynarski** ... 123

Zakręceni Małe, lekkie i w pojedynkę niewiele znaczą. Ich **siła tkwi w ilości** ... 126

fot. Jacek Dominski/Reporter

fot. BEAW

fot. Maksymilian Rigamonti

fot. David A Hardy/Science Photo Library/East News

fot. Stanisław Dąbrowiecki/PAP

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

Redakcja:
ul. Okopowa 58/72
01-042 Warszawa
tel. 22 530 40 40
faks 22 482 40 39;
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny:
Krzysztof Jedlak

Zastępcy redaktora naczelnego:
Barbara Kasprzycka,
Dominika Sikora,
Marek Tejchman

Sekretarze: Łukasz Bąk – szef sekretariatu, Dariusz Koźlenko, Mira Suchodolska, Wojciech Łysek, Urszula Wróblewska, Marta Sobolewska

Szef działów Kraj, Świat i Gospodarka: p.o. Zbigniew Parafianowicz
Podatki i Księgowość: Katarzyna Jędrzejewska, Marcin Mroziuk (tygodnik PiK)
Firma i Prawo oraz Prawnik: Ewa Szadkowska, Joanna Pieńczykowska (tygodnik FiP)
Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace: Mirosław Mazanec, Bożena Ławnicka (tygodnik SiA), Karolina Topolska (tygodnik KiP)

Opinie: Michał Potocki
Tygodniki i Tygodnik Gazeta Prawna: Marta Gadomska-Byrska
Magazyn: Anna Masłoń, Piotr Czarnowski, Jakub Demiańczuk
GazetaPrawna.pl: Lidia Raś
Forsal.pl: Aleksandra Dzierżek
Dziennik.pl: Przemysław Średziński
Szef działu foto: Krzysztof Cieślewicz
Szef studia DTP: Jacek Obrusiewicz
Główny grafik: Cezary Cichocki

Centrum reklamy
(tel. 22 530 44 44,
faks 22 530 41 10)
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor ds. Sprzedaży: Michał Krukowski

Dyrektor Centrum Marketingu i Sprzedaży: Aneta Kowalska, tel. 22 530 43 00
Rzecznik prasowy, PR: Mirosława Piotrowska, tel. 22 530 40 56

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Okopowa 58/72
01-042 Warszawa
tel. 22 761 31 27, 801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki,
tel. 22 530 42 06
Produkcja: Elżbieta Stamler,
tel. 22 530 42 24

Druk: Agora SA (Warszawa, Piła)
Agora Poligrafia Sp. z o.o (Tychy)

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
Infor BIZNES Sp. z o.o.
01-042 Warszawa, ul. Okopowa 58/72
tel. 22 530 40 40.

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
RUCH SA,
Kolporter SA,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe.

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 31 27,
gazetaprawna.pl/prenumerata

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

AVIS®
WY 7351V
WSIADAJ, NIECH INNI PATRZĄ!
W Avis zapewniamy Ci niezawodne i komfortowe auta oraz obsługę na najwyższym poziomie. Wsiądź do jednego z najnowszych modeli samochodów i ruszaj w niezapomnianą podróż bez ograniczeń.*
WE TRY HARDER
AVIS.PL
* Widoczny na zdjęciu model BMW serii 1 dostępny jest w klasie kompaktowej, grupie G. Model i marka samochodu nie są gwarantowane.

ESEJ

Wygoda: gorsza chciwość

...czyli jak sprzedamy ojca i matkę **za jedno kliknięcie**

Karolina Lewestam

Oto krótki przegląd rzeczy, które ostatnio naprawdę zdenerwowały ludzi wokół mnie. Numer jeden: korek w Warszawie – bo wszyscy naraz muszą jechać do galerii. Numer dwa: internet, który niby jest, a jednak co chwilę zwalnia – i strony się ładują kilka sekund. Numer trzy: to, że kiedy ogląda się YouTube'a na iPhonie i chce się dać głośniej, na jakieś dwie sekundy klip jest częściowo przysłaniany przez ikonę dźwięku. Numer cztery: samolot się spóźnił pół godziny, a krzesła przy bramce były niewygodne.

Wszystkie te problemy mają ze sobą coś wspólnego, a mianowicie to, że zasadniczo rzecz biorąc, nie są problemami. Korek jest straszny, kiedy usiłujesz dowieźć rodzącą żonę do szpitala, ale nie wtedy, gdy jedziesz do galerii handlowej po sweterek i pietruszkę. Poza tym może warto zwrócić uwagę na to, że skoro siedzisz w tym korku, to nie idziesz, na dodatek nie musisz sam sobie dziergać sweterka ani podsypywać pietruszki kompostem. Internet, podobnie jak samochód, jest cudem technologicznym, do którego kilkanaście lat temu większość z nas w ogóle jeszcze nie miała dostępu – jak można się zżymać na to, że Zalando ładuje się ciut dłużej? (Tak, ten problem był mój i prawie rzuciłam laptopem o ziemię, kiedy po raz kolejny nie chciało mi się pokazać zdjęcie pożądanych przeze mnie zimowych butów). Nawet się nie zniżę do wyjaśniania, w jaki sposób problem z ikoną dźwięku nie jest realnym problemem – a co do samolotu, wrócę do niego na końcu.

Nie są to więc w żadnym wypadku problemy takie, jak głód w Jemenie czy choćby aresztowania w kontekście afery ze SKOK Wołomin. Niemniej jednak emocje z nimi związane są prawdziwe, silne i bardzo powszechne. To dlatego, że w stosunkowo bogatych społeczeństwach Zachodu, a już na pewno w ich klasie średniej, w pewnym momencie niezauważenie najważniejszą wartością stała się wygoda. Nie zysk, nie jakość, nie etyczna wartość produktu, ale właśnie wygoda. Rozumiem ją niekoniecznie jako wylegiwanie się na gęsim puchu (choć i to nie zaszkodzi), ale jako łatwość obsługi, gładkość

fot. Liseggne/Vetta/Getty Images

THE SCIENCE *of* POSSIBILITY

Najważniejszym celem Vertex jest tworzenie nowych możliwości w medycynie i leczeniu chorób, a tym samym wpływ na poprawę sytuacji pacjentów.

Współpracujemy z czołowymi naukowcami, lekarzami, ekspertami ds. zdrowia publicznego oraz wszystkimi, którzy podzielają naszą wizję zmiany życia osób poważnie chorych, ich rodzin i całego społeczeństwa.

VERTEX™

© 2018 Vertex Pharmaceuticals Incorporated

www.vrtx.com

działania, prostota procesu, redukcja kroków koniecznych do osiągnięcia celu – w takim sensie, w jakim zalajkowanie postu na Facebooku jest łatwiejsze od odwiedzin u przyjaciela.

Naszym ideałem dzisiaj jest działanie praktycznie niezauważalne; co rzeczywiście powinno być widoczne, to sam jego efekt. Nie wystarczy mi w żadnym razie, że nie muszę sobie sama sprawić butów z foczej skóry, ani nawet to, że mogę zamówić je online zamiast biegać po sklepach – teraz chciałabym jeszcze, żeby strona ładowała się natychmiast, płatność odbyła się za pomocą spojrzenia na telefon, a ja żebym nie musiała czekać na kuriera, tylko by buty spadły mi bezpośrednio na głowę w przeciągu kilku sekund. Co więcej, w głębi duszy uważam, że odmawianie mi tego jest w pewnym sensie nadużyciem, swego rodzaju atakiem, jaki przypuszcza na mnie męcząca rzeczywistość. A czy jeśli te buty faktycznie pojawiłyby się od razu przede mną, byłabym szczęśliwa? Nie, szczęśliwa nie, ale przynajmniej bym się nie zdenerwowała.

Łatwość i wygoda tego typu mają to do siebie, że absorbujemy je jak wysuszone gąbki. Kiedy raz się pojawi, natychmiast staje się częścią wystroju świata i momentalnie przestajemy ją zauważać. Witamy ją nie jak dar czy prezent. Witamy ją tak, jak się wita brakującą część układanki, która natychmiast staje się częścią obrazu – i nie potrafimy już sobie wyobrazić życia bez niej.

Ta wygoda ma dziś przede wszystkim wymiar mikro. Nie wymyślamy koła, żeby w ogóle móc się przemieszczać – wymyślamy szlif krawędzi koła, który zapewni nam cichszą o 0,02 decybela podróż wozem. A nade wszystko wygoda ta ma u nas wymiar technologiczny. Kiedy pojawia się w naszym życiu iPhone, zachwyt nad tym, że możemy sprawdzić e-maila na mieście szybko jest zastąpiony nerwicą z powodu kiepskiego działania Siri. Kiedy Apple przerzucił się na symetryczną końcówkę ładowarki, którą można włożyć do telefonu bez ryzyka, że pcha się ją w złą stronę, nasza euforia trwa dokładnie kilka minut, a potem wszyscy dochodzimy do wniosku, że oto otrzymaliśmy coś, co nam się już dawno należało, i nie poświęcamy temu żadnej myśli.

Deprywacja w obliczu mikrowygody staje się dla nas zaskakująco i nieproporcjonalnie trudna. Oto przykład: miałam okazję pojeździć przez kilka dni samochodem z HUD – takim, który ważne informacje, w rodzaju prędkości i konieczności skrętu, wyświetla kierowcy u dołu szyby, nie trzeba więc, jak prehistoryczna małpa, zniżać głowy, żeby spojrzeć na licznik – i powrót do mojej smutnej, małej toyoty był jak powrót do XIV w.; już chciałam założyć chomąto i sama zacząć ją ciągnąć przez pole.

Niegdyś matką wynalazku była potrzeba – dziś została oddelegowana do roli jego ciotecznej prababki, a rola matki przypadła wygodzie. Monopole starej daty – te, które dostarczały energię czy budowały maszyny – ustąpiły miejsca takim, które potrafią uczynić się niewidzialnymi w użytkowaniu, a przez to niezbędnymi; takimi, których porzucenie jest nie do pomyślenia. Najlepszym przykładem jest tu Amazon, którego sukces polega nie na tym, że oferuje produkty lepsze niż konkurencja – są to zresztą w większości dokładnie te same produkty – ale przede wszystkim na tym, że wszystkie te produkty są zgromadzone w jednym miejscu; że sztuczna inteligencja na podstawie historii twych zakupów potrafi ci wysunąć „na przód półki" rzeczy, które faktycznie chcesz kupić, że paczki są dostarczane do twojego domu szybko i bezboleśnie (w Polsce wciąż jeszcze próbujemy się łapać z kurierem – w Stanach paczki po prostu lądują nam na progu, więc zakupy są jeszcze łatwiejsze), a nade wszystko z powodu funkcji „Buy with one click" (kup jednym kliknięciem). Zakupy nie wymagają więc wpisywania numeru karty albo robienia przelewu; „żmudnego" wpisywania ulicy i numeru domu, potwierdzania chęci kupna itp., a jedynie dotknięcia ekranu. Wszystkie opcje – adresowa, dostarczeniowa, płatnicza – są zautomatyzowane, co momentalnie stało się dla nas domyślną sytuacją zakupową i sprawiło, że każdy dżul energii wydanej ponad to kliknięcie jest dla nas zamachem na prawa człowieka.

Niegdyś matką wynalazku była potrzeba – dziś została oddelegowana do roli jego ciotecznej prababki, a rola matki przypadła wygodzie

Dlatego też tak wiele firm – od Ubera przez Google'a po Facebooka – gros energii ładuje w intuicyjność, niezauważalność, gładkość interfejsu. Żaden klient nie chce dziś być średniowiecznym mnichem, który musi wydzwaniać po taksówkę czy klikać na nazwisko znajomego, by zobaczyć, co u niego słychać. Wszystko ma się dziać samo; jeden dotyk to maksimum energii, jaką możemy poświęcić na te kwestie i pozostać zadowolonymi.

Nasz system, którego rdzeniem jest kapitalizm, był dotąd zasilany chciwością: producent zakładał biznes, bo chciał zarobić; klient kupował, bo potrzebował i mu się opłacało. Chciwość (lub ładniej: pożądanie zysku) oczywiście wciąż ma się całkiem nieźle, ale emocja sterująca popytem się zmieniła. Najtańszy produkt powoli ustępuje najwygodniejszemu, etyczny produkt ustępuje wygodnemu, produkt zapewniający prywatność i dyskrecję ląduje na bruku, bo ważniejszy jest produkt łatwy i wygodny. Produkt lepszy to teraz po prostu tyle, co produkt, z którym jest nam znacząco łatwiej.

Ten proces stopniowej fetyszyzacji łatwości operuje w cieniu. Większość ludzi zapytana, jakie wartości się dla nich liczą, o niej nie wspomni – a jeśli już, to umieści ją na jakimś dalekim miejscu. Wzorce użytkowania jednak zaprzeczają ich słowom. Obracam się w kręgach dość wrażliwych społecznie, które unisono potępiają praktyki korporacyjne Ubera – i niemal bez wyjątku go używają. Dlaczego? Wytłumaczeniem jest zawsze nie tyle cena, co wygoda. Uber przyjedzie szybciej, aplikacji używa się łatwo i przyjemnie, wiadomo, gdzie jest kierowca, w Anglii też działa itp., itd. Podobnie z Amazonem – w „The New York Times" niedawno pojawił się artykuł pod tytułem „Hate Amazon? Try Living Without It" (Nienawidzisz Amazona? Spróbuj żyć bez niego), w którym autorka Nona Aronowitz pisze o problemie rodzinnym: nie są w stanie

przedłożyć świadomości społecznej nad używanie „sklepu ze wszystkim". Jej ojciec, były profesor uniwersytetu, a wcześniej namiętny działacz związkowy, wciąż korzysta z wygód Amazona, mimo że „Każdy jednoklikowy zakup jest jak kolejna maleńka zdrada jego przeszłości; jak okrutne przypomnienie, że dziś jest zależny od monopolistycznej korporacji o obrzydliwych praktykach pracy". Siostra, „liberałka o krwawiącym sercu", która przechodziła ciężką chorobę, też zwróciła się do Amazona, by kupować rzeczy potrzebne i czynić sobie małe przyjemności. „Nie mogłam myśleć o niczym innym, tylko o tym, żeby poczuć się trochę lepiej – powiedziała autorce. – Przestałam myśleć globalnie". Jeden klik wygrywa z wieloma klikami, chociaż ten jeden symbolizuje wyzysk, a te drugie mają za sobą etykę pracy. W świecie, w którym przestrzeń budujemy sobie z tysiąca małych wygód, trudno w ogóle zachować globalną perspektywę – można w imię praw pracowniczych udać się po książkę do księgarni, ale o ileż łatwiej ściągnąć ją na Kindle'a; można ograniczyć ślad węglowy, idąc na piechotę do sklepu i nosząc siaty, ale przecież o ile szybciej zamówić dostawę od Frisco.

Tim Wu, profesor prawa z Uniwersytetu Columbia, wygodą tłumaczy m.in. niechęć młodych ludzi do głosowania w USA. „Kiedy zadanie za zadaniem staje się łatwiejsze, rosnące oczekiwanie wygody wywiera presję na wszystko inne: bądź łatwy albo przepadnij. Jesteśmy rozpuszczeni natychmiastowością i denerwują nas zadania na starym poziomie wysiłku i poświęconego czasu. Jeśli zawsze możesz obejść kolejkę i kupić bilety na koncert online, czekanie na swoją kolej w głosowaniu jest irytujące" – pisał jakiś czas temu w „The New York Times". I dodaje: „Kiedy doświadczyłeś streamingu programów, czekanie na swój program o konkretnej godzinie wydaje się głupie, jeśli nie wręcz nieco niegodne. Opieranie się wygodzie – nie mieć telefonu, nie używać Google'a – wymaga teraz wyjątkowego poświęcenia, które jest uznawane za ekscentryzm, jeśli nie fanatyzm".

Klient nie chce dziś być mnichem, który musi wydzwaniać po taksówkę czy klikać na nazwisko znajomego, by zobaczyć, co u niego słychać. Wszystko ma się dziać samo

Nie byłoby może w tym nic zdrożnego – w końcu ludzkość od zarania próbuje usprawnić masę procesów, co ma też swoje świetne strony, np. właśnie wynalezienie koła czy pralki automatycznej; poza tym przynajmniej przez chwilę po wynalezieniu jakiegoś „ułatwiacza", zanim zdążymy wypełnić zyskany czas pracą, dostajemy więcej chwil na odpoczynek. Kiedy jednak wygoda staje się taka, jak w epoce Big Tech, kiedy nie chodzi w niej o to, by ulżyć rzeczywistym fizycznym zmaganiom, ale o to, żeby mniej klikać i nie przechodzić na drugą stronę ulicy po zakupy, pojawia się kilka ważnych problemów.

Po pierwsze, w świecie technologicznym wygoda nie powsta-

REKLAMA

DACHSER
Intelligent Logistics

NASZE ULUBIONE DYSCYPLINY:
TRANSPORT DROGOWY, LOTNICZY I MORSKI.
CZY JESTEŚCIE GOTOWI NA LOGISTYCZNY TRIATHLON?
DACHSER Interlocking

- Międzynarodowa i krajowa sieć drobnicowa
- Spedycja lotnicza i morska
- Logistyka kontraktowa i magazynowanie
- Rozwiązania dla branż DIY i CHEM
- Zarządzanie łańcuchem dostaw
- Innowacyjne technologie IT

je w próżni. Aby osiągnąć pożądany stopień łatwości i wygody, by móc ci pokazywać tylko to, co chcesz zobaczyć, taki Facebook czy Amazon muszą poddawać nas wszystkich nieustannej, masowej inwigilacji. Na poziomie obsługi ekranu sam użytkownik przecież nie rozumie, jak działają mechanizmy jego własnej wygody – doprawdy, nie ma pojęcia, czy przesunięcie ikony z wiadomościami nieco na lewo uczyni jego życie lepszym, a Facebooka bardziej w jego życiu pożądanym. Taki ruch wymaga analizy ogromnej liczby zachowań ludzkich i jest pierwszym przyczynkiem do chciwego zasysania danych z naszych działań (które potem służą także zarabianiu przez reklamy). Jesteśmy z technologią w wiecznym sprzężeniu zwrotnym, gdzie oferowana przez nią wygoda zwiększa nasze w nią zaangażowanie, co z kolei dostarcza większej liczby danych, dzięki którym produkt może stać się jeszcze wygodniejszy. Taki proces prowadzi do monopolizacji platform, produktów, urządzeń.

Po drugie, ponieważ wygoda uzależnia toksyczniej od zysku, owe monopole w miarę, gdy rosną w siłę, pozyskują też w nas coraz wierniejszych klientów. Siłą owych monopoli jest właśnie ta niezauważalność, która płynie z możliwości analizy masy użytkowników – a więc tak powstałe monopole są, w miarę upływu czasu, coraz bardziej nienaruszalne; ich siła (łatwość użytkowania) jest wspomagana przez długość ich działania, która stanowi o ich niezbędności.

Po trzecie, ponieważ monopole te wiedzą o nas wszystko (pozwoliliśmy im, by mieć wygodniej) i teraz trzymają nas za gardło uzależnieniem od ich łatwości użycia, stają się narzędziem niebezpiecznym na wielu poziomach. Co jeszcze oddamy dla wygody? Prywatność, decyzyjność, związane z konsumpcją przekonania moralne, krytyczne traktowanie źródeł informacji – to tylko niektóre z rzeczy, które, jak się okazuje, sprzedamy komukolwiek za redukcję kliknięć z pięciu do jednego. Powstaje więc narzędzie o niespotykanym potencjale inwigilacyjno-manipulacyjnym.

Po czwarte, ponieważ pożądana przez nas łatwość wymaga od monopoli technologicznych kolekcjonowania ogromnej liczby danych i „podziemnego", niewidocznego dla nas ich centralnego przetwarzania, ten proces może w konsekwencji doprowadzić – jak pisze Yuval Noah Harari w swojej nowej książce „21 lekcji na XXI wiek" – do śmierci systemu demokratycznego. Harari twierdzi, że rozwojowy prymat demokracji nad zcentralizowanymi dyktaturami nie był nigdy prymatem stricte moralnym, ale był funkcją tego, że demokracja w świecie XX-wiecznej technologii po prostu lepiej przetwarzała informacje. Ponieważ wiedza była nie do zebrania w jednym miejscu, nigdy nie dało się podejmować równie dobrych decyzji centralnie, co zbiorowo. Ale nowa technologia to zmienia – jeśli ktoś ma w ręku masę danych i zaawansowane komputery, może przetworzyć informacje lepiej, szybciej i bardziej wydajnie niż dowolne zgromadzenie na Agorze.

Prywatność, decyzyjność, przekonania moralne, krytyczne traktowanie źródeł informacji – to tylko niektóre z rzeczy, które sprzedamy komukolwiek za redukcję kliknięć z pięciu do jednego

„Teraz – pisze Harari – wielu z nas chętnie oddaje swoje najcenniejsze dobra – nasze dane – za dobry i darmowy serwis e-mailowy i możliwość oglądania fajnych filmików z kotami. Ale kiedy w przyszłości zwykli ludzie będą chcieli zatrzymać przepływ danych, mogą mieć problem – głównie dlatego, że zaczną polegać na technologii w podejmowaniu wszelkich decyzji i zawierzą jej swoje zdrowie i fizyczne przetrwanie". Według Harariego owa łatwość i wygoda, ze względu na którą oddajemy tak chętnie nasze dane, produkuje w rezultacie człowieka udomowionego, niezdolnego do myślenia (wygodniej korzystać z Google'a), decyzji nawet w sprawie własnej rozrywki (Netflix poleca lepiej niż kolega) czy do orientacji w przestrzeni (o ile łatwiej jest polegać na Waze czy Google Maps). Jaką motywację może mieć udomowiony wygodą człowiek do tego, by zerwać się ze smyczy? Może by się i zerwał, gdyby dało się to zrobić jednym kliknięciem.

Tim Wu pisze dalej w swoim eseju: „Dzisiejszy kult wygody nie bierze pod uwagę tego, że to trudności są konstytutywną częścią ludzkiego doświadczenia. Łatwość to cel bez podróży. Ale wspinanie się na górę to co innego niż wjazd na nią tramwajem, nawet jeśli kończysz w tym samym miejscu".

Innymi słowy, może czasem warto utrudnić sobie życie – zapomnieć telefonu, nie użyć GPS-u, samemu pójść po zakupy, zamiast zamawiać je jednym klikiem. A udogodnienia traktować świadomie, nie przyzwyczajać się do nich; zarazem podziwiać je i zachowywać swoją odrębność. I jeśli następnym razem ktoś będzie narzekał, że spóźnienie samolotu zrujnowało mu dzień, może warto mu puścić stand-up komika Louisa CK, który co prawda zniknął z horyzontu zmieciony ruchem #MeToo, ale w tej sprawie raczej się nie mylił.

„Ludzie w samolotach – mówi Louis CK – narzekają. Wysiadają z samolotu i przychodzą do twojego domu, żeby opowiedzieć o swoich doświadczeniach. I brzmią, jakby wysiedli z cholernego wagonu bydlęcego w Polsce lat 40. Mówią: «Najgorszy dzień mojego życia. Kazali nam czekać 40 minut przed pasem startowym»... to jest, k..., niedola w tym kraju. (...) I ludzie słuchają. Przerywają mycie naczyń, odwracają się i mówią: «Boże, serio? 40 minut? To koszmar! Pozwij ich». «Musiałem siedzieć tam 40 minut». Dobra, a powiedz, co się potem stało? Czy pofrunąłeś przez powietrze jak ptak? Niesamowicie? Czy wzbiłeś się ponad chmury? Niewiarygodnie? Czy brałeś udział w cudzie ludzkiego lotu? (...) Jak śmiesz, narzekać na latanie. «Musiałem zapłacić za kanapkę». Ale LECISZ! Siedzisz na krześle w niebie! Jesteś jak grecki mit! «Miałem mało miejsca na nogi»... Bracia Wright by nas skopali w krocze, gdyby to słyszeli. Jakbyś się cofnął w czasie i powiedział Orvillowi Wrightowi: «Siedziałem tam 40 minut», na pewno by machnął ręką i powiedział: «Ech, w takim razie zostawmy to Wendell, nie ma co się spinać»...".

A my za to spinajmy się trochę więcej – jeśli chcemy zachować żywy umysł, samowystarczalność i resztki demokracji. ©℗

PREZENTACJA

Partner
arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

POŻYCZKI ARP S.A. – NIE TYLKO DLA DUŻYCH

W Polsce działa ponad 2 mln przedsiębiorstw. Zdecydowana większość to firmy mikro – 1,94 mln, podczas gdy tych dużych jest tylko 0,004 mln.

Znaczenie małych i średnich przedsiębiorstw dla polskiej gospodarki systematycznie wzrasta. Wytwarzają już około 20 proc. PKB. Nieco ponad 45 proc. to przedsiębiorstwa przemysłowe. To one charakteryzują się największą przeżywalnością – pierwszy rok udaje się przetrwać średnio ponad 87 proc. z nich. W przypadku firm funkcjonujących na rynku 5 lat (powstałych w 2011 r.) prawie wszystkie, które działały w 2015 r., przetrwały do 2016 r. (99,6 proc.).

Otwarcie ARP S.A. na MŚP – geneza

W Agencji Rozwoju Przemysłu analizujemy zmiany strukturalne zachodzące w polskiej gospodarce. Chcemy wspierać te firmy, które w pełni wykorzystają zachodzące zmiany koniunkturalne i dzięki temu zbudują własną tożsamość i konkurencyjność rynkową. Pomagamy w szczególności tym firmom, które nie mogą pozyskać finansowania komercyjnego, co w konsekwencji uniemożliwia im czerpanie zysków z przynależności do krajowego lub światowego łańcucha dostaw. Chcemy być inwestorem, który da polskim firmom mocny impuls prorozwojowy, dlatego też przygotowaliśmy ofertę pożyczkową dedykowaną małym i średnim przedsiębiorstwom.

Istnieje wiele firm, które choćby ze względu na ograniczenia systemowe nie mogą skorzystać z oferty banków. Nie są to podmioty w upadłości czy w likwidacji – w głównej mierze to firmy, które nie spełniają określonych przez banki wytycznych wynikających z ich wewnętrznych regulacji. ARP S.A. nie podlega prawu bankowemu, dlatego przy zachowaniu należytej staranności i rynkowego charakteru transakcji może po analizie potrzeb każdego przedsiębiorcy zaproponować mu pożyczkę „szytą na miarę". Wykorzystujemy przy tym własny kapitał, co pozwala nam zaoferować elastyczne struktury finansowania, tj. dłuższy okres karencji czy uruchomienie i spłatę pożyczki dostosowane do specyficznego dla określonej branży harmonogramu prac inwestycyjnych. Oferta pożyczkowa Agencji Rozwoju Przemysłu jest uzupełnieniem oferty banków. Odpowiada ona na potrzeby rynku i oczekiwania przedsiębiorców, którzy poszukują kapitału. Środki pochodzące z ARP S.A. pozwalają firmom rozwinąć skrzydła, co przynosi korzyści także lokalnej społeczności i regionowi, w którym działa firma.

O pożyczkach ARP S.A.

Poziom zaangażowania pożyczkowego w dane przedsięwzięcie jest zależny od kilku czynników, mianowicie bierzemy pod uwagę m.in.: zdolność danego podmiotu do spłaty zaciągniętych obecnych i przyszłych zobowiązań, wartość oferowanych zabezpieczeń oraz możliwości ARP S.A. do wzięcia na siebie określonego poziomu i rodzaju ryzyka. Każdy przypadek jest oceniany indywidualnie. Wspólnie z przedsiębiorcą rozpatrujemy wszelkie ryzyka wynikające z przyszłej współpracy i już na etapie procesowania i udzielenia pożyczki staramy się je eliminować.

Źródła finansowania nakładów inwestycyjnych (proc.)

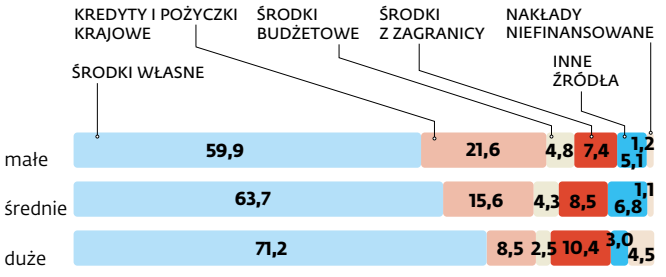

Źródło: PARP

Zasięg funkcjonowania

Przedsiębiorca, który szuka finansowania inwestycji, może wybrać dwie ścieżki kontaktu z doradcami Agencji Rozwoju Przemysłu. Może zgłosić się do centrali w Warszawie, w której pracują analitycy Biura Usług Finansowych. To oni obsługują pierwszy etap procesu uzyskania finasowania i weryfikują wszystkie wnioski spływające do ARP S.A. Przedsiębiorca może także skontaktować się z zespołem mobilnych doradców. Ich zadaniem jest nawiązywanie relacji biznesowych z przedsiębiorcami na terenie prowadzonej przez nich działalności. Takie podejście pozwala rozpoznać potencjał i zagrożenia charakterystyczne dla lokalnych rynków i na tej podstawie przygotować indywidualną ofertę pożyczkową dla danego przedsiębiorcy. Wkrótce zaproponujemy przedsiębiorcom kolejny kanał kontaktu. W kluczowych gospodarczo regionach kraju otworzymy centra obsługi przedsiębiorstw, które staną się wygodnym miejscem do nawiązania relacji i rozwoju współpracy z ARP S.A.

Chcemy zmienić dotychczasowe postrzeganie ARP S.A. jako instytucji finansującej jedynie duże firmy z problemami. Zależy nam na tym, żeby dotrzeć z naszą ofertą pożyczkową do wielu przedsiębiorstw, od mikro- do dużych. Dlatego zamierzamy współpracować z klastrami technologicznymi działającymi w Polsce oraz ze wszystkimi parkami przemysłowymi i regionalnymi izbami gospodarczymi. Takie podejście umożliwi dotarcie z ofertą ARP S.A. na szczeblu ogólnokrajowym.

Ważny jest dla nas rozwój eksportowy naszych partnerów biznesowych, dlatego poza ofertą pożyczkową dajemy im możliwości niezbędne do ekspansji zagranicznej, która do niedawna była domeną tylko dużych korporacji.

Procedury – czas podejmowania decyzji

Wnioski pożyczkowe w każdej instytucji finansującej przedsiębiorstwa są skomplikowane. Z uwagi na ograniczenia organizacyjne małe firmy rzadko mogą poświęcić czas i środki na skomplikowane analizy finansowe. Dlatego przedsiębiorcy udający się po pożyczkę do Agencji Rozwoju Przemysłu mogą liczyć na pomoc naszych analityków w przygotowaniu dokumentów. Obecnie pracujemy nad takimi narzędziami, które znacznie usprawnią cały ten proces, a czas niezbędny na podjęcie decyzji pożyczkowej od momentu zgromadzenia kompletu dokumentacji skrócimy do ok. 1,5 tygodnia.

Mix możliwości – strategia ARP S.A. w 2019 r.

Zakładamy wydzielenie odrębnej puli środków na wsparcie MŚP. W przyszłorocznym budżecie chcemy na ten cel przeznaczyć nawet do 200 mln zł.

Wspomniany budżet zostanie udostępniony poprzez produkt pożyczkowy, dopasowany do specyfiki funkcjonowania i potrzeb MŚP. Będziemy obecni na lokalnych rynkach (poprzez Centra Obsługi Przedsiębiorstw). Zapewnimy efektywny proces decyzyjny i wsparcie szerokim spektrum narzędzi eksportowych.

dr Konrad Trzonkowski, dyrektor zarządzający ds. Rozwoju Biznesu w Agencji Rozwoju Przemysłu S.A.

Dowiedz się więcej: www.arp.pl/uslugi-finansowe/kontakt

Ewangelia jest radykalna.

Z **Szymonem Hołownią**
rozmawia Magdalena Rigamonti

Czuję się Zdzisławem Kręciną polskiego katolicyzmu. Ludzie tacy jak kardynał Krajewski, siostra Chmielewska – oni grają z Jezusem na jednym boisku. A ja jestem „chrześcijańskim działaczem", stoję na trybunie, kibicuję, macham szalikiem, krzyczę: „Jezus! Jezus!", znam wszystkie branżowe gesty i przyśpiewki

Zwierzęta nie idą do nieba.
Idą. Bo dokąd miałyby iść? Nie umiem wyobrazić sobie Boga tworzącego śmierć, bo On jest samym życiem. A więc wszystko, co stworzył, żyje i żyć będzie, mimo że po drodze musi przejść przez fizyczną śmierć, która jednak nie jest już sprawką Boga. To jasne, że zwierzęta nie mają ludzkiej duszy. Ale każde z nich ma ducha życia i swoje sprawy ze Stwórcą. Bóg nie stworzył „ludzkości", „dziczyzny" czy „drobiu", a jednego po drugim: człowieka, jelenia, kurczaka.

Na szczycie klimatycznym w Katowicach w menu dla 30 tys. uczestników było głównie mięso.
Nie wiem, byłem tam tylko na imprezie organizowanej obok szczytu przez Greenpeace, ale znajomi donosili, że to chyba jednak nie było tak do końca. Poza tym to jest impreza ONZ-owska, pytanie, czy tam ktoś też nad menu pomyślał. Jeśli nie pomyślał, to powinien, bo dziś to oczywiste, że nadprodukcja i nadkonsumpcja mięsa nas zabija. Szacuje się, że wyprodukowanie kilograma wołowiny na farmie przemysłowej to zużycie 15 tys. litrów wody. Bo trzeba najpierw zużyć ją do wyhodowania roślin, które zjedzą zwierzęta (np. soi, doskonałego źródła białka, którym spokojnie mogliby pożywić się ludzie), a następnie do hodowli samego zwierzęcia. Tanie mięso z hodowli przemysłowych ma coraz niższą wartość odżywczą – trzeba zjeść go więcej, by uzyskać ten sam efekt. Proszę też pomyśleć o gnojowicy, o zanieczyszczeniu powietrza. Proszę poczytać dostępny w sieci wywiad z panią burmistrz z Żuromina, w której powiecie żyje 20 mln kur i ponad pół miliona świń. Proszę posłuchać, jak tam się żyje.

W związku z tym mamy nie jeść mięsa?
Ograniczać spożycie. Nie namawiam nikogo na radykalny weganizm, sam weganinem nie jestem, choć od paru lat jedyne mięso, jakie jem, to mięso ryb. Nie leży też w mojej naturze upierdliwość, nakłanianie, męczenie kogoś, by zachowywał się tak, a nie inaczej. Ja po prostu mówię o tym, co widzę, czego doświadczyłem, czego się dowiedziałem. Bezrefleksyjne sięganie po mięso szkodzi nam, szkodzi środowisku, szkodzi najbiedniejszym, stawia stosunki żywnościowe na świecie na głowie. Kropka. Soją, której 98 proc. idzie dziś na produkcję paszy, można by wyżywić dodatkowe 4 mld ludzi. Kiedyś zwierzęta zjadały rzeczy, których nie jadł człowiek – trawę, odpadki – i przerabiały je na rzeczy jedzone przez człowieka. Dziś zjadają nasze pożywienie. Z krów zrobiono morskie drapieżniki, karmione są m.in. mączką rybną, produkowaną np. z sardeli, którą spokojnie mogliby jeść ludzie, ale nie jedzą, mało tego: w niektórych rejonach świata z tego powodu cierpią głód.

Zwierzęta zawsze były jedzone.
Po pierwsze: nie zawsze. Mięsożerstwo pojawiło się na Ziemi – jak mówi Biblia – dopiero po Potopie. Po drugie: jeszcze nigdy na świecie nie było prawie 8 mld ludzi, którzy chcieliby trzy razy dziennie jeść mięso, bo utarło się im w głowach, że wysokomięsna dieta to synonim luksusu, taki bardziej dostępny Louis Vuitton. Bo kiedyś na mięso mogli sobie pozwolić nieliczni, i to od święta. Zwykli ludzie traktowali je jak rarytas. Inna rzecz, że przez ponad pół roku i tak nie mogli go jeść, bo obowiązywały dużo bardziej restrykcyjne niż dziś posty. To szaleństwo rozkręciło się gdzieś na przełomie XIX i XX w., gdy z jednych głupich badań (opisuję je w książce) wywnioskowano, że człowiek musi jeść potężne ilości białka (co prawdą nie jest) i powstały przemysłowe rzeźnie, na których wzorowały się później np. pierwsze fabryki samochodów, np. Forda. Od tej pory histeria się nakręca, wmówiliśmy sobie, że mięsożerstwo to część naszej tożsamości, bronimy go z uporem godnym lepszej sprawy. Pewna pani na spotkaniu autorskim powiedziała mi ostatnio, że przecież jak przestanie jeść mięso, to spadnie jej podaż siarki. Odpowiedziałem jej, że szewczyk Dratewka zaoferował smokowi nadpodaż siarki i wiemy, jak się to skończyło, więc może lepiej uważać też w drugą stronę. Później jednak pomyślałem: kto z nas zadaje sobie na co dzień pytanie o to, czy ma w jedzeniu dość siarki?

Magdalena i Maksymilian Rigamonti

Ale my nie

SZYMON HOŁOWNIA

pisarz, publicysta, dziennikarz telewizyjny. Jego najnowsza książka „Boskie zwierzęta" ukazała się nakładem wydawnictwa Znak

fot. Maksymilian Rigamonti

Ale gdy trzeba skorygować nawyk, przymierzyć się do zmiany – zaraz zaczyna się wyszukiwanie wszystkich możliwych argumentów przeciw zmianie. Jakież my jesteśmy w stanie stworzyć konstrukcje intelektualne i poznawcze, żeby bronić się przed myślą, że ta krowa, którą widzimy w przyczepie na stacji benzynowej, jedzie na rzeź, a potem wyląduje na naszym talerzu! Produkcja mięsa to już – również w Polsce – coraz rzadziej rolnictwo, to brutalny przemysł zapakowany w mitologię naszego dzieciństwa, żeby sprzedać nam jak najwięcej tego taniego mięsa. A mimo to nie mówię: nie jedzcie nigdy mięsa.

No przecież mówisz.

Nie. Mówię: jedzcie mniej, bardziej świadomie, inaczej komponujcie dietę. Wspierajcie swoimi decyzjami konsumenckimi rolników, którym coraz trudniej walczyć z wielkimi korporacjami, bo tym ostatnim już dawno nie chodzi o to, by kogoś wykarmić, ale by jak najwięcej produkować. Mniej marnujcie. Rocznie na świecie życie w rzeźniach kończy 76 mld zwierząt. Mięso 12 mld z nich trafia na śmietnik – jako przeterminowana żywność, odrzuty ze sklepów. 12 mld zupełnie zbędnych śmierci. Generalnie jestem zwolennikiem spokojnych, małych kroków. Kupujesz jajka „trójki"? Sprawdź, czy nie byłoby cię stać na „dwójki", zawsze to lepsza jakość, mniej cierpienia stworzeń. Kupujesz „dwójki"? A może możesz wypróbować „jedynki"? Zastanów się, czy nie możesz zrezygnować najpierw z czerwonego mięsa. Daj sobie czas na kolejny krok. Fleksitarianizm (dieta, w której mięso zostało znacząco ograniczone – red.), pescowegetarianizm (dopuszcza jedzenie ryb – red.), wegetarianizm, weganizm – sensownych opcji jest wiele.

Egzorcyści wypędzają demony wegetarianizmu.

Tak, słyszałem. Słyszałem też, że one bardzo słabo reagują na modlitwy słowne, egzorcysta musi więc mieć w zestawie oprócz kropidła i soli również krakowską suchą, podobno niektórzy szatani wyskakują z człowieka dopiero po ekspozycji na salceson. Uważam, że te odkrycia pewnego polskiego duchownego to znakomity wstęp do

powołania na polskich wydziałach teologicznych kierunku: „Demonologia wędliniarsko-kiełbaśnicza”. Osobiście studiowałbym.

Nabijasz się, a księża, w tym egzorcyści, mówią o wegetariańskich demonach jak najbardziej poważnie.

Przechodzę dość regularny przegląd techniczny duszy u mojego spowiednika i nie zauważył on jeszcze we mnie, mimo mojego mięsowstrętu, żadnych opętań czy zniewoleń. Wydaje mi się też, że absurdem jest, co ma miejsce w niektórych kręgach w naszym Kościele, robienie z szatana źródła teologicznego i poświęcanie egzorcyzmom lakierowanych magazynów. Szatan jest ojcem kłamstwa, nie warto poświęcać mu sekundy uwagi, jeśli można poświęcić ją Bogu. Bogu, który – co stoi jak wół w Księdze Rodzaju – zaprojektował oryginalnie świat wegański, świat pełnej harmonii stworzeń, świat, w którym zwierzęta przychodzące do Adama nie otrzymywały od niego bolca w mózg, noża w tętnicę czy strzału na komorę, tylko imię. Pismo mówi wyraźnie: taki właśnie świat czeka nas znowu, gdy skończy się ten przez nas zaburzony.

Tym jednak niech się już zajmie Pan Bóg. Ja mam swoją robotę: widzę, że zabijam dany mi świat, zabieram miejsce do życia moim braciom, jedząc bez opamiętania, używając mnóstwa plastiku, zużywając surowce. Byłem wstrząśnięty danymi, które publikuję w książce: jeden litr paliwa, które tankuję na stacji benzynowej, to 24 tony materii organicznej, która przez miliony lat pracowała w ziemi. Dzień długu ekologicznego przypadł w tym roku już na 1 sierpnia, czyli po tej dacie zaczynamy używać ziemi, kradnąc ją od naszych dzieci, zabieramy coś, co do nas nie należy. Bardzo wyraźnie i bardzo głośno mówi o tym papież Franciszek: by każdy człowiek poprzestał na tym, co mu do życia wystarczy. Bo problemem nie jest wcale przeludnienie Ziemi, ale dramatyczne rozpasanie bogatszej jej części. Nie antykoncepcja biednych uratuje więc świat, a odrobina ascezy bogatych! Dziś ziemia produkuje tyle kalorii w jedzeniu, że wystarczy ich dla prawie 15 mld ludzi. Więc jak to jest, że prawie miliard ludzi jest głodnych? Czy to jakoś nie łączy się nam z faktem, że ok. 2 mld innych ma nadwagę i otyłość? Proszę spojrzeć na już widoczne skutki zmiany klimatu. Przecież za 20 czy 30 lat będziemy mieli wojny o ziemię, o powietrze, o wodę, które dziś traktujemy tak lekko. Uwielbiam dyskusje z klimatycznymi denialistami, którzy wołają: bzdury, palcie dalej węglem, przecież klimat Ziemi zawsze się zmieniał. Jasne, że się zmieniał. Tyle że teraz zmienia się około tysiąca razy szybciej niż normalnie, a życie miliardów ludzi zależy od poziomu wód w oceanach i w gruncie. Ziemia przetrwa, ludzkość – niekoniecznie. Czy to naprawdę cena, którą warto zapłacić za prawo do plastikowych butelek, palenia syfem w piecu i świętego prawa do mięsa na śniadanie, obiad i kolację?

> **Jedzcie mniej, bardziej świadomie, inaczej komponujcie dietę. Wspierajcie swoimi zakupami rolników, którym coraz trudniej walczyć z wielkimi korporacjami. Mniej marnujcie**

To jest podstawa pożywienia w większości katolickich domów.

A kto powiedział, że ma być zawsze tak, jak było, albo tak, jak jest? Nie żyjemy w czasach Bolesława Chrobrego, by twierdzić, że mięsożerstwo jest dogmatem naszej wiary.

A jest tak, jakby było.

Bo wykonaliśmy chałupniczo kanonizację i dogmatyzację naszych przyzwyczajeń, naszych smaków, naszych hobby. Stworzyliśmy fałszywy sylogizm: lubię mięso, jestem chrześcijaninem, a więc chrześcijanin lubi mięso.

Pochodzisz z Podlasia.

Zapewniam, że również w Białymstoku da się pysznie jeść z roślinnej puli, o czym przekonuje mnie moja rodzina, która – odkąd zrezygnowałem z parówek, schabów i gęsi – wyczarowuje przysmaki z ziemniaków, fasoli, kapusty. Po lekturze moich „Boskich zwierząt” deklarację przejścia na wegetarianizm złożył nawet mój tato. Bardzo mu kibicuję, posłałem mu nawet paczkę roślinnych wędlin. Jest zachwycony. Możesz więc być spokojna, święta się udadzą, tym bardziej że jeszcze przed nimi organizowany jest w Warszawie wielki wegański kiermasz. W moim domu nadal jest mięso, ale w miarę, jak pisałem tę książkę, dowiadywałem się coraz nowych rzeczy na temat mięsa, jego produkcji – spożycie kotletów, szynki, kabanosów zmniejszało się u nas radykalnie. Z rodziną żony, która jest mięsożerna, uroczo się droczę, wspominam, że ta szyneczka kiedyś miała oczy, kolegów, swoje hobby. Obrzydzam, jak potrafię.

Jak każdy neofita.

Bardzo świadomy neofita.

Córka?

Sama zdecyduje, jak dorośnie. Na pewno podzielę się z nią całą wiedzą i doświadczeniem, jakie mam w tym zakresie.

Na twoim Facebooku jest dużo zdjęć dzieci z całego świata, którym ty i twoja fundacja pomagacie. Zdjęcia twojej córki nie ma. Nie poinformowałeś całego świata, że rok temu zostałeś ojcem.

A to jest jakiś obowiązek, że gdy się pracuje w telewizji, trzeba wydawać publiczne oświadczenia o zmianach stanu cywilnego i liczbowego rodziny? Moje życie prywatne jest z definicji prywatne. A ty też nie pytałabyś o to, gdyby nie to, że „Boskie zwierzęta” zadedykowałem właśnie mojej małej Marii Franciszce. Zrobiłem to, bo chciałem, by kiedyś zobaczyła, że naprawdę starałem się zostawić jej choć odrobinę lepszy świat. Sama wiesz: gdy masz dziecko, zaczynasz naprawdę zupełnie inaczej myśleć o tym, jak żyjesz, dołącza ci się zupełnie nowy moduł odpowiedzialności. Niesamowite przeżycie.

Parafie wynajmują cię jako coacha dla księży?

Jako coacha dla księży nie, ale jako – jak to się mówi u nas w branży – konferencjonistę albo rekolekcjonistę – tak. Parę dni temu skończyłem mówić rekolekcje u franciszkanów na Senatorskiej w Warszawie, to był wspaniały czas. Za chwilę ruszam, by jak co Adwent i Wielki Post mówić w Korbielowie u dominikanów.

O mięsie też?

A dlaczego nie? Nie wiem, czy ludziom na coś się te moje gadki przydają. Wiem, że przydają się mnie. Po pięćdziesiątym takim spotkaniu, na którym mówię światłe rzeczy, wychodzę i zaczynam bić się z myślą: słuchaj, Szymon, a może by zacząć tak żyć? Żyć, jak się żyć powinno?

Czyli jak?

Tak, jak proponuje Ewangelia. To najprostszy, a zarazem

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Zalety pożyczek ARP:

indywidualne podejście do każdego projektu

brak opłat za rozpatrzenie wniosku oraz ukrytych opłat

przejrzyste procedury

możliwość finansowania inwestycji brutto

0,8%

niska marża od 0,8 %

warunki finansowania dostosowane do potrzeb wnioskodawcy

Pożyczki w ofercie ARP
(z wyłączeniem pomocy publicznej):

- finansowanie dłużne wzrostu średnich i dużych przedsiębiorstw
- finansowanie przedsiębiorstw w procesie restrukturyzacji
- pożyczki dla innowacyjnych firm (w tym także dla małych)
- finansowanie dłużne branż strategicznych obarczonych wysokim ryzykiem

Finansowanie ARP umożliwia realizację przedsięwzięć:

inwestycyjnych

restrukturyzacyjnych i rozwojowych

innowacyjnych

Od 2010 r. ARP S.A. udzieliła przedsiębiorstwom finansowania na łączną kwotę 3,7 mld zł.

Więcej informacji:
www.arp.pl/uslugi-finansowe

najtrudniejszy test: zadać sobie pytanie, jak w takiej sytuacji zachowałby się Jezus? Przypuszczam, że chodziłby do ludzi, do których mnie nie po drodze. Mój znajomy, jałmużnik papieski, kardynał Konrad Krajewski, gdy wracaliśmy kiedyś ze mszy, mówi mi: „Zobacz, jakie ja kazania głoszę, że nikt mnie jeszcze nie chciał ukrzyżować".

To jak z serialu „Młody papież".

Podobał mi się ten serial, jego nieoczywistość, wspaniałe rysowanie wielowymiarowych postaci. W chrześcijaństwie zawsze będzie napięcie: pokręceni, powikłani ludzie i szokująca prostota Ewangelii. „Byłem głodny, a daliście mi jeść". Tu nie ma gwiazdki: „pod warunkiem, że przedstawisz wynik badania USG, że rzeczywiście masz pusty żołądek, podpiszesz zobowiązanie, że nie wydasz na wódkę i okażesz mi wdzięczność miłymi słowami". „Byłem obcy, a przyjęliście mnie". Tam nie ma przypisu: „nie dotyczy muzułmanów". Ewangelia jest radykalna. Ale my nie. I dlatego właśnie laicyzujemy się i świecczejemy. To proces zapowiadany. Pod koniec lat 60. XX w. pisał o nim ks. Joseph Ratzinger. Pisał, że Kościół musi się zredukować, musi się od niego odkleić to, co przez lata się przyklejało: stan posiadania, własność, wpływy, nie będzie flirtował ani z lewicą, ani z prawicą. To są jego słowa, prorocze słowa.

Nikt nie zostanie.

Garstka ludzi, którzy będą tak ubodzy we wszystko i będą tak płonęli Ewangelią, że doprowadzą do wiosny Kościoła, bo inni znów zaczną szukać u nich nie potęgi, ale nadziei. To naprawdę jest proste: albo wygra radykalnie pojmowana Ewangelia, albo nic z tego nie będzie. Proszę spojrzeć na tzw. kryzys pedofilski. Różne episkopaty w różny sposób tym zarządzają. Nasz najpierw informuje, że przygotowuje stanowiska, potem, że wydaje stanowiska, a archidiecezja gdańska – to kuriozum – pisze, że „wyraża gotowość podjęcia próby wyjaśnienia". Za chwilę światło dzienne ujrzą kolejne dziennikarskie materiały, skala zniszczeń gdzieniegdzie będzie taka, że nie będzie co zbierać. Dzięki temu, że umielibyśmy to uczciwie załatwić, może nikt by z Kościoła nie odszedł. Ale co robimy, by ktoś nowy przyszedł? Episkopat musi rozliczyć tę sprawę do końca. Ale ludzi nawracać będzie dopiero biskup, którego zobaczę z bezdomnymi na ulicy, odwiedzający pustostany, meliny, najbiedniejszych z biednych, żyjący nie obok, a z nimi, pachnący tymi, którzy źle się mają.

Rocznie na świecie życie w rzeźniach kończy 76 mld zwierząt. Mięso 12 mld z nich trafia na śmietnik – jako przeterminowana żywność, odrzuty ze sklepów. 12 mld zupełnie zbędnych śmierci

Papież Franciszek mówi w podobnym tonie. Problem w tym, że on dla wielu polskich hierarchów nie jest autorytetem.

A więc dla mnie autorytetami nie muszą być oni. Znam w Polsce wielu księży i biskupów zachwyconych wizją Kościoła jako szpitala polowego, pastoralnym geniuszem Franciszka, ale znam też takich, którzy liczą na to (choć oczywiście nie powiedzą tego głośno), że skoro papież ma te 81 lat, to uda im się go po prostu przeczekać. Widziałem to niejednokrotnie: w momencie, kiedy rozmowa z nimi schodzi na temat papieża Franciszka, na ich twarzach pojawia się coś, co się widzi na buźkach przedszkolaków po zabraniu im ukochanej zabawki.

Podkówka.

„Bo ten papież nie kocha kapłanów!". Pomyślałem sobie: człowieku, masz pięćdziesiąt parę lat, zrobiono cię pasterzem, nająłeś się do ciężkiej roboty, jesteś odpowiedzialny za ludzi, jesteś chirurgiem w szpitalu polowym, a masz refleksję emocjonalną na poziomie przedszkolaka, który płacze, że pani go nie lubi. Nie jestem w stanie tego zrozumieć. Inni księża mówią, że czują się zranieni ostrymi słowami Franciszka, że on nie uprawia teologii. To straszne farmazony. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy do zrobienia jest tak konkretna robota. W Polsce co roku odbębnia się rytualny triumf, gdy okazuje się, że w skali kraju średnio prawie 40 proc. katolików chodzi do kościoła. Ludzie! Przecież nam nie powinno dać spać po nocach to, że ponad 60 proc. do niego nie chodzi! I to nie jest wina jakichś wydumanych wrogów zewnętrznych: genderów, wilczych oczu liberałów, ale tego, że my w tym Kościele żyjący wykastrowaliśmy Ewangelię z jej mocy! Zrobiliśmy z niej szwedzki stół, bar sałatkowy: „poproszę nierozerwalność małżeństwa i zakaz aborcji, ale za przyjmowanie uchodźców albo nakaz miłości, również politycznych, nieprzyjaciół – o nie, to dziękuję". Gdy Jezus układa życie innym: spoko. Gdy wymaga zmiany od nas, mówi: dziel się tym, co masz, kochaj bezwarunkowo, uważaj na stworzenie, nie sądź – oj, tu od razu zaczyna się szukanie cytatów z kogo się da i przekonywanie, że przecież „zdrowy rozsądek", że Jezus nie mógł mieć tego na myśli! To jest coś, co wpędza nas, chrześcijan, literalnie do grobu. Któregoś razu wspomniany już kardynał Krajewski przyjechał do Polski, miał pewnie mnóstwo zaproszeń od ważnych osób Kościoła. Pytam go, co zrobił najpierw, a on na to, że najpierw poszedł na obiad z arcybiskupem Wielgusem. Tak, tym, który musiał ustąpić z bycia biskupem Warszawy po lustracyjnym zamieszaniu. Zdziwiłem się i usłyszałem: poszedłem, bo Jezus by tak zrobił, On chodził do tych, którzy się źle mają.

Pan się porównuje do Jezusa.

O nie. Ja się chcę nim inspirować, nie porównuję się, Boże broń. Ja od lat czuję się raczej Zdzisławem Kręciną polskiego katolicyzmu. Ludzie tacy jak Konrad Krajewski, siostra Chmielewska – oni grają z Jezusem na jednym boisku. A ja jestem „chrześcijańskim działaczem", stoję na trybunie, kibicuję, macham szalikiem, krzyczę: „Jezus! Jezus!", znam wszystkie branżowe gesty i przyśpiewki. Nikomu nie mówię, że żyję zgodnie z przykazaniami ani z Ewangelią, bo tak nie jest. Mówię jedynie, że sam już wiem, że to na bank dobra droga do szczęścia. A nie będzie mojego szczęścia na cudzym nieszczęściu. Dlatego Ewangelia to dla mnie nie tylko pisanie religijnych tekstów w internecie, ale picie wody z wielorazowej butelki, ograniczenie palenia w kominku, niejedzenie mięsa, uważność w sklepie. To, co widziałem na Południu, przekonało mnie, że żywność nie bierze się ze sklepu, ubrania, telefony też nie. A to sklep jest dzisiaj miejscem, w którym się decyduje przyszłość świata. Proszę spojrzeć: w Kiwu Północnym w Kongu mamy jedną z najbogatszych w minerały ziem na świecie, robi się z nich 20 proc. tele-

PREZENTACJA

Partner

FEDERACJA PRZEDSIĘBIORCÓW POLSKICH

ORGANIZACJE PRZEDSIĘBIORCÓW POWINNY SKUTECZNIE WSPIERAĆ FIRMY

Powinniśmy wspierać rozwiązania korzystne dla firm i gospodarki. Nie można działać wyłącznie we własnym interesie – mówi Marek Kowalski, przewodniczący Federacji Przedsiębiorców Polskich (FPP)

Jaka jest recepta na organizację przedsiębiorców?
Dobra organizacja przedsiębiorców powinna przede wszystkim wspierać rozwiązania korzystne dla firm i gospodarki. Nie może działać wyłącznie we własnym interesie. To bolączka, z którą często spotykają się przedsiębiorcy i tak powstają złe opinie o związkach czy konfederacjach. Trudno na przykład zrozumieć, dlaczego organizacje przedsiębiorców były przeciwne powołaniu Komisji Wspólnej Rządu i Przedsiębiorców przy Ministrze Rozwoju lub ministrze odpowiedzialnym za gospodarkę. To była możliwość zwiększenia skuteczności działania dla firm, które na co dzień borykają się z licznymi przeciwnościami legislacyjnymi. Warto też, by organizacje przedsiębiorców szukały postulatów systemowych, które rozwiązują problemy gospodarcze z korzyścią dla wszystkich stron: przedsiębiorców, pracowników i budżetu państwa. Takim rozwiązaniem jest proponowana przez FPP i NSZZ „Solidarność" restytucja systemu ubezpieczeń społecznych. To kwestia bardzo oczekiwana przez przedsiębiorców, bo uporządkuje system prawny, w jakim działają – ale też potrzebna zleceniobiorcom ze względu na zwiększenie ich emerytur oraz korzystna finansowo dla budżetu państwa. Organizacje przedsiębiorców powinny również zabiegać o stworzenie w sferze podatkowej warunków gwarantujących pewność prawną prowadzenia działalności. W dzisiejszym systemie prawnym bardzo często przedsiębiorcy uzależniani są od interpretacji prawa przez kontrolujących.

Gdzie są bolączki w sektorze organizacji pracodawców?
W mojej opinii największą bolączką jest brak współpracy między organizacjami, przedkładanie animozji ponad interes gospodarczy przedsiębiorców. Brak porozumienia w ważnych sprawach sprawia, że środowisko przedsiębiorców jest słabe i nieskuteczne w swoich inicjatywach. Choćby ostatni pat w Radzie Dialogu Społecznego – gdzie od niemal roku nie może dołączyć kolejny członek, czyli ZPP – potwierdza tę tezę.

Co zatem należałoby zrobić, by rozwiązać te problemy?
Obawiam się, że zajęte własnymi sprawami organizacje przedsiębiorców rząd będzie próbował pogodzić, proponując czasowo odłożoną na półkę ustawę o samorządzie gospodarczym. Chyba że wcześniej pójdą po rozum do głowy i wreszcie zaczną efektywnie współpracować. Federacja Przedsiębiorców Polskich od kilku lat prowadzi dialog z pozostałymi organizacjami – mamy jednak niedosyt wspólnych inicjatyw. W obszarach, w których powinniśmy się wspierać, występuje niezdrowa i niepotrzebna konkurencja – czas z tym skończyć. Należy też wzmocnić delegację organizacji reprezentatywnych poprzez zwiększenie wymogów z 300 do 500 tys. pracowników oraz konieczność posiadania związków regionalnych we wszystkich województwach. Tylko silne organizacje mogą skutecznie reprezentować swoich członków.
Tego życzymy przedsiębiorcom w nowym 2019 roku.

CALPE
CENTRUM ANALIZ LEGISLACYJNYCH I POLITYKI EKONOMICZNEJ

CALPE to jedyny w Polsce ośrodek specjalizujący się w kompleksowej ewaluacji ekonomiczno-prawnej obowiązujących i projektowanych regulacji prawnych, powołany przez Federację Przedsiębiorców Polskich. Misją CALPE jest wspieranie procesu formułowania rozwiązań legislacyjnych w oparciu o fakty i dowody. Dzięki stworzonemu przez nas szerokiemu zespołowi doświadczonych ekspertów, w tym legislatorów i ekonomistów, świadczymy kompleksowy zakres usług związanych z tworzonymi w Polsce regulacjami:

Oferujemy wsparcie interesariuszom procesu legislacyjnego, przekładając założenia zmian w prawie na konkretne projekty zapisów ustawowych oraz opracowując w odniesieniu do nich oceny skutków regulacji.

Opracowujemy na zlecenie raporty, analizy i ekspertyzy dotyczące zagadnień mających wpływ m.in. na działalność przedsiębiorców, rynek pracy, a także rynek zamówień publicznych.

Wspieramy strategiczną komunikację z rynkiem i interesariuszami w obszarze działalności sektora przedsiębiorstw, organizacji pozarządowych, partii politycznych, związków zawodowych, organizacji przedsiębiorców oraz izb gospodarczych.

www.calpe.pl

fonów, tabletów, konsol. Prąd ma tam tymczasem 3 proc. gospodarstw. We wciąż trwającej i podsycanej przez światowy rynek i koncerny wojnie o te kopalnie, gdzie często pracują już kilkuletnie dzieci, zginęło ponad 6 mln ludzi. Nie ma bitych dróg. Nie ma policji, porwania są na porządku dziennym, w lipcu przy próbie porwania zastrzelili nam pielęgniarza. Finansujemy tam i wyposażamy szpital na 12–15 tys. pacjentów rocznie (w którym też prąd jest tylko z generatora i częściowo z fotowoltaiki) i pediatryczny ośrodek leczenia choroby głodowej. Wszystkie inne organizacje, włącznie ze świetnymi „Lekarzami bez granic", już stamtąd wyjechały. Ostatnią była ta, od której kupowaliśmy mleko terapeutyczne dla umierających niemowląt. Niedawno zawiozłem tam sprzęt do ratowania wcześniaków, teraz szukamy sposobu na dostawę mleka. Nie możemy doprowadzić do luki w systemie. Będziemy je pewnie sprowadzać aż z Burkina Faso.

Może gdybyś był w polityce, byłoby ci łatwiej działać.

Jeżdżę tyle po Polsce, mam 100–120 spotkań w roku w nawet najmniejszych miejscowościach, że żartuję, że gdyby co, to punkt „kampania w terenie" mam już odhaczony. Problem w tym, że ja politykę traktuję nie jako nobilitację czy miejsce realizowania ambicji, a narzędzie, po które jeśli miałbym sięgać, musiałoby dać mi większe niż mam teraz szanse na pomaganie ludziom, którzy się na ten nasz pęd do sukcesu słabiej załapali. Polska polityka jest kuriozalna, w swojej nudnej jak flaki z olejem przewidywalności, w tych biedamanipulacjach i biedakłamstwach prostych do rozszyfrowania dla każdego, kto choć raz wcześniej miał do czynienia z nachalnym akwizytorem, ale też w swoim zabawnym przekonaniu, że ona kogokolwiek na świecie poza nami obchodzi. Miejsce, z którego dziś realnie zmienia się świat, to np. Bruksela. Dlatego dla mnie – w przeciwieństwie chyba do wielu moich rodaków – wybory do europarlamentu to jedne z najważniejszych, jakich muszę w życiu dokonać. Na razie jednak nie zamierzam uruchamiać swojego biernego prawa wyborczego, wystarczy mi czynne. Roboty mam huk. Książki, wykłady, dwie fundacje. Z Dobrą Fabryką ratujemy już dziś i wspieramy szpitale, ośrodki leczenia głodu, spółdzielnie rolnicze, szkoły w pięciu krajach Afryki, niedawno z naszymi partnerami uruchomiliśmy ambulatorium psychologiczne w Chinach, w tej chwili powoli przymierzamy się do rozpoczęcia pracy wśród uchodźców Rohingya w obozach w Bangladeszu, bo to, co się tam dzieje, zaskoczyło nawet nas, którym wydawało się, że widzieliśmy już sporo. Rozpoznajemy też dwa projekty (leczenie głodu i wyciąganie dzieci ulicy z ulicy) w Mauretanii. W Polsce prowadzimy jak co roku akcję zakupu ciepłych rzeczy dla warszawskich bezdomnych. W Fundacji Kasisi od kilku lat z powodzeniem finansujemy i wspieramy w tej chwili już najlepszy dom dziecka w Zambii, gdzie mamy maluchy niepełnosprawne, z AIDS, ofiary przemocy fizycznej, psychicznej, seksualnej, handlu ludźmi. Parę dni temu odpaliliśmy nową edycję naszej strony Dobrafabryka.pl., gdzie można założyć zlecenie stałe na 5 zł tygodniowo albo zrobić zakupy w naszym sklepie z dobrem dobroczynne24.pl. My z tych małych wpłat, z tych piątek, robimy to, co robimy: paręset tysięcy złotych miesięcznie, które leczy, karmi, uczy, daje pracę. Darczyńcom mówię: zobaczcie, to jak fundusz inwestycyjny. Nie musisz drapać się po głowie: czy dać na walkę z głodem, na edukację, na leczenie, na rozkręcenie biznesu: my za tego piątaka zrobimy to wszystko, na paru kontynentach. To najlepsza inwestycja na świecie.

Jesteśmy systemem naczyń połączonych, a nie okupantami zesłanymi na ziemię. Kiedy wykończymy naturę i naszych biedniejszych braci, zginiemy razem z nimi, bo gdy samolot spada, klasa biznes i ekonomiczna kończą niestety tak samo

Z rządem pan współpracuje?

Jeśli lokalny rząd nie przeszkadza, to już naprawdę najczęściej wystarczająca pomoc. Poza tym my jesteśmy małą organizacją, rządy to nie nasz poziom działania i negocjacji.

Pytam o nasz rząd.

Jeśli są jakieś MSZ-owskie programy, do których organizacje takie jak nasza mogą aplikować, może będziemy to robić. Ja głęboko wierzę jednak, że siła nie w pisaniu i życiu z projektów, a w pospolitym ruszeniu wielu ludzi, którzy dzięki temu przekonają się, jak łatwo jest pomagać, poszerzą wiedzę, wrażliwość, a może i skrócą sobie później czyściec. To nie Pan Bóg tak wymyślił ten świat, to człowiek go takim zrobił. Dlatego trąbię, gdzie mogę: ten świat nie jest antropocentryczny, jest teocentryczny, nie jest mój, jest Boga. Trzeba przypomnieć sobie, że jesteśmy systemem naczyń połączonych, a nie okupantami, którzy zostali zesłani na ziemię, żeby zarządzać bożym obozem. Gdy wykończymy naturę i naszych biedniejszych braci, zginiemy razem z nią i z nimi, bo – czego dowodzę w książce – gdy samolot spada, klasa biznes i ekonomiczna kończą niestety tak samo.

„Czyńcie sobie ziemię poddaną" – tak chyba mówi Biblia.

Ale mówi też wiele innych rzeczy. Na przykład to, że całe stworzenie wraz z nami czeka na wyzwolenie. Że każda władza w chrześcijaństwie to służba. Że zostaliśmy stworzeni razem, jako przemądra i nawzajem uwarunkowana całość. A więc zabijając bezmyślnie przyrodę, zabijamy ludzi. I to jest argument, który do tego naszego antropocentrycznego Kościoła będzie trafiał najbardziej. Zabijamy ludzi! Widzimy to już dzisiaj, gdy polskie badania wykazały już związek smogu ze wzrostem liczby poronień naturalnych u ciężarnych, przedwczesnych zgonów u dorosłych. To jest cena, którą warto płacić za rozbudowywanie mitu węgla? Nie mogę słuchać tych bzdur, jakie niektórzy z naszych polityków wygłaszali na szczycie w Katowicach. Przecież oni też mają dzieci! Nie o nas tu chodzi, o nie. My mamy już z górki, oni tej górki w ogóle mogą nie mieć.

Masz 42 lata.

Ale czuję, że jestem syty lat. Nie jestem już pierwszej świeżości.

Jesteś zdrowy?

Nie narzekam. Trzy lata temu przywiozłem sobie coś z Afryki, było dość krytycznie, ale wykaraskałem się, żyję, chodzę,

funkcjonuję. I myślę o przyszłości. No, ale jeśli świadomość większości ludzi, polityków sięga najbliższych trzech czterech lat, to ja się pytam, gdzie jest nasze chrześcijaństwo, które każe nam być czułym opiekunem stworzenia i myśleć z miłością o naszych dzieciach i wnukach. Przecież my im ten syf zostawimy.

To nie jest temat kazań w kościołach.

Ale będzie. Szkoda, że na masową skalę pewnie dopiero po szkodzie. Gdy za parę, parenaście lat okaże się, że życie również na naszej części Ziemi staje się coraz trudniejsze do zniesienia, zaczną się msze i modlitwy przebłagalne i „Panie, zgrzeszyliśmy!". Na razie warto sobie uświadomić, że to mit narastający od pewnego tekstu opublikowanego w latach 60. ub. wieku, chrześcijaństwo nie jest ufundowane na antyekologizmie. Proszę znaleźć w mojej książce jedną rzecz niezgodną z nauczaniem Kościoła, która przeciwstawia się Ewangelii. To jest książka napakowana po kokardę cytatami z trzech ostatnich papieży, różnych teologów, badań, informacji. Ta książka ma wstrząsnąć, ale nie zostawić we wstrząsie, pokazać drogę wyjścia. Bo ja głęboko wierzę, że ludzie, którzy naprawdę kochają przyrodę i uwielbiają w niej być, byliby w stanie w niej funkcjonować również bez zwieńczenia tej miłości strzałem ze sztucera. Byliby w stanie prowadzić udaną działalność gospodarczą, nie eksploatując w sposób przemysłowy, bezduszny i nieludzki zwierząt. Trzeba znaleźć niekonfrontacyjną drogę do zmiany myślenia, do pokazania katolikom innego świata. Słyszałem ostatnio wypowiedź Ilony Rabizo, wiceszefowej Otwartych Klatek, która trafnie mówiła, że działając w Polsce, nie możemy odejść od kontekstu Kościoła, od kontekstu chrześcijaństwa. Jest naprawdę wielu ludzi w Kościele, którzy są wrażliwi choćby na cierpienie zwierząt.

Wielu księży to proste chłopaki ze wsi.

To się zmienia. Polska wieś się wyludnia, powołań miejskich jest coraz więcej. Może doczekam się, że któreś z nich powie: zobaczcie, mamy tę piątkową wstrzemięźliwość od mięsa. Jeśli ktoś z nas jej jeszcze przestrzega, to wyłącznie z powodów kulturowych. Konia z rzędem temu, kto wytłumaczy, dlaczego Bogu miałoby się podobać to, że w piątek zjem drogie sushi, a nie tanie parówki. A przecież ten zwyczaj dziś mógłby się odrodzić na zupełnie nowej argumentacji, w XXI wieku bardzo takich piątków potrzebujemy! Każdy piątek bez mięsa to akt miłosierdzia wobec stworzonej, Bożej ziemi! Są w Polsce ruchy katolickie, które już zwracają na to uwagę, na razie są małe, ale nader zwinne. Może im się przyda tzw. telewizyjny „ryj" z temperamentem choleryczno-walecznym.

Kim jesteś w tym wszystkim?

Krzykaczem przydrożnym. Objazdowym billboardem. Jeżdżę, gadam, zostawiam ludzi z materiałem do przemyślenia, ale nigdy za nimi nie biegam, nie weryfikuję swojej skuteczności. Ja swoją robotę zrobiłem, powiedziałem. A czy człowiek coś zmieni? A czy ja jestem przedszkolanką świata?

„Mam talent" to twoja druga noga, dzięki niej masz popularność.

Lubię to robić, to fajny program. Lubię ludzi, z którymi ten program robimy. Te 11 lat ośmieliło mnie też, dało mi napęd do tego, by robić inne rzeczy. Widzę jednak, że wielu ludzi nie kojarzy mnie już wyłącznie z „Mam talent", ale też z książek, z działalności fundacyjnej. Skoro przykuwam czyjąś uwagę, to mogę ją przykuć nie do siebie, ale do jakiejś fajnej sprawy.

Rzuciły się już na ciebie firmy produkujące ekologiczne jedzenie?

Jeszcze nie, bo dopiero się zorientowali, że mam takie, a nie inne poglądy. Moja książka jest ich pierwszym, wyraźnym świadectwem. Widzę radosne ożywienie w tych kręgach, które mnie i cieszy, i bawi. To jest ożywienie w rodzaju: mamy wreszcie jakiegoś katola na pokładzie. Trzeba budować jak najszerszy front, to jest istota.

Gotujesz?

Nie, nie gotuję. Bardzo dużo podróżuję i nie mam na to czasu. Kupuję czyjeś produkcje.

Wegańskie jedzenie to wielki biznes.

Nie każdy biznes to grzech, czasem jest wręcz przeciwnie.

> **Widzę, że zabijam dany mi świat, zabieram miejsce do życia moim braciom, jedząc bez opamiętania, używając mnóstwa plastiku, zużywając surowce. Byłem wstrząśnięty danymi, które publikuję w książce: jeden litr paliwa, które tankuję na stacji benzynowej, to 24 tony materii organicznej, która przez miliony lat pracowała w ziemi**

Produkcja ksylitolu, cukru brzozowego, uważanego za zdrowszy, ekologiczny to przemysł niszczący środowisko.

Nie wiem, jak jest w przypadku ksylitolu, jeszcze do tego w swoich poszukiwaniach nie dotarłem. Wiem jednak, że nie żyjemy w świecie idealnym i to jasne, że produkcja wegańskich produktów też pociąga za sobą koszt w energii czy wodzie. Nie ma co jednak ulegać pokusie idealnych rozwiązań, trzeba spróbować realnie poprawić choć trochę to, co jest. Czy produkcja sojowych parówek jest tak samo uciążliwa, jak hodowla wołowiny? Oczywiście, że nie.

Jesz sojowe parówki, szynkę, salceson, salami?

Nie muszę mieć zamienników mięsa, nie tęsknię za tym smakiem. Jem je, bo są coraz lepsze. Podobnie zamienniki nabiału. Ten rynek rozwija się wprost niesłychanie. Kiedyś, jeszcze parę lat temu, to wszystko smakowało jak guma, tektura, było niejadalne. Teraz – pycha. W ubiegłym roku w Londynie próbowałem Beyond Meat, roślinnego mięsa, i aż się nie chce wierzyć, że coś takiego można zrobić. Wyżarłem na tym evencie wszystkie próbki. Tylko czekam, aż to dotrze do Polski.

Bo tęsknisz za mięsem.

Nie, bo to było pyszne.

Dla wielu katolików jesteś wywrotowcem.

Możesz mnie nazywać, jak chcesz. Mnie interesuje jedno: jak długo będę piekł się ze wstydu, zadając sobie pytanie: co zrobiłem ze swoim życiem, gdy na Sądzie stanę nie przed ojcem Rydzykiem, Episkopatem czy ministrem Szyszką, ale przed moim ukochanym Bogiem, Tym, który mnie stworzył i który jako jedyny ma prawo żądać ode mnie bilansu.

Czysty egoizm.

Nie, poczucie odpowiedzialności za życie, które dostałem. Muszę zrobić coś, co nie wzbudzi rozczarowania w kimś, kto mi je dał, a przy tym mnie spełni. Jeśli ktoś uważa, że głoszę prawdy niezgodne z wiarą katolicką, to – jak już mówiłem – serdecznie zapraszam, żeby mi to wykazał. A to, czy ja się będę komuś podobał czy nie, nie ma dla mnie znaczenia. Dojrzałem już do refleksji, że nie jestem dwustuzłotówką, żebym miał się każdemu podobać.

©℗

fot. BE&W

Duża zła świnka uczy ekonomii

Czujesz się ofiarą kapitalizmu? Może dlatego, że **rodzice czytali ci baśnie**

Sebastian Stodolak

Dzisiaj jesteśmy po bardzo bezpiecznej stronie mocy i tęczy – cieszył się Mateusz Morawiecki, gdy w 2017 r. polskie PKB rosło w tempie 4 proc. Zapewne po tym, gdy wzrost w III kw. 2018 r. przekroczył 5 proc., szef rządu był w jeszcze lepszym nastroju. A jednak w odczuciu co najmniej 13 proc. Polaków rzeczywistość cały czas skrzeczy. Mowa o tych, którzy według październikowych doniesień GUS żyją poniżej progu ubóstwa dochodowego. Oni tęczy dawno nie widzieli, mocy nie uświadczyli. Można pocieszać się, że w 2015 r. odsetek skrajnie biednych był wyższy i wynosił 14,4 proc., ale spadek o 1,2 pkt proc. w ciągu trzech lat nie jest spektakularnym rezultatem. Od programów socjalnych z plusem w nazwie oczekiwano większych efektów.

Nie istnieje ustawa znosząca ubóstwo. Na szczęście są na to inne sposoby – i to takie, które stosować możemy sami, bez pomocy polityków. Jeden z nich ma zresztą sporo wspólnego z mocą i tęczą, o których wspomniał premier. To baśnie.

Czytane dzieciom od kołyski uzbrajają je w cechy konieczne do stawienia czoła dorosłemu życiu, trudnej kapitalistycznej rzeczywistości, a nawet ją tłumaczą. Zaraz, zaraz – baśnie? Takie o Czerwonym Kapturku, trzech świnkach albo krasnoludkach? Tak.

Co baśń robi z mózgiem

Zacznijmy od dorosłych i czytania. Zauważono, że występuje silny związek pomiędzy statusem materialnym a czytelnictwem. Im osoba bogatsza i lepiej wyedukowana, tym częściej sięga po książki. To nie przypadek. W gospodarce XXI w. to właśnie wykształcenie warunkuje w dużej mierze wysokość zarobków. Najwybitniejsi badacze ekonomii, jak Jacob Mincer oraz Gary Becker, twierdzą, że każdy dodatkowy rok edukacji przekłada się na wzrost pensji o 10 proc. A czytanie książek to nic innego, jak samodzielne i nieustanne douczanie się.

Teraz dzieci. W księgarniach jest pełno książeczek dla najmłodszych – wierszowane bajeczki, quasi-podręczniki do nauki liter, cyferek, słów, kolorów i kształtów. Odkrycia neurobiologii wskazują, że czytanie nawet maluchom pozwala ich mózgom szybciej wytwarzać połączenia neuronalne, co ułatwia skuteczniejsze nabywanie różnego typu umiejętności. – Co prawda dzieci do piątego roku życia słabo posługują się pamięcią długotrwałą i często obserwujemy u nich wykasowanie poznanych informacji, to wykształcone wcześniej struktury rozumowania i zakorzenione wrażenia tworzą szkielet, na którym osadzają się przyszła wiedza, umiejętności i rozumienie świata – mówi dr Małgorzata Sieńczewska z Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Warszawskiego.

Badania – np. te opublikowane w 2008 r. przez Kristine Hansen

PREZENTACJA

CUKRZYCA. CZAS NA WAGĘ ŻYCIA!

Cukrzyca to jedno z największych wyzwań cywilizacyjnych naszych czasów. W Polsce żyje już około 3 mln chorych. Rocznie z powodu cukrzycy i jej powikłań umiera ponad 30 tys. osób. Naszą ambicją jest przezwyciężenie pandemii cukrzycy i zapobieganie rozwojowi jej powikłań.

Novo Nordisk stawia na specjalizację. Dlaczego cukrzyca, hemofilia i otyłość?
Cukrzyca jest częścią naszej historii. Założyciele firmy, która powstała w latach 20. XX w. w Danii, jako pierwsi w Europie zastosowali insulinę. Tym samym już od 95 lat jesteśmy światowym liderem w innowacyjnym leczeniu cukrzycy.
Cukrzyca jest chorobą, która rozwija się w dramatycznym tempie. Zmaga się z nią już ponad 425 mln osób na całym świecie. W Polsce około 3 mln osób. Szacuje się, że w ciągu 25 lat liczba ta w naszym kraju zwiększy się do 4 mln, obejmując 11 proc. populacji całego kraju. W dużej mierze jest to związane z postępującą wśród społeczeństwa otyłością. Naszym celem jest kompleksowa walka z cukrzycą. Nie będzie ona jednak skuteczna, jeśli nie zajmiemy się jej przyczynami. Dlatego chcemy zatrzymać tendencję wzrostową w zakresie otyłości. Od kilku lat prowadzimy badania, które pozwolą nam osiągnąć pożądany efekt. Prowadzimy je też w innych dziedzinach, czego konsekwencją była synteza i zapewnienie pacjentom dostępu do rekombinowanego aktywowanego czynnika VII (czynnik krzepnięcia krwi). Od tego czasu hemofilia stała się ważnym obszarem naszej działalności.

O cukrzycy jest jednak najgłośniej. Czy to dlatego, że stanowi wyzwanie zdrowotne naszych czasów?
To bardzo skomplikowana choroba. Jest trudna do wykrycia. Rozwija się po cichu, często nie dając objawów. W ten sposób może doprowadzić do rozwoju poważnych powikłań, takich jak np. zawał serca, udar mózgu, choroba wieńcowa (choroba niedokrwienna serca), amputacje kończyn, utrata wzroku, uszkodzenie nerek. Wtedy kontrola choroby jest trudniejsza i dużo bardziej kosztowna. Problem powikłań jest szczególnie istotny w przypadku cukrzycy typu 2 stanowiącej ponad 80 proc. wszystkich przypadków choroby. Ten typ cukrzycy jest zwykle związany ze starszym wiekiem. Pojawia się jednak coraz częściej nawet u dzieci, u których na coraz większą skalę zaczyna być widoczna epidemia otyłości. Polska przestała być już krajem wolnym od tego problemu. Nie występuje on może jeszcze na taką skalę jak w Wielkiej Brytanii, jednak jest na podobnym poziomie co w Hiszpanii. Uważa się, że cukrzyca jest konsekwencją niezdrowego trybu życia. Nie możemy jednak zapominać, że wśród przyczyn znajdują się także czynniki genetyczne i zdrowotne. Cukrzycę może wykryć proste i niedrogie badanie krwi. Jest to badanie, które może zmienić nasze życie. Często mówi się o tym, jak istotny jest czas rozpoznania choroby i włączenia skutecznego leczenia w przypadku chorych onkologicznie. W przypadku cukrzycy ta myśl prawie nie wybrzmiewa, a powinna. Wczesna diagnoza cukrzycy i dostępność do skutecznego i indywidualnie dobranego leczenia, które dodatkowo zapobiega rozwojowi powikłań sercowo-naczyniowych może wydłużyć życie pacjenta i uchronić go przed trwałym kalectwem. Dzięki niemu chory może utrzymać swoją aktywność społeczną, rodzinną i zawodową. Niezwykle ważne jest, co od dawna podkreślają lekarze i pacjenci, aby innowacyjne leki przeciwcukrzycowe były dostępne, na początek chociażby dla wąskich grup pacjentów, którzy odniosą z leczenia największą korzyść. Nie byłoby dobrze, gdyby pacjenci mieli dostęp do nowoczesnych terapii dopiero wtedy, gdy na rynku pojawią się ich tańsze odpowiedniki – bo to opóźnia dostępność o długie lata. Dla wielu chorych mogłoby być już za późno. Czas w cukrzycy ma znaczenie i może być na wagę życia.

Jakie plany na przyszłość ma Novo Nordisk?
Od momentu powstania firma Novo Nordisk jest aktywna w rozwoju innowacji. Naszym celem jest opracowywanie terapii, które pozwolą pacjentom zmagającym się z chorobami przewlekłymi, takimi jak cukrzyca, otyłość, hemofilia, żyć dłużej przy możliwie najmniejszej liczbie ograniczeń. Dlatego nieustannie inwestujemy w badania kliniczne we wspomnianych obszarach. Od stycznia 2019 r. zostanie uruchomione w Polsce Centrum Rozwoju Badań Klinicznych, które będzie odpowiedzialne za zarządzanie projektowe i administrację badań klinicznych. Dostarczy ono w ścisłej współpracy z 16 krajami około 20 proc. globalnej puli pacjentów. Będzie to jeden z głównych hubów klinicznych firmy na świecie. Decyzja o powstaniu Centrum w Polsce to wyraz docenienia poziomu naukowego polskich specjalistów i wysokich standardów polskich ośrodków klinicznych. Centrum pozwoli także zwiększyć skalę współpracy z ośrodkami naukowymi oraz wymianę wiedzy i wzajemnych doświadczeń.

W Polsce już niebawem wystartuje duży globalny program „Cities Changing Diabetes"?
Od wielu lat angażujemy się w społeczne kampanie edukacyjne. Przykładem jest akcja „Razem ścigamy się z cukrzycą". Kluczowym punktem projektu były bezpłatne badania poziomu cukru we krwi połączone z wykładem edukacyjnym na temat cukrzycy i jej powikłań. W tym roku w wybranych lokalizacjach miała także miejsce wystawa manekinów, które symbolizowały główne powikłania cukrzycy. Zainteresowanie akcją było bardzo duże. Od września przez trzy kolejne miesiące przebadanych zostało łącznie ponad 5 tys. osób. Teraz czas na start globalnego programu „Cities Changing Diabetes", który aktualnie jest prowadzony w 17 miastach na świecie, np. Kopenhadze, Mexico City, Houston. Program opiera się na założeniu, iż dwie trzecie chorych na cukrzycę to mieszkańcy miast, i to właśnie miasta stanowią pierwszą linię frontu walki z chorobą. Liczymy, że program doprowadzi do powstania platformy, dzięki której będzie możliwe pokonanie otyłości i zatrzymanie rozwoju cukrzycy. Mamy nadzieję, że w prace nad konkretnymi rozwiązaniami zaangażują się przedstawiciele różnych środowisk na poziomie ogólnopolskim i lokalnym. Ich wspólny głos w planowaniu działań zatrzymujących pandemię cukrzycy będzie kluczowy.

Resort zdrowia pracuje nad Innowacyjnym Trybem Rozwojowym. Przewiduje on system zachęt inwestycyjnych dla firm farmaceutycznych działających w Polsce. Czy według pani program w obecnym kształcie jest zagrożeniem, czy szansą dla zagranicznych inwestorów?
Rozumiemy intencję rządu, by zachęcić jak największą liczbę zagranicznych firm do inwestowania w Polsce. To dobry kierunek. Jesteśmy również zainteresowani rozwojem inwestycji w Polsce, czego dowodem jest decyzja o powstaniu Centrum Rozwoju Badań Klinicznych. W sposób bezpośredni wpłynie ona na zwiększenie zatrudnienia polskich specjalistów oraz zakresu współpracy z polskimi ośrodkami naukowymi.
W Polsce mieści się także centrum zarządzania 22 krajami regionu Europy Południowo-Wschodniej. Od lat angażujemy się w wiele akcji edukacyjnych, które na szeroką skalę promują wiedzę o cukrzycy, jej przyczynach, objawach, powikłaniach. Na każdym etapie naszych działań kluczowe miejsce zajmuje pacjent. Dzięki innowacyjnym terapiom mimo cukrzycy, hemofilii czy otyłości może on żyć dłużej i lepiej. Na rynku są dostępne, choć jeszcze nie refundowane, leki, które mają udowodnioną skuteczność w redukcji rozwoju powikłań sercowo-naczyniowych będących główną przyczyną zgonów w cukrzycy. Nie powinno być tak, że dostęp dla pacjentów do tych leków, jest uzależniony od poziomu inwestycji firmy w Polsce. Natomiast premiowanie firm aktywnych w kontrybuowaniu do polskiej gospodarki jest jak najbardziej zasadne. Zachętą do inwestycji nie powinny być ułatwienia refundacyjne, których skutki najbardziej odczują pacjenci. Mogłyby to być np. zachęty o charakterze podatkowym.

Partnerem materiału jest Novo Nordisk

z University College of London – potwierdzają, że pozytywne skutki czytania dzieciom ujawniają się już w wieku pięciu lat. Przejawiają one mniej problemów z zachowaniem i sprawniej posługują się językiem. Brylują w przedszkolnym towarzystwie. „Codzienne czytanie dzieciom redukuje szansę, że znajdą się wśród 20 proc. dzieci o najgorszych wynikach" – pisze Hansen po analizie osiągnięć 8 tys. maluchów.

Ale to nie czytanie edukacyjnych lektur rozwija nasze dzieci najbardziej. Najmocniej stymulują ich mózgi baśnie. Dlaczego? Przede wszystkim rozbudzają kreatywność. Dzieci muszą wyobrażać sobie nowy świat. Dlatego też niektórzy badacze zwracają uwagę, że najlepsze książki z baśniami to nie te bogato ilustrowane, bo one odciążają wyobraźnię najmłodszych. Baśnie, wypełnione fantastycznymi przygodami, budują w maluchach tęsknotę za nieznanym, która w dorosłym życiu przełoży się na odwagę i tolerancję dla ryzyka, cechy niewątpliwie w przydatne w kapitalistycznym świecie. Klechdy kształcą też dwie inne niezwykle ważne umiejętności: zdolność odróżniania dobra od zła i empatię.

Dobro i zło: – Można uczyć dziecko poprzez łopatologiczne moralizowanie, ale baśnie sprawdzają się lepiej, są wielowarstwowe, kształtują zdolność osądu. W efekcie dziecko samo dochodzi do oceny postawy bohaterów. Z moich badań wynika, że jest ona zniuansowana, nie czarno-biała. Żyjemy w skomplikowanych czasach i baśnie mogą pomóc je zrozumieć – zauważa prof. Edyta Gruszczyk-Kolczyńska z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie.

Empatia: – Baśnie skłaniają dzieci, które naturalnie skupione są przede wszystkim na sobie, do postawienia się w czyimś położeniu. To decentracja. Jeśli zdolność do empatii nie zostanie wykształcona na wczesnym etapie życia, dzieci w przyszłości mogą mieć problemy z socjalizacją czy radzeniem sobie z własnymi emocjami – tłumaczy dr Małgorzata Sieńczewska z UW.

Co to wszystko ma wspólnego z bogaceniem się?

Bracia Grimm to marksiści

Nietrudno pojąć, że osoby aspołeczne i niestabilne – te, którym być może baśni nie czytano – mają trudniej ze znalezieniem pracy i awansem, ale bajki i ekonomia mają sporą część wspólną. Chodzi o samą zasadę działania dobrej gospodarki. Taką, która umożliwia bogacenie się.

Bracia Grimm, którzy ludowe opowieści spisali w pierwszej połowie XIX w., celowo domalowywali do nich czarny obraz rodzącego się wówczas kapitalizmu

Dobrze działająca gospodarka rynkowa to dobrowolne transakcje między ufającymi sobie uczciwymi ludźmi. Trudno być uczciwym, nie odróżniając dobra od zła. Ciężko komukolwiek zaufać, będąc pozbawionym zdolności do empatii, gdy każdy jawi nam się jako istota niezrozumiała i obca, potencjalnie wroga. Istnieją również badania pokazujące, że im większy poziom zaufania w społeczeństwie i im większa zdolność do empatii, tym większa innowacyjność, czyli zdaniem wielu warunek sine qua non bogactwa narodów w XXI w. Zaufanie i empatia pozwalają wydobyć z pracowników potencjał, gdy ci czują się rozumiani, a pracodawcy, umiejąc wczuć się w sytuację innych, mogą skuteczniej obmyślać sposoby zaspokajania ich potrzeb. Socjologowie podkreślają, że społeczny kapitał zaufania i empatii w Polsce jest niski, co może tłumaczyć nie tylko niewielką dobroczynność Polaków, ale też naszą niewystarczającą innowacyjność.

A co z rozumieniem praktycznego działania gospodarki? Czy i tu baśnie są pomocne? – Dziś dzieci, które wiedzą, że pieniądze biorą się z pracy, są w mniejszości. Źródłem pieniędzy bywa dla nich ściana, czyli bankomat, albo mamina torebka – zauważa prof. Edyta Gruszczyk-Kolczyńska. Ta niewiedza zostaje nam na dłużej, bo trudno jej nie skojarzyć z faktem, że jako dorośli nie wiemy np., skąd biorą się pieniądze na programy socjalne. Badanie serwisu CiekaweLiczby.pl z 2017 r. pokazuje, że zaledwie 38 proc. z nas ma świadomość, że 500+ finansowane jest z naszych kieszeni.

Czy czytanie dzieciom baśni ułatwia przyswajanie sobie prawd ekonomicznych w dorosłym życiu, czy przeciwnie – utrwala przekonanie, że bogactwo można wyczarować? Albo gorzej – może wdrukowuje maluchom wyłącznie negatywne nastawienie do świata pieniądza i własności, a więc nieodłącznych elementów kapitalizmu? Są one w baśniach często przedstawiane jako źródło chciwości i występku, a niektórzy badacze zwracają uwagę, że bracia Grimm, którzy ludowe opowieści spisali w pierwszej połowie XIX w., celowo domalowywali do nich czarny obraz rodzącego się wówczas kapitalizmu. Rebecca Cicalese z Arcadia University przekonuje w jednej z prac, że w baśniach Grimmów znajdziemy wręcz marksistowsko podane wątki dotyczące wyzysku i nierówności społecznych. Na szczęście to tylko jedna z interpretacji. Wolnorynkowy filozof Jeffrey Tucker dowodzi, że podania mogą służyć nawet do opisu historii i dobrodziejstw kapitalizmu, np. baśń o elfach, które potajemnie nocami pomagają biednemu szewcowi w szyciu butów, czyniąc z niego zamożnego człowieka. – Szewc pracował w trudzie przez całe życie, ale dopiero nagłe pojawienie się elfów przyniosło mu bogactwo. Tak samo wygląda historia ludzkości. Była jak szewc, od zawsze biedna, dopóki nie wydarzyła się magia, czyli nie pojawił się kapitalizm – zauważa Tucker w jednym z wykładów.

Badacze zgadzają się, że choć dawne bajki zawierały opisy niesprawiedliwości, to miały przede wszystkim dać nadzieję na lepsze jutro. Miały szczęśliwy koniec, choć sprawy nie zawsze zmierzały ku niemu tak gładko, jak w ich uładzonych (a przez to mniej wartościowych) wersjach znanych dzisiaj. W oryginalnej wersji „Trzech małych świnek" Grimmów dwie pierwsze są pożarte, dopiero trzecia dzięki zapobiegliwości i pracowitości przeżywa starcie ze złym wilkiem. Trudno tę wersję znaleźć w księgarniach. Dzieci znają tę, w której dwie nierozsądne świnki znajdują schronienie u starszego brata i nie ponoszą konsekwencji swojego błędu. Oryginał jest bliższy prawdziwemu życiu, ucząc o strasznych skutkach dążenia do wygody kosztem ignorowania niebezpieczeństwa.

Przepisać bajki

Ekonomista Riel Miller z UNESCO (wywiad z nim czytaj na str. 84) proponuje, by tę bajkę przepisać tak, by jeszcze bardziej odpowiadała współczesnym realiom. Niech świnki uratuje współpraca, niech np. dostarczają wilkowi pożywienia, by nie miał apetytu na nie. Czy to dobry pomysł? Takie unowocześnione baśnie już napisano. Grecki socjolog Eugene Trivizas napisał bajkę o „Trzech małych wilkach i dużej złej śwince". Trzy drapieżniki wyruszają w świat, wiedząc, że na ich życie czyha wielka duża świnka. Zamiast budować osobne schronienie, tworzą wspólne. Świnka je niszczy, one budują coraz wytrzymalsze. W końcu zmieniają strategię i stawiają dom pokryty pachnącymi kwiatami. Okazuje się, że w ten sposób wilczki zaoferowa-

Od lewej: Jan Tokarski, Anna Szczeblewska, Marcin Makusak, Katarzyna Ignaszak, Adam Pawlicki, Grzegorz Łaptaś

Nowe pokolenie. Partnerzy w PwC Polska

Specjalizacje nowych partnerów:

- transformacja cyfrowa
- doradztwo strategiczne i operacyjne
- zarządzanie zmianą i People Analytics
- spory podatkowe i doradztwo regulacyjne
- zarządzanie ryzykiem i Data Assurance
- księgowość i raportowanie podatkowe

pwc

Budujemy zaufanie i rozwiązujemy problemy

© 2018 PwC Advisory spółka z ograniczoną odpowiedzialnością sp. k. Wszystkie prawa zastrzeżone.

fot. BE&W

ły coś, co odpowiada preferencjom świnki bardziej niż smak wilczyzny: zapach. W końcu świnki słyną ze świetnego węchu. Oto skutecznie wskazana w bajce droga do poprawy losu: kreatywność.

Równie finezyjnie do tej samej baśni podszedł w swojej trawestacji Amerykanin Steven Kellogg, który opisał mamę świnkę jako samotną matkę zatroskaną o przyszłość swoich dzieci. Postanawia ona w tym celu zacząć produkcję gofrów. Oto kolejna droga – przedsiębiorczość.

Ale i wiele tradycyjnych, nieprzerobionych dziecięcych opowieści zawiera ukryte treści ekonomiczne. „Trzeba tylko wydobyć je na światło dzienne, by przynieść jeszcze więcej zabawy maluchom" – zauważa na łamach „The New York Times" prof. Edward Glaeser, ekonomista z Uniwersytetu Harvarda. W historii o trzech świnkach upatruje lekcji o wartości użytkowej materiałów, w tej o mrówce i koniku polnym – o rozsądnym inwestowaniu tak, by przynosiło jak największe zwroty. „Niektóre baśnie mogą zrobić z naszych dzieci protekcjonistów, tak jak baśń o szczęśliwym Janku, który biednieje w wyniku serii niefortunnych transakcji z obcymi" – przestrzega Glaeser. Wniosek z tego taki, że lektury trzeba selekcjonować i wyjaśniać. Tu ważna uwaga: czytanie pociechom baśni tak, żeby wyniosły z nich coś ponad podprogowe impresje oraz powiększony zasób słów, musi mieć charakter aktywny. Trzeba odpowiadać na ciekawskie pytania dzieci, pełniąc funkcję ich przewodników po świecie wyobraźni, zamiast traktować czytanie jako sposób na położenie ich do snu. Czytanie dziecku smętnym głosem bajki o dziewczynce z zapałkami Andersena skutecznie usypia je, ale nie uczy empatii.

Baśnie budują w maluchach tęsknotę za nieznanym, która w dorosłym życiu przełoży się na odwagę i tolerancję dla ryzyka. Klechdy kształcą też dwie inne niezwykle ważne umiejętności: zdolność odróżniania dobra od zła i empatię

Ale po co i do kogo ja o tym wszystkim piszę? Może Polacy to wszystko już wiedzą i regularnie czytają dzieciom 20 minut (minimalny czas, żeby lektura miała poznawczy sens)? Trudno o twarde dane. Na podstawie badań, m.in. CBOS, można szacować, że swoim pociechom przez 20 minut dziennie czyta ok. 40 proc. z nas, reszta dość nieregularnie i krócej, przy czym liczba czytających dzieciom rośnie, a do nieczytania przyznaje się zaledwie ok. 11 proc. ankietowanych w badaniach. A więc darmo wylałem tyle e-atramentu? Można już zakończyć kampanię „Cała Polska czyta dzieciom"?

Nierówności od kołyski

Niestety, na fanfary zdecydowanie za wcześnie. Po pierwsze, to badania ankietowe, a więc zmuszające do samooceny. Są zaburzone, bo ludzie często chcą widzieć siebie lepszymi, niż są w rzeczywistości. Po drugie, przed rokiem Biblioteka Narodowa (BN) opublikowała badania sugerujące, że ok. 60 proc. Polaków nie przeczytało w 2016 r. ani jednej książki. Podobne wyniki odnotowano też rok wcześniej, można więc roboczo zakładać, że te 60 proc. nieczytających to pewien stały odsetek w społeczeństwie. Dlaczego akurat wśród rodziców miałby spadać, jak podaje BN, do 3 proc.? Nie ma powodów, by tak sądzić. Może czytania bajek, baśni i innych książek dziecięcych nie traktują oni jako prawdziwych lektur? Badania milczą w tej kwestii. Inne z kolei sondaże podważają samą zdolność Polaków do czytania ze zrozumieniem. W 2007 r. szacowano, że mniejsze i większe problemy ma z tym aż 70 proc. z nas. Przyczyną może być to, że we wczesnym dzieciństwie nie czytano nam lektur, przez co nie wykształciły się struktury poznawcze konieczne do sprawnego operowanie językiem. – Dzisiaj dzieci oglądają bajki w telewizji i brakuje im wzorów czytelniczych. Zapytane, czy mają ulubione książki, coraz częściej odpowiadają, że nie, a czasami, że w ogóle w domu nie ma książek. Kreskówki nie mogą być ekwiwalentem czytania dziecku. Nie dają mu bliskości, nie tłumaczą świata, są często zagmatwane do tego stopnia, że czarne charaktery mogą wywoływać podziw dziecka – tłumaczy dr Małgorzata Sieńczewska z UW.

Pewne jest, że częściej czytają książki dzieciom osoby lepiej wykształcone i zarabiające. To one też częściej z dziećmi rozmawiają. Szacuje się, że różnica w liczbie usłyszanych w życiu słów pomiędzy czterolatkiem z biednej a bogatej rodziny wynosi nawet 30 mln. Adam Swift, teoretyk polityki z University of Warwick, przekonuje, że to rażąca niesprawiedliwość, ponieważ czytanie dzieciom utrwala społeczne nierówności bardziej nawet niż posyłanie dzieci do szkół prywatnych. – Może i nie powinno się tego zakazywać, ale rodzice czytający dzieciom baśnie powinni to sobie uświadamiać – przekonuje Swift. Dziwaczny jest ten pogląd. Skoro czytanie baśni pomaga w utrzymaniu statusu, to czemu miałoby nie pomagać też w jego zdobywaniu? Zamiast, jak Swift, zniechęcać bogatych do czytania dzieciom, należy zachęcać do tego biednych. To banalnie prosta w realizacji polityka, jaką może uprawiać każdy w swoim domu i otoczeniu. Wymaga tylko samodyscypliny.

Oczywiście, zdarzają się także szaleńcy uznający, że lepiej dziecku nie czytać wcale niż czytać baśnie. To ci, którzy twierdzą, że odrywają je one od realiów życia i skłaniają ku irracjonalności. – Sądzę, że wdrukowywanie w światopogląd dziecka istnienia zjawisk ponadnaturalnych jest szkodliwe. Dotyczy to także baśni, które tak kochamy, z wszystkimi tymi czarodziejami i książętami zamienianymi w żaby. Istnieje dobry powód, by nie wierzyć w to ostatnie: to statystycznie niemożliwe – zauważał prof. Richard Dawkins, ateista i biolog ewolucyjny, w trakcie festiwalu nauki w Cheltenham w 2014 r. Spotkało się to z tak nieprzyjazną reakcją publiczności, że wkrótce Dawkins się z tej uwagi wycofał. Być może po prostu kontrowersyjny naukowiec zapoznał się z opinią swojego cokolwiek bardziej utytułowanego kolegi – Alberta Einsteina. Ten poradził kiedyś pewnej matce: „Jeśli chcesz, by twoje dzieci były inteligentne, czytaj im baśnie. Jeśli chcesz, by były bardzo inteligentne, czytaj im więcej baśni".

Dawkins czy Einstein – komu wierzyć? Dla mnie wybór jest prosty. ©℗

PREZENTACJA

Partner
PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A.

INWESTYCJE W BEZPIECZEŃSTWO I KOMFORT PODRÓŻY KOLEJĄ

Sprawne i bezpieczne podróże, transport ładunków po torach, przygotowanie rozkładu jazdy, a także największe od lat inwestycje – to podstawowe zadania PKP Polskich Linii Kolejowych S.A.

Zapewniam, że pamiętamy przede wszystkim o tych, którym mają służyć nasze inwestycje – pasażerach i przewoźnikach towarów. Ze wszystkimi przewoźnikami wypracowywane są indywidualne rozwiązania dla poszczególnych tras regionalnych i dalekobieżnych, by w czasie budowy spójnej sieci kolejowej jak najszybciej odczuwalne były korzyści, a zmian, których nie da się uniknąć, było jak najmniej – mówi Ireneusz Merchel, prezes Zarządu PKP Polskich Linii Kolejowych S.A. W grudniu spółka wprowadziła nowy rozkład jazdy pociągów, który uwzględnia już wykonane prace i kolejne zadania.

Widać efekty Krajowego Programu Kolejowego

Na efekty modernizacji linii kolejowych czasem trzeba pracować nawet powyżej dwóch lat. Jednak już widać, co osiągnięto w ostatnich miesiącach. To oczekiwany powrót pociągów na warszawską linię obwodową z Warszawy Zachodniej do Gdańskiej oraz wznowienie kursowania pociągów na trasie Warszawa Zachodnia – Grodzisk Mazowiecki. Zakończono kolejne etapy prac na linii Lublin – Stalowa Wola oraz między Opolem a Nysą czy Piłą i Poznaniem. Widać nowe perony w Gdańsku Głównym, Szczecinie, a podróżujący z kilkudziesięciu mniejszych miejscowości również dostrzegają zmiany. Perony są budowane tak, by mógł z nich skorzystać każdy, kto ma ograniczenia z poruszaniem się. Nowe wiadukty, np. w Jaworznie, to nie tylko bezpieczeństwo dla podróżnych, ale także sprawniejszy system komunikacji drogowej. Zgodnie z planem przebiega największa od dziesięcioleci inwestycja w Krakowie – budowa dodatkowych torów i przystanków, co pozwoli znacznie usprawnić podróże aglomeracyjne i dalekobieżne. W Łodzi wykonawca szykuje się do budowy tunelu, który otworzy nowe możliwości przejazdów w mieście i na sieci kolejowej.

> Jeszcze nigdy na polskiej kolei nie były realizowane tak duże projekty. Przywracamy linie dla połączeń pasażerskich, podpisujemy kolejne umowy na modernizacje. Naszym celem jest kolej bezpieczna, komfortowa i punktualna – powiedział minister infrastruktury Andrzej Adamczyk podczas podsumowania 3 lat pracy swojego resortu.

Ponad 200 nowoczesnych peronów

Ostanie lata na polskiej kolei to nie tylko modernizacje torów, dzięki którym jeździmy szybciej i bezpieczniej, ale także nowy standard obsługi podróżnych. Tylko w tym roku PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. budują na stacjach i przystankach ponad 200 nowoczesnych peronów. Wszystkie są dostosowywane do potrzeb osób o ograniczonych możliwościach poruszania się. Na wielu są windy i schody ruchome. Więcej obiektów przygotowanych jest do potrzeb osób niewidomych. W tym roku 29 stacji zyskało informację w języku Braille'a. Coraz częściej podróżni mówią o oczekiwanym standardzie obsługi, a to sprzyja utrzymaniu „mody" na kolej.

Bezpieczeństwo... jest w każdym projekcie

Modernizacje linii zwiększają bezpieczeństwo, gdyż obejmują przebudowę przejazdów, budowę bezkolizyjnych skrzyżowań i montaż nowoczesnych urządzeń sterowania. Specjalne projekty dodatkowo mają zwiększyć poziom bezpieczeństwa. Za setki milionów złotych zmodernizowane zostaną rozjazdy i przejazdy, a także zbudowany nowoczesny system ERTMS/GSM-R na prawie 14 tys. km linii. Spółka na bieżąco szkoli pracowników. Zwiększa się potencjał diagnostyki m.in. przez zakup pojazdów, specjalistycznego sprzętu i nowoczesnych urządzeń łączności. Ważne dla bezpieczeństwa kierowców było umieszczenie na wszystkich przejazdach dodatkowych informacji.

Dialog sprzyja kolejowym inwestycjom

Stała współpraca m.in. z podwykonawcami i wykonawcami skutkuje tym, że PLK na bieżąco reagują na zmieniający się rynek i jego otoczenie. Wprowadzone w ostatnich trzech latach kwoty warunkowe, zaliczki i wcześniejsze płatności usprawniły proces inwestycji. Również wówczas, gdy spółka musiała przejąć realizacje zobowiązań dla podwykonawców po wykonawcy, który zszedł z kontraktów, zrobiono to tak szybko, jak w podobnych sytuacjach jeszcze nie było. Działania, zgodne z prawem oraz interesem społecznym, uwzględniają także kontynuację prac. W listopadzie PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. wprowadziły nowe elementy otwierające możliwości dla wykonawców, w tym mniejszych firm. Spółka zmniejszyła wadium, biorąc większą odpowiedzialność na siebie. Wadium, które było 3 proc., w tej chwili wynosi 1–2 proc. w zależności od wartości przetargu. PLK po 10 grudnia zmieniły gwarancje. Nie będzie to stałe 10 proc. W przetargach do 50 mln zł, gwarancja będzie 5 proc., w tym 2 proc. będzie wpłacana przed podpisaniem umowy, 3 proc. w czasie robót. Dla przetargów do 100 mln zł gwarancje wyniosą 7 proc., w tym 3 proc. do wpłaty przed podpisaniem umowy. Dla kontraktów największych gwarancja wynosić będzie 10 proc., lecz rozłożona na płatności 3 i 7 proc. Ułatwienia powinny zachęcić do przetargów małe i średnie przedsiębiorstwa, które były dotychczas podwykonawcami.

Rok wyzwań i efektów

Po przejęciu odpowiedzialności za KPK i jego aktualizacji w 2016 r. kolejnym zrealizowanym przez PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. wyzwaniem było podpisywanie umów. Rok 2018 to już bardziej czas prac. Wartość zakończonych inwestycji KPK to około 8 mld zł, a w realizacji są zadania za ok. 33 mld zł. – czyli ponad 60% wartości Krajowego Programu Kolejowego. W procedurach przetargowych są umowy za ok. 10 mld zł, a na etapie projektowania za 8,5 mld zł. Dotychczas największe roczne inwestycje na torach sięgnęły 7 mld zł. Realizacja ogromnego przedsięwzięcia KPK postępuje na tyle sprawnie, że można mówić o realizacji tegorocznego planu na najwyższym poziomie. – Kwoty, które wykorzystujemy obecnie na inwestycje, oznaczają lepsze podróże w aglomeracjach, pomiędzy regionami, wygodny dostęp do pociągów oraz coraz więcej towarów na torach, mówi Ireneusz Merchel.

Krajowy Program Kolejowy

PKP Polskie Linie Kolejowe S.A. realizują największy dotychczas program inwestycji na polskich torach – Krajowy Program Kolejowy (KPK). To 220 projektów o wartości ponad 66 mld zł. Efektem realizacji programu stają się krótsze czasy przejazdu i kilkadziesiąt nowych lub zmodernizowanych przystanków. Zwiększa się poziom bezpieczeństwa, m.in. przez budowę bezkolizyjnych skrzyżowań, a dla przewoźników towarowych oddawane są lepiej przygotowane, szybsze trasy.

Liberał jeńców nie bierze

Bardziej empatyczni, otwarci, tolerancyjni, ciekawi świata, gotowi na zmiany. Dawno i nieprawda. Polski liberalizm jest dziś równie radykalny **i zamknięty na debatę jak konserwatyści z PiS**

fot. Beata Zawrzel/Reporter

Andrzej Andrysiak

Dno i wypociny. Sprzedawczyk i sługus. Artykuł sponsorowany. Prostacko i chamsko wciskana propaganda. Pisząc tekst, wiem, z jaką spotka się reakcją części czytelników w mediach społecznościowych i na internetowych forach. Tak jest za każdym razem, ilekroć autor prezentuje pogląd niejednoznaczny. Gdy nie łączy się w pomstowaniach, dzieli włos na czworo.

Przyzwyczailiśmy się myśleć, że to zwyczajowa reakcja prawicy, zwolenników obecnego rządu. Ale nie oszukujmy się – tak samo reaguje druga strona. Wylewający się z internetu ściek to nie wytwór wyłącznie prawicowych trolli, mrówcza praca opłaconych przez PiS botów, to także zdanie wyborców Platformy, Nowoczesnej, lewicy, tych, którzy odwołują się – przynajmniej werbalnie – do postaw wolnościowych.

Zradykalizowali się liberałowie. Walą przez łeb, za nic mając prawdę, otwartość i styczność ze światem. Nie debatują, drugiej strony nie poważają, bo przecież ta druga strona nie szanuje ustanowionych

PREZENTACJA

Partner

KDPW | CSD | TR | CCP | LEI

NIEZAWODNE USŁUGI DLA RYNKU FINANSOWEGO

Zbliża się rok 2019 – szczególny dla Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych i jego klientów. Minie bowiem 25 lat, odkąd KDPW świadczy usługi posttransakcyjne dla rynku finansowego zarówno w kraju, jak i za granicą.

Dziś KDPW tworzy grupę kapitałową oferującą wysoko specjalistyczne usługi dla sektora finansowego, związane z depozytem zdematerializowanych instrumentów finansowych, rozliczeniami i rozrachunkiem transakcji na wielu rynkach, realizacją świadczeń na rzecz posiadaczy papierów wartościowych, gromadzeniem i przechowywaniem danych, nadawaniem kodów i numerów. Grupę tworzą: Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych (KDPW) oraz izba rozliczeniowa KDPW_CCP.

Przez ostatnie lata w dynamicznie zmieniającym się otoczeniu rynkowym i regulacyjnym Grupa KDPW stworzyła komplementarny pakiet usług, odpowiadający współczesnym wymogom najbardziej rozwiniętych centrów finansowych, uzyskała odpowiednie autoryzacje dla swoich usług i z powodzeniem wyszła poza granice kraju ze swoją ofertą. A jej zakres zostanie poszerzony o nowe rozwiązania, które będą dostępne dla klientów już w przyszłym roku.

Usługi depozytowo-rozrachunkowe

KDPW pełni na polskim rynku funkcję centralnego depozytu papierów wartościowych. Z kolei spółki notowane na giełdzie otrzymują w KDPW pełen zakres nowoczesnych usług związanych z obsługą papierów wartościowych. Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych zapewnia rejestrację papierów wartościowych (m.in. akcje, obligacje, certyfikaty inwestycyjne) w postaci zdematerializowanej. Ich rejestracja w KDPW jest jednym z pierwszych kroków w drodze na giełdę. Gdy spółka jest już obecna na ryku giełdowym, KDPW zapewnia realizację wielu usług dla emitentów (zdarzenia korporacyjne i operacje na papierach wartościowych).
Ustawa z 9 listopada 2018 r. o zmianie niektórych ustaw w związku ze wzmocnieniem nadzoru nad rynkiem finansowym oraz ochrony inwestorów na tym rynku przewiduje obowiązek rejestrowania w depozycie papierów wartościowych obligacji korporacyjnych oraz listów zastawnych, które nie są emitowane w drodze oferty publicznej ani przeznaczone do obrotu zorganizowanego, a także certyfikatów inwestycyjnych emitowanych przez fundusze inwestycyjne zamknięte, które nie są publicznymi funduszami inwestycyjnymi zamkniętymi. Ponadto ustawa ta nakłada na Krajowy Depozyt obowiązek utworzenia centralnego repozytorium informacji o papierach dłużnych emitowanych przez podmioty krajowe, które ma obejmować informacje o wielkości wynikającego z nich zadłużenia obciążającego poszczególnych emitentów oraz terminowości regulowania tego zadłużenia i które ma udostępniać te informacje wszystkim zainteresowanym. Zmiany te mają wejść w życie 1 lipca 2019 r. Obowiązek rejestracji niepublicznych papierów wartościowych ma na celu przede wszystkim zwiększenie przejrzystości i bezpieczeństwa obrotu i ochronę inwestorów przed ryzykiem podejmowania decyzji na podstawie niepełnych lub nieprawdziwych informacji.

Obsługa przez eVoting

KDPW w połowie roku 2019 zamierza uruchomić usługę eVoting, która zostanie udostępniona uczestnikom rynku kapitałowego jako pierwsza z usług w ramach budowanej platformy blockchain. Zapewni ona kompleksową obsługę walnych zgromadzeń spółek publicznych, w tym w szczególności przeprowadzanie głosowania zdalnego z wykorzystaniem środków komunikacji elektronicznej. Założeniem jest implementacja

modelu tzw. jednego okienka dla emitentów poprzez dokonanie pełnej integracji procesu głosowania z obecnie realizowanymi przez KDPW czynnościami w ramach obsługi walnych zgromadzeń, a więc z tworzeniem wykazu uprawnionych ze zdematerializowanych akcji na okaziciela.
Usługa będzie świadczona z wykorzystaniem aplikacji internetowej, z dedykowanymi odrębnymi interfejsami dostępowymi dla emitentów oraz akcjonariuszy. Cel usługi wpisuje się w cele dyrektywy SRD, a więc w zwiększenie aktywizacji akcjonariuszy poprzez umożliwienie im udziału zdalnego w walnych zgromadzeniach, a przez to zwiększenie poziomu świadomości inwestowania na rynku kapitałowym

Izba rozliczeniowa KDPW_CCP

KDPW_CCP pełni funkcję izby rozliczeniowej w oparciu o funkcję centralnego kontrpartnera, której zadaniem jest rozliczanie transakcji na rynku regulowanym oraz w alternatywnym systemie obrotu, a także prowadzenie systemu zabezpieczenia płynności rozliczeń. KDPW_CCP oferuje pełen zakres usług dla rozliczanych instrumentów finansowych oraz, co jest szczególnie istotne z punktu widzenia instytucji finansowych działających na polskim rynku, przyjmuje zabezpieczenia w złotych i euro oraz papierach wartościowych emitowanych przez Skarb Państwa. Od grudnia 2012 r. KDPW_CCP świadczy usługi rozliczania i gwarantowania rozliczeń derywatów OTC oraz transakcji repo. W ten sposób KDPW_CCP rozpoczęła obsługę transakcji rynku międzybankowego.

Repozytorium Transakcji KDPW_TR

Usługa repozytorium transakcji to odpowiedź KDPW na Rozporządzenie EMIR, które wprowadziło m.in. obowiązek raportowania wszystkich kontraktów pochodnych do repozytoriów transakcji, określiło zasady ich funkcjonowania oraz rejestracji. Na jego prowadzenie KDPW uzyskał zgodę w Europejskim Urzędzie Nadzoru Giełd i Papierów Wartościowych (ESMA).
Z kolei Rozporządzenie SFTR wprowadza obowiązek raportowania do repozytoriów transakcji regulowanych tym rozporządzeniem, m.in. transakcji repo, transakcji buy-sell back oraz pożyczek papierów wartościowych.
KDPW przygotowuje się także do tego rozwiązania. Świadczenie tej usługi będzie wymagało uprzedniego uzyskania rozszerzenia rejestracji uzyskanej w ESMA dla repozytorium transakcji zgodnie z przepisami rozporządzenia EMIR, o rejestrację zgodnie z rozporządzeniem SFTR.

KDPW_ARM

3 stycznia 2018 r., w odpowiedzi na zapotrzebowanie rynku związane z wejściem w życie unijnego rozporządzenia MIFIR, Krajowy Depozyt Papierów Wartościowych uruchomił usługę ARM. Usługa ARM (ang. Approved Reporting Mechanism) polega na przekazywaniu do organu nadzoru informacji o szczegółach transakcji zawieranych w obrocie instrumentami finansowymi, w imieniu podmiotów, na które obowiązek dokonywania takich zgłoszeń nakłada rozporządzenie MIFIR.

przez nich reguł. Nie słuchają, bo dawno doszli do przekonania, że z ust przeciwnika żadne ciekawe słowo nie padnie. Zresztą jak może paść, skoro to wróg. Siadają wieczorem przed „Faktami" i przeklinają głośno rząd i wszystkich nieświętych, zupełnie nieświadomi, że niczym się w tym przeklinaniu nie różnią od radiomaryjnych.

Czy to jeszcze liberalizm? Nieostrość pojęć wypacza rozumowanie, i choć z liberalizmem jest jak z prawdą, którą każdy ma swoją, to spróbujmy go opisać. Ilekroć w tekście używam słowa „liberalizm", mam na myśli jego odmianę polityczną i społeczną. Pierwsza zakłada przywiązanie do praw i wolności obywatelskich oraz do demokracji liberalnej, w której wybory są wolne, uczciwe i panuje pluralizm polityczny. Druga przeciwstawia się ingerencji państwa w prywatne życie obywateli oraz przedkłada wolność jednostek nad społeczną i polityczną kontrolę.

Tak rozumiany liberalizm jest jednym z uczestników, który toczy się na świecie. Z jednej strony konserwatywna postawa, uznająca zastany porządek społeczny za dobry i sprawiedliwy, zakładająca, że jego zmiana nie wyjdzie społeczeństwom na dobre, z drugiej – liberalizm, który w zmianie tegoż porządku widzi szansę na zmniejszenie szeroko rozumianych nierówności.

Te postawy przez lata się uzupełniały i potrafiły współegzystować. Przynajmniej tak się wydawało liberałom. Ale po latach konsensusu konserwatyści przeszli do ataku. Kryzys gospodarczy lat 2009–2011, którego społecznych i politycznych skutków wciąż w Polsce nie doceniamy, pozbawił duże grupy społeczne bezpieczeństwa. Konserwatyści zdefiniowali wroga błyskawicznie – liberalizm, zwłaszcza jego gospodarcze oblicze. Multikulturowość i globalizacja, naturalne konsekwencje tej postawy, nagle znalazły się pod pręgierzem. To je obwiniono o gospodarczą zapaść i wzrost nierówności. Do tego doszły oderwane od rzeczywistości elity, które jedną rękę wyciągały do rządów o miliardową pomoc, drugą wkładały do własnej kieszeni horrendalne premie.

Liberalizm musiał się bronić. Strącony z piedestału już nie głosił prawdy objawionej, musiał walczyć o uwagę jak pierwszy lepszy.

Liberałowie podchwycili zasady gry Kaczyńskiego. Skoro PiS robi to z powodzeniem, może im też się uda? Komunikat o faszystach na ulicach Warszawy mobilizuje, więc trzeba go powtarzać, choćby był kłamstwem. Zresztą nie żyjemy w czasach prawdy, tylko wojny. A na wojnie leje się krew

I wtedy okazało się, że w defensywie sobie nie radzi. Na ostre ataki konserwatystów reaguje narzędziami, które są sprzeczne z rdzeniem jego tożsamości.

Zobaczmy to na przykładach.

11 listopada 2018 r., niedziela, centrum Warszawy. Około południa w okolicach ronda Dmowskiego zbierają się ludzie. Przybywa ich z minuty na minutę. Tysiące biało-czerwonych flag, osoby w różnym wieku, samotni i z rodzinami. W mediach nastrój wyczekiwania. W poprzednich latach współorganizowane przez Obóz Narodowo-Radykalny (razem z Młodzieżą Wszechpolską, w 2011 r. powstało Stowarzyszenie Marsz Niepodległości) Marsze Niepodległości kończyły się awanturami, podczas jednego spalono wóz transmisyjny TVN. Tym razem media też donoszą o kibolach zbierających się na rozróbę i neofaszystowskich grupach z zagranicy wybierających się do stolicy. ONR to skrajnie nacjonalistyczna organizacja, odwołująca się do przedwojennego faszyzującego ruchu o tej samej nazwie. W Polsce propagowanie ideologii faszystowskiej jest karalne, jednak ONR werbalnie się od niej odżegnuje. Ale media co jakiś czas informują o wybrykach członków tej organizacji. W tym roku wielkim echem odbił się telewizyjny reportaż dziennikarzy TVN, którzy przeniknęli do środowiska narodowców i nagrali, jak obchodzą urodziny Adolfa Hiltera.

Rocznica jest szczególna, to obchody 100-lecia odzyskania niepodległości. Nakłada się na to spór o zakaz marszu wydany przez odchodzącą po trzech kadencjach prezydent Warszawy Hannę Gronkiewicz-Waltz. Rząd zastosował fortel, przejął organizację imprezy jako uroczystości państwowej, przez co mogła się odbyć zgodnie z planem. Ale jako że maszerowanie rządu dużego europejskiego państwa pod rękę z radykałami z ONR musi mieć konsekwencje polityczne, zastosowano kolejny fortel – manifestację podzielono na dwie części. Pierwszej przewodzili rządzący, drugiej ONR. Obie podążały tą samą trasą, dzieliło je tylko kilkadziesiąt metrów odstępu. Tak naprawdę mało który jej uczestnik był świadom tego podziału.

Na Marszu Niepodległości stawiło się 250 tys. ludzi. To największa manifestacja po 1989 r. Sami faszyści? Tak – orzekają liberałowie. Ćwierć miliona faszystów na ulicach Warszawy. Do tego rząd idący z nimi pod rękę. Skandal, jakiego jeszcze nie było.

Kto zada sobie trud i przejrzy relacje wideo, których w internecie można znaleźć tysiące, od razu zauważy, że coś się w tym komunikacie nie zgadza. Są kibole, są ONR-owcy, są nawet agresywni manifestanci, ale są też zwyczajni, niezaangażowani ludzie, którzy przyszli z potrzeby uczczenia rocznicy. Co więcej, wygląda na to, że takich jest większość.

Ale sformułowany przez liberalny anty PiS komunikat jest odmienny: to był marsz faszystów. Kto w nim szedł, pobratymiec Hitlera i Mussoliniego bez mała. Jeszcze w niedzielę wieczorem, w dniu demonstracji, te głosy są z lekka niezdecydowane, jednak w poniedziałek i we wtorek machina rusza na całego. Facebook i Twitter wypełnione są memami, komentarzami, relacjami i pomstowaniami. Faszyzm odmieniany jest przez wszystkie przypadki, ten komunikat podchwytują media europejskie. Rzeczywistość sobie, wyobrażenia sobie.

Przykład drugi. Pięć dni przed Marszem Niepodległości prezydent Warszawy wydaje zakaz manifestacji. Argumentuje, że „Warszawa dość już wycierpiała przez agresywny nacjonalizm". Powołuje się na kwestie bezpieczeństwa, którego – według niej – nie są w stanie zapewnić ani policja, ani organizatorzy. Wspomina także rezolucję Parlamentu Europejskiego wzywającą państwa europejskie do podjęcia kroków przeciwko mowie nienawiści i przemocy. Organizatorzy skarżą zakaz do sądu. Uchylają go najpierw sąd okręgowy, potem apelacyjny.

Jak na pomysł Gronkiewicz-Waltz reagują liberałowie? Wielu jej broni. Z wielkim zaangażowaniem. Konstytucyjna wolność zgromadzeń, prawo do wyrażanie poglądów, prawo do światopoglądu schodzą na dalszy plan. „Trzeba postawić tamę ksenofobii i rasizmowi", „Faszyści nie mogą maszerować środkiem Warszawy", „Tolerancja kończy się tam, gdzie zaczyna się narodowy socjalizm" – ten ton jest powszechny w mediach społecznościowych. Jak to się ma do faktu, że gdy miesiąc wcześniej prezydent Lublina zakazał Parady Równości, protestowali z równym zaangażowaniem przeciw tamtej decyzji? Nijak. Tam chodziło o nasze wartości, tu chodzi o nie nasze.

Bankowość
Przedsiębiorstw

JESTEŚMY TAM, GDZIE TWÓJ BIZNES

Dołącz do Bankowości Przedsiębiorstw
w PKO Banku Polskim i zyskaj:

- Profesjonalną obsługę mobilnego doradcy w siedzibie firmy bądź innym, wygodnym dla Ciebie miejscu
- Szybkie decyzje kredytowe dzięki wsparciu duetu dedykowanego doradcy i analityka kredytowego
- Bezpośredni dostęp do ekspertów kredytowych, trade finance, skarbowych, faktoringowych i leasingowych

Bank Polski

www.pkobp.pl/przedsiębiorstwa, infolinia 24H: +48 81 535 66 60 opłata zgodna z taryfą operatora

Materiał ma charakter wyłącznie reklamowy i informacyjny oraz nie stanowi oferty w rozumieniu Kodeksu cywilnego.
Informacje w nim zawarte nie mogą być traktowane jako usługa doradztwa inwestycyjnego, podatkowego lub jako forma świadczenia pomocy prawnej.

I trzeci przykład: 500+. Choć od uruchomienia programu minęły dwa lata, trudno spotkać uprawnionego do tego świadczenia, który sam, z nieprzymuszonej woli, by z niego zrezygnował w imię wyznawanych zasad, w dyskusjach liberałów wciąż dominuje ton: rozdawnictwo. Dają biednym, ci przepijają. W mniej radykalnej wersji: kupują sobie nowe smartfony, a dzieci jak biedowały, tak biedują. No i nie chce im się pracować, bo jak dostają kilka tysięcy na gromadę bachorów, to dlaczego mieliby zakasywać rękawy. Choć takich wielodzietnych w gminach można liczyć na palcach jednej ręki, i tak liberałowie swoje wiedzą. Program zły, bo PiS-owski.

Zgadza się: Marsz Niepodległości organizowali narodowcy. Są wśród nich tacy, którzy z uwielbieniem patrzą na faszyzm. Przyjacielskie gesty, jakie wykonuje wobec nich PiS, rozsierdzić mogą najbardziej tolerancyjnych.

Podczas marszu istniało zagrożenie bezpieczeństwa, a policja z Gronkiewicz-Waltz współpracować nie miała wielkiej ochoty.

500+ pobierają także rodziny dysfunkcyjne, zdarzają się sytuacje, że pieniądze idą na alkohol, nie na dzieci. Ale co innego zwracać na to uwagę i głośno o tym mówić, co innego manipulować, za nic mając prawdę.

Skąd bierze się to zamknięcie? Skąd bierze odrzucanie faktów, które nie zgadzają się z wyobrażeniem, skąd toporna propaganda? Gdyby przyjąć, że Marsz Niepodległości był manifestacją faszystowską, to by oznaczało, że wszyscy zwolennicy takich postaw zjechali tego dnia do Warszawy. Sondaże poparcia dla ugrupowań politycznych i wyniki wyborów są, jakie są, narodowców nie ma tam nawet w połowie stawki. Tacy karni? Dlaczego zakaz w stosunku do narodowców jest w porządku, a dla Parady Równości nie? Łatwo tolerować jedynie te poglądy, które uważamy za słuszne, ale takie spojrzenie to była domena konserwatystów. Skąd przekonanie, że program 500+ prowadzi do wynaturzeń i niesprawiedliwości, skoro sami liberałowie z niego korzystają?

Już na pierwszy rzut oka takie rozumowanie kupy się nie trzymają, ale i to jest właśnie ta wielka zmiana, która dotknęła liberałów – rozumowanie i racjonalizm nieważny, gdy chodzi o nasze wartości.

Liberalizmowi daleko do śmierci. Jest poobijany, miota się od ściany do ściany i wciąż trawi swoją porażkę. Ale nie zejdzie, zbyt jest żywotny. Musi się tylko trochę uspokoić, wziąć w garść i przypomnieć sobie, że prawda jest najskuteczniejszym narzędziem, o ile używać jej z bezwzględnością

Najprostszym wytłumaczeniem jest wojna. Liberalizm przez lata był w Polsce nurtem dominującym w elitach politycznych i gospodarczych. Ale przyszedł Jarosław Kaczyński, który demokracji liberalnej ani ceni, ani poważa, i poprzestawiał klocki. Liberałowie przestali się czuć w Polsce jak u siebie. Rozmontowanie wymiaru sprawiedliwości, chaotyczna polityka międzynarodowa, walec napierający na media i cicha pogarda wobec europejskiej wspólnoty – strona liberalna, utożsamiana z Platformą Obywatelską, lewicą i Nowoczesną, z bezbrzeżnym zdumieniem obserwowała, jak pada system budowany przez ostatnie 25 lat. W dodatku przy dużym poparciu społecznym.

Kaczyński jest graczem brutalnym, twardym i cynicznym. To polityk z krwi i kości, wykorzystuje wszystkie dostępne narzędzia. Jako że prawda jest wrogiem każdej władzy (stąd niezbędne media), zastosował metodę najbrutalniejszą z możliwych – zdezawuował ją. Czarne może być białe, białe czarne, wszystko zależy od potrzeb. Stąd „zamach" smoleński, stąd „Polska w ruinie". Gdy prawda nie jest punktem odniesienia, może nim być wódz.

Zadziałało. Po objęciu władzy przez PiS proces wcale nie wyhamował. Rozrastający się sektor prorządowych mediów każdy komunikat podchwytuje i kolportuje. A liberałowie już nie patrzą w milczeniu, zgrzytając zębami, oni podchwycili zasady gry Kaczyńskiego. Skoro PiS robi to z powodzeniem, może im też się uda? Wieść o 250 tys. faszystów na ulicach Warszawy mobilizuje zwolenników, więc trzeba ją powtarzać, choćby z prawdą nie miała nic wspólnego. Zresztą nie żyjemy w czasach prawdy, tylko wojny. A na wojnie leje się krew.

A może jest inaczej – wszystko przez internet? Po zachłyśnięciu się możliwościami, jakie daje, coraz jaśniej uświadamiamy sobie jego niebezpieczeństwa. Ten kanał dystrybucji informacji nie podlega żadnej kontroli, ani merytorycznej, ani prawnej. Tu liczy się, jak myśl jest opakowana, nie jaki sens niesie. Hejterzy, boty, fejkowe konta – powielić można każdą głupotę. To przecież dzięki sieci antyszczepionkowy ruch rozprzestrzenił się po świecie niczym zaraza. To ona utwierdza wielką rzeszę ludzi w przekonaniu, że globalne ocieplenie to wymysł lewaków i producentów wiatraków. Skoro więc taki jest świat, nie ma się co liberał na niego obrażać, musi go przyjąć do wiadomości. Podkręcać, radykalizować i manipulować. Inaczej się nie przebije, zostanie ze swoją prawdą w bibliotekach.

I tak, zamiast narzucić własne zasady gry, liberałowie przyjęli zasady PiS.

Największym problemem liberalizmu jest dziś wiarygodność. Tak, przyczynił się do kryzysu. Tak, był zbyt zaślepiony i zajęty zarabianiem. Tak, zapomniał, że społeczeństwo to nie tylko klasa średnia. Tak, patrzył na innych z pogardą.

Czy jednak radykalizując się, tę wiarygodność odzyska? Co myśli człowiek, którego przyjaciel pojechał 11 listopada 2018 r. do Warszawy świętować 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości, a który potem bombardowany jest komunikatem, że ów znajomy to faszysta? Przecież zna go od lat, niejedno z nim przeżył, wypił. Komu uwierzy: liberalnemu antyPiS-owi czy przyjacielowi?

W opublikowanym w „Liberté!" artykule „Liberalizm to nie sposób życia" Jan Radomski napisał, że „liberalizm (...), w przeciwieństwie do lewicowości, nie określa życiowej postawy, dotyczy wyłącznie zakresu kontroli nad drugim człowiekiem". Konserwatywny PiS skupił się na kontroli emocji. Rozpalił swoich wyborców do czerwoności i systematycznie podkłada drewno pod kocioł. Wrzenie jest dla niego naturalnym stanem. Wcześniej podobną metodę zastosował Donald Tusk, gdy w opozycji w latach 2005–2007 wybijał się na polityczną niepodległość. Ale on był pragmatykiem, nie liberałem. To paliwo już dawno się wypaliło.

Jedyną przeciwwagą dla radykalizmu jest prawda. Niektórzy już to zrozumieli. Robert Biedroń, powtarzający publicznie, że polscy politycy przez 25 lat „trzęśli portkami przed biskupami", mówi oczywistość, ale w ustach polityka taki komunikat jest nowością.

Liberalizmowi daleko do śmierci. Jest poobijany, miota się od ściany do ściany i wciąż trawi swoją porażkę. Ale przecież nie zejdzie, zbyt jest żywotny. Musi się tylko trochę uspokoić, wziąć w garść i przypomnieć, że prawda jest najskuteczniejszym narzędziem, o ile używać jej z bezwzględnością. Gdy równie często sięga po przekłamania i manipulację, tępi jej ostrze i oddaje pole. ©℗

Pełnych ciepła, spokoju i radości
Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślności i sukcesów
w Nowym 2019 Roku
życzy

PHILIP MORRIS
POLSKA

To jest też wina sędziów

Z sędzią **Anetą Łazarską**
rozmawia **Piotr Szymaniak**

Choć nasza uwaga skupia się na zmianach wprowadzanych przez partię Jarosława Kaczyńskiego w TK, SN czy KRS, to trwają prace nad prawdziwą reformą sądownictwa – nowelizacją procedury cywilnej. Pojawiają się głosy, że nowe przepisy sprawią, iż sądy staną się miejscem skrajnie nieprzyjaznym dla ludzi, ale wielu sędziów patrzy na proponowane zmiany przychylnym okiem. Trudno nie odnieść wrażenia, że to im ma być wygodnie.

Patrzę na proponowane zmiany nie tylko z perspektywy sędziego, lecz też naukowca, który zajmuje się zagadnieniami rzetelnego procesu. To drugie spojrzenie daje inną perspektywę aksjologiczną, sprawia, że jest się lepszym sędzią. Dzięki niemu nie szuka się sposobności do szybkiego zakończenia sprawy, tylko dąży się do wydania sprawiedliwego orzeczenia. W Polsce od lat borykamy się z tym, że sądy nie wypełniają wszystkich wymogów rzetelnego procesu. Przykładem jest obowiązujące do 2012 r. postępowanie gospodarcze, do którego mamy powrócić. Było tak skrajnie rygorystyczne, że zapadające wyroki, choć poprawne formalnie, były niesprawiedliwe. Najbardziej szkodliwa była prekluzja dowodowa, która znowu ma powrócić.

Nikt nie ma całościowej wizji nowego prawa. W dużej mierze to my, ludzie w togach, jesteśmy temu winni

Czym ona jest?

Prekluzja wyznacza czas, w którym można zgłosić dowody świadczące na naszą korzyść. Jeśli złożymy wnioski po terminie, to choćby dowód był kluczowy dla sprawy, sąd nie weźmie go pod uwagę. Gdy analizuje się uzasadnienia wyroków I instancji sprzed 2012 r., to widać, że sądy nie zajmowały się oceną dowodów i ich wpływem na wyrok, lecz głównie tym, czy przy ich składaniu nie spóźniono się o dwa dni, choć proces trwał dwa lata. Dużo większe znaczenie dla sądów miało zgłaszanie wniosków w terminie niż waga tych dowodów.

To było kuriozalne.

Oczywiście. Sędzia sporządzał 10 stron uzasadnienia wyroku, w którym były przede wszystkim rozważania, że wnioski dowodowe były spóźnione, bo powinny być zgłoszone już w pierwszym piśmie procesowym. Pełnomocnicy odbijali piłeczkę i też pisali tylko o prekluzji w środkach odwoławczych. Sądy apelacyjne uchylały te niesprawiedliwe wyroki i procesy zaczynały się od początku. Powrót do rygorystycznej prekluzji nie jest dobrym rozwiązaniem. Nie przemawia do mnie argument, że ona przyspieszy postępowania gospodarcze. Zresztą, gdy obowiązywała przed 2012 r., to nie wpływała znacząco na podniesienie efektywności postępowań, gdyż sprawy i tak wracały do ponownego rozpoznania.

Ale twórcy projektu reklamują nowe postępowanie gospodarcze jako sprawniejsze i szybsze.

Bo efektywność postępowania ma być osiągana w inny sposób, np. wyklucza się lub ogranicza możliwość potrącenia czy powództwa wzajemnego w postępowaniu gospodarczym.

Tu znów musimy wyjaśnić, o co chodzi.

Jeśli firma Kowalskiego była winna firmie Nowaka 200 tys., ale jednocześnie powinna zapłacić firmie Kowalskiego 50 tys., to Kowalski jako pozwany mógł zgłosić potrącenie swoich roszczeń. Dzięki temu sąd zasądzał Nowakowi od Kowalskiego 150 tys. i przedsiębiorcy byli rozliczeni. Jednak gdy Kowalski jako pozwany nie może zgłosić zarzutu potrącenia, sąd musi zasądzić

Nowakowi 200 tys., a Kowalski – by odzyskać 50 tys. – musi wytoczyć Nowakowi nową sprawę. Co prawda projekt przewiduje możliwość potrącenia, ale pod warunkiem że „wierzytelność pozwanego jest z tego samego stosunku prawnego co wierzytelność dochodzona przez powoda, chyba że wierzytelność pozwanego jest niesporna lub uprawdopodobniona dokumentem niepochodzącym wyłącznie od pozwanego". Ale to znowu będzie rodziło kolejne spory – o dokumenty i dopuszczalność potrącenia. Czyli strony znów nie będą odnosić się do meritum sporu, tylko do tego, czy wierzytelność jest z tego samego stosunku, czy jest niesporna, w jaki sposób jest uprawdopodobniona. Już widzę, te pisma pełnomocników i uzasadnienia sądów na kilkanaście stron z opisem tych przesłanek i na końcu dwa zdania o znaczeniu danego dowodu dla rozstrzygnięcia.

Więc tak będzie z tym zapowiadanym przyspieszeniem. Co prawda zakończy się jedno postępowanie, ale przegrany, żeby się bronić, będzie musiał wytaczać kolejne.

Chyba że do tego czasu zbankrutuje, bo będzie musiał najpierw zapłacić zobowiązanie i dopiero potem dochodzić swoich należności.

Rygoryzm procedur jest niebezpieczny, bo jego skutki mogą być skrajnie niesprawiedliwe. Podam przykład sporu między nadawcą towaru a przewoźnikiem, który nim do mnie trafił, był rozpoznawany przez inny sąd. Przewoźnik domagał się zapłaty za usługę, a nadawca w ramach potrącenia żądał odszkodowania za rozmrożone mięso. Postępowanie trwało cztery czy pięć lat, sąd przesłuchał świadków, powołał biegłego, a na koniec potrącenia nie uwzględnił.

Było niezasadne?

Nie, sąd stwierdził, że jest ono niedopuszczalne. Po tych wszystkich latach i postępowaniu dowodowym sąd uznał, że skoro jest to postępowanie gospodarcze, to potrącenie może być udowodnione tylko dowodem z dokumentów, a tutaj były tylko zeznania świadków i opinie biegłych. Pozwany przegrał to postępowanie i został z niczym, po czym już w moim sądzie po zakończeniu tamtego procesu wytoczył powództwo o odszkodowanie. Na to przewoźnik stwierdził, że już jest już za późno, bo dług się przedawnił. Więc trzeba było rozstrzygnąć, czy to roszczenie faktycznie jest przedawnione. Jest uchwała SN, która mówi, że potrącenie przerywa bieg przedawnienia. Ale trzeba było zbadać, czy to roszczenie było zasadne, gdyż ustalenia innego sądu nas nie wiążą. I tak trzeba było znowu przeprowadzić postępowanie dowodowe.

Czyli powtórzyć to, co już zrobił poprzedni sąd.

Dokładnie. Znów przesłuchać świadków, którzy mówili, że po pięciu latach już niewiele pamiętają. I mieli słuszne pretensje, że po raz kolejny są ciągani przed sąd. Obie strony przegrały ten spór w sensie prawym i ekonomicznym. Koszty procesów się zdublowały, podobnie wydatki na pełnomocników oraz biegłych. Dlatego zakaz powództwa wzajemnego w postępowaniu gospodarczym niczego nie usprawni, tylko zmusi do prowadzenia kolejnych procesów. To wszystko ma bardzo negatywny wymiar społeczny, antagonizuje przedsiębiorców, eliminując szansę na powrót przez nich do współpracy. A przecież często strony pomimo sporów wciąż muszą ze sobą współpracować. Wikłanie ich w kolejne procesy tylko podsyci konflikty.

Resort sprawiedliwości tłumaczy, że strony często podnoszą zarzut potrącenia tylko po to, by przedłużyć postępowanie. Bo taki wniosek jest bezpłatny, a sąd musi go zbadać. Może, żeby zniechęcić do takich praktyk, trzeba byłoby wprowadzić odpłatność za wniosek o potrącenie?

Nie ma takiej potrzeby. Gdy zarzut potrącenia jest nadużyciem procesowym i zmierza wyłącznie do przewleczenia postępowania, to sąd może go nie wziąć pod uwagę. Już teraz ma taką możliwość, tylko sądy są zachowawcze i nie chcą tego robić. Wprowadzenie opłat od zarzutów procesowych jeszcze wydłuży postępowanie, gdyż będą pewnie składane wnioski o zwolnienie od kosztów sądowych. Zamiast opłaty lepsze byłoby postanowienie wstępne – już na pierwszej rozprawie sąd mógłby powiedzieć, czy potrącenie jest dopuszczalne. Strony od razu miałyby jasność.

Gdyby to, co pani mówi o postępowaniu gospodarczym, dotyczyło tylko dużych firm, to pół biedy. Stać je na adwokatów. Ale przedsiębiorcami są też np. sprzątaczki na samozatrudnieniu. W dodatku z automatu w tryb gospodarczy wpadają spory wynikające z umów o roboty budowlane, także Kowalskiego z Nowakiem, który mu garaż postawił. Teoretycznie, jak zapowiadał autor projektu wiceminister sprawiedliwości Łukasz Piebiak, „drobni przedsiębiorcy sami zdecydują, czy ich spory mają być rozstrzygane według tej trudniejszej procedury w sądzie gospodarczym, co powinno spowodować, że wyrok zapadnie szybciej, czy też według typowej procedury charakterystycznej dla ogółu spraw cywilnych". Tylko że trzeba będzie złożyć wniosek, iż chce się skorzystać z łatwiejszych procedur.

Problem w tym, że wcale nie wiadomo, która procedura jest lepsza i szybsza. Proszę spojrzeć na rygoryzmy planowanego postępowania przygotowawczego. Jeśli powód bądź pełnomocnik nie stawią się na rozprawę, postępowanie się umarza. Z kolei jak bez usprawiedliwienia nie stawi się pozwany, nie dość, że zapłaci grzywnę, to plan rozprawy zostanie sporządzony bez niego. Dla sędziego to złoty przepis. Wystarczy, że powód nie przyjdzie i będzie można szybciutko sprawę zakończyć bez wnikania w meritum. Więc jeśli dla kogoś są to korzystne przepisy, to dla sędziego.

Ale jeśli ktoś składa pozew, to powinno mu zależeć i na rozprawę się stawić. Poza tym postępowanie ma być umarzane w przypadku nieusprawiedliwionej nieobecności.

Tak, tylko wtedy znów zaczną się spory, czy nieobecność była usprawiedliwiona. Pamiętajmy, że będzie oceniał to sąd, który ma do wyboru: albo prowadzić proces przez kilka lat, albo umorzyć postępowanie bez orzekania o meritum, albo przyjąć ograniczony plan rozprawy umożliwiający dość szybki proces. Takie przepisy będą generować kolejne odwołania. Przykładów na formalizm jest zresztą więcej.

Co jeszcze?

Składając wniosek o uzasadnienie wyroku, trzeba będzie oznaczyć, czy się wnosi o uzasadnienie całości, czy w części wyroku. Jeśli strona po prostu napisze wniosek o sporządzenie uzasadnienia, to sąd będzie ją wzywał, by określiła, czy ma to być uzasadnienie w całości lub w części. Wystarczy, że strona nie odpisze lub spóźni się jeden dzień i sąd wniosek odrzuci, i nie będzie pisał uzasadnienia. A bez niego nie będzie można złożyć apelacji, choć do tej pory strony zawsze miały taką możliwość. I sądy odwoławcze będą rozpatrywać kolejne zażalenia. Ja orzekam w wydziale odwoławczym i już mam teraz wrażenie, że zamiast rozstrzygać spory o prawo, zajmuje się miarkowaniem rygorystycznej praktyki formalizmu lub prekluzji. Pamiętam z wizyty w niemieckim sądzie, że na moje pytanie, czy w tamtejszej procedurze cywilnej obowiązuje prekluzja, starszy już sędzia odpowiedział: „Tak, ale ja tak rzadko ją stosuję, że nawet nie pamiętam, gdzie te przepisy są". W polskim sądzie profesjonalny pełnomocnik zawsze skrupulatnie wyjaśni na kilkanaście stron, że dowody są spóźnione, pomijając ocenę, dlaczego mogą być bezprzedmiotowe. Z wyjątkowym wręcz pietyzmem wskazujemy podstawę prawną prekluzji, a pomijamy podstawę materialną roszczenia.

fot. Materiały prasowe

ANETA ŁAZARSKA

adiunkt w Katedrze Prawa Cywilnego na Wydziale Prawa i Administracji Uczelni Łazarskiego. Sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie XXIII Wydziału Gospodarczego Odwoławczego. Specjalizuje się, oprócz procedury cywilnej, w prawie konstytucyjnym oraz gospodarczym, autorka licznych publikacji dotyczących procesu cywilnego

Skoro jesteśmy przy uzasadnieniach, to kolejną zmianą, która spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem sędziów, jest wprowadzenie opłaty w wysokości 100 zł na napisanie uzasadnienia. Sędziowie czekają na ten przepis od lat, bo jak twierdzą, nic nie robią, tylko piszą uzasadnienia, a przecież mogliby w tym czasie orzekać.

Strona ma święte prawo do rzetelnego procesu i uzasadnienia. I nie można tego prawa ograniczać. Ale jest jednak druga strona medalu – sędziowie z dużych miast piszą nawet po kilkaset uzasadnień rocznie. Więc ja się nie dziwię tym, którzy czują wypalenie. Tworzenie uzasadnień przestało być aktem twórczej pracy sędziego, stało się czynnością mechaniczną. Jesteśmy świadkami deprecjacji rangi uzasadnienia i dramatycznego obniżenia jakości ich sporządzania. Sami sędziowie są odpowiedzialni za ten stan, bo godzą się na wyśrubowane tempo pracy, narzucając innym kolegom sztywne pensa i nie dbając o jakość uzasadnień. Wizytacja zaś zamiast skupić się na jakości uzasadnień, analizuje statystyki sądowe.

Problemem są także masowo wnoszone przez pełnomocników wnioski o uzasadnienie w takich samych sprawach, które różnią się tylko sygnaturami i nazwami stron, w sytuacjach gdy strona i tak nie ma zamiaru apelować. Ale dlaczego za grzechy adwokatów czy radców prawnych ma płacić obywatel?

W Anglii ludzie narzekają na to, że w tamtejszych sądach niektórych orzeczeń się w ogóle nie uzasadnia. My mamy wyższe standardy i to należy chronić. Czy w sprawach powtarzalnych rezygnować z uzasadnień? Nie, nawet tu zdarzają się błędy. Sąd może źle policzyć koszty czy niewłaściwie zasądzić odsetki, każdy ma prawo poznać uzasadnienie. Kolejne pytanie: co znaczy sprawa powtarzalna? Znów sąd, zamiast sporządzić uzasadnienie, będzie tracić energię na polemikę z pełnomocnikiem, który od takiej uznaniowej decyzji sądu będzie się odwoływać. Czy nie wystarczą w tej materii dobre praktyki? Czy przewodniczący wydziału nie powinien podjąć się rozmowy z pełnomocnikami i wyjaśnić ich motywacje czy interesy w uzyskaniu uzasadnień do spraw masowych? W sądach niestety nie ma tradycji dobrych praktyk ani dialogu z profesjonalnymi pełnomocnikami.

Resort wskazuje, że w bardzo małym odsetku spraw, w których wniesiono o sporządzenie uzasadnienia, wywiedziono apelację.

Nie znamy motywacji osób, które po zapoznaniu się z pisemnym uzasadnieniem rezygnowały z drogi odwoławczej. Ale jeśli lektura uzasadnienia przekonała je, że nie mają szans, jest to sukces sędziego. Pamiętam, że wizytatorzy wytykali mi, że wprawdzie piszę uzasadnienia, a mam mało wywiedzionych apelacji. A ja nigdy nie traktowałam tego jak czegoś złego, lecz jako znak, że ludzie się z moimi orzeczeniami godzą.

Pisze pani wiele uzasadnień, strony się nie odwołują i to źle?

Bo sędzia mający więcej oddalonych apelacji jest statystycznie lepiej oceniany, gdyż jego orzecznictwo jest weryfikowane przez sąd odwoławczy.

Zabawne i przerażające jednocześnie. Wracając do uzasadnień – czy na gruncie obowiązujących przepisów nie da się ich przygotowywać w taki sposób, by nie przypominały książki telefonicznej?

Przepisy są dobre, to praktyka jest wadliwa. Wynika z tego, że każdy sędzia jest przekonany, że pisze genialne uzasadnienia. Ja orzekam już wiele lat, a jeszcze nie miałam nigdy szkolenia z ich pisania. Na

Targi Kielce
exhibition & congress centre
sztuka
spotkań
www.kielcekonferencje.pl
www.targikielce.pl

aplikacji nie było standaryzacji pisania uzasadnień, po prostu każdy szkolący mnie sędzia przedstawiał swój styl. Nikt też nie zapoznał mnie w wytycznymi, dobrymi praktykami czy kanonami pisania uzasadnień. Natomiast takie zasady dostałam od sędziów angielskich.

Inna sprawa, że jak jeden pełnomocnik napisze pozew na 200 stron, a drugi odpowiedź na 300 stron, to potem mamy, co mamy. Zalew papierów.

Dlatego dobrym pomysłem byłoby ograniczenie objętości pism procesowych. I nawet nie trzeba zmieniać do tego przepisów, wystarczy określić takie wymogi w ramach dobrych praktyk. Sądy mogłyby opublikować zalecenia na swoich stronach internetowych, że liczba stron w piśmie procesowym nie powinna przekroczyć 10 kart, a w sprawie skomplikowanej – 15 kart, z określeniem czcionki czy interlinii. To by ułatwiło procedowanie. Poza tym gdyby procesy nie toczyły się trzy lata, tylko trzy dni, to pełnomocnicy nie zdążyliby tych pism tyle wyprodukować.

Trzy dni? To nie takie proste. Zaraz okazałoby się, że strona wnosi o opinię biegłego, a na jej sporządzanie trzeba czekać kilka miesięcy. I cały plan diabli biorą.

Temu też można zaradzić. Strony mogłyby zgodnie wnosić o dopuszczenie dowodu z wcześniej uzgodnionego biegłego – przed procesem w fazie przygotowawczej albo w większym stopniu korzystać z opinii prywatnych. One nie różnią się od opinii biegłych sądowych, tylko z zasady są kwestionowane przez strony. Poza tym, gdyby koszty korzystania z opinii ekspertów były bardzo wysokie, to strony by się zastanowiły, czy jest to dla nich niezbędne. Obecnie mamy do czynienia z dewaluacją dowodu z opinii biegłych, jak i jakości samych opinii. W prawie każdej sprawie mamy wniosek o dopuszczenie takiego dowodu, jakim jest opinia biegłego, nawet w takich najprostszych, jak koszty najmu pojazdu zastępczego. To absurd, bo pełnomocnik może sprawdzić cenniki takich usług w różnych miastach i tak się to robi w innych krajach.

Różnego rodzaju wnioski dowodowe składane są bardzo często po to, by opóźnić postępowania – to zmora sądownictwa. Dlatego reforma ma wprowadzić klauzulę nadużycia prawa procesowego. Ale można spotkać się też z opiniami, że to powtórzenie istniejących przepisów, a lepszy skutek dałoby zwiększenie odsetek ustawowych. Bo stronie, która wie, że przegra, opłaca się teraz przedłużać postępowanie, bo ona się po prostu kredytuje kosztem wierzyciela.

Tu akurat zgadzam się z MS. Powinien być taki mechanizm, bo sędziowie nie mogą teraz przeciwdziałać podobnym praktykom. Więc nawet jeśli widzą, że ktoś wnosi piętrowe zażalenie w tej samej materii, nie mogą uznać, że to nadużycie prawa procesowego. Muszą merytorycznie nadać bieg sprawie, pobrać opłatę, wezwać do złożenia upoważnienia etc. Więc te przepisy są potrzebne, ale czy muszą być aż tak kazuistyczne? Cała reforma jest bardzo drobiazgowa, tak jakby ustawodawca chciał dać sędziemu wytyczne na każdy możliwy przypadek. Powinien być jeden przepis, który dawałby sędziemu dyskrecjonalną możliwość pominięcia czynności, gdy dochodzi do nadużycia praw procesowych. Najgorsze w zmianach do kodeksu postępowania cywilnego jest jednak to, że nie wymyślamy niczego nowego. Brakuje wizji nowoczesnej, elastycznej procedury na miarę XXI w. Procedura cywilna pochodzi z 1964 r. Była wielokrotnie łatana, a spraw przybywa w lawinowym tempie. Nie mamy szybkich ścieżek postępowania. Brakuje swobody decyzji, jasności przepisów oraz spójności aksjologicznej z konstytucją. Ktoś trafnie powiedział, że sądy polskie mają niejako ustawową przewlekłość wpisaną w swoją procedurę. I jest to niestety po części prawdziwe stwierdzenie.

Jest postępowanie uproszczone.

Ono jest uproszczone tylko z nazwy, bo sprawy rozpatrywane w tym postępowaniu nie różnią się zbytnio od postępowania zwykłego. A ile za to jest dylematów procesowych, czy np. sprawę zakwalifikować do uproszczonego postępowania czy nie. Przepis mówi, że mogą to być roszczenia wynikające z umowy, więc zaczyna się rozważanie, czy to roszczenie faktycznie spełnia ten warunek, czy też wynika z ustawy, choć źródłem jest umowa. No i trzy godziny trzeba się zastanawiać, czy sprawę da się zakwalifikować do uproszczonego, trzech sędziów, a każdy ma inny pogląd. A gdzie jest w tym czas na samo sprawiedliwe rozstrzygnięcie? Procedura powinna ułatwiać sędziom podejmowanie decyzji, a nie tworzyć bariery. Niestety, nikt jak dotąd, mimo szumnych zapowiedzi prac nad Kodeksem Postępowania Cywilnego, nie przedstawił całościowej wizji nowoczesnego prawa. W dużej mierze to wina sędziów, gdyż my za mało interesujemy się stanem prawa. Nie są prowadzone także żadne badania nad prawem w działaniu. Kilka lat temu wprowadzono e-protokół, czyli nagrywanie rozpraw. Nikt nie przeprowadził badań, jak ten system funkcjonuje, czy się sprawdza i jakie są skutki tych zmian w metodologii pracy sędziego, czy też jaki jest ich wpływ na efektywność postępowań. To samo dotyczy obecnie systemu losowań spraw. Nie ma nawet pomysłów, jak usprawnić pracę w sądach, bo trudno nazwać usprawnieniem sztywny rygoryzm formalny czy prekluzję. Reformować należy nie tylko samą procedurę, ale również organizację pracy sędziego i samych sędziów, ich sposób prowadzenia spraw, metodykę pracy, wzbogacać i rozwijać ich warsztat pracy. Mówiąc wprost, potrzebujemy dużej reformy ustrojowo-procesowej, poprzedzonej badaniami, sprawdzeniem rozwiązań funkcjonujących w innych krajach, by nie wyważać otwartych drzwi. Takiej, której wprowadzanie będzie obliczone na kilka lat i w której przygotowaniu wezmą udział też adwokaci i radcowie prawni. Bo to nie mogą być przepisy pisane tylko pod sędziów. To powinny być przepisy pisane pod obywatela i mające na względzie rzetelny proces.

Dziś wielu sędziów dobrze ocenia zmiany w kodeksie postępowania cywilnego, ale jeśli na skutek ich wprowadzenia nie dość, że do sądu nadal będzie się chodzić po wyrok, a nie sprawiedliwość, a w dodatku sprawy będą ciągnąć się jeszcze dłużej, to czyja to w odczuciu społecznym będzie wina?

Ten gniew zwróci się ku sędziom. Trudno się pogodzić z przegraną, jeśli sąd nie wyłoży nam argumentów, tylko napisze, że nasze wnioski są spóźnione o dwa dni i z tej przyczyny oddala powództwo jako nieudowodnione. Sędzia nie powinien poszukiwać dróg na skróty, lecz wydać wyrok, w którym w sposób przekonujący wykaże, że faktycznie gruntownie rozważył wszystkie argumenty stron. I nawet jeśli strona przegra proces, to łatwiej się pogodzi z przegraną, jeśli będzie miała przekonanie, że sąd ją faktycznie wysłuchał i wziął pod uwagę jej argumenty. ©℗

CYKL: FINANSOWANIE ZAKUPÓW AUT

NIE TRZEBA KUPOWAĆ AUTA, BY NIM JEŹDZIĆ

Nowy samochód można mieć nawet co dwa lata. Przy tym nie martwisz się o utratę jego wartości i odsprzedaż. Polacy odważniej sięgają po produkty finansowe z niskimi ratami miesięcznymi, a teraz, dzięki wyprzedażom rocznika 2018, można upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Polacy zmieniają upodobania i idą z duchem czasu, jeśli chodzi o sposób finansowania nowych samochodów. Coraz częściej odchodzą od kupowania czterech kółek na własność, a popularność zyskuje użytkowanie pojazdu i następnie jego zamiana na kolejny, nowy model. Jak wynika z danych Volkswagen Financial Services na popularności zyskują nowoczesne produkty z tzw. rynkową wartością rezydualną pojazdu. Pozwalają one na znaczne obniżenie wysokości rat płaconych miesięcznie przez użytkownika indywidualnego czy też osobę prowadzącą działalność gospodarczą. W efekcie nowe auto staje się coraz bardziej dostępne, zarówno dla przysłowiowego „Kowalskiego", jak i przedsiębiorcy.

Nowy trend na polskim rynku bardzo dobrze obrazują wyniki poszczególnych marek należących do Grupy Volkswagen. Przy okazji zakupu nowego samochodu coraz więcej klientów korzystających z finansowania Volkswagen Financial Services wybiera produkty z niską ratą. W przypadku samochodów osobowych Volkswagena, już co trzeci klient korzysta z leasingu EasyDrive. W Škodzie, w ramach różnych form zakupu firmowych aut (w tym klasycznych rozwiązań), 26 proc. modeli tej marki jest finansowane przez Škoda Leasing Niskich Rat. Z salonu SEAT-a z kolei, jedna trzecia klientów wyjeżdża nowym autem finansowanym z wykorzystaniem Leasingu Moc Niskich Rat. Wreszcie w Audi, aż 35 proc. nabywców wybrało Audi Perfect Lease przy zakupie nowego modelu producenta z Ingolstadt.

Obecnie niemal każdy liczący się na rynku producent samochodów idzie śladem Grupy Volkswagen i Volkswagen Financial Services i ma w ofercie kredyt oraz leasing z niskimi miesięcznymi ratami. A dlaczego mogą być one nawet dwukrotnie niższe niż w przypadku klasycznego kredytu czy leasingu?

– W leasingu i kredycie z rynkową wartością końcową klienci co miesiąc spłacają w ratach tylko zakładaną utratę wartości samochodu w okresie umowy, a nie jego całą wartość – mówi Michał Dyc, Dyrektor Sprzedaży Detalicznej Volkswagen Financial Services. – Na koniec umowy można oddać pojazd i od razu wybrać nowy model. Razem z oferowanymi z takim leasingiem i kredytem pakietami przeglądów serwisowych oraz ubezpieczeniami, kupujący otrzymuje rozwiązania zapewniające mu mobilność – wyjaśnia Dyc.

Tylko tankujesz i jedziesz

Co trzeba zrobić, by użytkować nowy samochód, ale nie kupować go na własność? – Większość nowoczesnych produktów finansowych pozwala nie płacić nic na starcie, czyli wziąć samochód bez wkładu własnego (na kredyt) lub opłaty wstępnej (w leasingu). Zależy to oczywiście od producenta i modelu auta, ale i od zdolności kredytowej nabywcy. Oczywiście jeżeli klient zechce wpłacić więcej już na początku, a tym samym obniżyć raty jeszcze bardziej – również może to zrobić – wyjaśnia Michał Dyc.

Jako przykład obrazujący warunki może posłużyć kredyt EasyDrive, przewidziany dla aut osobowych marki Volkswagen. W tym przypadku, po wpłaceniu od 0 do 30 proc. wartości samochodu oraz określeniu okresu umowy: 2, 3 albo 4 lata, użytkownik spłaca jedynie przewidywaną rynkową utratę wartości auta, a nie całą jego cenę. Dlatego miesięczna rata jest bardzo niska. Pod koniec okresu umowy klient decyduje, czy pozostałą wartość samochodu woli spłacić jednorazowo lub w ratach i mieć go na nadal na własność, czy też zwrócić auto do dilera i zakończyć umowę. Równocześnie ma się możliwość wyboru nowego modelu, który również może zostać sfinansowany kredytem z niskimi ratami, dzięki czemu można stale jeździć nowym autem na gwarancji. Leasing EasyDrive bazuje na podobnych zasadach, ale dodatkowo daje możliwość odliczeń podatkowych osobom prowadzącym własny biznes.

Wyprzedaż rocznika 2018

Idealną okazją do upieczenia dwóch pieczeni przy jednym ogniu są wyprzedaże rocznika w salonach dealerskich. Auta tanieją i dzięki wysokim rabatom nawet bogato wyposażone modele stają się bardziej dostępne. Dodatkowo, można je sfinansować produktem finansowym z niskimi ratami.

W przypadku samochodów osobowych Volkswagena z rocznika 2018, najwięcej zyskają kierowcy, którzy zdecydują się na Passata – zniżka wynosi maksymalnie 22 tys. zł. Niewiele mniej bo 20 tys. zł rabatu przewidziano na Sharana. Wysokość upustu na Golfa zależy od wersji nadwozia oraz rodzaju silnika i może wynieść do 16 tys. zł. Oferta obejmuje dodatkowe 24 miesiące ochrony pogwarancyjnej oraz Pakiet Przeglądów na 48 miesięcy. W przypadku Golfa, Tourana i Tiguana, dodatkowa ochrona pogwarancyjna (przebieg do 80 tys. km) i pakiet przeglądów (przebieg do 60 tys. km) kosztują w sumie 299 zł. W przypadku up!a i Polo zaledwie 199 zł. W ofercie są również pakiety uwzględniające większe przebiegi.

Škoda również kusi upustami. Popularna w Polsce Octavia jest teraz tańsza o 10 tys. zł. Model z segmentu wyżej Superb kosztuje nawet 14 tys. zł mniej. Kupując SEAT-a Leona w wyprzedaży rocznika 2018 można zyskać do 12 tys. zł i 5-letnią gwarancję w standardzie, a dzięki nowoczesnemu finansowaniu Kredytem Moc Niskich Rat, w ramach programu SEAT Financial Services, rata miesięczna w przypadku tego modelu hiszpańskiej marki wyniesie od 546 zł .

Warto zaznaczyć, że w przypadku każdej marki z Grupy Volkswagen, produkty Volkswagen Financial Services pozwalają mocniej rozwinąć skrzydła przy konfigurowaniu nowego modelu, by dopasować go dokładnie do swoich oczekiwań i w ramach niskich rat miesięcznych wybrać lepsze wyposażenie czy mocniejszy silnik.

* Wkład własny: 30%, okres kredytu: 48 miesięcy, roczny przebieg 20 000 km

PARTNER: VOLKSWAGEN FINANCIAL SERVICES
BANK. LEASING. UBEZPIECZENIA. MOBILNOŚĆ.

Nawet z pracą nie ma k

Co z tego, że jesteśmy coraz wydajniejsi, skoro nie odczuwają tego nasze portfele. Jakby tego było mało, rozjazd między płacą a pracą w Polsce jest większy niż w innych krajach

Marek Chądzyński
Jakub Kapiszewski

Na pierwszy rzut oka nie można narzekać. Bezrobocie jest niskie. W wielu branżach pracownicy mogą przebierać w ofertach jak w ulęgałkach. W niektórych wynagrodzenia wystrzeliły jak rakieta. Wzrost gospodarczy kwitnie.

Jeśli jednak poszukać w statystykach głębiej, naszym oczom ukaże się bardziej niepokojący obraz. Polska gospodarka, owszem, prze do przodu, ale nie ciągnie za sobą wszystkich i w takim samym tempie. Wynagrodzenia Polaków co prawda rosną, ale niewystarczająco szybko. Wzrost płac ślimaczy się za wzrostem wydajności, który w latach 1995–2013 był u nas najwyższy spośród wszystkich krajów OECD (Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju), czyli światowego klubu zamożnych państw.

W idealnym świecie wskaźnik wzrostu płac powinien podążać za wskaźnikiem wydajności. Wytłumaczenie tej zależności jest dosyć proste: podczas dobrej koniunktury firmy zarabiają więcej, rośnie więc presja na to, żeby podzieliły się fruktami z pracownikami. W przeciwnym razie ci po prostu odejdą, skuszeni atrakcyjnymi ofertami konkurencji (która np. chce produkować więcej albo otwiera nowy oddział). To podkupywanie ma oczywiście swoją granicę: firmy nie mogą płacić więcej, niż same zarabiają, bo doprowadziłoby

ołaczy

to je do bankructwa. Mogą natomiast w takiej sytuacji postarać się o większy dochód: obniżyć koszty produkcji, wprowadzić nową technologię, dokonać ekspansji na nowy rynek zbytu.

W efekcie te dwie siły – konkurowanie o pracowników i możliwości finansowe przedsiębiorstw – równoważą się. W skali makroekonomicznej objawia się to pod postacią wykresu, na którym dwie wartości – wydajność i wynagrodzenia – idą łeb w łeb.

Zaraza dotarła do Europy

Ale nie żyjemy w idealnym świecie i na potwierdzenie tego faktu wystarczy sięgnąć do najnowszego wydania zestawu prognoz gospodarczych i analiz ekonomicznych, jakimi raczą nas co roku eksperci z OECD. Na łamach „Economic Outlook 2018" pochylili się oni nad jednym z najbardziej niepokojących zjawisk gospodarczych ostatnich lat: mizernym wzrostem uposażeń w państwach rozwiniętych. To nie jest nowe odkrycie, o tym fenomenie od jakiegoś czasu mówi się na przykładzie Stanów Zjednoczonych, w których po II wojnie światowej płace rosły wraz z wydajnością aż do połowy lat 70. – po czym nagle zostały w tyle. Teraz jednak analitycy OECD pokusili się o porównanie kilkunastu innych państw należących do klubu. Niestety, w zestawieniu tym nasz kraj wypada najgorzej, co oznacza, że nad Wisłą wzrost płac jest najbardziej oderwany od wzrostu wydajności.

Zgodnie z danymi zebranymi w latach 1995–2013 Polska była prymusem pod względem wzrostu wydajności, czyli – w największym skrócie – przeciętnej wartości, jaką w trakcie godziny pracy wytwarza każdy z nas. W ciągu owych prawie dwóch dekad wydajność rosła u nas w tempie 4,2 proc. i – co ucieszy zwolenników budowy nad Wisłą drugiej Korei Południowej – była wyższa od wzrostu tego wskaźnika w tym azjatyckim kraju (co prawda tylko o 0,1 pkt proc., ale zawsze). W tym samym czasie jednak przyrost mediany wynagrodzeń (wartości, która zbiór wszystkich uposażeń dzieli dokładnie na pół, z którego to względu jest lepszym miernikiem dystrybucji dochodów niż średnia) wyniósł 2,2 proc. rocznie. I nawet jeśli wzrost uposażeń i tak był niezły na tle innych krajów OECD, to różnica między dynamikami wydajności i płac była najgorsza spośród wszystkich państw wziętych pod uwagę w badaniu.

Dwupunktowa różnica oznacza, że nasi pracownicy są znacznie bardziej w tyle chociażby w stosunku do swoich kolegów z Czech i Słowacji. W tym pierwszym kraju wzrost wydajności w latach 1995–2013 wyniósł 3,2 proc.; w odróżnieniu od Polski mediana wynagrodzeń podnosiła się dokładnie w tym samym tempie. W tym samym czasie Słowacy podnosili wydajność jeszcze szybciej (3,8 proc.), a mediana ich wynagrodzeń rosła średnio o 3,3 proc. – więc potencjalnie płace mogłyby być tam wyższe. Nie zmienia to faktu, że słowacka różnica między wydajnością a uposażeniami wynosi 0,5 proc., a nie jak nad Wisłą 2 proc.

Oczywiście w zestawieniu są również kraje, w których mediana wynagrodzeń rosła szybciej niż wydajność, i przykładami są chociażby Hiszpania i Włochy. W przypadku obydwu krajów w rozważanym okresie płace przyrastały średnio o 0,5 pkt. proc. więcej niż produktywność. W przypadku słonecznej Italii ten ostatni parametr nawet malał o 0,3 proc. rocznie. W Niemczech z kolei wzrost płac podążał za wzrostem wydajności (0,5 proc. wobec 0,7 proc., co daje różnicę na poziomie 0,2 pkt proc.)

Zarobki nie idą w parze z wydajnością

Choć rozjazd między wydajnością a płacami nie jest zjawiskiem ograniczającym się do jednego kraju, to ekonomiści wciąż zachodzą w głowę, dlaczego w wielu państwach jest on aż tak duży. Dla przykładu w USA (nieuwzględnionych w przytoczonym już zestawieniu OECD, dlatego sięgniemy do innego źródła) między 1948 r. a 1973 r. wydajność w gospodarce wzrosła o 95,7 proc., a wynagrodzenia o 90,9 proc. Ale już między 1973 r. a 2017 r. ten pierwszy wskaźnik zwiększył się o 77 proc., ale płace podniosły się zaledwie o 12,4 proc. Łącznie więc w omawianym okresie produktywność w Stanach zwiększyła

się 2,5-krotnie, ale uposażenia już tylko o 114,7 proc.

Problem z uchwyceniem tego zjawiska polega przede wszystkim na tym, że kształtowanie się płac w gospodarce jest znacznie bardziej skomplikowane niż model, który nakreśliliśmy z grubsza na samym początku tekstu. Jak wskazuje dr hab. Jacek Tomkiewicz z Akademii Leona Koźmińskiego, na rozjazd między wydajnością a płacami wpływ ma kilkanaście różnych czynników, w tym większa płynność kapitału niż pracy (produkcję można przenieść, co osłabia pozycję pracowników względem pracodawców), mała mobilność gorzej wykwalifikowanych pracowników (są bardziej „uwiązani" do lokalnego rynku pracy niż np. programiści), słabnąca rola związków zawodowych (które tradycyjnie wzmacniają pozycję siły roboczej wobec pracodawców) czy upowszechnianie się outsourcingu czy offshoringu celem obniżenia kosztów firm (głównie płacowych).

Do tego dochodzą także inne zjawiska, jak np. zwiększony udział inwestorów instytucjonalnych wśród akcjonariuszy. Tacy właściciele często wymuszają na zarządzających zwiększania zysków w krótkim okresie, co tylko nasila działania redukujące koszty i może pociągać za sobą redukcje zatrudnienia. Do tego zmieniająca się struktura poszczególnych branż ogranicza w nich konkurencję (dochodzi do koncentracji na skutek fuzji i przejęć). Efekt jest taki, że zyski rosną – ale kosztem płac.

Na to wszystko miała wpływ też polityka. – Poszukiwanie trzeciej drogi na przełomie wieków sprawiło, że niemal wszystkie partie zgodnie przyjęły, że co dobre dla biznesu, dobre dla państwa. I lewicowe ugrupowania zachowywały się jak probiznesowa prawica, czego przykładem chociażby reformy Hartza w Niemczech przeprowadzone przez SPD i obniżka CIT i liniowy PIT w Polsce autorstwa SLD – tłumaczy Tomkiewicz. Dodając, że deregulacja sektora finansowego (pod postacią uchylenia w USA ustawy Glassa-Steagalla, wprowadzonej po wielkim kryzysie lat 30.) to dzieło demokratów. – Nie dziwmy się, że pogłos zyskują populiści, skoro wyborca widzi, że cały establishment głównie troszczy się o biznes – dodaje wykładowca akademii.

Jak tłumaczy dr Piotr Maszczyk ze Szkoły Głównej Handlowej, te wszystkie czynniki prowadzą do tego, że praca traci swoją siłę przetargową w relacji do kapitału. – Można powiedzieć, że sytuacja zmienia się w taki sposób, że na aktualności zyskują stwierdzenia formułowane w XIX w. przez Marksa. Walka klas, o której pisał niemiecki filozof, jest przecież niczym innym jak konstatacją, że pomiędzy właścicielami kapitału a pracy istnieje nieusuwalny konflikt, którego przedmiotem jest nadwyżka, czyli różnica pomiędzy kosztem wytwarzania produktów a ich ceną. W czasach, kiedy siła przetargowa pracy jest większa, wyższy jest jej koszt (płace) i mniejsza nadwyżka, a co za tym idzie – zyski właścicieli kapitału. W sytuacji, w której siła przetargowa pracowników maleje, nadwyżka rośnie, a wraz z nią zyski przedsiębiorców – wyjaśnia ekspert.

Na aktualności zyskują stwierdzenia Marksa o walce klas. Na naszych oczach ponownie mocno rozgorzał konflikt pomiędzy właścicielami kapitału a pracownikami

Dodaje także, że w przytoczonych danych statystycznych może być zagrzebana jeszcze bardziej niepokojąca prawidłowość. – Być może okresy wzrostu płac idącego w parze z rosnącą wydajnością, tak jak miało to miejsce w latach powojennych czy w drugiej połowie lat 90., nie są regułą, naturalnym stanem gospodarki, a abberacją, odstępstwem od zasad opisanych przez Marksa. A jeśli tak, to co z tym zrobić? – zastanawia się Maszczyk.

Dlaczego u nas jest najgorzej

To, że Polska znajduje się na czele zestawienia OECD, może być wynikiem kilku nakładających się na siebie czynników. Nie bez znaczenia było wieloletnie zamrożenie płac w sferze budżetowej. Do tego dochodzi duża popularność samozatrudnienia rozumianego jako wykonywanie zadań na rzecz pracodawcy, lecz nie jako zatrudniony u niego pracownik, ale w formie jednoosobowej działalności gospodarczej. Do końca nie wiadomo, jak klasyfikować dochody z tego tytułu. Formalnie mamy do czynienia z przedsiębiorcą, więc jego dochód powinno się traktować jak zysk z działalności, a nie wynagrodzenie. Ale w praktyce tacy przedsiębiorcy pracują podobnie, jak ich koledzy na etatach – z tym, że forma prawna wiążąca ich z pracodawcą jest inna.

Kolejny kłopot to zatrudnianie ludzi na umowach-zleceniach i umowach o dzieło. Do niedawna nie mieli oni prawa do płacy minimum, przepisy o minimalnej stawce godzinowej weszły w życie dopiero 1 stycznia 2017 r. I dlatego pracownicy na tego typu kontraktach mogli dodatkowo zaniżać statystyki poziomu wynagrodzeń.

Jak mówi dr Maszczyk, na wytłumaczenie pozycji Polski w zestawieniu OECD może mieć też wpływ specyfika ostatnich ponad 20 lat w naszej gospodarce (dane pokazane przez OECD dla Polski kończą się na 2013 r.). – Przede wszystkim dwa kryzysy, które doprowadziły do szybkiego wzrostu stopy bezrobocia, po raz pierwszy na przełomie wieków w związku z wejściem na rynek pracy roczników wyżu demograficznego i po raz drugi w wyniku kryzysu w gospodarce światowej w 2008 r. Wysokie bezrobocie w naturalny sposób osłabia siłę przetargową pracowników na rynku, a w Polsce dodatkowo mieliśmy do czynienia ze zmianą instytucjonalną stosunków pracy i kapitału, która mocno faworyzowała przedsiębiorców – tłumaczy ekonomista.

Ale nie tylko prawne kruczki mają tutaj znaczenie. Wydajność pracy rośnie, ale to proces, który nierównomiernie rozkłada się w gospodarce. Kilka miesięcy temu zwracali na to uwagę ekonomiści Forum Obywatelskiego Rozwoju. Z ich raportu wynika, że połowę polskiego PKB wytwarza co najwyżej 5,6 mln osób pracujących przede wszystkim w dużych spółkach kapitałowych. W latach 1995–2015 krajowe przedsiębiorstwa prywatne odpowiadały za prawie połowę wzrostu wartości dodanej, kolejne 30 proc. dorzuciły firmy z kapitałem zagranicznym. Proporcjonalnie mniej wydajne są mikroprzedsiębiorstwa: jest ich dość dużo (2 mln), ale przez dwie dekady zwiększyły wartość dodaną w gospodarce o nieco ponad 23 proc. A są też sektory (jak rolnictwo), w których wartość dodana zmalała. Tymczasem na wsi – na co zwracają uwagę analitycy FOR – zatrudnionych jest ok. 10 proc. wszystkich pracujących.

– W Polsce produktywność – a co za tym idzie płace – w rolnictwie, które u nas wciąż zatrudnia relatywnie dużo osób, i w dużej części usług jest niska. W tych sektorach gospodarki dodatkowo presję płacową ogranicza napływ pracowników spoza kraju. Jednocześnie istotnym czynnikiem kształtującym nasz rynek pracy jest niski stopień uzwiązkowienia, co też ma zapewne wpływ na relatywny podział korzyści między pracę a kapitał – dodaje Michał Myck, dyrektor Centrum Analiz Ekonomicznych CenEA.

Doktor Jakub Borowski ze Szkoły Głównej Handlowej zwraca też uwagę, że analizując dane z dłuższego okresu – np. od 2007 r. do

2018 r. – w niektórych segmentach udział płac w wartości dodanej wyraźnie rósł. Chodzi przede wszystkim o firmy przemysłowe zatrudniające więcej niż 10 osób. W 2007 r. koszty pracy w takich przedsiębiorstwach stanowiły 43,4 proc. wytworzonej przez nie wartości dodanej. W tym roku jest to już 50,3 proc. Sęk w tym, że od 2014 r. – gdy gospodarka zaczęła wyraźnie przyspieszać, a sytuacja na rynku pracy poprawiać się – płace w firmach przemysłowych zmniejszyły udział w wartości dodanej z niemal 52 proc. do 50,3 proc.

– Można to tłumaczyć tym, że w przedsiębiorstwach, które mierzą się na co dzień z dużą konkurencją z zagranicy, pracodawcy przykładali większą wagę do kontrolowania kosztów, w tym kosztów pracy. Specyfika polskiego rynku pracy im to bardzo ułatwia – mówi Borowski. I dodaje, że potwierdzeniem tej tezy będzie reakcja pracodawców na wprowadzenie pracowniczych planów kapitałowych. Jest bardzo prawdopodobne, że koszty uczestnictwa w PPK spowodują spadek wynagrodzeń netto pracowników.

Takim działaniom sprzyja nasza niska mobilność. Pracujący niechętnie podejmują decyzje o zmianie zatrudnienia, posiadając już pracę, a premia za przejście musiałaby być naprawdę duża, by się na to decydowali. Dotyczy to zwłaszcza pracowników średniego szczebla. To samo odnosi się do poszerzania kompetencji. Dane Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wskazują, że niskowykwalifikowani pracownicy nie palą się do poszerzania swojej wiedzy. Świadczą o tym informacje z Krajowego Funduszu Szkoleniowego, działającego w ramach Funduszu Pracy. KFS dotuje pracodawcom organizowane przez nich szkolenia, których celem jest podnoszenie kompetencji. W 2017 r. spośród ponad 110 tys. osób, które skorzystały z programu, osoby z wykształceniem gimnazjalnym i niższym stanowiły zaledwie 3 proc. Prawie połowa – 45 proc. – to pracujący po studiach.

Co z tym zrobić

Najprostsze rozwiązanie: podnosić płacę minimalną. Teoretycznie proporcje między udziałem zysku z pracy a zysku z kapitału powinny się zmienić. OPZZ ma taką receptę: zwiększyć płacę minimalną do połowy średniego wynagrodzenia w gospodarce i przyspieszyć podwyżki w sferze budżetowej (w przyszłym roku miałby on wynosić ponad 12 proc.). A wszystko po to, żeby wynagrodzenia w gospodarce narodowej wzrosły o co najmniej 9,5 proc., co oznaczałoby mniej więcej dwukrotnie szybsze tempo podwyżek od założonych przez rząd przy pisaniu projektu budżetu na 2019 r.

Hola, mówią liberałowie niechętni szybkiemu wzrostowi minimalnego wynagrodzenia. Można tak wymuszać większe pensje z tym, że na dłuższą metę nie rozwiąże to największych problemów. Zwłaszcza strukturalnego niedopasowania na rynku pracy. W polskim przypadku to sytuacja, w której kompetencje pracowników nie przystają do potrzeb gospodarki. W ostateczności przedsiębiorcy mogą zastępować pracę kapitałem, czyli inwestować w nowe maszyny i w ten sposób rozwijać produkcję bez konieczności zwiększania zatrudnienia. A to tylko pogłębi wykluczenie osób dziś mało zarabiających.

Inne pomysły? Można spróbować skłonić dziś słabo wykwalifikowanych pracowników do tego, by zaczęli się dokształcać. Na przykład, pozbawiając ich wsparcia. Eksperci FOR wskazują na zatrudnionych w rolnictwie, którzy dziś mogą liczyć na dotacje do składek ubezpieczeniowych oraz zwolnienie z podatku dochodowego. Gdyby tych przywilejów nie było, to być może przynajmniej część poszukałaby szczęścia w innych branżach. Inny przykład to przedsiębiorcy na jednoosobowej działalności gospodarczej. Rząd właśnie funduje im wsparcie w postaci bardzo niskich składek na ZUS uzależnionych od przychodu. Sceptycy zwracają uwagę, że może to doprowadzić do odpływu osób zatrudnionych dziś na etatach i płacących pełne składki (ponad 19 proc. samego ZUS) do samozatrudnienia. I wcale nie będzie to oznaczało wzrostu wydajności ich pracy, bo uzależnienie przywilejów od niskiego przychodu raczej będzie zniechęcać do rozwoju. Podobnie rzecz się ma w przypadku firm w formie osób prawnych 9-proc. CIT uzależnionego od rocznych obrotów.

Kolejna koncepcja: potraktujmy równo wszystkie kontrakty o pracę. Równo w sensie podatkowym i składkowym. Dziś jest tak, że np. od umów o dzieło nie płaci się ZUS. To w naturalny sposób zachęca pracodawców (i pracowników) do wybierania tej formy, która jednak bardzo słabo chroni pracownika. I pogarsza jego pozycję przetargową względem pracodawcy. Umowa-zlecenie jest już niby ozusowana – ale tylko do wysokości płacy minimalnej. Czyli nadal opłaca się zatrudniać w ten sposób. Skutek? Pracujący na umowach-zleceniach i umowach o dzieło, a także samozatrudnieni są pozbawieni wielu praw, jak choćby przynależność do związków zawodowych. Nie mogą też używać takich form nacisku, jak strajk.

> **Kompetencje polskich pracowników nie przystają do potrzeb gospodarki. Przedsiębiorcy mogą inwestować w maszyny i rozwijać produkcję bez konieczności zwiększania zatrudnienia, ale to pogłębi wykluczenie mało zarabiających**

Można też próbować użyć bardziej skomplikowanych narzędzi, licząc na to, że zadziałają teorie opisywane w podręcznikach ekonomii. Na przykład obniżyć cenę kredytów, by wzbudzić większy popyt w gospodarce, który z kolei przełożyłby się na wzrost cen.

– Poza ingerencją w rynek pracy zmierzającą do większego uzwiązkowienia bank centralny musiałby zacząć prowadzić bardzo łagodną politykę pieniężną, znacznie łagodniejszą niż dzisiaj. To by oznaczało przyspieszenie płac powyżej wzrostu wydajności, zwiększenia ich udziału w PKB kosztem przejściowo wyższej inflacji – mówi dr Jakub Borowski ze Szkoły Głównej Handlowej. Odbyłoby się to kosztem spadku rentowności sprzedaży przedsiębiorstw.

Nie do końca wiadomo, jak skuteczne byłoby to działanie i czy rzeczywiście popyt na kredyt przełożyłby się na wzrost cen – a te wywołałyby presję płacową. Ekonomiści już od dłuższego czasu zwracają uwagę, że kanały transmisji polityki pieniężnej nie działają w klasyczny sposób. I stawiają wiele hipotez, choćby tę o silnej globalnej konkurencji, która utrudnia przenoszenie wyższych kosztów na ceny.

Michał Myck z CenEA mówi o jeszcze jednym projekcie, ale raczej obliczonym na całe dekady. To zmiana sposobu myślenia o rynku pracy, gdzie słowem kluczem są kompetencje. I chodzi nie tylko o umiejętność korzystania z nowoczesnych urządzeń i linii produkcyjnych, istotne będą także kompetencje miękkie, czyli zdolności adaptowania się do szybko zmieniającego się otoczenia. – Rynek pracy czekają zapewne rewolucyjne zmiany związane z nowymi technologiami, co z jednej strony pozwoli podnieść produktywność tych, którzy z tych technologii będą umieli korzystać, a z drugiej strony może okazać się poważnym wyzwaniem dla tych, którzy stosownych umiejętności mieć nie będą – konkluduje Myck.

©℗

Ubrudzić białe kołnierzyki

Areszty wydobywcze, pokazowe zatrzymania i dziwne zbiegi okoliczności. **Szeryf Zbigniew Ziobro wrócił do gry**

Bartek Godusławski

Co myślisz, jak o godzinie 6 rano widzisz ludzi w kominiarkach przed drzwiami? Boże, spraw, by to byli bandyci!". Ten gorzki żart był popularny za poprzednich rządów PiS, zwłaszcza w 2007 r., gdy prokuratura stała się wyjątkowo aktywna.

Trudno oceniać działania śledczych, bo asymetria między ich wiedzą a naszą jest olbrzymia. Prokurator zna zeznania świadków i wyjaśnienia podejrzanych, na podstawie materiału dowodowego stawia zarzuty i ewentualnie wnioskuje o areszt. My musimy zadowolić się komunikatami, w których pojawiają się lakoniczne uzasadnienia decyzji i paragraf.

Powinniśmy ufać, że państwo wie, co robi. Jednak biorąc pod uwagę sposób działania prokuratury czy policji w ostatnich trzech latach, można odnieść wrażenie, że służby w komunikowaniu się z nami postawiły na spektakularne zatrzymania oraz areszty wydobywcze. Nadzór polityczny nad organami ścigania każe też podejrzewać, że dobór instrumentarium jest świadomy, a w zastosowanych środkach zapobiegawczych widać premedytację.

Szczególnie jeśli sprawa dotyczy białych kołnierzyków.

Monopol na przemoc

Kwestii winy rozstrzygał nie będę. Od tego są sądy. Nie ma też co utyskiwać na to, że w postępowaniu przygotowawczym prokurator nie uraczy nas pełnią swojej wiedzy. Ale warto zadać pytanie: czy brutalność państwa jest konieczna? Po drugiej stronie mamy człowieka, któremu przysługuje jedno z podstawowych praw – domniemania niewinności. W konstytucji sprawa zapisana jest w sposób niebudzący wątpliwości: „Każdego uważa się za niewinnego, dopóki jego wina nie zostanie stwierdzona prawomocnym wyrokiem sądu". Państwo ma monopol ma przemoc. Jednak żadna demokracja nie ma monopolu na medialne skazywanie bez wyroku, a tym bardziej niszczenie publicznego wizerunku podejrzanych. Ale pokusa, by to zrobić, jest duża, szczególnie gdy sprawa zahacza o politykę. Tak jak w przypadku GetBacku.

To wrocławska spółka, do niedawna prymus GPW, zajmująca się windykacją. Zaczęła się sypać 16 kwietnia o godz. 7.17. Wtedy opublikowała komunikat giełdowy, który miał być uzgodniony z Polskim Funduszem Rozwoju i PKO BP, a dotyczyć pozyskania od nich finansowania do 250 mln zł. Państwowe instytucje natychmiast zdementowały tę informację, a GPW oraz Komisja Nadzoru Finansowego zawiesiły notowania spółki na giełdzie. Wystartowało prokuratorskie śledztwo i na jaw zaczęły wychodzić nieprawidłowości w firmie: fałszowanie sprawozdań finansowych, kreatywna księgowość czy wyprowadzanie pieniędzy. Pojawiły się też wątki polityczne. Były prezes GetBacku Konrad K. napisał listy do premiera z prośbą o wsparcie przez państwowe spółki, ostrzegał także, że jej upadek będzie nazywany aferą PiS i porównywany do Amber Gold. Dzięki „Gazecie Wyborczej" wyszło na jaw, że K. szukał też dojścia do Kornela Morawieckiego, ojca szefa rządu. To, że oczekiwał pomocy od PFR i PKO BP, też nie było przypadkowe, bo instytucjami kierują bliscy współpracownicy premiera Morawieckiego.

Prokuratura chwali się szybkością reakcji w tej aferze. To prawda, że Konrad K. został zatrzymany na lotnisku w Warszawie zaraz po powrocie z Izraela. Jednak śledczym sprzyjało szczęście, bo nakaz był wystawiony ponad tydzień wcześniej – i gdyby szef GetBacku postanowił zaszyć się za granicą, to wówczas nie mogliby się pochwalić spektakularnym działaniem (być może w nakłonieniu go do powrotu pomogły kontakty między polskimi a izraelskimi służbami). Dziś dowodów winy Konrada K. w przestrzeni publicznej pojawiło się wiele i nie ma osoby, która broniłaby byłego prezesa spółki.

Konrad K. przebywa w areszcie już pół roku. – Potrafił sprzedać wszystko i zjednać sobie każdego. W biznesie nie było dla niego rzeczy niemożliwych. Przez tyle czasu w areszcie na pewno udało się go złamać, bo to nie jest standard życia, do którego przywykł człowiek zarabiający rocznie miliony – mówi nam biznesmen, który zna byłego prezesa GetBacku od przeszło dekady. Spekulacje, że K. chciałby zostać małym świadkiem koronnym, pojawiają się od dłuższego czasu. Aby uzyskać taki status, musiałby przyznać się do zarzutów i obciążyć inne osoby. Tego nie można wykluczyć, bo status podejrzanego w sprawie wrocławskiego windykatora ma już 20 osób, z których część także trafiła do aresztu.

– Czy przez pół roku prokurator może zgromadzić taki materiał dowodowy, który uniemożliwi podejrzanemu matactwo na wolności? Sprawa GetBacku jest bardzo skomplikowana, nie można wykluczyć kolejnych zatrzymań, wobec tego trzymanie niektórych osób w areszcie wydaje się uzasadnione – mówi nam prokurator z kilkunastoletnim doświadczeniem. Chce pozostać anonimowy, bo nie wypada mu komentować pracy koleżanek i kolegów, a już szczególnie śledztwa, które ma nadzór Prokuratury Krajowej. Zwraca jednak uwagę, że po takim czasie przetrzymywania w areszcie każdy tydzień pozwoli wydobyć z podejrzanego nowe informacje i obciążać kolejne osoby.

Dla obserwatorów afery GetBacku jasne jest, że prokuratura postanowiła pójść „na ostro". Dlaczego? Areszt skutecznie skłania do współpracy z organami ścigania: można trafić do celi z mordercami i ma się ograniczone widzenia z rodziną. I co nie mniej ważne, ma się także utrudniony dostęp do kantyny: dla palaczy może to być prawdziwa udręka. W tym śledztwie wśród zatrzymanych jest wiele kobiet. One również przywykły do innego stylu życia.

Budzimy sąsiadów?

Z pewnością inny sposób spędzania czasu preferował Piotr Osiecki. To jeden z najbardziej znanych inwestorów na polskim rynku kapitałowym. Twórca Altus TFI – największego spoza grup bankowych prywatnego towarzystwa funduszy inwestycyjnych. Ma opinię

PREZENTACJA

15x INTELIGENTNY ROZWÓJ

Znamy już przyszłoroczny harmonogram działań Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości. W 2019 r. na mikro-, małych i średnich przedsiębiorców, którzy stawiają na inteligentny rozwój, czeka co najmniej 1,8 mld zł. Nowością będzie wsparcie projektów na rzecz dostępności, na które zaplanowano przeznaczyć minimum 140 mln zł.

Na przyszły rok zaplanowaliśmy 15 nowych konkursów, których adresatami są mali, średni oraz mikroprzedsiębiorcy stawiający na rozwój biznesu przez innowacje.
Najwięcej środków przeznaczymy na wsparcie firm w opracowaniu oraz wdrożeniu innowacyjnych produktów i usług. W tym zakresie, oprócz wartych minimum 1,5 mld zł „Badań na rynek", w ofercie PARP znajduje się przystępny mechanizm w postaci „Bonów na innowacje". Budżet tego działania skrojonego na miarę potrzeb mniejszych przedsiębiorstw wyniesie 80 mln zł. Takie same środki czekają na firmy zdecydowane zainwestować w profesjonalne wzornictwo przy wprowadzaniu innowacyjnych produktów – „Design dla przedsiębiorców".
Nowością w przyszłorocznym kalendarzu naborów będą konkursy zakładające wsparcie projektów, które wpisują się w realizację programu „Dostępność Plus". Na 2019 r. zaplanowaliśmy aż pięć konkursów, w których kryterium wstępnym będzie działanie na rzecz dostępności dla osób starszych oraz z różnymi rodzajami niepełnosprawności.
Ponad 200 mln zł wsparcia czeka na przedsiębiorców chcących wyjść ze swoimi produktami na rynki zagraniczne. Po dofinansowanie będzie można sięgać, działając w ramach Krajowych Klastrów Kluczowych lub indywidualnie – ubiegając się o „Wsparcie MŚP w promocji marek produktowych – Go to Brand" czy środki na „Ochronę własności przemysłowej" za granicą.
Zachęcamy także do udziału w konkursach w ramach programów operacyjnych „Wiedza, Edukacja, Rozwój" oraz „Polska Wschodnia", a także korzystania z bogatej oferty usług Centrum Rozwoju MŚP. Aktualne informacje na temat działań PARP dostępne są na stronie www.parp.gov.pl

Radosnych Świąt i owocnych przedsięwzięć w Nowym Roku!

Badania na rynek
Poddziałanie 3.2.1
Wsparcie projektów MŚP obejmujących wdrożenie wyników prac B+R przeprowadzonych przez przedsiębiorcę lub nabytych, prowadzących do uruchomienia produkcji nowych produktów lub usług.

Nabór: **25 III – 8 V 2019 r.**
Konkurs ogólny: **850 mln zł**
Konkurs dedykowany miastom średnim: **550 mln zł**
Konkurs dedykowany projektom na rzecz dostępności: **100 mln zł**
Nabór: **1 X – 31 X 2019 r.**
Budżet dla konkursu ogólnego oraz konkursów dedykowanych miastom średnim i projektom na rzecz dostępności w tym naborze zostanie określony w późniejszym terminie.

*Orientacyjna kwota przeznaczona na dofinansowanie projektów w ramach konkursu

Wsparcie MŚP w promocji marek produktowych – Go to Brand
Poddziałanie 3.3.3
Wsparcie MŚP uczestniczących w branżowych programach promocji oraz programach promocji o charakterze ogólnym.

Nabór: **25 II – 4 IV 2019 r.**
Budżet*: **150 mln zł**

Umiędzynarodowienie Krajowych Klastrów Kluczowych
Poddziałaanie 2.3.3
Wsparcie projektów mających na celu wzrost innowacyjności i konkurencyjności przedsiębiorstw działających w ramach Krajowych Klastrów Kluczowych na rynkach międzynarodowych.

Nabór: **5 III – 25 VII 2019 r.**
Budżet*: **50 mln zł**

Design dla przedsiębiorców
Poddziałanie 2.3.5
Wsparcie udzielane MŚP (z wyłączeniem przedsiębiorców z Makroregionu Polski Wschodniej) na realizację projektów, których celem jest rozwój przedsiębiorstwa-wnioskodawcy poprzez opracowanie nowego projektu wzorniczego, dzięki któremu wdrożony zostanie nowy lub znacząco ulepszony produkt.

Nabór: **4 III – 31 V 2019 r.**
Konkurs ogólny: **50 mln zł**
Konkursy dedykowany projektom na rzecz dostępności: **30 mln zł**

Bony na innowacje
Poddziałanie 2.3.2
Wsparcie udzielane na finansowanie usług dla MŚP realizowanych przez jednostki naukowe, przyczyniających się do rozwoju ich produktów. Dodatkowo wsparcie może obejmować realizację inwestycji początkowej związanej z wdrożeniem tak opracowanej innowacji.

Nabór: **20 III – 28 XI 2019 r.**
Konkursy na usługi: **50 mln zł**
Konkursy na usługi – dedykowany projektom na rzecz dostępności: **5 mln zł**
Nabór: **17 IV 2019 r. – 7 I 2020 r.**
Konkurs na inwestycje – ogólny: **20 mln zł**
Konkurs na inwestycje – dedykowany projektom na rzecz dostępności: **5 mln zł**

Ochrona własności przemysłowej
Poddziałanie 2.3.4
Wsparcie udzielane będzie MŚP na pokrycie kosztów związanych z uzyskaniem i realizacją ochrony praw własności przemysłowej.

Nabór: **4 III – 14 VI 2019 r.**
Budżet*: **5 mln zł**

Fundusze Europejskie Inteligentny Rozwój
Rzeczpospolita Polska
PARP Grupa PFR
Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

bezwzględnego, ale w tej branży dążenie do celu za wszelką cenę to zaleta.

W biznesie karta sprzyjała mu do końca sierpnia. Ostatniego dnia miesiąca o godz. 6 do drzwi jego domu zapukali funkcjonariusze CBA (tak wczesne zatrzymania nie są powodowane tylko względami medialnymi; policja chce zatrzymać podejrzanego po zakończeniu ciszy nocnej ale przed wyjściem do pracy). Prokuratura postawiła Osieckiemu oraz jego wspólnikowi w interesach, byłemu wiceprezesowi Altus TFI Jakubowi Rybie, zarzuty wyrządzenia szkody majątkowej GetBackowi w wysokości 160 mln zł. Chodzi o sprzedaż tej firmie konkurencyjnej spółki windykacyjnej EGB Investment za ponad 207 mln zł, której wartość – według śledczych – nie przekraczała 47 mln zł.

Nie przesądzam o winie byłych menedżerów Altusa czy jej braku. Chociaż transakcja odbywała się przy udziale renomowanych firm doradczych i kancelarii prawnych, to nie można uznać tego za dowód, że wszystko z nią było w porządku. GetBack też w końcu działał pod okiem znanej firmy audytorskiej i miał doradców oraz prawników z najwyższej półki. Chodzi o to, w jaki sposób Osiecki trafił do aresztu. Zrelacjonował to w magazynie „Konfrontacja" dziennikarz śledczy Sylwester Latkowski: „Piątek, 31 sierpnia, 6 rano. Walenie do drzwi. Osiecki otwiera w nocnej bieliźnie. Widzi kilku zamaskowanych funkcjonariuszy z długą bronią. Rzucają go na ziemię, skuwają ręce kajdankami. Interweniujący nie pozwalają zamknąć drzwi do pokojów dzieci, więc wszystko odbywa się na ich oczach. Dokładnie w tym samym momencie bliźniacza ekipa puka do drzwi mieszkania byłego członka zarządu Altusa Jakuba Ryby. – To co, nie budzimy sąsiadów? – pyta Rybę dowodzący akcją funkcjonariusz. – Nie budzimy – odpowiada Ryba. Tu wszystko odbywa się dyskretnie i spokojnie. Bo Ryba jest mniej znany i nie trzeba robić pokazu? Nie mija więcej niż kilkadziesiąt minut, gdy relacja z zatrzymania pojawia się w publicznej telewizji".

Relacje Osieckiego z GetBackiem sięgają co najmniej 2015 r. Wtedy doradzał spółce w znalezieniu inwestora, gdy na sprzedaż wystawiła ją grupa Idea Banku należącego do Leszka Czarneckiego.

fot. D-Keine/Getty Images

Pomógł znaleźć działający w Europie Środkowej fundusz Abris, który razem z innymi funduszami private equity wyłożył przeszło 800 mln zł. Później współpraca dotyczyła m.in. wejścia GetBacku na giełdę w połowie 2017 r. Za tę współpracę biznes Osieckiego zapłacił wysoką cenę. Po wybuchu afery z udziałem wrocławskiego windykatora klienci zaczęli masowo odpływać z TFI. Odpływ wzmogła decyzja KNF o wszczęciu postępowania administracyjnego wobec Altusa i trzech innych TFI, które w najbardziej drastycznym scenariuszu mogą się dla nich skończyć odebraniem zezwolenia na prowadzenie działalności.

Osiecki w areszcie spędził trzy miesiące, nie przyznał się do zarzutów. Wyszedł pod koniec listopada za rekordowym poręczeniem majątkowym 108 mln zł, na które złożyli się przedsiębiorcy przez lata z nim współpracujący. Prokuratura chciała, aby przynajmniej kolejne trzy miesiące spędził w izolacji, jednak sąd nie podzielił jej argumentów.

Wokół transakcji, za którą założyciel Altusa trafił z zarzutami do aresztu, wciąż jest wiele niejasności. Wiadomo jednak, że od momentu zawiadomienia prokuratury przez KNF do zatrzymania minęło ponad trzy miesiące, Osiecki miał więc dość czasu, aby w sprawie mataczyć. Po co więc areszt? Bo w areszcie białe kołnierzyki pękają. Szczególnie gdy trafią do wieloosobowej celi i mają ograniczony kontakt z rodziną.

Osiecki nie pękł. Nawet wtedy, gdy do prokuratury celem postawienia zarzutów w sprawie GetBacku trafiła jego żona. Do dziś nie ma w tej sprawie oficjalnego komunikatu prokuratury, choć ta chwaliła się wcześniej, podobnie jak CBA, kolejnymi zatrzymaniami i zarzutami. Żona Anna usłyszała zarzuty dwa miesiące po Osieckim. 7 listopada do ich domu ponownie przyszli agenci CBA – śledczy zarzucają kobiecie podpisanie z GetBackiem umowy na świadczenie usług doradztwa przy pozyskaniu inwestora. Chodzi o czas, kiedy spółka była sprzedawana przez grupę Idea Bank do funduszy zarządzanych przez Abris. Windykatora reprezentowała firma należąca do Anny Osieckiej – Altus Doradztwo Inwestycyjne. Za usługi zarobiła ponad 5 mln zł. Formalnie jednak wszystkie prace doradcze wykonywał Piotr Osiecki, który złożył GetBackowi – jeszcze przed swoim zatrzymaniem – obszerne wyjaśnienia z działań i spotkań, które podjął przy transakcji. Annie Osieckiej sąd wyznaczył najwyższą kaucję spośród wszystkich zatrzymanych w tej sprawie – 3 mln zł, a prokurator już wcześniej zabezpieczył jej majątek. Postawiono jej zarzuty, chociaż śledczy wiedzą, że to Piotr Osiecki wykonywał usługi na rzecz GetBacku.

Niektórzy uważają, że cel zatrzymania Anny jest łatwy do wytłumaczenia. Ma to pozwolić na złamanie jej męża. Na czym opierają swoje przypuszczenia? – W dzień zatrzymania żony Piotr ma wyznaczone na godz. 11 czynności w prokuraturze. Z żoną przez ostatnie dwa miesiące widział się tylko raz w asyście funkcjonariuszy CBA. Anna ma być dowieziona do tej samej prokuratury tego samego dnia na tę samą godzinę. Plan jest taki, że mają się spotkać na korytarzu. Mąż ma z zaskoczenia zobaczyć skutą kajdankami żonę. Który mężczyzna nie zrobiłby wszystkiego, by uchronić rodzinę? – mówi nam ich znajomy. Twierdzi jednak, że plan się nie powiódł. Bo do domu Osieckich, w trakcie zatrzymania Anny, przyjechał jej pełnomocnik, co znacząco wydłużyło procedurę. W efekcie małżeństwo nie spotkało się na korytarzu prokuratury.

– Ale samo zatrzymanie Anny w domu było dość brutalne. Dwóch funkcjonariuszy plus posiłki. Chora córka płacze, funkcjonariusze mówią, że im to nie przeszkadza. Krzyczą, gdzie są pieniądze. Przeszukują dom. Po raz kolejny, bo już go przeszukiwali przy zatrzymaniu Osieckiego. W końcu zabierają gotówkę. Anna informuje ich, że to są pieniądze na leczenie, terapię autystycznej córki za granicą – mówi nasz informator.

Ta brutalność wydaje się nie mieć żadnego uzasadnienia. – Prokuratura ma strategię śledztwa, która zwykłemu Kowalskiemu może się wydawać niezrozumiała i poza wszelkimi standardami, ale jesteśmy rozliczani ze skuteczności, a nie kurtuazji. Śledztwo ma wysoki priorytet polityczny, dotyczy przestępstw finansowych, w których łatwo o matactwo, liczy się czas. Może prokuratorzy są tak pewni swoich racji, że nie przebierają w środkach, a może takie jest polecenie z góry – mówi nam pragnący zachować anonimowość prokurator.

Śledztwo w sprawie GetBacku jest trudne i zanim akty oskarżenia trafią do sądu, minie jeszcze dużo czasu. To niewątpliwie największa afera finansowa na naszym rynku. Poszkodowanych posiadaczy trefnych obligacji windykatora jest ponad 9 tys. osób, razem z akcjonariuszami to blisko 20 tys. Ich straty liczone są w miliardach i w sprzyjających okolicznościach mogą liczyć na odzyskanie nie więcej niż 30 proc. zainwestowanych pieniędzy.

W dzień zatrzymania żony Piotr Osiecki ma być w prokuraturze. Anna ma być dowieziona do tej samej prokuratury tego samego dnia na tę samą godzinę. Plan jest taki, że mąż ma z zaskoczenia zobaczyć skutą kajdankami żonę

Dwóch na trzech w KNF

Jeśli nawet GetBack nazwiemy największą aferą po 1989 r., to skandal z udziałem byłego już przewodniczącego KNF Marka Ch. ma wszelkie szanse stać się jedną z największych afer politycznych. Chodzi o nagraną rozmowę z miliarderem Leszkiem Czarneckim. Ta, według jego pełnomocnika adwokata Romana Giertycha, jest dowodem złożenia oferty korupcyjnej przez szefa nadzoru. Prokurator postawił już Ch. zarzuty, choć dotyczą przekroczenia uprawnień przez funkcjonariusza publicznego w celu osiągnięcia korzyści osobistej przez inną osobę. Sprawa wybuchła 13 listopada za sprawą publikacji „Gazety Wyborczej" i „Financial Times". Ch. był wtedy w delegacji w Singapurze. Na początku nie zamierzał ustąpić, ale jeszcze zanim wsiadł w samolot powrotny do Polski, złożył rezygnację.

Ląduje dzień później rano, w kancelarii premiera odbiera podpisaną rezygnację i udaje się do byłego już miejsca pracy. Tam – w asyście pracowników – przebywa do ok. 12.30. Dopiero po jego wyjściu zjawiają się funkcjonariusze CBA, aby zabezpieczyć dokumenty, nośniki elektroniczne czy nagrania monitoringu. Czasu na potencjalne matactwo ma wiele. Jeszcze więcej ma go przez kolejne dni, bo agenci CBA zatrzymują go dopiero 27 listopada. Zostaje przewieziony do prokuratury w Katowicach, gdzie dostaje zarzuty i areszt tymczasowy na dwa miesiące. – W tej sprawie i po takim czasie wygląda to na pokazówkę prokuratury: nie ma taryfy ulgowej dla naszych, jeśli mają coś za uszami. Sens miałoby zatrzymanie Ch. już na lotnisku – twierdzi osoba znająca szczegóły śledztwa.

Jeszcze bardziej na pokazówkę wygląda zatrzymanie poprzednika Marka Ch. Andrzeja Jakubiaka, który w fotelu szefa nadzoru zasiadał w latach 2011–2016, jego zastępcy Wojciecha Kwaśniaka i pięciu in-

nych urzędników KNF. To z kolei sprawa toczącego się od przeszło dwóch lat śledztwa w sprawie SKOK Wołomin i zaniedbań, jakich mieli się dopuścić w tej sprawie pracownicy nadzoru. Ci sami, którzy wcześniej doprowadzili do wykrycia nieprawidłowości i przestępczego procederu wyprowadzania ze SKOK-u pieniędzy. KNF według śledczych miała działać zbyt wolno, co przyniosło jeszcze większych straty.

Do całej siódemki funkcjonariusze zapukali o godz. 6 rano 6 grudnia. Nie był to wymarzony prezent na mikołajki. Wszyscy zostali przewiezieni prawie 600 km do szczecińskiej prokuratury, która zajmuje się tym wątkiem sprawy SKOK-u z Wołomina. Dlaczego nie zostali wezwaniu w normalnym trybie do stawienia się przed śledczymi? Bo mogliby ustalić wersję wydarzeń – tłumaczy prokuratura. Ale mieli na to aż dwa lata, a właściwie więcej, bo postawione im zarzuty dotyczą lat 2013–2014 i tego, co wówczas nadzór robił z trefnym SKOK-iem. W stosunku do żadnej z osób prokuratura nie wnioskowała o areszt, większość skończyła z kaucją. Sprawa ma szczególny wymiar, bo działanie urzędników KNF miało przyczynić się do szkody Skarbu Państwa, a korzyść majątkową miały osiągnąć osoby związane ze SKOK Wołomin. Dla Wojciecha Kwaśniaka musi być to sytuacja szczególnie gorzka. W kwietniu 2014 r. został bardzo ciężko pobity pałką teleskopową przed swoim domem. Sprawę obszernie relacjonował wówczas „Puls Biznesu". „Dobrze by było zabrać mu na parę miesięcy zdrowia, spacyfikować, bo bardzo nam szkodzi" – tak o Kwaśniaku miał mówić Piotr P. (były oficer WSI i, zdaniem śledczych, główny pomysłodawca przekrętów w SKOK Wołomin) do Krzysztofa A., pseudonim Brzydki Krzysiek. Ten do realizacji zlecenia na wiceszefa KNF wynajął Krzysztofa A., „Twardego", który m.in. za napady i handel narkotykami spędził w więzieniu wiele lat.

Były wiceprzewodniczący KNF opuścił szczecińską prokuraturę jako ostatni. „Został mi postawiony zarzut, że działałem w zamiarze przysporzenia korzyści majątkowej oprawcom ze SKOK Wołomin oraz przestępcom wyłudzającym z tej kasy ogromne kwoty. Oznacza to, że miałem współdziałać z osobami, które zdecydowały się zlecić dokonanie na mnie zabójstwa – wyłącznie z tego powodu, że przyczyniłem się do ujawnienia ich przestępczego procederu" – napisał w oświadczeniu.

Prokurator generalny i minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro dzień później skomentował sprawę. Stwierdził, że „być może Wojciech Kwaśniak został zaatakowany dlatego, że KNF przez lata rozzuchwalała przestępców". Jego słowa wywołały powszechną falę oburzenia.

Za Jakubiakiem i Kwaśniakiem poświadczyło wiele osób ze środowiska bankowców, które przez lata nadzorowali, autorytetów ekonomicznych i innych osób.

O winie w każdym z opisanych przypadków zdecyduje dopiero sąd. To potrwa, być może nawet lata. Chociaż mamy domniemanie niewinności, to w przestrzeni publicznej osoby z zarzutami na długo pozostaną napiętnowane. ©℗

AUTOPROMOCJA

Prenumerata 2019

PODATKI | PRACA | PRAWO | FINANSE | BIZNES

Każdego dnia zespół naszych dziennikarzy i ekspertów dba o to, by dostarczyć Wam wiarygodne i rzetelne informacje. Na bieżąco analizujemy ważne przepisy, wspierając się wyjaśnieniami ministerstw i urzędów. Łączymy treści publicystyczne i ekonomiczne z wiedzą specjalistyczną dla przedsiębiorców, księgowych, prawników, kadrowych i urzędników. Dbamy o to, aby informacje przedstawić w prosty i przejrzysty sposób w formie infografik, wykresów i praktycznych, graficznych ściąg. Wspólnie tworzymy gazetę, która pomaga specjalistom w codziennej pracy. **Zaprenumeruj i korzystaj cały rok!**

DGP

gazetaprawna.pl/prenumerata

SPOŁECZEŃSTWO

fot. d3sign/Getty Images

Pochwała nieporadności

Zamiast ustawić się w kolejce po socjal, chcieli pokazać, że potrafią zadbać o rodzinę. Znaleźli lepszą pracę, **przekroczyli magiczne progi o kilka złotych i stracili prawo do zasiłków.** Zostali sami z przekonaniem, że w tym kraju zaradność nie jest w cenie

Paulina Nowosielska

Najpierw ZUS odebrał jej rentę, twierdząc, że w gruncie rzeczy jest zdrowa. – Nie ma to jak solidny kop od życia – mówi mi Marlena. Ma na utrzymaniu dziecko, a ojciec od dawna nie rwie się do płacenia alimentów. Musiała szybko znaleźć pracę. I gdy wydawało się jej, że staje na nogi, runęła na ziemię: minimalnie za wysokie zarobki sprawiły, że straciła prawo do wsparcia z Funduszu Alimentacyjnego. Ostatnio coraz częściej siada w kuchni, gdy syn już śpi, i zastanawia się, co dalej. – Za mało, żeby żyć, za dużo... – nie kończy zdania. – Gdybym może umiała kombinować, pewnie byłoby mi łatwiej. Prosta zaradność w tym kraju nie jest w cenie.

Ale po kolei. Marlena M. (inicjał prawdziwy) na początku sądziła, że to pomyłka. Pisała więc kolejne odwołania, m.in. do wiceburmistrza miasta, w którym mieszka. Tego, który w niedawnych wyborach przedstawiał się jako człowiek wrażliwy na sprawy społeczne. Obiecał, że się pochyli nad jej problemem. – I wymyślił: mogę złożyć podanie o rentę socjalną. Tę, którą właśnie ZUS mi odebrał. Oto dowód, jak wnikliwie przyjrzał się mojej sprawie – ironizuje.

Jest przekonana, że im bardziej próbuje być w życiu zaradna, tym mocniej za swoje starania obrywa. Od 17 lat choruje na cukrzycę typu 1, ma orzeczenie o niepełnosprawności, przez pięć lat była na rencie z ZUS. Dostawała nieco ponad 600 zł. Ale w czerwcu 2015 r. zakład wstrzymał ją, bo uznał, że się jej nie należy. Marlena poszła do ośrodka pomocy społecznej. Poprosiła o zasiłek do czasu, aż się gdzieś zatrudni. Okazało się, że sam ośrodek szuka ludzi, więc od września 2015 r. zaczęła w nim pracę. W maju 2016 r. została pozbawiona zasiłku rodzinnego na dziecko (niespełna 100 zł), bo przekroczyła kryterium dochodowe. – A zarabiałam najniższą krajową z 2016 r. – opowiada.

Powtarzała sobie „najważniejsze, że pracuję". Czuła nawet, że to, co robi ma sens. Pomaga starszym, niedołężnym, ci chwalą ją za zaangażowanie. Niestety, dostała kilka nagród, za które płaci do dziś. Niestety? Wszystkie premie z 2016 r. wliczono do kolejnego okresu zasiłkowego do Funduszu Alimentacyjnego. W efekcie i tego wsparcia została pozbawiona. – Bardzo to odczułam, bo mając te 450 zł, mogłam dotrwać do wypłaty. Dziś, gdy zapłacę rachunki, wykupię lekarstwa – na insulinę, leki na ciśnienie i paski do glukometrów wydaję miesięcznie ponad 200 zł – zostaje mi 120 zł. Bo te kokosy, które zarabiam, to ok. 1,6 tys. zł – wylicza. Jej syn ma 11 lat. Jego ojciec trafił niedawno do zakładu karnego. Wcześniej, gdy trochę pracował, komornik ściągnął z niego na poczet zaległych alimentów raz 42 zł, innym razem 120 zł. I ostatnio, niespodzianka, całe 160 zł.

Marlena patrzy na tę sytuację z dwóch perspektyw. Swojej, osoby, która została pozbawiona świadczeń, i pracownika MOPS-u, który na co dzień obserwuje, kto występuje o zasiłki. – Tu, gdzie mieszkam, jest wiele młodych kobiet, które mają po kilkoro dzieci. Ich pęd do rodzenia nie ma wiele wspólnego z uczuciami macierzyńskimi. Stał się sposobem na życie. Wystarczy stanąć w kolejce po 500 plus, dodatek mieszkaniowy, obiady dla dzieci w szkole, dopłaty na opał z gminy – wylicza. Jej zdaniem państwo rozleniwiło młodych ludzi.

Wspomina kolejne eksperymenty polityków, dziennikarzy, a nawet artystów, które miały pokazać, czy potrafią przeżyć za wyjątkowo skromne dla nich pieniądze. Tych, co wybierając co podlejszą mortadelę, wczuwali się w sytuację ubogich. I relacjonowali potem z emfazą: „rezygnuję z samochodu, przesiadam się na rower". Ogarnia ją złość, gdy o tym myśli. Bo co z opłatami za mieszkanie? Co

z kupieniem dziecku butów, gdy w starych pękła podeszwa? Co z nagłymi sytuacjami, jak zwichnięta noga? – Wszystko kosztuje, a ja boję się wziąć zwykłe zwolnienie chorobowe. Bo przy wypłacie będzie o te kilka złotych mniej, a nie mam już z czego zrezygnować – mówi.

Czasem jej znajomi są szczerze zdziwieni, gdy opowiada, że nie przysługują jej świadczenia. – Jak to? Mamy przecież w końcu opiekuńcze państwo – słyszy. Do tego, że skoro sama pracuje w opiece społecznej, to z pewnością coś dla siebie „załatwiła". Bo wie przecież, jak obejść zabezpieczenia systemu.

O czym marzy? Długo nie odpowiada, bo nie chce się rozkleić. – Chciałabym raz zabrać syna nad morze – odpowiada w końcu. – Tak, żeby mógł potem w szkole opowiadać, że był z mamą na wakacjach.

Strategia życia z zasiłku

– Nasz system karze zaradnych i uczciwych – ocenia Małgorzata Druciarek, kierowniczka Obserwatorium Równości Płci oraz analityczka w Instytucie Spraw Publicznych. Ma na myśli istniejące świadczenia w ramach programu „Rodzina 500 plus", próg dochodowy do Funduszu Alimentacyjnego, planowaną ustawę Mama plus, a także podejście państwa do rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. – Jest wiele matek, które staną głowie, by zapewnić bliskim jak najlepszy byt. Gdy zaczyna im się układać, państwo umywa ręce, odbierając świadczenia. W myśl zasady: tobie pomagać nie musimy, bo sobie radzisz – wyjaśnia.

Przekonuje, że w tym działaniu tkwi przedziwna logika. Bo to samo państwo lekką ręką scedowało na kobiety wiele ze swoich zadań. Uznało, że będą czuwały nad dziećmi, chorymi czy ludźmi starszymi. I założyło, że będzie to bezpłatna usługa. – Owszem, z miłości czy poczucia obowiązku potrafimy wiele zdziałać, ale do garnka nie włoży się ideałów – mówi Druciarek. I szybko zbija ewentualny argument, że państwa nie stać, by kobiece starania docenić. – Nie stać? 500 plus często trafia do rodzin, które tego wsparcia nie potrzebują, a nie dostają tej pomocy te, którym by się bardzo przydała. Z kolei próg dochodowy na pierwsze dziecko w tym programie prowadzi do patologii. Kusi szarą strefą tych, którzy zarabiają najmniej, są najgorzej wykształceni – tłumaczy.

Te słowa znajdują potwierdzenie w najnowszych zestawieniach dotyczących zasiłków rodzinnych. Lepsza sytuacja na rynku pracy i rosnące pensje powinny sprawić, że ich liczba spadnie. Tak się nie dzieje. W połowie tego roku było 2,25 mln osób pobierających zasiłki rodzinne – 16 tys. więcej niż rok wcześniej. Chodzi o świadczenia, jakie otrzymują rodziny spełniające kryteria dochodowe. Do końca października tego roku wynosiło ono 674 zł na osobę (w zeszłym roku było zamrożone). Również dane GUS o ubóstwie wskazują, że liczba zasiłków powinna spadać – dziś niespełna 5 proc. gospodarstw domowych nie jest w stanie zaspokoić swoich podstawowych potrzeb, podczas gdy w 2015 r. było ich 8,5 proc.

Jak to wytłumaczyć? Zdaniem ekspertów przybywa osób, które dostosowują decyzje życiowe do możliwości otrzymania świadczeń z budżetu. Nawet jeśli sama wysokość tych akurat zasiłków nie robi wrażenia. Obecnie to 95 zł miesięcznie na dziecko do piątego roku życia, 124 zł – do 18. roku i 135 zł na dziecko powyżej 18. roku kontynuujące naukę. Ale do tego dochodzą inne dodatki oraz świadczenie 500 plus, tak-

Jest wiele matek, które staną na głowie, by zapewnić bliskim jak najlepszy byt. Gdy zaczyna im się układać, państwo umywa ręce, odbierając świadczenia. W myśl zasady: tobie pomagać nie musimy, bo sobie radzisz

że na pierwsze dziecko. – Ludzie nauczyli się liczyć. Załóżmy, że on pracuje na budowie. Ona zostaje oficjalnie w domu, przy dzieciach. Mają ich trójkę. W ramach 500 plus dostają co miesiąc 1,5 tys. zł i ponad 300 zł z zasiłków rodzinnych. Bardziej opłaca się im więc ukrywać dochody, niż szukać lepszej pracy. Albo, po prostu, zarabiać na czarno – mówi Małgorzata Druciarek.

Jest jeszcze jeden efekt takiej polityki państwa: branie zasiłków przestało być czymś wstydliwym. Badania na temat kultury życia z zasiłków prowadziło kilka lat temu dla amerykańskiego National Bureau of Economic Research troje naukowców: Gordon B. Dahl, Andreas Ravndal Kostol i Magne Mogstad. Wzięli pod lupę norweski system rentowy. Ich wniosek? Dzieci wychowujące się w rodzinach żyjących z zasiłku z większym prawdopodobieństwem same będą go pobierać w dorosłym życiu niż dzieci z rodzin, które po niego nie sięgały. To prawdopodobieństwo wynosi 6 proc. w ciągu pięciu lat od opuszczenia domu, a w ciągu kolejnych 10 lat wzrasta do 12 proc. W przypadku osób, które nie wyniosły z domu kultury zasiłku, jest to 1 proc. Co ważne, jak podkreślali naukowcy, nie chodzi tu o dziedziczenie biedy, ale właśnie stylu życia.

Fanfary się skończyły

– Polskie rodziny oczekiwały wsparcia. Tak się stało, w centrum działań polityki społecznej znalazła się polityka rodzinna. Chcemy wesprzeć rodziców, którzy samotnie wychowują dzieci, ale przy okazji chciałam powiedzieć, że nakłady na samotnych rodziców w 2015 r. wyniosły 2,45 mld zł. W 2017 r. wydatki związane ze świadczeniami adresowanymi do samotnych rodziców – głównie mam – wzrosły trzykrotnie i są na poziomie 7 mld zł – przekonywała niedawno minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska, gdy rozliczała swój resort z ostatnich lat pracy. Przy okazji przypomniała, że od 1 stycznia 2019 r. będzie obowiązywał solidarnościowy fundusz wsparcia osób niepełnosprawnych. – Chcemy budować nowoczesny system wsparcia osób niepełnosprawnych, system, który uzupełniałby te systemowe braki. Mówimy tu o wsparciu osób niepełnosprawnych i rehabilitacji społecznej, zawodowej, ale też leczniczej i o promowaniu rozwiązań nowatorskich – opowiadała.

Poproszone o komentarz matki ze Stowarzyszenia Poprawy Spraw Alimentacyjnych „Dla Naszych Dzieci" zwracają uwagę na co innego: „Minister milczy na temat 52 tys. uprawnionych do alimentów dzieci, które w wyniku niskiego progu dochodo-

Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl

wego przestały mieć możliwość korzystania z pomocy Funduszu Alimentacyjnego właśnie w latach 2015–2017" – napisały w e-mailu. Nie rozumieją, dlaczego państwo, zamiast wspierać je w niełatwym samodzielnym macierzyństwie, dokłada formalności, m.in. nakazując przedstawiać dodatkowe dokumenty (dotyczące uregulowanej kwestii alimentów) nie tylko, gdy ubiegają się o 500 plus na drugie, ale i pierwsze dziecko.

– Nie zamierzam całkowicie potępiać 500 plus, bo z pewnością wielu ludziom te pieniądze pomogły. W innych państwach istnieją podobne świadczenia adresowane do najuboższych rodzin, ale równolegle państwo prowadzi politykę aktywizującą. W wielu europejskich krajach zasiłki są stosunkowo wysokie, ale przyznawane czasowo, a towarzyszą im programy pomagające wrócić na rynek pracy. Niestety, tego rodzaju pomoc nie jest przedmiotem prac polskiego rządu – mówi Anna Karaszewska, socjolog zasiadająca w Radzie Rynku Pracy, ciele doradczym przy MRPiPS. I cytuje badania, które pokazują, że w pierwszym roku istnienia zasiłku 500 plus z rynku pracy odeszło ponad 100 tys. kobiet – głównie młodych, do 35. roku życia. Najczęściej gorzej wykształconych, z małych miejscowości. – Dla nich powrót na rynek pracy będzie szczególnie trudny. Istnieje olbrzymie ryzyko, że w przyszłości nie dostaną nawet najniższej emerytury. Podczas obrad Rady Rynku Pracy rozmawiałam na ten temat z kierownictwem resortu. Stąd wiem, że Ministerstwo Pracy zaprzecza tym wynikom, mówiąc, że są niewiarygodne – dodaje.

Ona jednak przekonuje, że dezaktywizacja zawodowa jest już faktem, a państwo swoimi decyzjami nie tylko zabija etos pracy i życiową zaradność, ale tworzy olbrzymi problem społeczny. – To dlatego, że rządzący zapędzili się w kozi róg – tłumaczy Anna Karaszewska. – Z jednej strony chcą być postrzegani jako wyłączni adresaci problemów społecznych, chcą być jedynymi budowniczymi poczucia bezpieczeństwa. Z drugiej – mają świadomość, że w budżecie państwa brakuje funduszy. Stąd niespójność działania: programy socjalne uruchamiane wśród dźwięków fanfar przy jednoczesnym stawianiu tam, które ograniczają liczbę osób uprawnionych do subsydiów – mówi.

Mówią, że jestem taka zaradna, taka dzielna. A ja na to mam prostą odpowiedź: wejdź w moje buty choćby na tydzień i szybko zrozumiesz, że nie miałam wyjścia

Proszę, wejdź w moje buty

Kobieta, która straciła prawo do Funduszu Alimentacyjnego, bo przekroczyła próg dochodowy o 9 zł – zachciało jej się uczyć, dostała awans. Rodzina, którą pozbawiono 500 plus na pierwsze dziecko z podobnego powodu i równie śmiesznej kwoty. Gdyby się nie starali, a może jeszcze dogadali z pracodawcą, by część pensji otrzymywać pod stołem, życie toczyłoby się po staremu. – Jestem w teoretycznie lepszej sytuacji. Mam pełną rodzinę. Męża, który od zawsze ciężko pracował na nas wszystkich – mówi Iwona Hartwich. Ona zrezygnowała z pracy, by opiekować się niepełnosprawnym synem, Kubą. A potem urodziła drugie dziecko.

Ale to „lepiej" jest względne. Przekonuje, że odkąd pamięta, musiała walczyć. Ostatni głośny protest w 2018 r., w Sejmie, był kontynuacją tego z 2014 r. Cztery lata temu udało się uzyskać podwyżkę świadczenia pielęgnacyjnego dla rodzica, który całkowicie zrezygnował z pracy. – Wcześniej, od 2009 r., jeździliśmy na spotkania do Warszawy. Mieliśmy nadzieję na uznanie uzawodowienia opieki nad osobami niepełnosprawnymi. Ale wtedy w głowach polityków zrodził się dylemat: co z urlopami? Kto was zastąpi? Nie znali pojęcia opieki wytchnieniowej, takiej, gdy w nagłych sytuacjach rodzica zastępuje na weekend lub kilka dni opiekun środowiskowy czy osoba wynajęta z firmy komercyjnej – opowiada.

Gdyby miała wyliczyć, co obiecywali jej przedstawiciele różnych partii, kilku godzin by nie starczyło. Dlatego, jak mówi, nie ma sensu do tego wracać. Bo bezsensowności w systemie pomocy takim rodzinom jak jej jest wiele. Przykład? Jeszcze do niedawna renta socjalna dla osoby niepełnosprawnej wynosiła 84 proc. najniższej renty ZUS z tytułu całkowitej niezdolności do pracy. – Napisałam do minister pismo, zatytułowałem je: „84 proc. człowieka". Minister najpierw odpisała, że nie są prowadzone żadne prace w kierunku podwyższenia renty socjalnej. A potem, w czasie ostatniego protestu, ten postulat został zrealizowany niemal natychmiast. Domyślam się, dlaczego. Gdyby fakt istnienia takiej niesprawiedliwości został nagłośniony, byłby wstyd na cały kraj – opowiada Hartwich.

W Polsce jest 5–7 mln osób niepełnosprawnych. Ale tych, którzy są niezdolni do samodzielnej egzystencji od urodzenia, jest ok. 280 tys. Ci ludzie nigdy nie znajdą pracy, nie zarobią na siebie. – Dlatego ostatnio w Sejmie prosiliśmy m.in. właśnie o dodatek na życie i nie mogę pojąć, czemu ten postulat nie został zrealizowany. Usłyszeliśmy za to, że próbujemy się dorobić, że jesteśmy terrorystami, że robimy z dzieci zakładników – wspomina. Znów przychodzi jej na myśl słowo „walka". Ta o zdrowie syna była paradoksalnie łatwiejsza. Siedem bardzo ciężkich operacji, lata rehabilitacji, by Kubę dźwignąć z łóżka. – Trudniejsza okazała się walka z systemem socjalnym, bo nie chciałam biernie patrzeć na to, jak się traktuje w Polsce takich ludzi, jak mój syn – mówi. Doskonale pamięta, gdy po raz pierwszy mocno wezbrała w niej chęć buntu. Zrezygnowała z pracy, żyli z jednej pensji męża. A mimo to, aby dostać świadczenie pielęgnacyjne, trzeba było spełnić kryterium dochodowe. Udało się doprowadzić do jego zniesienia w 2009 r.

Czy ma satysfakcję? Nie patrzy na to w tych kategoriach. Kiedyś w ogóle nie nazwałaby siebie typem wojowniczki. Pamięta, jak w 2014 r. siedziała w kącie i płakała, czytając to, co o niej wypisywano. Że podczas protestu miała na sobie szalik za tysiąc złotych. – Kupiłam go na bazarku, kosztował z 10 zł – podkreśla. Podobnie wytykano jej telefon, torebkę, inną fryzurę. Wie, że gdyby siedziała cicho, zaoszczędziłaby sobie tych atrakcji. Dlatego dziś także czyta, słucha, ale już nie rozczula się nad sobą. Ostatnio przybyło osób, które doceniają jej determinację. – Mówią, że jestem taka zaradna, taka dzielna w domu i środowisku osób niepełnosprawnych – mówi, nie kryjąc ironii. – A ja na to mam prostą odpowiedź: wejdź w moje buty choćby na tydzień i szybko zrozumiesz, że nie miałam wyjścia. ©℗

WYWIAD

Dzieci z domu na skarpie

Kiedy dorośli adoptują dziecko, czują, że zrobili coś bardzo dobrego. I tak jest. Ale nie należy w zamian niczego oczekiwać. Niczego więcej, niż oczekiwalibyśmy od rodzonych dzieci. Poza tym, że są. **To my powinniśmy być im wdzięczni, że dzięki nim mogliśmy stać się rodzicami**

Z **Ewą Milewską-Celińską**
rozmawia Mira Suchodolska

Powiedziała pani, że wybaczyłaby dobrej zmianie wszystko, nawet reformę sądów, ale nie wybaczy tego, że jeszcze bardziej ograniczyła adopcje za granicę polskich dzieci. I że właśnie za to rządzący powinni się smażyć w piekle.
Podtrzymuję to twierdzenie. Ale histeria na temat adopcji zagranicznych nie zaczęła się wczoraj, a trwa już trzecią dekadę. Kolejne ekipy przykładają rękę do tego, aby maluchy, które nie mają szans na to, by znaleźć rodziców w Polsce, tkwiły w domach dziecka.

Skąd się bierze nasza niechęć do zagranicznych adopcji?
Z jakiegoś powodu media zrobiły sobie z tego przed laty temat numer jeden, pojawiały się niepotwierdzone doniesienia, że polskim maluchom dzieje się krzywda. Wówczas, w latach 90., w domach dziecka było ok. 20 tys. dzieci, jakieś 100 tys. pochodziło z patologicznych rodzin. W ciągu roku dochodziło do 4 tys. adopcji, z czego na zagraniczne przypadało może 600. Nikt nie mówił ani o tych udanych, ani o tych 100 tys. dzieciaków, które nie mają szans na nowych rodziców. Wszyscy doszukiwali się patologii. I tak to trwa do dziś. Nikt nie mówi o tym, że u nas adopcja jest nadal czymś mrocznym. Kobiety, które przysposabiają niemowlaka, nim to zrobią, udają, że są brzemienne. Jeśli para bierze starsze dziecko i już nie da się symulować ciąży, to często zmienia miejsce zamieszkania, by się nikt nie dowiedział, że to nie ich.

Ile dzieci mieszkało tutaj, w państwa domu na skarpie wiślanej w Wyszogrodzie, zanim trafiło do nowych rodziców za granicę?
Damian, Sebastian, Ruda Ania, Piotruś z HIV, dziecko bez ręki, dziewczynka z kościoła... Ona wprawdzie wróciła do mamy, ale zapoczątkowała – to było 27 lat temu – tę serię maluchów potrzebujących pomocy, które schroniły się przez jakiś czas pod naszym dachem.

Pamięta pani historie wszystkich tych dzieci?
Oczywiście. Ta, która najbardziej wbiła nam się w pamięć, dotyczy pary z Włoch. Wskazano im Sebastiana i Damiana, sześć i cztery lata. Inteligentni, śliczni, powinni być rozchwytywani. Ale bracia sprawiali wręcz niewyobrażalne kłopoty. Przyszedł mi do głowy pomysł, za który dziś pewnie naraziłabym się na dyscyplinarkę. Pojechałam porozmawiać z sędzią, wtedy to było możliwe, i zaproponowałam, aby wszyscy zamieszkali na jakiś czas z nami, bo stanowimy rodzinę – ja, mąż, trójka dzieci, babcia. Będzie łatwiej. Sędzia był mądrym człowiekiem, zgodził się.

I zaczęły się kłopoty?
Jak tylko bracia przekroczyli bramę posesji. Zniknęli. Zaczęliśmy szukać, wyobraźnia pracowała, w dole płynie Wisła, za domem studnia. Nagle się pojawili, łapię starszego, a wtedy młodszy wali mnie pięścią w twarz. Bronił brata. Ci chłopcy mieli tylko siebie, przeciwko sobie cały świat. Oni nawet zasypiali, kurczowo trzymając się w objęciach. Każda kąpiel chłopców to było wycie, jakby ktoś ich mordował. Kiedyś wzięli młotek i obeszli dom dookoła, niszcząc elewację. Ta potencjalna włoska mama miała chwile zwątpienia. Ale jej mąż był nieprzejednany: „Jak chcesz, to możesz sobie wracać do kraju. Ja synków nie oddam".

Jak oswoiliście braci?
Mieszkała z nami mama Wojtka, mojego męża, miała wtedy 89 lat. Brała chłopców za rękę, spacerowała z nimi po ogrodzie i tłumaczyła: „Nie wolno niszczyć kwiatuszka, kwiatuszek chce żyć". To były najprostsze lekcje, których wcześniej nikt im nie dawał. A że chłopaki były inteligentne, to chłonęli jak gąbki. Przełomem był wieczór, kiedy jak zwykle zasnęli, ale nie obejmując się. I gdy nic złego im się nie stało, zrozumieli, że nikt nie chce ich rozdzielać. Kiedy odprowadzaliśmy tę rodzinę na lotnisko na Okęciu, nie było na nim ładniejszych dzieci. Utrzymywaliśmy kontakt, wiedzieliśmy, co się z nimi dzieje. Że młodszy jest utalentowany malarsko, że starszy śpiewa w chórze. Po 11 latach wszyscy przyjechali do nas w odwiedziny. I proszę sobie wyobrazić, że chłopcy udawali, że nas nie poznają.

(Tu włącza się Wojciech Celiński, mąż rozmówczyni, który przysłuchiwał się nam w milczeniu: One wszystkie tak robiły. Wypierają złe wspomnienia.)

Ale, co ciekawe, Sebastian i Daniel przywieźli czekoladki dla mamy Wojtka. I mówili do niej babciu.

Kolejne dziecko, które wbiło się w waszą pamięć?
Ruda Ania. Córka i wnuczka prostytutek. Poznałam ją w domu dziecka na Dolnym Śląsku.

fot. Wojtek Górski

EWA MILEWSKA-CELIŃSKA

od 1965 r. wykonuje zawód adwokata, specjalizuje się w problematyce prawa karnego, cywilnego i rodzinnego. Trzykrotny członek Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie, doradca rzecznika praw dziecka

Siedzę w gabinecie dyrektorki, nagle wchodzi do pokoju mała dziewczynka. Ruda, przy kości. Na oko sześć lat. „Jak to ładnie, Aniu, że jesteś taka czysta i pachnąca" – mówi dyrektorka. Kiedy dziecko wyszło, zapytałam, o co chodzi. Okazało się, że dziewczynka ma 10 lat, kłopoty z nietrzymaniem moczu i kału, przez co inne dzieci ją prześladują. Poza tym jest opóźniona umysłowo. Zaproponowałam, że mogę pomóc w zdiagnozowaniu problemów zdrowotnych dziewczynki. Po kilku dniach ktoś z sierocińca przywiózł mi dziewczynkę do Warszawy, znów bez papierów, decyzji sądu. Ania trafiła do Centrum Zdrowia Dziecka, gdzie przeszła zabieg rozszerzenia cewki moczowej i przestała siusiać w majtki. Zajęli się nią psychologowie, okazało się, iż nietrzymanie kału ma podłoże psychiczne. Na dodatek uznali, że dziecko nie jest upośledzone, a opóźnienia wzięły się z powodu jej smutnego życia i osamotnienia.

Naprawili Anię?

Naprawili na tyle, na ile mogli. I dziewczynka mogła opuścić szpital. Kiedy się o tym dowiedziała, otworzyła okno, a sala była na drugim piętrze, i oświadczyła, że woli się zabić niż wrócić do domu dziecka, gdzie znów będzie pośmiewiskiem. Zadzwoniłam do dyrektorki placówki, powiedziałam, jaka jest sytuacja. I Ania została w domu na skarpie. A ja zaczęłam szukać jej rodziców. Znalazłam parę prawników z Modeny. Oni chcieli dziecka do sześciu lat, więc nie mówiłam, w jakim wieku jest dziewczynka. Po prostu umówiłam spotkanie. Jak już byli na miejscu, musiałam wyznać, że to dziesięciolatka. Mieli kamienne miny. Pojechaliśmy na spacer, weszliśmy do kościoła. Ania coś paplała, a tłumaczka przełożyła: „Boziu, daj mi takich rodziców, jak oni". I to przeważyło, oni już byli jej rodzicami. Rozstanie z tym dzieckiem było dla nas bardzo trudne. Ona pokochała już włoskich rodziców, ale nas też kochała. I my ją. Odebrać Anię przyjechał włoski tata. Szła do samochodu, potem się cofała. Widać było, że myśli: a może zostać, tu mi dobrze. W pewnym momencie ten Włoch wyjął notatnik i przeczytał na głos, choć z trudem: „Potrzeby higieniczne Ani". Bo my bardzo zwracaliśmy uwagę, aby rodzice adopcyjni nauczyli się choć kilku zdań w języku polskim. I kiedy Ruda Ania usłyszała, że jej tata czyta po polsku, w dodatku słowa w tak ważnej dla niej kwestii, odtajała i wsiadła do jego auta.

Spotkała ją pani jeszcze kiedyś?

Tak, miała wówczas 14 lat. Razem z tłumaczką, psycholog z domu dziecka oraz córką sędzi, która orzekała w rodzinnych sprawach, wybrałyśmy się do Włoch, aby sprawdzić, jak się miewają dzieciaki z dawnych adopcji. Zajechałyśmy także do Modeny. A tam czekała na nas Ruda Ania. Tylko starsza i piękniejsza. Z kluski zrobiła się wiotka dziewczyna, niczym elf. Udawała, że mnie nie zna. *(One wszystkie tak mają, nie chcą pamiętać złych chwil).*

Dziś jest trzydziestoparoletnią kobietą. Jak sądzę, szczęśliwą.

Takie dzieci jak Ania, z chorobami, dysfunkcjami, nie mają wśród polskich rodziców adopcyjnych zbyt dużego wzięcia.

Ale to nie wynika ze złej woli rodziców, tylko z obawy, czy sobie poradzą, czy będzie ich na

fot. Shutterstock

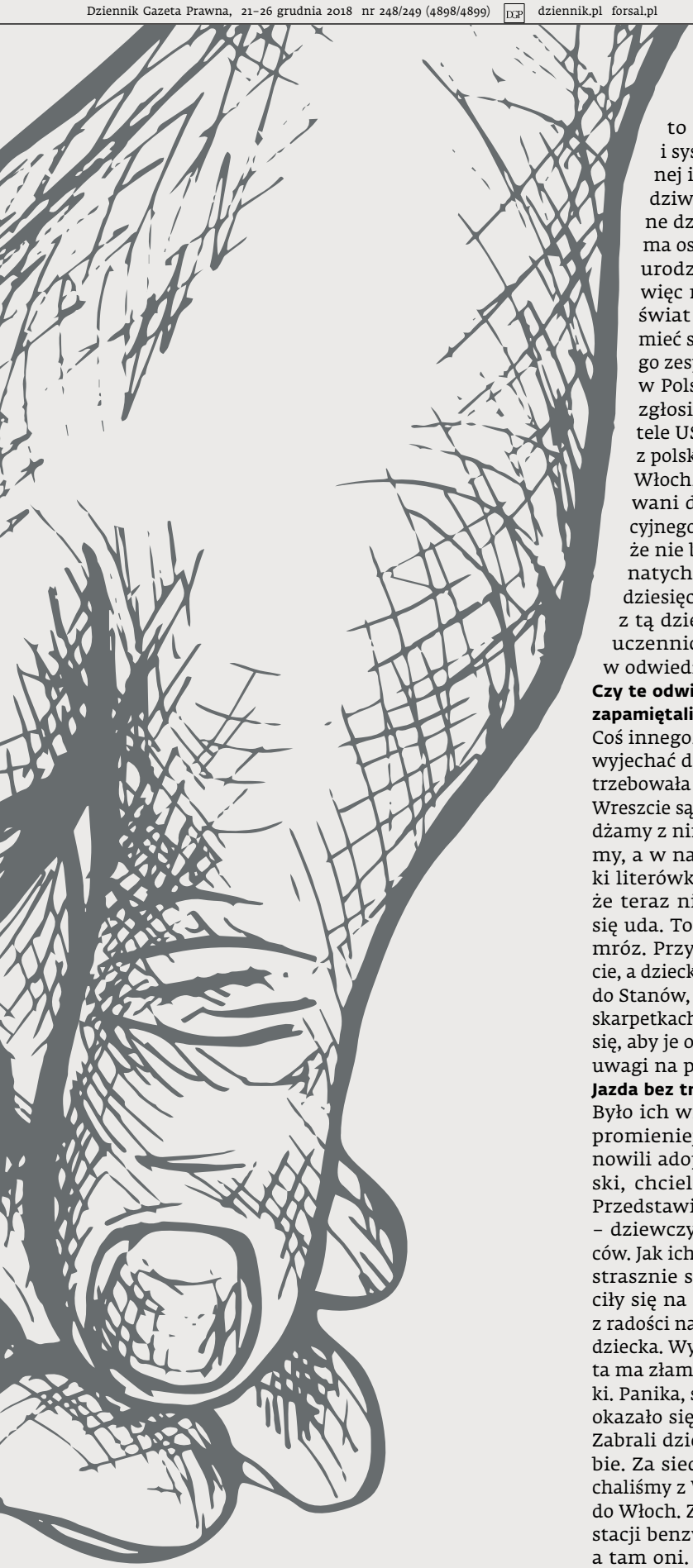

to stać, czy państwo i system opieki zdrowotnej ich wesprą. Ja się nie dziwię tym lękom. Kolejne dziecko. Dziewczynka, ma osiem miesięcy, mama urodziła ją, będąc pijaną, więc malutka przyszła na świat także pijana. Może mieć syndrom alkoholowego zespołu płodowego. Nikt w Polsce jej nie chciał, ale zgłosili się po nią obywatele USA. Mama to aktorka z polskimi korzeniami, tata Włoch. Zostali zakwalifikowani do procesu preadopcyjnego. Najważniejsze było, że nie bali się dziecka, że je natychmiast pokochali. Po dziesięciu latach przyjechali z tą dziewczynką, wówczas uczennicą szkoły baletowej, w odwiedziny.

Czy te odwiedziny najbardziej zapamiętaliście?

Coś innego. Żeby ta mała mogła wyjechać do nowego domu, potrzebowała paszportu oraz wizy. Wreszcie są dokumenty. Przyjeżdżamy z nimi do domu, oglądamy, a w nazwisku dziewczynki literówka. Mówię do mamy, że teraz nie polecą. A ona, że się uda. To był szósty stycznia, mróz. Przyjechaliśmy na Okęcie, a dziecko, które ma wyjechać do Stanów, półnagie, w krótkich skarpetkach. Więc celnicy rzucili się, aby je opatulić, nie zwracali uwagi na paszport. I polecieli.

Jazda bez trzymanki.

Było ich więcej. Młodzi Włosi, promieniejący życiem. Postanowili adoptować dzieci z Polski, chcieli więcej niż jedno. Przedstawiono im rodzeństwo – dziewczynkę i dwóch chłopców. Jak ich dzieci zobaczyły, tak strasznie się ucieszyły, że rzuciły się na tę parę, przewróciły z radości na beton przed domem dziecka. Wydawało się, że kobieta ma złamaną podstawę czaszki. Panika, szpitale, na szczęście okazało się, że to tylko krwiak. Zabrali dzieci, pojechali do siebie. Za siedem miesięcy wyjechaliśmy z Wojtkiem na wakacje do Włoch. Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, wchodzimy, a tam oni. My ich poznaliśmy, oni nas. Chłopcy podbiegli do nas, ale dziewczynka, najstarsza z rodzeństwa, tkwiła przy stoliku i udawała, że nas nie zna. *(Już ci mówiłem, że one nie chcą pamiętać).*

Ustawodawca, wprowadzając kolejne restrykcje związane z adopcjami zagranicznymi, wyrażał obawę przed wynarodowieniem dzieci. Czy one powinny kochać Polskę? Tak, jak najbardziej. Ale na początku nie chcą, wypierają to, co się w ich ojczyźnie wydarzyło. Bo to były złe rzeczy. Potem to mija.

Zdarza się, że polskie dzieci wracają, aby szukać swoich korzeni?

Tak, pamiętam jak kilkunastoletnia dziewczyna, już Francuzka, przyjechała z adopcyjnymi rodzicami szukać grobu mamy. Mądrzy byli ci francuscy rodzice, że przystali na tę potrzebę dziecka. To się czasem zdarza, że młody człowiek chce wiedzieć, skąd się wziął na tym świecie. Pamiętasz, Wojtku, że nasz Marcin także kiedyś się pytał, czy to ja go urodziłam?

(Pamiętam. Mnie też wypytywał, jak byliśmy sami. Bardzo go to uwierało.)

Właśnie, bo wasz najmłodszy syn, Marcin, jest przysposobionym dzieckiem. A macie jeszcze dwóch starszych, biologicznych synów. Jak to się stało, że on został waszym dzieckiem?

Prowadziłam pierwszą w karierze adwokackiej sprawę zagranicznej adopcji. To był 1986 r., kwiecień, tuż po awarii elektrowni jądrowej w Czarnobylu. Znajomi Francuzi poprosili o pomoc. Sprawy formalne załatwiono i dostałam karteczkę z ośrodka adopcyjnego, iż mam odebrać ze szpitala ośmiomiesięczną dziewczynkę. To odebrałam, mała trochę u nas pobyła, bo po wybuchu Francja nie była od razu skłonna do wpuszczania do siebie osoby z terenów skażonych. Ale kiedy znieśli to embargo, postanowiłam odwieźć dziecko do rodziców. Bardzo się do niego przywiązałam, ono do mnie. To było ciężkie doświadczenie: ja płakałam, że ją zostawiam, dziecko płakało, bo ja płakałam, nowa mama ryczała, gdyż jej córka była nieszczęśliwa i wyje na jej widok, a nowy tata wyrywał sobie włosy z głowy, bo nie mógł znieść tych naszych szlochów. Wróciłam do Polski, tęskniąc za małą. Wiedziałam, że ona ma brata, starszego, który jest w domu dziecka. Pojechałam do niego. Zobaczyłam chłopca, który był chory, miał porażenie nerwu twarzowego, przepuklinę. Jak go zobaczyłam, wiedziałam, że jest nasz.

Czyli happy end.
Choć to nie było takie proste. Kiedy Marcin trafił do domu na skarpie, właśnie w szpitalu umierała moja mama. A reszta rodziny deliberowała nad naszą decyzją. Przyjechał mój brat i robił mi wykład, że za stara jestem, aby brać na barki taki ciężar. Słuchałam w milczeniu. Ale brat skończył tyradę i wyjął worek, w którym przywiózł rzeczy po swoim wnuku dla Marcina...

Na początku rozmowy wspomniała pani o dziecku bez ręki...
Senator z USA, polskiego pochodzenia, postanowił adoptować u nas dziecko. Został dla niego przeznaczony dwulatek. Ale ten, na widok obcego mężczyzny i jego żony, wybuchnął płaczem i rzucił się do ucieczki. Cały dzień spędziliśmy w tej placówce z dziećmi. Nadszedł czas kolacji, usiedliśmy przy stoliku na stołówce. I wówczas Amerykanin zauważył dziewczynkę bez ręki. – Czy ta mała też jest przeznaczona do adopcji? – zapytał. Zdziwiony personel odpowiedział, że tak. – W takim razie wrócimy tu jutro rano – zapowiedział. Wrócili, wzięli zarówno dziewczynkę bez łapki, jak i tego płaczącego dwulatka.

Senator był, jak się domyślam, na tyle zamożną i wpływową osobą, żeby móc pomóc swoim dzieciom w ich zdrowotnych i psychicznych problemach.
Skrzywdzone, chore, niepełnosprawne, upośledzone umysłowo dzieci potrzebują potężnych rodziców. Mających nie tylko serce, ale także pozycję i pieniądze. Bo tylko tacy ludzie są w stanie pomóc dzieciakom. Przykład? W lesie znaleziono chłopca. Ktoś go porzucił w głuszy. Ma lambliozę, jest upośledzony umysłowo. U nas go nikt nie chce. Ale zgłasza się po niego samotna profesor uczelni z Francji. Ludzie zajmujący się adopcjami są pełni podejrzliwości. „On nie będzie uczonym – odparła. – Ale może stać się świetnym mechanikiem samochodowym". I wie pani co? Został mechanikiem. Ona dała mu szansę, a on dał jej miłość dziecka, którego by nigdy nie miała.

Był jeszcze chłopiec z HIV.
Piotruś. Prowadziłam sprawy opiekuńcze jego tacie, który był chory na AIDS. Zmarł. Mama chłopca, też chora, poszła w świat. Piotruś od początku życia był w szpitalu, nie znał innego świata. Miał dwa lata. Dowiedziałyśmy się, że w Belgii jest stowarzyszenie, które jest prekursorem w adopcji dzieci zakażonych wirusem HIV. Skontaktowałyśmy się z nim i szybko się okazało, iż jest rodzina, która chce Piotrusia adoptować. To byli katolicy, mieli czwórkę własnych dzieci i trójkę adoptowanych. Natychmiast włączyła mi się opcja nieufności. Po co im kolejne chore dziecko? Oświadczyłam, że nie oddam Piotra, zanim nie sprawdzę osobiście, jakie mają intencje. Wysiadamy na lotnisku w Belgii, a tam czeka na mnie i Piotrusia cała rodzina. Mama, tata i siódemka dzieci. Najstarsza dziewczynka, Emilka, z porażeniem czterokończynowym, niemowa, siedzi na wózku inwalidzkim. Trzymają wielką kartkę z napisem „PIOTR".

I jak się rozwinęła ta znajomość?
Dobrze. A ja sobie uświadomiłam, że mamy wielką lekcję do odrobienia. W tej podejrzewanej przeze mnie o nieczyste intencje rodzinie najfajniejsze było to, że wszystkie osoby były zaangażowane w jej życie. Już pierwsza kolacja zmieniła mój punkt widzenia na temat dzieci niepełnosprawnych. Bo wyglądało to tak: u szczytu stołu, na fotelu, zasiada Emilka. Przypięta pasami, aby nie upadła. A siedzący po jej dwóch stronach mama i tata przytrzymują jej rączki, by się nie gięły pod wpływem spastycznych ruchów. Jedno z nich ją karmi, a reszta zagaduje. U nas normą jest, iż takie „warzywo", jak się mawia o osobach z tak wielką dysfunkcją, jest karmione za pomocą sondy. Tak nawiasem mówiąc, ci Belgowie byli pielęgniarzami z zawodu. I w trakcie tej jednej kolacji nauczyli Piotrusia, jak jeść z łyżeczki. Polegało to na tym, że przysuwali łyżkę do jego ust, a kiedy je otworzył, przyjął jedzenie, cała ekipa biła wielkie brawo. Każde dziecko zrobi wszystko, żeby usłyszeć aplauz.

Co się stało z Piotrusiem, żyje?
Tak, wszystko z nim w porządku, ma 18 lat, medycyna poszła do przodu. Inaczej było z Łukaszem, to także był mały chłopczyk, z podobnymi przejściami, jak Piotruś. Tyle że on był już chory na AIDS. Także jego zapragnęła zaadoptować belgijska rodzina. Też byłam nieufna, spotkałam się z potencjalnym ojcem i dopytywałam, dlaczego chce wziąć chłopca, który pewnie długo nie pożyje. Odpowiedział: „Bo jeśli go zostawię, to umrze sam w domu dziecka albo szpitalu. Jeśli stworzę mu rodzinę, to może zdarzy się cud i wyzdrowieje. Ale jeśli nawet musi umrzeć, to nie będzie odchodził sam i w strachu. Będziemy z nim, trzymając go za rączki". I tak Łukasz umarł. Szczęśliwy, z kochającymi go ludźmi przy sobie.

A czy zdarzają się próby unieważnienia adopcji?
To bardzo bolesny temat. Ale ja nigdy nie prowadziłam sprawy, czy to krajowej, czy zagranicznej, która miałaby się zakończyć rozwiązaniem przysposobienia. Ja uważam, że jeśli ktoś przyjął dziecko pod swój dach, to jest to tak samo, jakby je urodził. Biologiczne dzieci także sprawiają kłopoty, nie zawsze spełniają nasze oczekiwania. I co, czy kiedy robią te wszystkie złe rzeczy, przestają być naszymi dziećmi? Nie. Obawiam się, że jest trochę tak, że kiedy dorośli ludzie decydują się na to, aby przysposobić dziecko, czują, że zrobili coś bardzo ważnego i dobrego. I tak jest. Ale nie należy w zamian niczego oczekiwać. W każdym razie niczego więcej, niż oczekiwalibyśmy od rodzonych dzieci. Poza tym, że są. A już na pewno wdzięczności. To my powinniśmy być wdzięczni, że dzięki nim mogliśmy być rodzicami. ©℗

Spotkałam się z potencjalnym ojcem, Belgiem, i dopytywałam, dlaczego chce wziąć chłopca, który ma AIDS i pewnie długo nie pożyje. Odpowiedział: „Bo jeśli go zostawię, to umrze sam. Jeśli stworzę mu rodzinę, to może zdarzy się cud i wyzdrowieje. Ale jeśli nawet musi umrzeć, to nie będzie odchodził sam i w strachu. Będziemy z nim, trzymając go za rączki". I tak Łukasz umarł. Szczęśliwy, z kochającymi go ludźmi przy sobie

PREZENTACJA

Partner

PRZYBLIŻANIE ELEKTROMOBILNOŚCI

„Na tym świecie pewne są tylko śmierć i podatki" – to wielokrotnie parafrazowane stwierdzenie Benjamina Franklina możemy uzupełnić o trzeci niepodważalny element – elektromobilność. Jego autor – wynalazca piorunochronu i badacz zjawisk elektrycznych – nie miałby zapewne nic przeciwko temu.

Elektromobilność to już znak naszych czasów, ale też wciąż wyzwanie – mówi Jacek Drogosz, prezes Holdingu 1. – Powszechne jest przekonanie o jej zaletach, ale równocześnie także świadomość barier ograniczających jej rozwój. Odpowiedzią na część z czynników hamujących rozwój elektryfikacji motorynku jest naszym zdaniem mikromobilność, dlatego zdecydowaliśmy się na wprowadzenie tego segmentu nad Wisłę i utworzenie pierwszego w Polsce podmiotu sprofilowanego na mikromobilność – uzasadnia.
Spółka Electric Vehicles Poland (EVP) będzie się specjalizować w sprzedaży i serwisowaniu całkowicie elektrycznych mikrosamochodów. Pierwszą umowę importerską EVP podpisała z ZHIDOU Electric Vehicle, producentem aut należącym do holdingu Geely (właściciela m.in. marek Volvo i Lotus). W wyniku tej umowy na polski rynek trafił samochód ZD. Wprawdzie nawet Benjamin Franklin nie zasiliłby go energią z wyładowań atmosferycznych, ale my możemy ładować go ze zwykłych gniazdek.

Samochód właściwy na nasze czasy

Na przykładzie ZD łatwo docenić zalety elektromobilności. Samochód jest odpowiednio szybki i zwinny, może poruszać się buspasem i parkować w strefach płatnych za darmo, a koszt przejechania nim 100 km można porównać z kosztem zakupu... filiżanki kawy.
Z Warszawskiego Badania Ruchu wynika, że na jeden samochód w stolicy przypada średnio 1,3 przemieszczającej się nim osoby. Średnia prędkość w centrach większości największych polskich miast w 2017 r. nie przekroczyła 30 km/h (analizy systemu Janosik). Te dane są mocnym potwierdzeniem, że wykorzystanie mikrosamochodów może być optymalnym rozwiązaniem w polityce flotowej wielu firm i instytucji funkcjonujących w miastach. Tworzący kategorię „mikromobilność" dwumiejscowy ZD nie tylko będzie korzystał z przywilejów nadanych autom elektrycznym, lecz także przyniesie oszczędności w eksploatacji, bo przecież dzięki mniejszemu zapotrzebowaniu energetycznemu przejedzie każde 100 km znacząco taniej (za 3,70 zł przy ładowaniu w taryfie nocnej – G12). Ze względu natomiast na kompaktowe wymiary łatwiej będzie znaleźć miejsce do zaparkowania. Podróż zaś upłynie nam w wysmakowanym, nowoczesnym wnętrzu. Tapicerka z ekoskóry z gustownymi wstawkami buduje nastrój ekskluzywności, natomiast funkcjonalne multimedia zapewniają komfortowy kontakt ze światem zewnętrznym. Samochód jest bowiem wyposażony w nawigację, łączność Bluetooth oraz hotspot Wi-Fi.

Usuwanie barier rozwoju elektromobilności

Jak pokazują badania, do elektromobilności zniechęcają klientów przede wszystkim cztery czynniki: niedostatek stacji ładowania, cena, niska wartość samochodu elektrycznego przy odsprzedaży (wiążąca się m.in. z obawami o trwałość baterii) oraz trudne do przewidzenia koszty obsługi technicznej. Mikromobilność w formie proponowanej przez spółkę EVP wiąże się z ograniczeniem znaczenia tych czynników.
– Obawy rozwiewamy, część barier usuwamy, ponieważ oferujemy klientom biznesowym oraz indywidualnym wynajem samochodów ZD. W cenie usługi jest zawarte finansowanie, amortyzacja, pełne ubezpieczenie, samochód zastępczy, serwis wraz z częściami zamiennymi, obejmujący także bezpłatną wymianę baterii, jeśli te utracą swoją skuteczność – mówi Mateusz Wiślański, dyrektor EVP.
Z wyliczeń EVP wynika, że przy średnim miesięcznym przebiegu na poziomie 2000 km koszt jazdy (ładowanie po stawkach taryfy nocnej G12) wynosi niespełna 75 zł netto miesięcznie, czyli niecałe 900 zł rocznie. Korzystanie w tym samym okresie z samochodu spalinowego, zużywającego w mieście 9 l/100 km, oznacza 10-krotnie wyższy koszt jazdy. Użytkownik ZD D2S zaoszczędzi zatem w ciągu roku 8100 zł netto. Dodatkowe (niemałe!) oszczędności wynikają z bezpłatnego parkowania w strefach płatnych dla samochodów spalinowych.
Mikrosamochód ZD jawi się jako znakomite rozwiązanie transportowe dla wszystkich potrafiących liczyć, którzy pokonują w miejskich korkach co najmniej kilkadziesiąt kilometrów dziennie. Korzyści wynikające z niskich kosztów eksploatacji najszybciej znajdą odzwierciedlenie w budżetach firm działających w miastach oraz budżetach organów administracji publicznej. EVP już uruchomiła biura sprzedaży samochodów ZD w Krakowie oraz Warszawie. Szczegółowe informacje o samochodzie są też dostępne na stronie www.zdpoland.pl oraz pod numerem infolinii 123 000 050.

Władysław Adamczyk

fot. Sergei Ilnitsky/EPA/PAP

Gdzie są LEGO z dawnych lat

Przed świętami Bożego Narodzenia w każdej sekundzie na świecie sprzedawanych jest prawie 30 zestawów Lego. **Żółte ludziki opanowały świat.** Ale duńskie klocki to także przykład, że kreatywność wśród dzieci – i niestety przede wszystkim wśród rodziców – umiera

Kamila Dzierzgowska
Patryk Słowik

Niedawno kupiliśmy komuś na prezent zestaw Lego. Szpital. 871 elementów, w pakiecie licząca 180 stron instrukcja. Jeszcze dwie dekady temu wytyczne do zestawów składających się z od 880 do 1100 klocków miały od 46 do 54 stron. Na ilustracjach pokazywano tylko najważniejsze kroki, pomagające ułożyć z rozsypanych cegiełek zabawkę widniejącą na pudełku. Dziś składający jest prowadzony za rękę. W przypadku niektórych instrukcji rysunki klocków mają naturalną wielkość – można przyłożyć do nich dany element i porównać rozmiar. Skąd ta zmiana?

– Miało to na celu ułatwienie budowania. Dzieci mają teraz dużo więcej rzeczy, które mogą odwrócić ich uwagę. Producenci doszli do wniosku, że maluchy nie mogą zbyt szybko zniechęcić się do zabawy Lego, uznać, że to za trudne, i rzucić zabawki w kąt – wyjaśnia Marek „M_Longer" Markiewicz, AFOL (Adult Fan of Lego, czyli dorosły fan Lego). On sam od dawna jest na innym poziomie zaawansowania – ma ponad 130 tys. klocków, z których tworzy budowle wymyślone przez siebie, a nie przez producenta.

Zapomnij o instrukcji

Dzieciaki zniechęcają się bardzo szybko. Jeden z pracowników sieci sklepów Smyk mówi nam, że co rusz trafia na niezadowolonych rodziców, którzy kupili swoim pociechom klocki. Dzieci zaś nie potrafią ich ułożyć.

– Pytam, czy brakuje jakichś elementów. A może część jest uszkodzona... Okazuje się, że nic z tych rzeczy. Zdarza się, choć coraz rzadziej, że instrukcja w którymś miejscu pozostawia zbyt duże pole do własnego działania, a nie pod szablon. Dzieci się gubią i denerwują, rodzice więc również zaczynają się denerwować. Zamiast wspólnie usiąść i zastanowić się, który element teraz by pasował, część przychodzi z reklamacją do sklepu – wyjaśnia nasz rozmówca.

Eksperci wskazują, że choć łatwo postawić tezę o tym, iż to dzieci są coraz mniej kreatywne, to przecież nie najmłodsi są tu winni, lecz rodzice. Instrukcja stanowi substytut dla czasu, który dorosły powinien poświęcić swej latorośli, by wspólnie złożyć klocki. Samodzielne odtwarzanie naszkicowanych modeli nie rozwinie bowiem wyobraźni malucha. Ta budzi się dopiero w chwili zamknięcia instrukcji. Najmłodsi potrzebu-

fot. Martin Divisek/Bloomberg

ją jednak dodatkowego bodźca – wsparcia rodzica i wskazania, że żółte kwiatki mogą być też gwiazdą na niebie.

– Przygoda z klockami nie powinna opierać się na instrukcjach. Odtwarzanie rzeczywistości, odwzorowywanie otoczenia, inspiracje czerpane od rodziców – to pobudza wyobraźnię. W teorii waldorfskiej (wychowanie postrzegane jest jako sztuka, kreatywna edukacja i wielozmysłowe uczenie się – red.) dziecko naśladuje swoich opiekunów, więc tutaj duży wpływ na tworzenie ma na pewno najbliższe otoczenie. Nie instrukcja, ale towarzystwo i bliskość rodzica, rodzeństwa i chęć rozwoju poprzez zabawę są istotne – wskazuje Zuzanna Grausch, projektantka, absolwentka poznańskiej School of Form, aktualnie studentka na uczelni Nuova Accademia di Belle Arti w Mediolanie.

Dziecko do rozbudzenia kreatywności nie potrzebuje więc pięknie przygotowanej książeczki ze schematycznym rozpisaniem działania, a jedynie wsparcia bliskich i nieco większej swobody. W przypadku dysproporcji między rodzeństwem, gdzie jeden maluch jest bardziej kreatywny, to ten o mniejszej wyobraźni uczy się, jak się rozwinąć, od tego bardziej twórczego.

Zarazem rodzice nie mogą usztywniać dzieci. Jeszcze gorszy od nieobecnego przy układaniu zestawu rodzica może być ten, który będzie naciskał na trzymanie się szablonowego rozwiązania i upierał, że wszystko musi być zrobione pod instrukcję.

– Rodzic sztywno przywiązany do porządku i zasad może naciskać na poprawne odwzorowywanie instrukcji, ponieważ oczekuje określonych efektów. Opiekun elastyczny, spontaniczny, nastawiony na bycie z dzieckiem i czerpiący radość z zabawy z nim, docenia oryginalne pomysły i tworzenie własnych konstrukcji – wskazuje Kinga Żołnowska, psycholog dziecięcy. I dodaje, że oczywiście lepiej być tym drugim. Przede wszystkim lepiej dla samych dzieci. Badania, przeprowadzone przez naukowców NASA, które cytuje Żołnowska, pokazują, że im bardziej wzrastają wiek i doświadczenie edukacyjne dziecka, tym jego kreatywność maleje. I choć aż 98 proc. cztero- i pięciolatków posiada umiejętność generowania innowacyjnych pomysłów, to zdolność tę obserwujemy jedynie u 30 proc. 10-latków i 12 proc. 15-latków.

– Wynika to ze specyfiki tradycyjnego szkolnictwa, lecz także z rozwoju społecznego, w toku którego nabywane są zasady, ramy i ograniczenia – wskazuje psycholog.

– Poza tym popularne dziś ukierunkowanie przez rodziców też może stopować wyobraźnię. W momencie gdy dziecko ma w swoim planie zajęcia szkolne, następnie dodatkowe kursy, odrabianie lekcji, na rozwój kreatywności nie ma już wtedy ani miejsca, ani sił – zauważa Marek Markiewicz.

Zresztą są naukowcy, którzy postanowili udowodnić, jak się ma sposób układania klocków Lego do kreatywności. Page Moreau i Marit Gundersen Engeset na łamach „Journal of Marketing Research" wykazały, że młodzi ludzie, którzy dostali za zadanie ułożenie klocków Lego poprzez samodzielne dochodzenie do rezultatu, poradzili sobie następnie lepiej z wykonywaniem zadań wymagających kreatywności niżeli grupa, która działała krok po kroku zgodnie z instrukcją. Zdaniem autorek opracowania układanie klocków Lego może być fantastycznym ćwiczeniem umysłowym – pod warunkiem że będzie to działanie twórcze, a nie odtwórcze.

Swoją drogą, na łamach „Psychology Today" dostrzeżono prostą analogię. Osoba, która jeździ wszędzie samochodem przy wykorzystaniu GPS, będzie się statystycznie gorzej orientowała w terenie niż ktoś, kto z nawigacji korzysta jedynie okazjonalnie. I tak samo: dziecko, które choćby przez kilkanaście minut dziennie coś tworzy, będzie sprawniejsze w poszukiwaniu kreatywnych rozwiązań zawiłych problemów niż szkrab, który działa jedynie schematycznie. Gdy bowiem ten ostatni zostanie pozbawiony schematu, nie będzie w stanie podjąć żadnego działania.

Dach to dach, mur to mur

Ale odbiegliśmy od samych klocków. Czy zastanawiacie się, dlaczego kiedyś zestawy Lego składały się z mniejszej liczby kolorów niż obecnie? Najpopularniejsza odpowiedź naszych znajomych: rozwój technologii i większe możliwości taniej produkcji kolorowych cegiełek. Pudło! Dostajemy w opakowaniach coraz więcej kolorowych elementów, by szybciej można było je odróżniać od siebie. I tym samym łatwiej układać.

– Zestawy są kolorystyczną jajecznicą. Dwa dominujące kolory i dodatkowo 2–3 elementy kontrastujące, co pomaga zbudowanie głównego modelu. Lego stara się tym ułatwić dziecku budowę. Nie trzeba szukać, liczyć i dokładnie sprawdzać w instrukcji, gdzie dany element ma się znajdować – potwierdza Marek Markiewicz.

Z tego samego względu dziś klocki w pudełku znajdują się w kilku workach strunowych. Niemal nikomu nie przychodzi już do głowy tak szalony pomysł, by wszystkie wysypać z folii w jedno miejsce i wymieszać. Przecież to utrudniłoby składanie.

Zresztą, co raz złożone, takie powinno pozostać na wieki wieków. Markiewicz opowiada, że kilka lat temu jeden z jego kolegów spytał, czym klei klocki. Syn znajomego bowiem, gdy tylko coś zbudował, to mu się to rozpadało. A gdyby skleić, byłby spokój.

– Kilka razy ktoś pytał mnie, jak kleić klocki. Dużo częściej jednak ludzie pytają o klejenie puzzli. To drugie jeszcze rozumiem. To pierwsze traktowałem na początku jako żart. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że oni poważnie się nad tym zastanawiają – wskazuje pracownik sklepu zabawkarskiego.

Idźmy dalej. Co jeszcze rzuca się w oczy po wyjęciu klocków z pudła? Otóż to, ich kształt! Oddajmy na chwilę głos użytkownikowi size z portalu Wykop.pl, na którym niedawno rozgorzała dyskusja o tym, jak zmieniło się Lego na przestrzeni lat.

„Kiedyś w Legolandzie miałeś jeden rodzaj podwozia, dwa rodzaje kółek i z tego budowało się wszystkie pojazdy – osobówki, jeepy, ciężarówki itd. Dziś samych kółek i podwozi jest kilka różnych rodzajów, a do tego nie

Dziś rozrywka nastawiona jest na łatwość, konsumpcję i szybkość. Nie bez powodu Lego postanowiło wejść w rynek cyfrowy i klocki można układać także w smartfonie

PREZENTACJA

Partner

SIEĆ 5G DLA ZDROWIA LUDZI

FOT. SHUTTERSTOCK

Sieć komórkowa nowej generacji wpłynie na całe nasze życie. Dziś trudno sobie wyobrazić, jak bardzo, ale kilka sposobów jej wykorzystania już teraz jawi się jako kluczowe. Może np. uchronić zdrowie, a nawet ocalić ludzkie życie

Żyjemy coraz dłużej i mamy coraz większe oczekiwania wobec życia. Na początku XX w. średnia oczekiwana długość życia wynosiła zaledwie 31 lat. To oczywiście ujęcie statystyczne, które nie oznacza, że większość ludzi żyła tak krótko. Pokazuje jednak, jak błyskawicznie zmieniło się nasze życie – w 2010 r. średnia światowa wyniosła już 67,5 roku, a w 2015 r. – 71. Co więcej, prognozowana średnia na 2030 r. to aż 75 lat (wg „CIA-The World Factbook: Rank Order – Life expectancy at birth"). W porównaniu z pokoleniem naszych dziadków czy pradziadków dłużej też pozostajemy aktywni – nie tylko zawodowo. Zwiększająca się długość życia już nas nie satysfakcjonuje – oczekujemy, że będzie ono upływać w zdrowiu i komforcie. To wyzwanie – także w obliczu zwiększającej się światowej populacji.

Rozwiązaniem przynajmniej części problemów wieku starszego mogą się okazać technologie oparte właśnie na supernowoczesnej łączności radiowej. Ponieważ sieć piątej generacji zapewni przesyłanie danych praktycznie w czasie rzeczywistym, możliwe będzie wprowadzenie do powszechnego użytku systemów, które dziś już wprawdzie w wielu przypadkach istnieją, lecz nie są niezawodne i przez wielu bywają traktowane jak gadżety. E-health ma się stać podstawą profilaktyki i leczenia wielu poważnych przypadłości. Dzisiejsze aplikacje typu wellness – zliczające kroki czy liczbę spożytych w ciągu dnia kalorii – przestaną podawać informacje tylko bezpośrednio zainteresowanemu. Będą mogły być miarodajnym źródłem danych dla lekarzy, a także służyć dokładnie wycelowanej w problemy konkretnego pacjenta profilaktyce.

Technologia posłuży również diagnostyce i nawet bardzo skomplikowanemu i wysoko specjalistycznemu leczeniu. Wyobraźmy sobie np. pacjenta chorego na cukrzycę. Wyniki pomiaru poziomu cukru we krwi będą natychmiast dostępne, a w razie kryzysu uruchomi się alarm i pomoc (np. do samotnego pacjenta wpadającego w śpiączkę cukrzycową) będzie mogła dotrzeć o wiele szybciej. Inne schorzenie, o którym wiemy, że jest coraz bardziej powszechne, a jednak dziś trudne do zdiagnozowania, to obturacyjny bezdech senny. Mówimy o nim, gdy epizody zatrzymania się lub znaczącego ograniczenia przepływu powietrza przez drogi oddechowe trwają dłużej niż 10 sekund i powtarzają się wielokrotnie (definicja American Academy of Sleep Medicine). Bezdechom i spłyceniom oddychania towarzyszy spadek saturacji o 4 proc. w porównaniu z nasyceniem krwi tlenem z okresu czuwania. Taki spadek to de facto podduszenie organizmu, które wywołuje uczucie zmęczenia, bóle głowy, trudności z koncentracją czy spadek potencji u mężczyzn. Efektem może być jednak nie tylko dyskomfort – to także zagrożenie dla życia cierpiącego na bezdech i innych. Osoby, które dotyka bezdech, częściej są nieświadomymi sprawcami wypadków drogowych (zaśnięcia za kierownicą). W przypadku tego schorzenia kluczowa jest diagnostyka – pacjenci najczęściej zupełnie nie mają świadomości, że cierpią na bezdech! Monitorowanie jakości snu i oddechu w nocy wydaje się tu kluczowe, a sieć 5g będzie idealnym narzędziem do zdalnej diagnostyki.

Dzięki sieci 5G rozwiną się technologie zdalnego monitorowania zdrowia pacjentów przez 24 godziny na dobę – np. pracy serca. Lekarze czy opiekunowie będą mogli kontrolować dawkowanie leków czy prowadzić monitoring upadku (dla osób starszych, z niedowładami lub z chorobami serca), zbyt długiego siedzenia itd. Profilaktyka i diagnostyka to jednak nie wszystko. Sieć 5G wesprze również realizowanie najbardziej skomplikowanych zabiegów medycznych. Zachowanie stałych opóźnień pozwoli na zdalne wykonywanie najbardziej skomplikowanych zabiegów medycznych z udziałem robotów. To pozwoli na głęboką specjalizację poszczególnych lekarzy mogących realizować zadania na całym świecie bez potrzeby przemieszczania się, jak również na błyskawiczne włączenie się w zabieg lekarzy innych specjalizacji w razie zajścia takiej potrzeby. Całość obrazu uzupełnią drony, które mogą odegrać kluczową rolę w transporcie krwi czy organów.

wszystkie ze sobą współpracują (różne ośki)" – zauważył internauta. Faktem jest, że dzięki temu zestawy lepiej wyglądają, są bardziej zróżnicowane.

Coraz więcej klocków jest do jednorazowego użytku. Dawniej dach samochodu budowało się z tych samych elementów co drzwi tegoż samochodu czy szkolny mur. Dziś dach wygląda jak dach (często jego podstawą jest jeden duży element), drzwi jak drzwi, a mur to mur. Jest ładniej. I z mniejszą liczbą możliwości układania różnych rzeczy z tych samych cegiełek.

„Ale moim zdaniem to jest wada, bo dziecko, poznając świat Lego, nie widzi tego ogromu możliwości, co kiedyś" – dostrzega internauta size.

– Choć zarzucamy producentowi Lego spłycanie wyobraźni maluchów, to zwróćmy dodatkowo uwagę na Legolandy. W parkach tworzone są strefy kreatywne. Te „białe obszary" to miejsca, gdzie z białych klocków można budować wszystko. W strefach nie ma żadnej instrukcji, wskazówki, jedynie kilka inspiracji, budowli stworzonych przez inne dziecko lub pracownika parku – zauważa Tomasz Wolski, były pracownik Legolandu w Dubaju.

Przed laty tył opakowania Lego pokazywał alternatywne modele, które można było zbudować z elementów znajdujących się w zestawie. Kupowało się np. klocki, z których można było stworzyć zamek, ale nic nie stało na przeszkodzie, by powstała katapulta albo średniowieczny dyliżans.

– Niestety, alternatywne modele zostały usunięte z opakowań większości zestawów. Szkoda, gdyż motywowały one do działania, do prób tworzenia własnych konstrukcji. I nawet gdy dziecku nie udawało się odtworzyć jeden do jednego tego, co pokazano na tyle opakowania, to wiele dzieciaków miało dużą frajdę – twierdzi Markiewicz.

Ale i wiele z nich oraz rodziców było niezadowolonych. Powód? – Rodzice wydzwaniali do obsługi klienta Lego, że dzieci chcą się bawić modelami pokazanymi z tyłu pudełka, ale nie mogą tego zbudować, więc domagają się instrukcji – wyjaśnia Markiewicz. I dodaje, że proces tworzenia instrukcji jest długi i kosztowny, więc producent po prostu pozbył się dodatkowych zachęt do kreatywności i ma spokój.

– A obecna generacja dzieci nawet nie wie, że takie modele alternatywne istniały, zaś jedyne, co można znaleźć teraz na tyle pudełka, to kilka zdjęć pokazujących, co jest w zestawie – dodaje Marek Markiewicz. Choć, rzecz jasna, nadal z wielu zestawów – mimo coraz bardziej wyspecjalizowanych klocków – można ułożyć coś innego, niż sugeruje producent.

Dla jasności: wyżej wskazane ułatwienia dotyczą nie tylko zestawów dla małych dzieci. Tak samo jest z tymi dla 16-latków.

Klocki ze smartfona

Pojawia się pytanie: czy to Lego zabija kreatywność, czy duńska firma po prostu dopasowuje się do wymagań świata XXI w.? Wszystko wskazuje na to, że to drugie.

Staraliśmy się zadać to pytanie producentowi, jednak poza działem obsługi klienta, z którym udało nam się skontaktować bez problemu, nie otrzymaliśmy do tej pory żadnej odpowiedzi. – Dołączone do zestawów instrukcje mają być tylko wskazówką dla dziecka. To do małego konstruktora należy decyzja, czy postępuje zgodnie z wytycznymi. Model tworzy się w oku budowniczego, a zadowolenie z każdej budowli, nawet tej powstałej z kilku cegiełek, powinno być postrzegane jako sukces – podkreśla Katherin, doradca działu klienta Lego.

Najważniejsze słowo dla twórców potęgi klockarskiego giganta to: system. Sposób łączenia klocków ze sobą został opatentowany w 1958 r. Chodzi o dziurki w dolnej części klocka, które pozwalają łączyć go z wypustkami u góry innej cegiełki. Od 60 lat sposób układania klocków się nie zmienia. I nic nie stoi na przeszkodzie, by elementy z zestawu rozpakowanego dziś połączyć z elementami z lat 70. Twórcy Lego widzą w tym swoją siłę. Która paradoksalnie słabnie z uwagi na rynkowe zapotrzebowanie. W 2014 r. ukazał się pełnometrażowy film „Lego Przygoda". W największym uproszczeniu jest on po prostu pochwałą kreatywności. Pokazuje jako dobre to, czym Lego przestaje być dla ludzi. Wytyka zaś to, czym Lego się staje – czyli jednorazową zabawką lądującą na półce.

W Domu Lego w Billund kluczową ekspozycją jest „Drzewo Kreatywności". Twórcy Lego naprawdę chcieliby, aby ich klocki były układane na setki różnych sposobów. Mitem jest, że wówczas spadłyby przychody grupy. One zależą bowiem najbardziej od specjalnych serii: od Lego Star Wars, przez Bionicle, po Ninjago. Nie byłoby więc tak, że dzieci układające trzy rzeczy z jednego zestawu przestałyby zachęcać rodziców do kolejnych zakupów. Producent zresztą od dawna wspiera różne konkursy zmierzające do pobudzania kreatywności wśród dzieci. Polityka cenowa jest także ułożona w ten sposób, że znacznie bardziej opłacalny jest zakup kreatywnego pudełka klocków niż opakowania służącego zbudowaniu rzeczy określonej z góry przez duńską firmą.

Nie bez znaczenia jest to, że kiedyś, przynajmniej w Polsce, dostęp do Lego był znacznie mniejszy niż obecnie. Dziecko przy użyciu kilku zestawów tworzyło kilka innowacyjnych modeli, kombinowało. Dziś nadmiar może przytłaczać i rozleniwiać.

– Dawniej było tak, że jeśli dziecko nie mogło dostać tego, o czym marzyło, musiało siłą rzeczy użyć wyobraźni i stworzyć dla siebie zamiennik. Obecnie większość zestawów jest w zasięgu; nawet jeśli nie rodziców, to wujostwa, dziadków. W efekcie zakup kilku sporych zestawów rocznie nie jest niczym nadzwyczajnym – dostrzega Markiewicz.

Pytanie więc brzmi, czy możliwy jest powrót do tego, co było – kreatywności. Wiele wskazuje na to, że nie. Zaczyna wygrywać inny rodzaj rozrywki. Nastawiony bardziej na konsumpcję, szybkość, łatwość i wielość zabawek. Nie bez powodu Lego postanowiło wejść w rynek cyfrowy i klocki można układać już nie tylko na podłodze, lecz także w smartfonie. Nadal jednak ci, którzy tylko tego chcą i mają zaledwie sześć najbardziej podstawowych cegiełek Lego o wymiarach 2 x 4, mogą je połączyć na 915 mln sposobów. ©℗

Aż 98 proc. cztero- i pięciolatków posiada umiejętność generowania innowacyjnych pomysłów, ale zdolność tę obserwujemy jedynie u 12 proc. 15-latków

DGP historia

POWSTANIE WIELKOPOLSKIE

Dni wolności i godności	str. 60–63
Sylwetki bohaterów	str. 63–67
Bitwy, które przesądziły o losach zrywu	str. 68
Powstanie (nie)zapomniane	str. 70
Symbole, które odżyły	str. 70
Kalendarium powstania	str. 61–71

Grafika z wydania specjalnego „Ilustracji Polskiej" z 1936 roku, poświęconego Powstaniu Wielkopolskiemu

Dodatek do nr. gwiazdkowego „Ilustracji Polskiej" r. 1936.
Druk: Drukarnia Polska S. A., Poznan

Rys. art. malarz Leon Prauzinski

Gwiazdka 1918 r.

Dni wol
i godn

Gdy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia rozeszła się wiadomość, że Niemcy nie wpuszczą Ignacego Paderewskiego do Poznania, kto żyw ruszył na Dworzec Cesarski. Ludzie czuli, że zbliża się wielka chwila, chociaż nikt nie miał pojęcia, co wkrótce może się wydarzyć

Kiedy 11 listopada 1918 r. podpisano rozejm kończący I wojnę światową, a w Warszawie ogłoszono powstanie niepodległej Polski, Wielkopolska wciąż pozostawała formalnie i prawnie częścią Niemiec. Nie było o niej mowy w akcie z 5 listopada 1916 r., ogłoszonym przez cesarzy niemieckiego i austro-węgierskiego, który zapowiadał utworzenie na terenach zabranych Rosji państwa polskiego, ani w żadnym innym dokumencie. W sytuacji rozejmu i uzależnienia przebiegu granic od decyzji aliantów, nowo powstała Polska nie była w stanie zbrojnie odebrać ziem zaboru pruskiego. Jedyną nadzieją dla Wielkopolan na przyłączenie do ojczyzny pozostawało korzystne rozstrzygnięcie na planowanej konferencji pokojowej w Paryżu – albo zbrojne powstanie.

Do negocjacji w sprawie przyszłych granic odrodzonej Rzeczypospolitej przygotowywał się Komitet Narodowy Polski Romana Dmowskiego. Tymczasem w Wielkopolsce narastało wrzenie. Abdykacja cesarza Wilhelma II, wybuch rewolucji listopadowej w Niemczech, rozprzężenie w armii, w której władzę zaczęły przejmować rady żołnierskie – wszystko to powodowało upadek autorytetu pruskich władz. W Środzie na wieść o powstaniu niepodległej Rzeczpospolitej 11 listopada Polacy przejęli kontrolę nad miastem, wykluczając Niemców z udziału w radach żołnierskich i robotniczych. Podobnie było w Śremie i Ostrowie, a także w Poznaniu, gdzie tego samego dnia Naczelna Rada Ludowa – najważniejsza polityczna organizacja Polaków w zaborze pruskim – mianowała nadburmistrzem Jarogniewa Drwęskiego.

W zdominowanych przez Polaków miastach Wielkopolski – a takich była zdecydowana większość – pojawiły się biało-czerwone flagi i orły. Poznań przybrał narodowe barwy 3 grudnia 1918 r., gdy do miasta zjechało niemal 1400 delegatów ze wszystkich ziem zaboru pruskiego. Utworzyli oni Polski Sejm Dzielnicowy, który zadeklarował wolę połączenia Wielkopolski, Śląska, Pomorza i Kujaw z odrodzoną ojczyzną. Zalegalizował także władzę Naczelnej Rady Ludowej i ogłosił przywrócenie języka polskiego w szkołach.

Włączona do Prus w czasie drugiego rozbioru w 1793 r. Wielkopolska miała bogatą tradycję walki o narodowe prawa – nie tylko tej cywilnej, której symbolem stały się słynne strajki szkolne we Wrześni (to właśnie zainspirowana nimi Maria Konopnicka napisała tekst „Roty"), wóz Drzymały czy skuteczna ekonomiczna rywalizacja z Niemcami. Wielkopolanie mieli też za sobą udział w czterech narodowych powstaniach – w 1794, 1806, 1846 i 1848 roku. Jedno z nich było zwycięskie. Na początku listopada 1806 roku, na wieść o zbliżających się wojskach Napoleona, poznaniacy przejęli władzę w mieście. 6 listopada, gdy do Poznania przyjechali generał Henryk Dąbrowski i Józef Wybicki, po raz pierwszy został tam publicznie odśpiewany na wolnej polskiej ziemi „Mazurek Dąbrowskiego". 9 listopada Polacy przejęli władzę w Kaliszu, a później w Gnieźnie i kolejnych miastach. Zwycięskie powstanie wielkopolskie z 1806 roku przekonało Napoleona, że Polacy są godni mieć własne państwo.

Młodzi ludzie, którzy w listopadzie 1918 roku tworzyli w Wielkopolsce polskie organizacje samoobrony, straże i oddziały paramilitarne, doskonale znali historię sprzed 112 lat. Starsi hamowali ich, każąc czekać na rozstrzygnięcia konferencji w Paryżu. Jednak patriotyczny entuzjazm narastał.

Przemarsz tysięcy dzieci pod poznańskim hotelem Bazar w hołdzie Ignacemu poprzedzających bezpośrednio wybuch powstania

ności
ości

Miasto już od kilku dni przygotowywało się na przyjęcie wielkiego Polaka. 22 grudnia Kurier Poznański zamieścił depeszę Agencji Polskiej w Lozannie, że Paderewski wyruszył z Paryża do Polski i będzie jechał przez Poznań – ludzie zaczęli dekorować okna polskimi chorągiewkami, orzełkami i hasłami. Mobilizowały się stowarzyszenia, cechy, jawne i tajne polskie organizacje. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia „Kurier Poznański" wydał dodatek nadzwyczajny o przypłynięciu Paderewskiego

FOT. ZE ZBIORÓW WIELKOPOLSKIEGO MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W POZNANIU

Paderewskiemu był jednym z wydarzeń

i brytyjskiej misji wojskowej do Gdańska, emocje sięgnęły zenitu. Tego samego dnia wieczorem nadeszła informacja, że jego przyjazd do Poznania planowany jest na piątek 26 grudnia. Droga od dworca do najbardziej reprezentacyjnego w mieście hotelu Bazar została natychmiast udekorowana setkami flag polskich, brytyjskich, francuskich i amerykańskich. Na murach pojawiły się plakaty wzywające wszystkich mieszkańców do stawienia się na tej trasie i uroczystego powitania wielkiego rodaka i zagranicznych gości.

Ale nadchodziły też inne informacje. Wieść, że Sztab Generalny w Berlinie w depeszy wysłanej do niemieckich władz wojskowych w mieście nakazał im uniemożliwienie wizyty Paderewskiego w Poznaniu, jeszcze bardziej podgrzała nastroje. Polskie zbrojne organizacje ogłosiły stan pogotowia i wysłały swoich członków na ulice, by nie dopuścić do przemocy ze strony niemieckiej. Do miasta zaczęły ściągać oddziały Straży Ludowej z okolicznych miejscowości. O tym, że szykuje się konfrontacja, świadczył fakt, że na kilka godzin przed przyjazdem delegacji Niemcy wyłączyli w mieście światło.

Gdy o 21.10 na peron wjechał pociąg z Gdańska, Poznań przedstawiał niezwykły widok. Na dworcu i sąsiednich ulicach stał kilkudziesięciotysięczny tłum z lampionami, latarkami i pochodniami. Przedstawiciele poznańskich cechów i towarzystw przynieśli swoje sztandary. Niemieccy oficerowie, którzy mieli dostarczyć delegacji nakaz opuszczenia miasta, wycofali się, widząc, że nie mają szans.

Niech żyje Polska!

W drzwiach wagonu ukazał się Ignacy Paderewski z małżonką, z tysięcy gardeł wyrwał się okrzyk: „Niech żyje Polska!", „Niech żyje Polski Komitet Narodowy w Paryżu!", „Niech żyje prezydent Wilson i koalicja!". Państwo Paderewscy, niosąc kwiaty wręczone im przez panią Seydową z córką, na czele delegacji ruszyli w stronę dworcowej bramy. Tam czekał już komitet powitalny prezydium Rady Ludowej miasta Poznania.

Po powitaniu Paderewskiego jako delegata Komitetu Narodowego Polski mistrz i jego żona zajęli miejsce w zaprzężonym w cztery konie powozie. Do kolejnych wsiedli pozostali członkowie delegacji. Zaprzęgi ruszyły powoli, przy dźwiękach orkiestr i okrzykach wiwatujących tłumów. Na czele pochodu szedł oddział Straży Ludowej i pluton Służby Straży i Bezpieczeństwa, za nimi Związek Sokołów, dalej oddział honorowy Straży Ludowej w sile 100 ludzi w mundurach i pod bronią, za powozami kolejna grupa ochrony. Owacyjnie witano brytyjskich oficerów. O godzinie 22.15 orszak dotarł do hotelu Bazar, gdzie nastąpiła kolejna seria powitań ze strony delegatów Naczelnej Rady Ludowej i polskiego prezydenta miasta, Jarogniewa Drwęskiego.

Następnie przemówienie wygłosił Ignacy Paderewski. Dziękował za wspaniałe przyjęcie mówiąc, że obiera je jako poparcie dla Komitetu Narodowego Polski, którego on sam jest jedynie symbolem. Zapewniał, że zaszczyt to dla niego tym większy, ponieważ spotyka go na wielkopolskiej ziemi,

Kalendarium powstania

Rok 1918

26 grudnia

Przyjazd wieczorem do Poznania Ignacego Jana Paderewskiego i brytyjskiej misji wojskowej. Przemówienie tego wybitnego pianisty, kompozytora i polityka z okna poznańskiego hotelu Bazar.

27 grudnia

Patriotyczne manifestacje Polaków pod „Bazarem". Niemieckie prowokacje i ostrzelanie hotelu przez żołnierzy. Zbrojna odpowiedź Polaków – około godziny 17. wybucha w Poznaniu powstanie. Informacja o walkach zostaje przekazana na prowincję. Poznańscy powstańcy opanowują m.in. budynki Prezydium Policji i pocztę, przybyłe pociągami kompanie jarocińska i pleszewska zajmują dworzec i zatrzymują niemieckie oddziały zmierzające do centrum miasta.

28 grudnia

Polacy zdobywają m.in. poznańską cytadelę, fort i arsenał. Naczelna Rada Ludowa (NRL) mianuje tymczasowym dowódcą powstania kapitana Stanisława Taczaka. Mieszkańcy Szamotuł i Wrześni przejmują władzę w swoich miastach.

29 grudnia

Polacy opanowują Gniezno, Grodzisk Wielkopolski, Kłecko, Kórnik, Wielichowo i Witkowo. Do Poznania przybywa delegacja rządu pruskiego, która spotyka się z przedstawicielami NRL. W wyniku rozmów odpowiedzialnością za wybuch walk zostaje obciążony niemiecki 6. pułk grenadierów.

30 grudnia

6. pułk grenadierów opuszcza Poznań, powstańcy przejmują jego koszary na Jeżycach. Polacy opanowują Śrem, Wągrowiec i Gołańcz. Powstańcy pokonują w nocnej bitwie pod Zdziechową niemieckie oddziały z Bydgoszczy, wysłane do zajęcia Gniezna.

31 grudnia

Początek polskiej ofensywy w kierunku Kujaw pod dowództwem Pawła Cymsa. Celem jest zajęcie Inowrocławia. Powstańcy opanowują Ostrów Wielkopolski, Kcynię, Kościan i Oborniki.

Rok 1919

1 stycznia

Ignacy Paderewski w drodze do Warszawy wjeżdża do wyzwolonego Ostrowa. Polacy opanowują Jarocin, Krotoszyn, Mogilno i Nakło, przejmując kontrolę nad częścią linii kolejowej z Berlina do Królewca.

2 stycznia

Zajęcie Gostynia i Strzelna, walki w Szubinie. Zacięta bitwa o Nowy Tomyśl, zamieszkały w 90 proc. przez Niemców. Na wieść o zbliżaniu się do Inowrocławia powstańczych oddziałów Pawła Cymsa Polska Organizacja Wojskowa w tym mieście rozpoczyna ataki na niemieckie instytucje.

3 stycznia

Powstańcy zdobywają Nowy Tomyśl. Decyzją Naczelnej Rady Ludowej urząd Naczelnego Prezesa Prowincji Poznańskiej obejmuje Wojciech Trąmpczyński.

4 stycznia

Atak Polaków na niemieckie oddziały z Zbąszyniu. Zacięte walki o miasto, zakończone wycofaniem się powstańców.

5 stycznia

Powstańcy zajmują Czarnków, Jutrosin, Kruszwicę, Miejską Górkę, Strzelno i Wolsztyn, okrążają Rawicz. Trwają walki o Sieraków i Mroczę. Walki o Inowrocław zostają zakończone rozejmem i wycofaniem się niemieckich wojsk z miasta.

6 stycznia

Powstańcy przejmują władzę w Inowrocławiu i Pleszewie. Po 20-minutowym, brawurowym szturmie Polacy zajmują bazę lotniczą we wsi Ławica – ostatni duży garnizon niemiecki w okolicy Poznania. Na Ławicy oraz w hangarach na Winiarach zdobywają ponad 300 samolotów, z których sformowane zostaną pierwsze wielkopolskie eskadry lotnicze. W odwecie niemieckie bombowce z Frankfurtu nad Odrą atakują powstańców pod Nakłem.

7 stycznia

Rozkazem dziennym dowódcy powstania jego teren zostaje podzielony na siedem okręgów wojskowych. Powstańcy zajmują Gostyń i Chodzież. Odwetowe niemieckie bombardowanie Ławicy wywołuje panikę w Poznaniu.

Zaprzysiężenie członków Straży Ludowej, ochotniczej samoobrony, która odegrała wielką rolę w powstaniu. W maju 1919 r. została ona przekształcona w paramilitarną Obronę Krajową

FOT. ZE ZBIORÓW WIELKOPOLSKIEGO MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W POZNANIU

która w odpieraniu obcego nacisku oraz narodowej pracy organizacyjnej i gospodarczej była przykładem dla całej Polski. Na koniec mistrz stwierdził, że niepodległą ojczyznę można odbudować tylko wspólną pracą wszystkich, bez oglądania się na polityczne stronnictwa i podziały. Potem podobne przemówienie Paderewski wygłosił z okna hotelu do stojącego pod nim 50-tysięcznego tłumu.

Następnego dnia poznaniacy znów tłumnie ruszyli pod Bazar. Wzruszającym momentem stał się przemarsz pod hotelem pochodu 20 tys. dzieci. Każde niosło w ręku flagę biało-czerwoną lub z orłem. Przyszły ze wszystkich poznańskich parafii razem z ich proboszczami, a pochód prowadził ksiądz Kazimierz Maliński z łazarskiej parafii pod wezwaniem Matki Bożej Bolesnej. „Najpotężniejszy monarcha nie mógł mieć bardziej królewskiego przyjęcia" – pisał o tym pochodzie „Kurier Poznański". Patriotyczna atmosfera narastała.

Niemcy w kontrnatarciu

Niemcy otrząsnęli się po pierwszym szoku i rozpoczęli przygotowania do kontrakcji. Na terenie ogrodu zoologicznego i koszar 6. pułku grenadierów na Jeżycach zaczęli zbierać się żołnierze i cywilni mieszkańcy. Następnie uformowali pochód i ruszyli przez miasto. W akompaniamencie antypolskich haseł i nacjonalistycznych pieśni rozpoczęło się zrywanie sztandarów i dekoracji. Niemców szczególnie drażniły flagi państw alianckich; brytyjskie, francuskie i amerykańskie, będące dla nich symbolem przegranej wojny. Zaatakowany został udekorowany nimi gmach Naczelnej Rady Ludowej, lokale wzdłuż ulic Świętego Marcina, Wiktorii i Berlińskiej oraz wiele domów prywatnych.

Tuż przed zmrokiem Niemcy ustawili przy Prezydium Policji dwa karabiny maszynowe i rozpoczęli z nich ostrzał hotelu Bazar. Celowali między innymi w okna pokoju, w którym mieszkał Ignacy Paderewski. Tego wieczoru w „Bazarze" miał odbyć się uroczysty bankiet na cześć gości. Gdy kule zaczęły wybijać szyby, dyrektor hotelu, Władysław Kontrowicz, nakazał zabarykadowanie wejścia do budynku, a państwa Paderewskich przeniósł do bezpieczniejszych pokojów na drugim piętrze od strony dziedzińca.

Wśród zebranych w Bazarze polityków, urzędników i działaczy zapanował popłoch. Starano się uspokoić Niemców, wysyłając do nich parlamentariuszy z prośbą o przerwanie ognia. Nic to jednak nie dało.

Powstanie!

Na wieść o strzelaninie pod Bazar zaczęły ściągać z całego miasta uzbrojone polskie oddziały. Pierwsza dotarła tam stuosobowa kompania wildecka Straży Ludowej pod dowództwem 32-letniego Antoniego Wysockiego. Po niej pojawiły się oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej oraz Służby Straży i Bezpieczeństwa. Gdy na miejscu było już około 300 Polaków, rozpoczęła się wymiana ognia, a następnie zmasowany polski ostrzał w stronę Prezydium Policji. W Poznaniu rozpoczęło się powstanie.

Około godziny 17, w czasie wymiany strzałów z broniącymi Prezydium Policji niemieckimi grenadierami, ciężko ranny został 31-letni Franciszek Ratajczak. Kilka godzin później zmarł w szpitalu. Był pierwszą ofiarą powstania.

Otoczeni ze wszystkich stron Niemcy skapitulowali w nocy. Prezydium Policji zostało obsadzone przez Polaków. W ręce powstańców przeszło też muzeum, poczta, dworzec kolejowy, arsenał na Wielkich Garbarach, forty Prittwitza i Raucha, odwachy w różnych częściach miasta i prochownia przy szosie swarzędzkiej. Rozbrojone zostały zmierzające do Poznania koleją niemieckie oddziały. Do Bazaru dotarła kompania z Kórnika, która została wyznaczona na stałą załogę hotelu i przejęła zadanie osobistej ochrony Ignacego Paderewskiego.

Drugiego dnia powstania, 28 grudnia, Polacy zdobyli też poznańską Cytadelę i fort Grolmann, a oddział Franciszka Budzyńskiego i Franciszka Nogaja aresztował generałów Bocka i Schimmelpfeninga z Komendy Generalnej V Korpusu Armii.

Zarówno Naczelna Rada Ludowa, jak i zdominowane przez Niemców rady robotnicze i żołnierskie liczyły jeszcze na uspokojenie sytuacji i zaprzestanie walk. Było już jednak za późno. Rozkazy wydane przez powstańczy sztab Mieczysława Palucha i Bohdana Hulewicza dotarły do Jarocina, Kórnika, Pleszewa, Środy, Śremu, Kłecka i wielu innych miejscowości. Zbrojnym operacjom towarzyszyły działania polskich władz cywilnych; zlikwidowano pruską administrację w Gnieźnie, Wrześni, Szamotułach, Środzie Wielkopolskiej, Pniewie, Opalenicy, Buku i Trzemesznie. Uruchomionego w czasie poznańskich dni godności i wolności ciągu wydarzeń nie dało się już zatrzymać. Wielkie powstanie rozlało się na całą Wielkopolskę. ©℗

Wojciech Korfanty – mózg niepodległościowej konspiracji

Urodził się na Śląsku, w górniczej osadzie Sadzawka (obecnie Siemianowice Śląskie). Aby pierwszy raz przeczytać Pana Tadeusza potrzebował jeszcze słownika polsko-niemieckiego, jednak wkrótce sam zainicjował tworzenie tajnych kółek samokształceniowych, gdzie poznawano polską kulturę i literaturę. W czasach prowadzonej przez niemieckiego kanclerza Otto Bismarcka przymusowej germanizacji stał się jednym z jej największych przeciwników. W późniejszych latach, już jako polityk, Korfanty chodził po ulicy z psem wilczurem, który, jak mówił, był wytresowany tak, że „wyczuwał niemczyznę na kilkadziesiąt metrów".

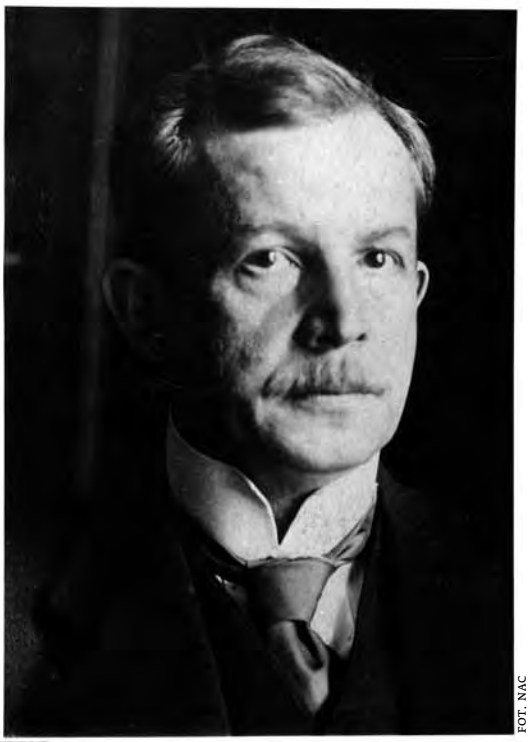

FOT. NAC

Po studiach filozoficznych i ekonomicznych w Berlinie i we Wrocławiu został członkiem prawicowej Ligi Narodowej. Współpracował z Romanem Dmowskim jako redaktor naczelny pisma „Górnoślązak" był skazany przez niemiecki sąd na karę więzienia za publikowane w nim artykuły. W Katowicach założył organ prasowy górnośląskiej endecji „Polak", którego był redaktorem naczelnym i wydawcą. Po odejściu z endecji współtworzył powołane w 1909 roku w Poznaniu Polskie Towarzystwo Demokratyczne. Jego programem było połączenie sił wszystkich Polaków pod zaborem pruskim w celu obrony kultury, języka i narodowej odrębności.

Korfanty był wieloletnim posłem do niemieckiego Reichstagu oraz pruskiego Landtagu. 6 czerwca 1918 r. wygrał wybory uzupełniające do Reichstagu z niemal dwukrotną przewagą nad Benno Nehlertem. Zyskał nawet poparcie Niemców, mimo że opowiadał się za oderwaniem od Rzeszy Śląska, Wielkopolski i części Pomorza. Był już w tym czasie członkiem powstałego w 1916 roku w Poznaniu konspiracyjnego, międzypartyjnego Centralnego Komitetu Obywatelskiego. 11 listopada 1918 r. komitet ujawnił się jako Naczelna Rada Ludowa (NRL). Obradujący w Poznaniu od 3 do 5 grudnia 1918 r. w kinie Apollo Polski Sejm Dzielnicowy – liczące 1399 posłów przedstawicielstwo Polaków z Wielkopolski, Pomorza, Górnego Śląska, Warmii i Mazur oraz skupisk w Niemczech – uznał NRL za legalną polską władzę na terenach zaboru pruskiego. 6 grudnia Rada powołała Komisariat, czyli sześcioosobowy „rząd", w skład którego Korfanty wszedł jako przedstawiciel Śląska. Od razu stał się jednym z najbardziej aktywnych działaczy NRL.

Chociaż wspierał powstawanie w Wielkopolsce zbrojnych polskich organizacji, sprzeciwiał się wybuchowi spontanicznego powstania. Był zwolennikiem zorganizowania polskiego zrywu obejmującego cały zabór pruski w celu odłączenia tych ziem od Niemiec. Nie wierzył jednak, podobnie jak inni politycy NRL, że sukces takiego powstania będzie możliwy bez wsparcia z zewnątrz. Dlatego przy współpracy z Komitetem Narodowym Polskim Romana Dmowskiego, uznawanym przez aliantów przedstawicielstwem Polaków na konferencji pokojowej w Paryżu, opracował plan, w który wtajemniczony został francuski marszałek Ferdynand Foch. Plan zakładał, że powstanie przeciwko Niemcom wybuchnie, gdy do Gdańska dotrze drogą morską wycofywana z Francji „błękitna armia" generała Józefa Hallera. Ta formalnie podporządkowana komitetowi Dmowskiego, 50-tysięczna, doskonale uzbrojona formacja miała wesprzeć zryw, który oprócz Pomorza miał objąć Wielkopolskę i Górny Śląsk. Plan został jednak odkryty przez Niemców i wykorzystany jako antypolski argument na międzynarodowym forum. Przeciwko tranzytowi armii Hallera przez Gdańsk zaprotestowała Wielka Brytania, niechętna osłabianiu Niemiec oraz tajnej polsko-francuskiej operacji.

W grudniu 1918 roku Wojciech Korfanty, podobnie jak reszta członków Naczelnej Rady Ludowej, stawiał więc na pokojowe, „traktatowe" rozwiązanie sprawy przyłączenia ziem zaboru pruskiego do Polski. Jednocześnie aktywnie działał na rzecz tworzenia polskich samorządnych rad ludowych oraz chroniących je organizacji samoobrony. Szybko zyskały one duże wpływy w Wielkopolsce i decydowały o wielu lokalnych sprawach w regionie.

Gdy w podróż do odrodzonej Polski wyruszył z Francji Ignacy Paderewski w towarzystwie przedstawicieli brytyjskiej misji wojskowej, Korfanty stanął na czele komitetu, który pojechał do Gdańska, by powitać gości i zaprosić ich do Poznania. Z pewnością równie ważna była dla niego wizyta w mieście wielkiego Polaka, przedstawiciela Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu, jak i Brytyjczyków, reprezentujących rząd niechętny oderwaniu ziem zaboru pruskiego od Niemiec. Organizując iście królewskie przyjęcie członkom misji, Korfanty liczył na zmianę ich stosunku do Wielkopolski. Nie spodziewał się jednak, że zaproszenie Paderewskiego do Poznania uruchomi lawinę niekontrolowanych wydarzeń.

Po wybuchu walk w Poznaniu i na prowincji Korfanty i inni członkowie NRL chcieli początkowo uspokajać sytuację i uniknąć eskalacji konfliktu z Niemcami. Gdy okazało się to niemożliwe, rada postanowiła przejąć polityczną kontrolę nad zrywem i doprowadzić do skupienia władzy wojskowej w rękach współpracujących z nią ludzi. W porozumieniu z Naczelnikiem Państwa Józefem Piłsudskim,rozpoczęto tworzenie jednolitej Armii Wielkopolskiej pod dowództwem generała Józefa Dowbora-Muśnickiego. Jednocześnie Naczelna Rada Ludowa przejmowała władzę cywilną i wojskową nad opanowanymi przez Polaków terenami.

Po zakończeniu powstania rozpoczęło się uzgodnione pomiędzy NRL a władzami w Warszawie stopniowe włączanie Wielkopolski w ramy odrodzonego państwa. Decyzją Sejmu Ustawodawczego 12 sierpnia 1919 r. powołano Ministerstwo byłej Dzielnicy Pruskiej, na czele którego stanął jeden z członków rady, Władysław Seyda. Tydzień później struktury NRL w Wielkopolsce uległy samorozwiązaniu. Rada nie przestała jednak działać na Górnym Śląsku, gdzie kluczową rolę w przygotowywaniu tam kolejnego powstania odegrał Wojciech Korfanty.

W 1920 roku został Polskim Komisarzem Plebiscytowym na Górnym Śląsku, którego przynależność – decyzją aliantów – miała zostać rozwiązana w wyniku głosowania. Korfanty żarliwie agitował za Polską. Po niekorzystnej dla Polaków interpretacji wyników plebiscytu stanął na czele trzeciego powstania śląskiego.

Ignacy Jan Paderewski – wielki

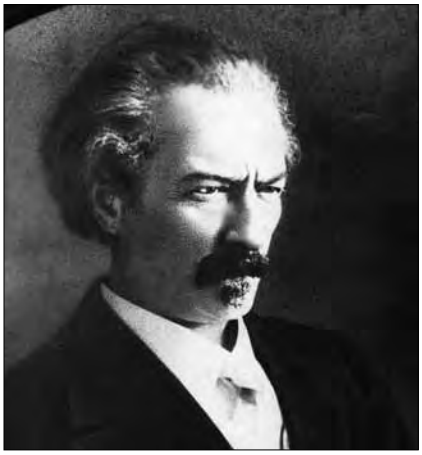

FOT. NAC

Był drugim Polakiem po aktorce Helenie Modrzejewskiej, który zrobił wspaniałą artystyczną karierę w Stanach Zjednoczonych. Nazywano go „mistrzem", „królem pianistów", „największym ze wszystkich", „czarodziejem klawiatury". Jego koncerty budziły entuzjazm, porównywalny tylko z późniejszymi gwiazdami rocka. Paderewski dużą część zarobionej na koncertach fortuny przeznaczał na wspieranie narodowych inicjatyw żyjących pod zaborami Polaków. Za jego pieniądze powstał m.in. pomnik Mickiewicza we Lwowie oraz pomnik Grunwaldzki w Krakowie, ufundowany z okazji 500. rocznicy zwycięstwa nad Krzyżakami.

Gdy wybuchła I wojna światowa, Paderewski razem z Henrykiem Sienkiewiczem założył w Szwajcarii komitet pomocy ofiarom wojny w Polsce, wysyłający do zniszczonego kraju transporty żywności, ubrań i lekarstw. Jednocześnie pianista rozpoczął w USA serię 340 koncertów, propagując na nich ideę niepodległości Polski. Wykorzystał też swoją znajomość z Edwardem Housem, doradcą prezydenta Woodrowa Wilsona. Obiecał mu, że przed wyborami prezydenckimi w 1916 r. będzie namawiał słuchaczy na swoich tournée do wyboru Wilsona na drugą kadencję, jeśli ten obieca, że poprze sprawę niepodległości Polski.

Po zwycięskich (w dużym stopniu dzięki głosom amerykańskiej Polonii) wyborach i przystąpieniu USA do wojny prezydent słowa dotrzymał. W styczniu 1918 r. Wilson przedstawił Kongresowi 14-punktowe orędzie dotyczące powojennego ładu na świecie. Jego 13. punkt mówił o konieczności utworzenia niepodległego państwa polskiego. Orędzie Wilsona stało się później podstawą do rokowań pokojowych pomiędzy aliantami i Niemcami. W tym czasie Paderewski działał już w USA jako przedstawiciel Komitetu Narodowego Polskiego, zajmując się między innymi sprawą stworzenia polskiego wojska w Stanach Zjednoczonych.

Po ogłoszeniu w listopadzie 1918 r. niepodległości Polski, jej sytuacja polityczna była skomplikowana. Komitet Dmowskiego nie uznawał początkowo ani władzy Józefa Piłsudskiego jako Naczelnika Państwa, twierdząc, że objął ją z nadania okupacyjnej Rady Regencyjnej, ani powołanego przez niego lewicowego rządu Jędrzeja Moraczewskiego. Aby doprowadzić do politycznego pojednania Polaków i poprawić sytuację kraju na forum międzynarodowym, Paderewski pod koniec listopada przyjechał z USA do Wielkiej Brytanii. Tam przekonał ministra spraw zagranicznych Balfoura do planu utworzenia w Polsce rządu koalicyjnego i wysłania do Warszawy brytyjskiej misji wojskowej.

W połowie grudnia Paderewski wyjechał do Paryża, gdzie zakomunikował swoją decyzję Romanowi Dmowskiemu. Tydzień później w towarzystwie żony Heleny, swojego sekretarza Sylwina Strakacza, delegata armii Hallera mjr Stefana Iwanowskiego oraz trzech przedstawicieli brytyjskiej misji wojskowej: pułkownika Wade'a, komandora Rawlingsa oraz porucznika Langforda, mistrz wyruszył w podróż do Warszawy. Do Gdańska dotarł 25 grudnia 1918 r. na pokładzie brytyjskiego okrętu HMS Concorde. Tam został uroczyście powitany przez delegacje

Mieczysław Paluch – urodzony

FOT. NAC

Pochodzący z niewielkiej wioski Trzemżal niedaleko Gniezna chłopak wylatywał z hukiem z kolejnych szkół za manifestowanie polskości i przynależność do tajnych organizacji niepodległościowych. Kiedy w końcu udało mu się skończyć studia handlowe w Berlinie, wybuchła wojna i 26-latek został powołany do niemieckiej armii. Służył w artylerii. Ranny w bitwie pod Verdun, leczył się w Poznaniu, by po powrocie do okopów prowadzić aktywną agitację narodową wśród żołnierzy - Polaków. Jesienią 1918 r. zdezerterował i ukrył się w rodzinnych stronach. W listopadzie spotkał w Poznaniu kolegę Bohdana Hulewicza, który przedstawił go Wojciechowi Korfantemu, komisarzowi Naczelnej Rady Ludowej.

Paluch był zwolennikiem tworzenia oddziałów do walki o oderwanie Wielkopolski od niemieckiej Rzeszy. „Musimy mieć zbrojną pięść, którą by Niemcy poczuli, i tak nią huknąć, żeby i w Paryżu, i w Londynie posłyszeli" – zaproponował. 45-letni Korfanty, zwolennik powstania, ale obawiający się radykalnych i ryzykownych działań był pod wrażeniem determinacji Palucha. „Pan jest w gorącej wodzie kąpany, ale zgoda, róbcie wojsko" – odpowiedział. Istniały już wówczas w Wielkopolsce ochotnicze Straże Ludowe, oddziały bojowe Polskiej Organizacji Wojskowej Zaboru Pruskiego oraz stowarzyszenia strzeleckie. Były jednak rozproszone i w większości słabo wyposażone i uzbrojone. Mieczysław Paluch miał inny pomysł.

W połowie listopada 1919 r. Niemcy wydali rozkaz tworzenia jednostek Wacht und Sicherheitsdienst – Służby Straży i Bezpieczeństwa (SSiB). Miały one pełnić służbę wartowniczą we wszystkich garnizonach niemieckiej armii. O ich powołaniu w Poznaniu decydowała miejscowa Rada Żołnierska, złożona wyłącznie z Niemców. Było oczywiste, że będzie ona przeciwna powoływaniu do tej służby Polaków. Paluch i Hulewicz, w eskorcie uzbrojonych bojowników POW, wtargnęli więc na posiedzenie Rady i zażądali miejsca w jej składzie dla siebie i dwóch kolegów. Gdy spotkali się z odmową... zdetonowali granat w sali obrad. Niemcy natychmiast zgodzili się na postawione warunki.

Mając wpływ na decyzje Rady Żołnierskiej, Paluch i Hulewicz rozpoczęli nabór Polaków do SSiB. W ten sposób do utrzymywanej przez niemieckie wojsko straży trafili m.in. członkowie nielegalnej POW i innych polskich organizacji. Dla zmylenia władz w Berlinie do SSiB zapisywano przede wszystkim Polaków o niemiecko brzmiących nazwiskach. Dzięki takim działaniom konspiratorzy nie tylko mieli pod kontrolą niemieckie oddziały stacjonujące w poznańskich fortach, ale mogli też szerzyć wśród nich demoralizującą propagandę, nakłaniając żołnierzy do dezercji i powrotu do domów. W krótkim czasie, na koszt Niemiec, Mieczysław Paluch zorganizował pod swoją komendą w Poznaniu i Wielkopolsce 3 tys. dobrze uzbrojonych i wyposażonych żołnierzy SSiB. Oddziały te odegrały kluczową rolę w pierwszych dniach powstania.

Paluch powołał także Tajny Sztab Wojskowy, który koordynował przygotowania do powstania. Stał się przywódcą bezkompromisowych poznańskich patriotów, z którym liczyć musieli się Korfanty i Naczelna Rada Ludowa.

Gdy 27 grudnia doszło w Poznaniu do niemieckich prowokacji i ataków, jako jedne z pierwszych na ulicach pojawiły się

inspirator

Naczelnej Rady Ludowej z Poznania oraz innych wielkopolskich organizacji z Wojciechem Korfantym na czele.

Większość dnia Paderewski spędził na poufnych naradach z Korfantym, który namawiał go, by przyjechał do Poznania. Chociaż miasto szykowało się na tę wizytę już od kilku dni, było wiadomo, że Niemcy będą robili przeszkody. Taka samowolna akcja na terenach wciąż formalnie należących do Rzeszy mogła skomplikować negocjacje prowadzone przez Polaków w Paryżu. Tego Paderewski obawiał się najbardziej. Sprawę przesądził dostarczony wieczorem list od jednego z komisarzy NRL, księdza Stanisława Adamskiego. Była to znana, wpływowa i niezwykle popularna w Wielkopolsce postać – organizator, wydawca i działacz gospodarczy. Po jego lekturze mistrz oświadczył wszystkim, że następnego dnia udaje się do stolicy Wielkopolski.

Jak można się było spodziewać, podróż odbyła się nie bez przeszkód. Na stacji w Rogoźnie pojawił się niemiecki oficer, kpt. Reiche. Zakomunikował, że MSZ w Berlinie pozwala Paderewskiemu jechać do Warszawy, ale sprzeciwia się jego wyjazdowi do Poznania. W odpowiedzi usłyszał, że delegacja nie ma zamiaru zmieniać swoich planów. Oficer złożył protest i odszedł. Na kolejnej stacji, w Obornikach, na Paderewskiego czekała już polska delegacja, która uroczyście powitała go chlebem i solą. 26 grudnia o godzinie 21.10 pociąg wiozący ekipę wjechał na dworzec w Poznaniu. Tam Niemcy kolejny raz próbowali zawrócić Paderewskiego, wysyłając pięciu oficerów z depeszą nakazującą mu opuszczenie miasta. Ci jednak nie zostali nawet dopuszczeni w pobliże dworca.

Mowa, którą Ignacy Paderewski wygłosił z okna hotelu „Bazar" do witających go tłumów, nie wzywała do zbrojnego powstania. Jednak to właśnie dzięki jego wizycie poznaniacy w tym dniu poczuli swoją siłę, a Niemcy wpadli w panikę. Dalszym wypadkom nie można już było zapobiec. Gdy 31 grudnia Ignacy Paderewski i członkowie brytyjskiej misji opuszczali Poznań, miasto było już w rękach Polaków, podobnie jak Ostrów Wielkopolski, w którym wielki pianista powitał w drodze do Warszawy nowy, 1919 rok.

Po dotarciu do stolicy i przeprowadzeniu politycznej mediacji między Józefem Piłsudskim a obozem Dmowskiego, 16 stycznia 1919 roku Ignacy Paderewski stanął na czele nowego rządu, obejmując w nim także tekę ministra spraw zagranicznych. Jego podpis, obok podpisu Romana Dmowskiego, widnieje na dokumencie traktatu wersalskiego z 28 czerwca 1919 r. Na jego mocy Polsce przyznana została cała Wielkopolska i część Pomorza.

wojownik

kompanie SSiB. Już na drugi dzień większość Poznania była w rękach powstańców, a Mieczysław Paluch wydał rozkaz rozpoczęcia walk na prowincji i odezwę namawiającą do wstępowania w szeregi powstańczych oddziałów.

Działania samozwańczego przywódcy powstania i jego sztabu zaskoczyły działaczy Naczelnej Rady Ludowej. Przerażenie polityków wzbudziła jego propozycja, by wypowiedzieć Niemcom „małą wojnę". Obawiając się utraty wpływów, działacze NRL rozpoczęli działania zmierzające do odebrania Mieczysławowi Paluchowi władzy nad powstańczymi oddziałami. Takie właśnie były kulisy mianowania tymczasowym dowódcą powstania kapitana Stanisława Taczaka, a później przekazania dowództwa generałowi Dowborowi-Muśnickiemu. Komisarze NRL – Korfanty, Poszwiński i ks. Adamski nie mogli też wybaczyć Paluchowi, że publicznie zarzucił im tchórzostwo, uległość wobec Niemców i kunktatorstwo. Na początku stycznia 1919 r. oddziały SSiB zostały rozwiązane, a ich dowódca zdymisjonowany.

Mieczysław Paluch był jednak zbyt popularny wśród powstańców, by można się go było pozbyć. Został szefem sztabu płk. Kazimierza Grudzielskiego, dowódcy frontu północnego, najważniejszego i najbardziej zagrożonego niemieckim przełamaniem odcinka walk. Tam odniósł wiele zwycięstw, z których największym było rozbicie na początku lutego 1919 r. drugiej ofensywy niemieckiej. Paluch dokonał tego, mając do dyspozycji trzy razy mniej żołnierzy niż przeciwnik.

Chociaż odsunięty na drugi plan, nie stracił nic ze swojego zadziornego charakteru i żywiołowej wręcz niechęci do narzuconych autorytetów. Z tego powodu Mieczysław Paluch wszedł w konflikt z samym dowódcą Armii Wielkopolskiej, zarzucając mu, że został nim nie z racji wojskowych zasług, a w wyniku zakulisowych działań NRL. Jednak generał Dowbor-Muśnicki, znając popularność Palucha wśród żołnierzy, także nie odważył się usunąć go z wojska. Awansował go na kapitana i powierzył kolejne stanowiska.

Rok po zwycięstwie powstania wielkopolskiego Wojciech Korfanty zapomniał o dawnych urazach i ściągnął Mieczysława Palucha na Śląsk, gdzie przygotowywano kolejne powstanie. W sierpniu 1920 r. Wielkopolanin został jednym z głównych dowódców zwycięskiego drugiego powstania śląskiego. Paluch stanął następnie na czele Centrali Wychowania Fizycznego w Bytomiu. Oficjalnie miała ona promować wśród Polaków sport i zdrowy tryb życia, ale w rzeczywistości był to zakamuflowany sztab i ośrodek organizacyjny dla wojsk trzeciego powstania śląskiego. Wybuchło ono w maju 1921 roku i osiągnęło większość zaplanowanych celów.

Rok 1919 cd.

8 stycznia

Komisariat NRL ogłasza przejęcie władzy cywilnej i wojskowej oraz mianuje dowódcą powstania generała Józefa Dowbora-Muśnickiego. Krwawa bitwa o Chodzież. Powstańcy kosztem 24 zabitych odpierają niemiecki atak na miasto. Straty niemieckie – 672 zabitych. Odbicie przez Polaków Czarnkowa, zwycięstwo w bitwie pod Ślesinem i zajęcie Sierakowa. Nieudany atak na zajęty przez Niemców Szubin.

9 stycznia

Odwetowy nalot powstańców na lotnisko we Frankfurcie nad Odrą. Zamknięcie przez Polaków śluz między Czarnkowem a Wieleniem powoduje zalanie doliny Noteci i odcięcie drogi niemieckim wojskom. NRL rozpoczyna przejmowanie władzy administracyjnej w Wielkopolsce. Początek usuwania antypolskich urzędników i przejmowania przez starostów uprawnień niemieckich landratów.

10 stycznia

Walki na froncie południowym w okolicach Kąkolewa, Rydzyny i Leszna. Polacy zdobywają Sarnowę.

11 stycznia

Polacy zajmują Szubin, Żnin, Łabiszyn i Złotniki. Nieudany atak na Zbąszyń. Niemcy odbijają Sarnowę. Bitwa pod wiatrakami w Osiecznej, gdzie powstańców zaatakował przybyły z Wrocławia regularny oddział niemiecki, wspomagany przez dwa działa, miotacze min i pięć cekaemów. Znacznie słabiej uzbrojonym Polakom udaje się obronić wzgórze z wiatrakami i pobliską osadę Raduchowo. Polski kontratak na bagnety kończy się pościgiem za przeciwnikiem aż pod Leszno.

12 stycznia

Walki pod Lesznem i Lipnem. Wspierany przez artylerię niemiecki oddział zajmuje Zatom Stary, ale zostaje wyparty w wyniku brawurowego kontrataku Polaków. Dowództwo powstania zabrania oddziałom przekraczania rzeki Obry, oddzielającej Wielkopolskę od ziemi lubuskiej.

14 stycznia

Komisariat NRL apeluje do Romana Dmowskiego o pomoc w zawarciu rozejmu. Walki o Zatom Nowy, nieudana próba odbicia Szamocina.

Rok 1919 cd.

16 stycznia

Dwóch przedstawicieli Wielkopolski obejmuje teki w rządzie Ignacego Paderewskiego. Ministrem skarbu zostaje Józef Englich, a przemysłu i handlu – Kazimierz Hącia.

17 stycznia

Ogłoszenie poboru do Armii Wielkopolskiej, obejmującego roczniki 1897–1899.

18 stycznia

Generał Józef Dowbor-Muśnicki dokonuje podziału frontu powstania wielkopolskiego na cztery odcinki. Początek obrad konferencji pokojowej w Paryżu. Roman Dmowski porusza na niej sprawę polskich ziem zaboru pruskiego i żąda wstrzymania przez Niemców wszystkich działań zbrojnych w Wielkopolsce.

21 stycznia

Ustalenie przez Naczelną Radę Ludową roty przysięgi Armii Wielkopolskiej. Ponieważ zdaniem NRL Wielkopolska wciąż formalnie była częścią Prus, treść przysięgi zobowiązywała żołnierzy do wierności radzie, a nie Rzeczpospolitej. Powoduje to polityczny konflikt między dowodzącym Armią Wielkopolską generałem Dowborem-Muśnickim a jego szefem sztabu, skierowanym do Wielkopolski przez Józefa Piłsudskiego Julianem Stachiewiczem. Po dymisji Stachiewicza jego stanowisko obejmie Władysław Anders.

22 stycznia

Powstańcy zwyciężają w bitwie pod Robaczyskiem. Niemcy zdobywają Potulice.

23 stycznia

Bohaterska obrona Miejskiej Górki.

25 stycznia

Polacy zdobywają Kargowę i Babimost.

26 stycznia

Uroczysta przysięga oddziałów Armii Wielkopolskiej na Placu Wolności w Poznaniu (dawny Plac Wilhelmowski).

27 stycznia

Początek niemieckiej ofensywy na froncie północnym, w rejonie Bydgoszczy i Nakła. Bitwa pod Rynarzewem.

28 stycznia

Niemcy odzyskują Szubin.

Generał Józef Dowbor-Muśnicki

FOT. NAC

Pochodził ze starego rodu litewskiej szlachty i – podobnie jak starszy o 10 lat brat Konstanty – już w wieku kilkunastu lat rozpoczął służbę w rosyjskiej armii. Wychowanek elitarnego Korpusu Kadetów w Petersburgu, zamiłowany koniarz, strzelec, myśliwy i sportowiec, przez wiele lat był też zatwardziałym kawalerem. Dopiero w 1905 r., po powrocie z frontu wojny rosyjsko-japońskiej, w wieku 38 lat poślubił młodszą o 15 lat Agnieszkę, córkę dyrektora gimnazjum z Jarosławia. Dochowali się czwórki dzieci.

W czasie Wielkiej Wojny Dowbor-Muśnicki brał udział w wielu bitwach, był ciężko ranny, awansował na generała. „Lubię wojnę nie dla przyjemności rozlewu krwi, ale z powodu niebezpiecznej pracy w atmosferze ciągłego napięcia" – zwykł mawiać. Na kilka miesięcy przed wybuchem bolszewickiej rewolucji Naczelny Polski Komitet Wojskowy w Piotrogrodzie mianował go dowódcą I Korpusu Polskiego w Rosji. Miało służyć w nim 60 tys. ludzi, ostatecznie znalazła się niespełna połowa. Opinia „twardego dowódcy", jaką miał Dowbor-Muśnicki, zniechęcała do wstępowania w jego szeregi zdemoralizowanych rewolucyjną propagandą żołnierzy. Tych, którzy byli gotowi służyć pod jego dowództwem, nazwano Dowborczykami. Najpierw mieli walczyć przeciwko Niemcom, ale ostatecznie starli się z bolszewikami. Odbili z ich rąk Bobrujsk oraz Mińsk, stoczyli kilka mniejszych potyczek, cały czas lawirując pomiędzy Czerwoną Gwardią a armią niemiecką.

Po podpisaniu przez bolszewików separatystycznego pokoju w Brześciu, na żądanie Niemców korpus został rozwiązany. Dowbor-Muśniccy pojechali wtedy w rodzinne strony generała (urodził się w Garbowie koło Sandomierza), gdzie zamieszkali w pałacu księcia Michała Radziwiłła w Staszowie. Schronienie znaleźli tam również inni oficerowie I Korpusu, których generał chciał mieć pod ręką, spodziewając się nowych wojskowych zadań po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

W styczniu 1919 r. Józef Dowbor-Muśnicki został wezwany przez polityczne kierownictwo powstania wielkopolskiego – Naczelną Radę Ludową – do objęcia dowództwa i zorganizowania Armii

Stanisław Taczak – pierwszy do

Był pierwszym Polakiem-oficerem armii niemieckiej, który zgłosił się do służby wojskowej w niepodległej Polsce i pierwszym formalnym dowódcą powstania wielkopolskiego. Chociaż Stanisław Taczak urodził się w wielkopolskim Mieszkowie koło Jarocina i po wybuchu wojny został powołany do armii niemieckiej, dużą jej część spędził w 6. pułku piechoty Legionów Polskich Józefa Piłsudskiego. Trafił tam na własną prośbę i służył jako instruktor. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości zgłosił się natychmiast do dyspozycji Ministerstwa Spraw Wojskowych. 15 listopada 1918 r. został przyjęty do Wojska Polskiego w stopniu kapitana, który zachował ze służby w niemieckiej armii.

Po wybuchu walk w Poznaniu i rozlaniu się powstania na Wielkopolskę, Naczelna Rada Ludowa, zaskoczona wydarzeniami, postanowiła przejąć kontrolę nad sytuacją i odsunąć od kierowania działaniami zbrojnymi radykalnego Mieczysława Palucha i jego sztab. Tymczasowym dowódcą powstania Komisariat NRL postanowił mianować Stanisława Taczaka. Jego kandydaturę wysunął brat, ksiądz Teodor Taczak, prezes sądu duchownego w Gnieźnie.

Za kapitanem przemawiał fakt, że pochodził z Wielkopolski, ale nie był bezpośrednio zaangażowany w poznańskie spory o kierownictwo wojskowe. Atutem było także to, że w czasie wojny służył w Legionach i znał oficerów, którzy obecnie organizowali wojsko w odrodzonej Polsce. Po rozmowach z Wojciechem Korfantym 28 grudnia 1918 r. kpt Taczak zgodził się objąć funkcję dowódcy powstania wielkopolskiego. Tego samego dnia został mianowany na stopień majora i rozpoczął tworzenie Dowództwa Głównego, podlegającego bezpośrednio NRL.

W połowie stycznia 1919 r. w sztabie majora Taczaka pracowało już 18 oficerów, z których 15 wywodziło się z armii niemieckiej, dwóch z Legionów i jeden z armii austriackiej. Byli to młodzi ludzie, w większości poniżej 30. roku życia. Mimo niskich stopni i niewielkiego doświadczenia operacyjnego Stanisławowi Taczakowi i jego sztabowi udało się w ciągu niespeł-

– twórca Armii Wielkopolskiej

Wielkopolskiej. Nominację zatwierdził w Warszawie Józef Piłsudski. Plotka głosiła, że Naczelnik Państwa liczył po cichu na to, że generał rosyjskiej armii nie poradzi sobie z zadaniem w obcej mu mentalnie i wojskowo Wielkopolsce. Tych dwóch ludzi różniło wszystko. Dla Piłsudskiego Dowbor-Muśnicki był carskim generałem, zdeklarowanym prawicowcem i monarchistą. Nie mógł mu wybaczyć, że generał nie pozwolił na przejęcie kontroli nad I Korpusem wysłannikom podlegającej Piłsudskiemu Polskiej Organizacji Wojskowej – POW. Z kolei Dowbor-Muśnicki uważał Piłsudskiego za lewicowca i wojskowego dyletanta.

Wielkopolska misja generała zakończyła się jednak sukcesem. Już 17 stycznia 1919 r. do Armii Wielkopolskiej powołano trzy roczniki poborowych. Tworzone dotąd przez różne organizacje ochotnicze oddziały – strzeleckie, harcerskie, samoobrony terytorialnej, POW, Straży Ludowej, SSiB – zorganizowano w formacje wojskowe pod dowództwem Polaków, byłych oficerów Korpusów Polskich w Rosji oraz armii niemieckiej. O ile w styczniu 1919 r. Armia Wielkopolska liczyła 28 tys. żołnierzy, to w maju 1919 r. były to już 72 tys., w tym trzy dywizje strzelców, brygada kawalerii, brygada artylerii ciężkiej, cztery eskadry lotnicze i dwa bataliony telegrafistów. Rozbudowa oddziałów trwała jednak dalej i gdy wiosną 1920 roku Armia Wielkopolska weszła w skład Wojska Polskiego, liczyła już 100 tys. ludzi. Wielkopolska, piętnasta część terytorium odrodzonej Rzeczypospolitej, dała jej co piątego żołnierza.

29 lipca 1919 r., w czasie uroczystej mszy świętej na Błoniach Grunwaldzkich, 12-letnia córka generała Janina w towarzystwie dwóch innych generałówien wręczyła ojcu sztandar Armii Wielkopolskiej. Opromieniony chwałą zwycięskiego dowódcy, otoczony powszechnym szacunkiem, wśród ludzi o bliskich sobie politycznie poglądach, Dowbor-Muśnicki postanowił pozostać w Wielkopolsce na zawsze. Po latach tułaczki po rosyjskich garnizonach i wojennych kwaterach chciał znaleźć w końcu prawdziwy dom.

Wybór generała padł na 150-hektarowy majątek w odległym o 18 kilometrów od Poznania Lusowie, obejmujący wieś Batorowo. Nad brzegiem jeziora stał tam neogotycki pałac zbudowany 60 lat wcześniej dla rodziny von Richthofenów. Po przyłączeniu Wielkopolski do Rzeczypospolitej wiele niemieckich rodzin opuściło ją i wyceniony na milion marek majątek trafił w ręce Urzędu Osadniczego, od którego zakupił go na raty Józef Dowbor-Muśnicki. Generał zatrudnił ludzi, wyremontował budynki gospodarcze i z typową dla siebie dyscypliną zaczął przywracać majątkowi dawny blask.

We wrześniu 1919 r. urodziła się tam jego druga córka, Agnieszka. Tam też generał zmarł 26 października 1937 roku, dzień po swoich 70. urodzinach. Jego pogrzeb przerodził się w wielką patriotyczną manifestację Wielkopolan. Józef Dowbor-Muśnicki spoczął w grobowcu w Lusowie. Po wielu latach pochowano w nim również szczątki jego córki Janiny Lewandowskiej, jedynej kobiety zamordowanej przez sowieckich oprawców w Katyniu.

wódca powstania

na miesiąca zwiększyć liczebność wojsk powstańczych o ponad połowę – z 12 do 30 tys. ochotników. Utworzono także dziewięć dowództw na szczeblu okręgów wojskowych, cztery dowództwa frontów oraz intendenturę.

Major Taczak, ze względu na zbyt niski stopień, od początku miał być jedynie tymczasowym dowódcą powstania. 16 stycznia 1919 r. przekazał stanowisko gen. Józefowi Dowborowi-Muśnickiemu. Jednak przez niespełna trzy tygodnie on i jego ludzie wykonali ogromną pracę. Ochotnicze oddziały zostały ujęte w jednolite ramy organizacyjne, rozpoczęły się prace nad stworzeniem planów operacyjnych, które miały zastąpić dotychczasowe, improwizowane działania. Był to także czas wielkich sukcesów militarnych. Gdy major odchodził ze stanowiska, większość Wielkopolski była już w rękach powstańców.

Stanisław Taczak pełnił jeszcze w czasie powstania funkcje kwatermistrza i szefa sztabu. W Wojsku Polskim dosłużył się stopnia generała brygady. W latach 30. XX wieku, po przejściu w stan spoczynku, został prezesem Związku Weteranów

FOT. NAC

Powstań Narodowych (70 proc. stanowili w nim powstańcy wielkopolscy) oraz przewodniczącym Towarzystwa dla Badań nad Historią Powstania Wielkopolskiego.

Rok 1919 cd.

29 stycznia

Na konferencji pokojowej w Paryżu Roman Dmowski uzasadnia polskie prawa do ziem zaboru pruskiego.

1 lutego

Początek ciężkich walk o Szubin, Łabiszyn i Rynarzewo.

2 lutego

Początek polsko-niemieckich rokowań w Berlinie dotyczących wstrzymania walk w Wielkopolsce.

3 lutego

„Rzeź pod Kcynią" i załamanie się niemieckiego ataku na froncie północnym. Mimo posiadania artylerii i pociągu pancernego w bitwie pod Kcynią Niemcy ponoszą ciężkie straty w ludziach i sprzęcie. Polski kontratak do linii Noteci przywraca sytuację sprzed niemieckiej ofensywy. Utrata przez powstańców Chodzieży, Margonina i Zdunów na froncie południowym.

4 lutego

Powstańcy odbijają Szubin.

5 lutego

Fiasko rozmów w Berlinie. Polacy odrzucają niemieckie warunki: rozwiązania Armii Wielkopolskiej, zapłaty kontrybucji za dokonane w wyniku powstania zniszczenia oraz uznania praw Niemiec do ziem zaboru pruskiego.

6 lutego

Koniec rozmów w Warszawie dotyczących reprezentacji Wielkopolski w polskim Sejmie Ustawodawczym, do którego wybory odbyły się 26 stycznia. Z powodu trwających walk i obawy przed międzynarodowymi konsekwencjami zrezygnowano z przeprowadzania ich w Wielkopolsce. Zamiast tego postanowiono, że w rozpoczętych 10 lutego obradach Sejmu jako reprezentacja zaboru pruskiego weźmie udział 16 polskich posłów do Reichstagu.

7 lutego

Ciężkie walki o Kolno.

9 lutego

Zatrzymanie niemieckiej ofensywy pod Trzcielem.

10 lutego

Powstańcy zatrzymują niemiecki atak, którego celem było przebicie polskiego pierścienia okrążenia wokół Rawicza. Krwawa bitwa o Słupię Kapitulną.

Rok 1919 cd.

12 lutego

Wsparci przez pociągi pancerne Niemcy odbijają Babimost i Kargowę. Powstańcy powstrzymują natarcie pod Kopanicą.

14 lutego

Początek rozmów w Paryżu dotyczących przedłużenia warunków rozejmu kończącego I wojnę światową na front powstania wielkopolskiego. Pod naciskiem Francji delegacja Niemiec wyraża zgodę.

15 lutego

Wstrzymanie niemieckich ataków w Wielkopolsce i wyznaczenie linii demarkacyjnej pomiędzy walczącymi oddziałami.

16 lutego

Rozejm w Trewirze oficjalnie kończy walki powstania wielkopolskiego. Brak konkretnej daty wejścia umowy w życie powoduje jednak, że wciąż dochodzi do potyczek między polskimi a niemieckimi oddziałami.

17 lutego

Wbrew postanowieniom rozejmu niemieckie wojska w rejonie Miałowa, Międzychodu i Zbąszynia odmawiają wycofania się za wyznaczoną linię demarkacyjną.

18 lutego

Powstańcy zdobywają niemiecki pociąg pancerny pod Rynarzewem.

5 marca

Do Wielkopolski przybywa Misja Międzysojusznicza państw alianckich na czele z francuskim politykiem Josephem Noulensem. Jej zadaniem jest dopilnowanie warunków rozejmu.

15 maja

Polski staje się jedynym językiem urzędowym w Wielkopolsce.

25 maja

Podporządkowanie Armii Wielkopolskiej Naczelnemu Dowództwu WP.

1 czerwca

Uzupełniające wybory do Sejmu Ustawodawczego w Wielkopolsce wyłaniają 42 posłów. Wszystkie mandaty obejmują przedstawiciele prawicy, startujący ze wspólnej listy Zjednoczenia Stronnictw Narodowych.

POWSTANIE WIELKOPOLSKIE W LICZBACH

52 dni
TRWAŁY WALKI W WIELKOPOLSCE DO ZAWARCIA ROZEJMU W TREWIRZE 16 LUTEGO 1919 R.

300 powstańców
WZIĘŁO UDZIAŁ W PIERWSZYCH WALKACH W POZNANIU

26
gotowych do startu samolotów zdobyli powstańcy na lotniskach w Ławicy i Winiarach

©℗ NS

fot. ze zbiorów Wielkopolskiego Muzeum Niepodległości w Poznaniu

Bitwy, które prze

O lotnisko w Ławicy (6 stycznia 1919 r.)

5 stycznia 1919 r. ostatnim punktem oporu Niemców w okolicy Poznania była stacja lotnicza we wsi Ławica na zachód od miasta – Die Fliegerstation Posen-Lawitz. Tam, oraz w hali Zeppelinów w pobliskich Winiarach, znajdowało się w sumie kilkaset samolotów. Część była gotowa do startu, część była remontowana, niektóre w częściach. Plan ich zdobycia powstał jeszcze przed wybuchem powstania wielkopolskiego. Jego autorem był podoficer niemieckich wojsk lotniczych w Ławicy, sierżant Wiktor Pniewski, członek tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej.

Pniewski był jednym z 40 Polaków, wchodzących w skład 250-osobowej załogi stacji lotniczej. Dostarczane przez nich informacje pozwoliły przygotować precyzyjny plan ataku na lotnisko. Chodziło nie tylko o jego zdobycie, lecz także niedopuszczenie do ewakuacji lub zniszczenia sprzętu lotniczego przez Niemców. Dlatego zdecydowano, że natarcie zostanie przeprowadzone nad ranem, gdy było jeszcze ciemno.

Komisariat Naczelnej Rady Ludowej był przeciwny akcji. Obawiano się, że atak spowoduje odwetowe naloty na wielkopolskie miasta. Sierżant Pniewski i dowodzący wcześniej powstaniem w Poznaniu ppor. Mieczysław Paluch rozpuścili więc informację, że bombardowania mają przeprowadzić właśnie samoloty z Ławicy. Po wymuszeniu w ten sposób zgody komisariatu podjęli decyzję o zajęciu lotniska.

5 stycznia powstańcy wysłali jeszcze do niemieckiego komendanta bazy, porucznika Fischera, parlamentariuszy z żądaniem natychmiastowej kapitulacji. Po jego odrzuceniu zapadła decyzja o przeprowadzeniu akcji.

W nocy z 5 na 6 stycznia powstańcy odcięli załodze Ławicy prąd i telefony. Z trzech stron w stronę lotniska zaczęły posuwać się liczące ok. 350 osób polskie oddziały, wyposażone w kilka karabinów maszynowych i dwa działa kalibru 80 mm. O godz. 6.15 powstańcy powtórnie wezwali por. Fischera do kapitulacji, dając Niemcom 10 minut na złożenie broni. Gdy to nie nastąpiło, rozpoczęli atak. Cztery pociski z dział trafiły najpierw w koszary i wieżę kontroli lotów, po czym do natarcia ruszyła piechota. Ponieważ w ciemnościach niemieckie cekaemy strzelały zbyt wysoko, Polacy szybko posuwali się naprzód, zajmując dużą część 300-hektarowego lotniska. Po 20 minutach walk niemiecka załoga, widząc, że nie ma szans, poddała się.

Po polskiej stronie zginął jeden żołnierz, trzech zostało rannych. Za to w Ławicy i Winiarach w ręce powstańców wpadł sprzęt wprost bajecznej wartości. Na lotnisku zdobyto ok. 70 samolotów, z których 26 było gotowych do walki. W hali Zeppelinów oraz pobliskim forcie znajdowało się kolejnych 300 maszyn w częściach, balony obserwacyjne i zaporowe, dziesiątki karabinów maszynowych z amunicją oraz zapas bomb lotniczych. Zdobycz wojenna z 6 stycznia 1919 r., której wartość oszacowano na 160 mln marek, była jedną z największych w historii polskiego oręża. Na bazie zdobytych w Ławicy i Winiarach maszyn powstały pierwsze polskie eskadry lotnicze.

O Szubin, Łabiszyn i Żnin (8–12 stycznia 1919 r.)

Na północnym froncie powstania wielkopolskiego największym zagrożeniem

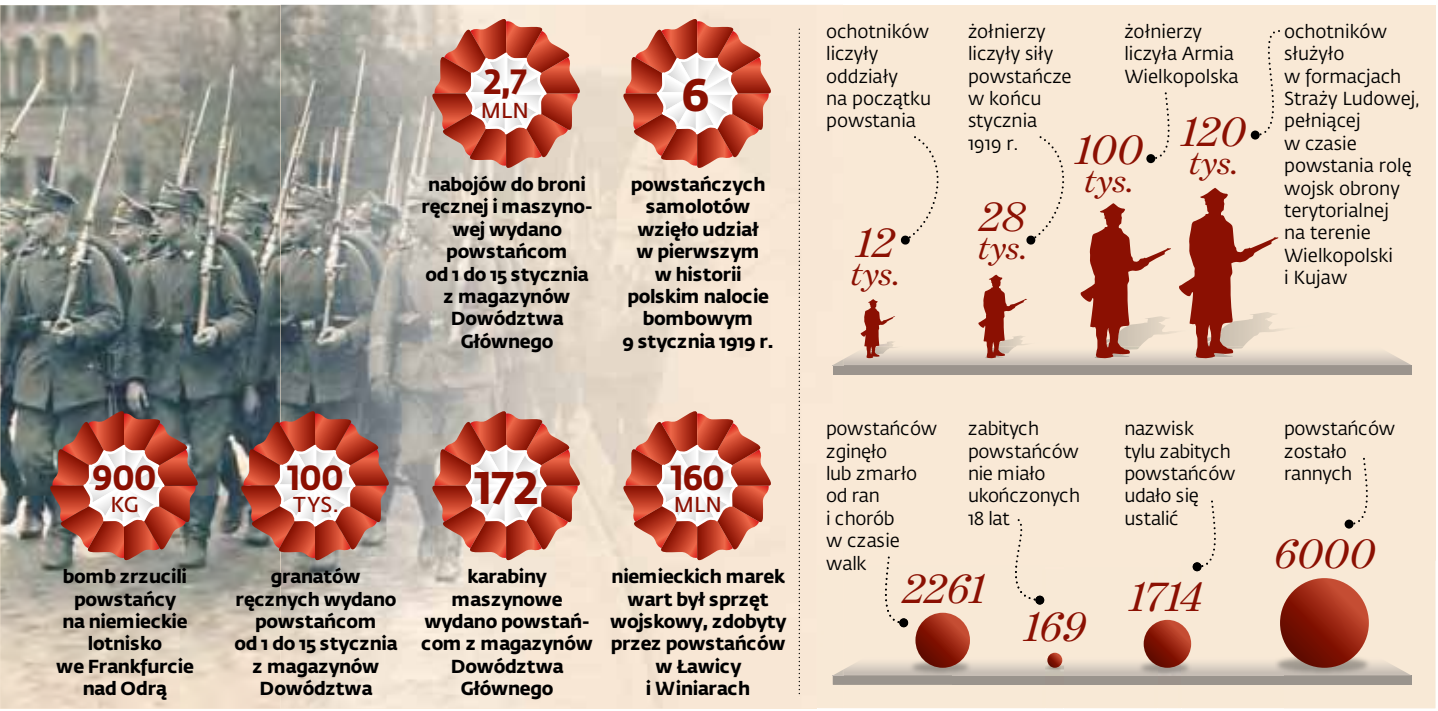

sądziły o losach zrywu

były ataki ze strony silnych garnizonów niemieckich z Bydgoszczy i Piły. Dla ich powstrzymania należało utrzymać linię rzeki Noteci, a kluczowe znaczenie dla powodzenia tej operacji miało miasto Szubin. Chociaż zostało zajęte przez powstańców już na początku stycznia 1919 r., ze względu na swoje strategiczne położenie zostało szybko zdobyte przez Niemców. Stamtąd rozpoczęli ataki na Żnin. 8 stycznia liczące 600 osób oddziały powstańcze z Kcyni, Nakła, Gniezna, Żnina i Wrześni podjęły więc pierwszą próbę odbicia Szubina.

30-kilometrowy marsz nad ranem utrudniła silna gołoledź. Obciążeni bronią powstańcy z trudem poruszali się po lodzie, konie ciągnące wozy przewracały się. Części oddziałów nie udało się dotrzeć na miejsce na wyznaczoną godzinę, mimo to zaatakowano miasto. Silna niemiecka obrona, wspomagana przez dwa działa, uniemożliwiła jednak zdobycie Szubina.

Drugą próbę podjęto 11 stycznia, koordynując ją z atakiem na zajęte dzień wcześniej przez Niemców Żnin oraz Łabiszyn. Tym razem pogoda sprzyjała powstańcom. Około godziny 15., w gęstej mgle, Polacy ruszyli na Szubin od strony lasu łachowskiego. Niemiecka obrona była słabsza, niż poprzednio – rano miasto opuścił oddział porucznika Arno Mantheya, wezwany do zaatakowanego wcześniej przez powstańców Żnina. Po pięciu godzinach ulicznych walk Polacy zajęli ostatni niemiecki punkt oporu w mieście – dworzec kolejowy. Sytuacji nie zmienił powrót oddziałów Mantheya, który na wieść o ataku na Szubin zawrócił, by bronić swego rodzinnego miasta. Niemcy zostali zmuszeni do wycofania się w stronę Bydgoszczy.

Tego samego dnia zdobyty został okrążony przez trzy powstańcze oddziały Łabiszyn. W wyparciu 100-osobowej niemieckiej załogi bardzo pomogli mieszkańcy. Żywiołowa bitwa o Łabiszyn, rozegrana wbrew jakimkolwiek zasadom sztuki wojennej, została wygrana dzięki odwadze i brawurze żołnierzy i cywilów. Następnego dnia rano, kosztem 32 zabitych, powstańcy zdobyli Żnin.

Polski nalot na Frankfurt nad Odrą (9 stycznia 1919 r.)

Zdobycie przez powstańców Ławicy spowodowało odwetowe naloty Niemców na Nakło, Chodzież, Budzyń oraz samo lotnisko. Ponieważ spodziewano się kolejnych bombardowań, sierżant Wiktor Pniewski i pięciu jego kolegów lotników zdecydowało o odwetowym uderzeniu na lotnisko we Frankfurcie nad Odrą, skąd startowały niemieckie maszyny. Ponieważ na tę akcję Komisariat NRL także nie wydał zgody, obawiając się międzynarodowych konsekwencji przeniesienia walk poza granice Wielkopolski, piloci postanowili zorganizować nalot samowolnie.

9 stycznia 1919 r. sześć maszyn LVG C.V., z biało-czerwonymi szachownicami na skrzydłach, wystartowało z Ławicy i skierowało się w stronę odległego o 170 km Frankfurtu. Każdy pilot miał na pokładzie sześć 25-kilogramowych bomb, które należało zrzucać ręcznie. Po półtoragodzinnym locie polskie maszyny zaczęły krążyć nad miastem i lotniskiem, budząc powszechne przerażenie. W czasie Wielkiej Wojny Frankfurt nad Odrą nie był celem żadnych ataków, działania zbrojne nigdy tu nie dotarły. Sześć nawrotów nad lotnisko, w czasie których powstańcy zrzucili wszystkie bomby, wzniecając pożar i niszcząc hangar oraz samolot, skutecznie pozbawiło Niemców chęci dalszych nalotów na Wielkopolskę.

Po powrocie do Poznania sierżant Pniewski i jego koledzy otrzymali reprymendę od dowództwa, nie ponieśli jednak żadnych konsekwencji. W marcu 1919 r. ekipa, która dokonała pierwszego w historii polskiego lotnictwa nalotu bombowego, została wysłana do Lwowa, gdzie wzięła udział w wojnie z Ukraińcami, a następnie bolszewikami.

Zdobycie pociągu pancernego pod Rynarzewem (18 lutego 1919 r.)

Niemiecki pociąg pancerny, atakujący pozycje Polaków pod Szubinem z bazy wypadowej w Bydgoszczy, był nazywany przez powstańców „smokiem". Siła rażenia jego dział i karabinów była ogromna, a skład mógł przewieźć na front nawet 400 niemieckich żołnierzy. Pierwsza próba wyeliminowania pociągu przez podłożenie min na torach nie powiodła się – niemieccy saperzy wykryli i rozbroili ładunki. Dopiero, gdy spadł śnieg, powstańcom dopisało szczęście. W unieruchomionej maszynie silny opór stawił jednak kilkusetosobowy oddział Grenzschutzu. Dopiero artyleryjski ostrzał zmusił go do ucieczki z pola walki.

Zdobyty kosztem 29 zabitych pociąg został nazwany przez powstańców „Danuta". Pod tą nazwą służył jeszcze wiele lat, m.in. w wojnie z bolszewikami. Został zniszczony we wrześniu 1939 r. w czasie Bitwy nad Bzurą.

FOT. ZE ZBIORÓW WIELKOPOLSKIEGO MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W POZNANIU

Członkowie francuskiej Misji Wojskowej w otoczeniu weteranów powstania, Stacja Lotnicza w Ławicy, wiosna 1919 r.

Pow (nie)za

Wielkopolski zryw nie pozostawił po sobie znanych piosenek, filmów ani zdjęć – symboli. Nie ma „twarzy", głównych bohaterów ani słynnych na całą Polskę walk i bitew. Nawet dowódcy powstania, tacy jak Mieczysław Paluch, Stanisław Taczak czy Józef Dowbor-Muśnicki, nie przebili się do powszechnej świadomości ani historii polskiej wojskowości. Dlaczego tak jest?

II Rzeczpospolita nie ustanowiła żadnego odznaczenia dla kombatantów powstania. Zawiniły polityczne animozje pomiędzy endeckim Poznaniem a piłsudczykowską Warszawą. Wielkopolanie sprzeciwiali się „awanturom na Wschodzie" , takim jak wyprawa kijowska oraz zamachowi majowemu Piłsudskiego. W stolicy nigdy im tego nie wybaczono. Chociaż po wojnie z bolszewikami dowódcy polskiej armii przyznawali, że kluczową rolę w zwycięstwie pod Warszawą odegrały doskonale wyszkolone wielkopolskie pułki, świadomość ta szybko została zatarta przez legendy „Cudu nad Wisłą" i wojskowego geniuszu Marszałka.

Potężnym ciosem dla pamięci o powstaniu wielkopolskim była niemiecka okupacja. Dla Hitlera i nazistów było ono dowodem, że Polaków z Poznańskiego zgermanizować się nie da. Należało więc eksterminować patriotyczne polskie elity, by nie powtórzyła się sytuacja z przełomu lat 1918 i 1919. Już jesienią 1939 r. rozpoczęło się bezwzględne polowanie na powstańców wielkopolskich. Wielu z nich zgładzono w masowych egzekucjach, w rozpoczętej na podbitych terenach „Intelligenzaktion". Był to pierwszy akt hitlerowskiego ludobójstwa w czasie II wojny światowej. Wielu wysłano do obozów koncentracyjnych. Ratując życie swoje i swoich bliskich, Wielkopolanie zniszczyli wówczas wiele bezcennych archiwów, dotyczących powstania. To dlatego zachowało się tak niewiele zdjęć i pamiątek z jego czasów.

A jednak pamięć o powstaniu przetrwała, chociaż niewielu uczestnikom było dane tego doczekać. Dopiero po 1956 r. można było otwarcie mówić na ten temat. Ustanowiono Wielkopolski Krzyż Powstańczy, awansowano powstańców na stopnie oficerskie, weterani otrzymali nowy krój kombatanckich mundurów.

Symbole, które odżyły

Charakterystyczny orzeł na czerwonym tle, z koroną albo bez, to dla Wielkopolan równie rozpoznawalny symbol ich zrywu, jak dla warszawiaków powstańcza „kotwica".

Po 125 latach pruskiej niewoli w Wielkopolsce nie obowiązywał żaden jednolity wzór orła. Ale co do tego, że każdy powstańczy oddział idący do boju musiał mieć chorągiew z orzełkiem, nikt nie miał wątpliwości. Szyjące proporce dla powstańców kobiety sięgały więc po wzory, jakie miały pod ręką: z książek, obrazów, rodzinnych pamiątek. Nikomu nie przeszkadzało, że różne oddziały miały nieco inne godła. Ważne, że każdy powstaniec miał opaskę, rozetę, kokardę lub wstążkę w biało-czerwonych kolorach, przypiętą do marynarki lub munduru.

Tę spontaniczną eksplozję symboli narodowych próbowała uporządkować kierująca powstaniem Naczelna Rada Ludowa. Wzorem dla wojskowych chorągwi stał się orzeł z pieczęci NRL, zaprojektowanej na wzór królewskiej pieczęci z XIV w. Ale były też inne, jak orzełek w otwartej koronie, noszony na czapkach przez żołnierzy Armii Wielkopolskiej. Dla niego wzorem było godło I Korpusu Polskiego w Rosji, którym dawniej dowodził generał Dowbor-Muśnicki.

Ale chociaż to orzeł NRL stał się ostatecznie obowiązujący, jako symbol władzy rady nad powstaniem, to ani on, ani orzełek Armii Wielkopolskiej, nie zostały współczesnymi symbolami zrywu. Został nim orzeł, zaprojektowany w pierwszej dekadzie XXI w. przez... kibiców Lecha Poznań. To właśnie od nich rozpoczęła się trwająca do dziś moda na powstanie wielkopolskie.

FOT. MICHAŁ DYJUK / FORUM

Orły – symbole Powstania Wielkopolskiego

stanie pomniane

FOT. ZE ZBIORÓW WIELKOPOLSKIEGO MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W POZNANIU

Strzelcy w okopach powstania

Bohaterowie walk zostawali patronami szkół, ulic, placów, osiedli, parków i jednostek wojskowych. Pojawiły się dziesiątki historycznych publikacji. Pamięć o wydarzeniach rozpoczętych w grudniu 1918 r. odżywała, ale niestety – w większości lokalnie.

Nie bez winy są tu i sami Wielkopolanie, którzy przeciwstawiali swój „zorganizowany" i „racjonalny" zryw „bezsensownym" powstaniom, które wybuchały na innych ziemiach Polski. Nie do końca tak było. Również powstanie wielkopolskie wybuchło spontanicznie, na fali patriotycznego entuzjazmu młodych ludzi, którzy uważali, że pora skończyć z terrorem zaborcy i rozpocząć walkę o narodowe prawa. Prawda, że kierownictwo nad nim przejęli później racjonalni, trzeźwo myślący działacze i „po poznańsku" poukładali je i zorganizowali. Ale czy powstanie wielkopolskie wybuchłoby, gdy pierwszych 300 młodych Polaków nie chwyciło za broń i nie ruszyło na Prezydium Policji w Poznaniu?

Powstanie wielkopolskie dało II Rzeczypospolitej najbogatsze, najlepiej zorganizowane, najmniej zniszczone przez wielką wojnę ziemie i trzon armii. Dziś, 100 lat po tych wydarzeniach, nadeszła pora, by spojrzeć na nie, jako na jedno z kluczowych wydarzeń we współczesnej historii naszego kraju.

Wypromowane przez kibiców chorągwie powstańcze (początkowo z orłem bez korony, teraz także z nią) zaczęły coraz częściej pojawiać się na wielkopolskich domach w rocznice walk. Wkrótce stały się elementem licznych murali: na poznańskich Jeżycach, w Koziegłowach, Gnieźnie, Rawiczu, Lusowie i wielu innych miejscowościach Wielkopolski, ale nie tylko. Powstańcze murale pojawiły się też m.in. w Pile i Kaliszu, które leżą poza regionem i nie były objęte walkami, ale mają silne środowiska, kibicujące Lechowi. W ten sposób, dzięki kibicom, symbole powstania rozprzestrzeniły się poza Wielkopolskę.

Ale nie tylko kibice mieli w tej kwestii zasługi. W ostatnich latach zaczęło też powstawać coraz więcej grup rekonstrukcyjnych, nawiązujących do tradycji Armii Wielkopolskiej. Jej mundur uważany był za jeden z najbardziej udanych w ówczesnych polskich siłach zbrojnych. Jego charakterystycznym elementem była wysoka rogatywka. To właśnie z powodu tych czapek bolszewiccy i ukraińscy żołnierze nazywali skierowanych do walk na Wschodzie wielkopolan „rogatymi diabłami". Widok takiej czapki oznaczał zwykle dla wroga duże kłopoty.

Charakterystycznym elementem munduru Armii Wielkopolskiej była sznurkowa pętla w kształcie trefla po lewej stronie rogatywki. Ona też jest rozpoznawalnym znakiem powstania. Wiele pamiątek z tamtych czasów można znaleźć w Muzeum Powstania Wielkopolskiego w poznańskim Odwachu, w Muzeum Powstańców Wielkopolskich w Lusowie, Wielkopolskim Muzeum Niepodległości w Poznaniu, a także w regionalnych izbach pamięci, poświęconych poszczególnym dowódcom i ich oddziałom.

Z okazji 100-lecia wielkiego zrywu w popularyzację wiedzy o powstaniu wielkopolskim zaangażowały się aktywnie Instytut Pamięci Narodowej, miasto Poznań oraz wiele instytucji i sponsorów. Program grudniowych obchodów rocznicy obejmuje m.in. premierę jedynej opery Ignacego Paderewskiego „Manru", koncert „Muzyka Wolności" oraz wiele uroczystości z udziałem wojska i grup rekonstrukcyjnych.

Dodatek przygotował Andrzej Fedorowicz

Rok 1919 cd.

5 czerwca

W obliczu stałego zagrożenia niemieckim atakiem Komisariat NRL ogłasza stan wyjątkowy na wszystkich podlegających mu terenach. Internowanie części mężczyzn narodowości niemieckiej.

18 czerwca

Polsko-niemieckie potyczki pod Rynarzewem.

28 czerwca

Po podpisaniu przez Niemcy traktatu wersalskiego niemal cała Wielkopolska zostaje formalnie przyłączona do państwa polskiego.

1 lipca

Komisariat Naczelnej Rady Ludowej ogłasza oficjalne zniesienie granicy celnej z dawnym Królestwem Polskim.

9 lipca

Zniesienie stanu wyjątkowego w Wielkopolsce.

19 sierpnia

Rozwiązanie Naczelnej Rady Ludowej.

28 sierpnia

Włączenie Armii Wielkopolskiej w struktury Wojska Polskiego.

6 listopada

Rozwiązanie Komisariatu NRL i unifikacja władzy administracyjnej w Wielkopolsce z resztą kraju.

Rok 1920

10 stycznia

Wejście w życie postanowień traktatu wersalskiego.

17 stycznia

Rozpoczęcie akcji przyłączania miast, które zostały przyznane Polsce w traktacie wersalskim, a nie zostały zajęte przez powstańców (m.in. Leszno, Rawicz, Zbąszyń).

Marzec

Ostateczna likwidacja Frontu Wielkopolskiego.

POWSTANIE
WIELKOPOLSKIE
100
ROCZNICA

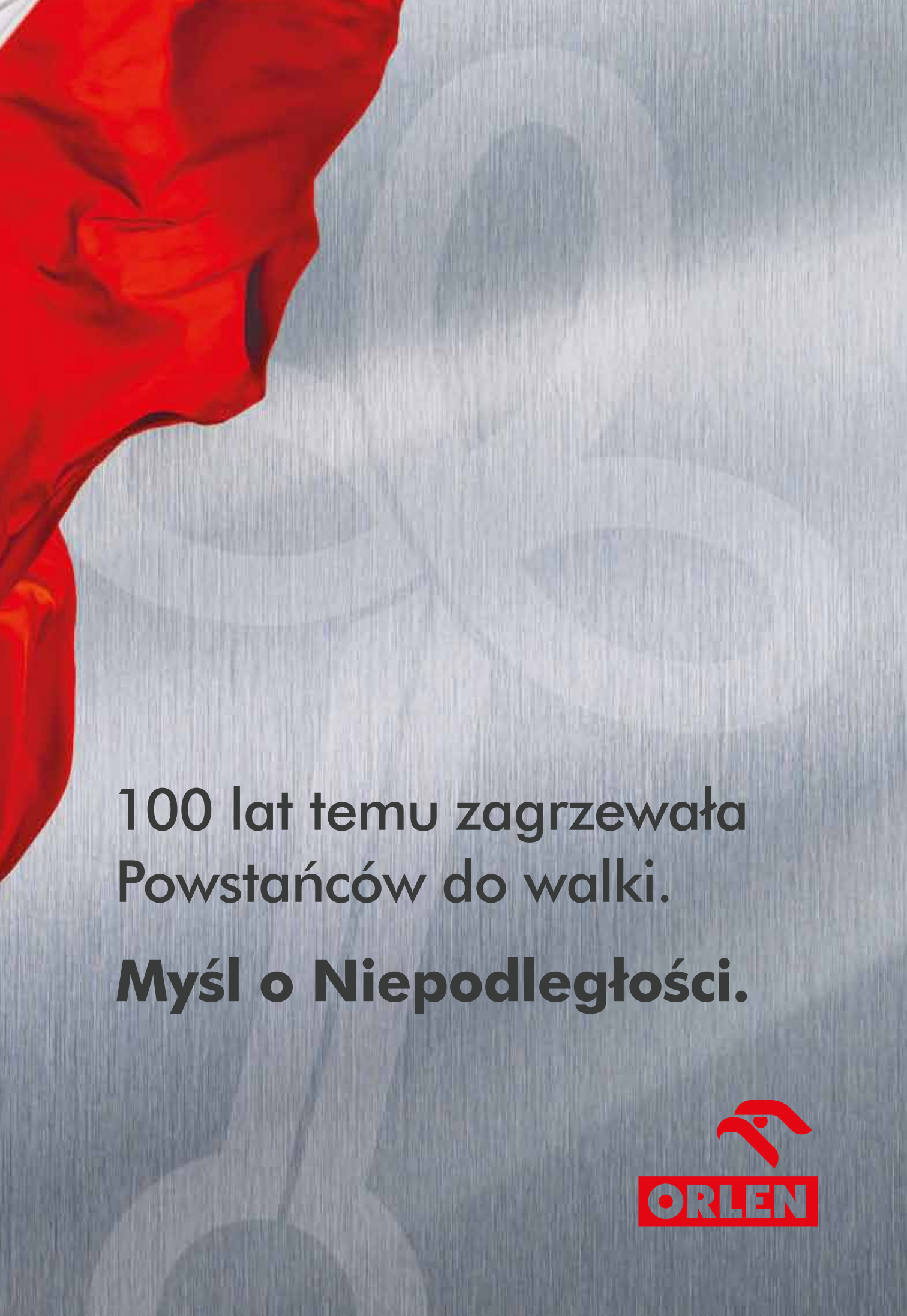
100 lat temu zagrzewała
Powstańców do walki.
Myśl o Niepodległości.
ORLEN

Na początku XX wieku polscy nacjonaliści przekonywali, że szczepienia to metoda na wyniszczenie narodu. Okazało się, że jednak działają i powstrzymały epidemie. **Niestety ruchy antyszczepionkowe nie upadły z tego powodu**

Miazmaty, wirusy i proszek ze strupów

foto. Andrzej Chmielewski/PAP

Z **Włodzimierzem Gutem** rozmawiają Klara Klinger i Patrycja Otto

Pierwsze szczepionki to...
Chiny, XIII w. Zaczęło się od wciągania przez nos strupów pobieranych z chorych na ospę.

Nie brzmi to najlepiej.
Starte na proszek strupy wdmuchiwano w nos zdrowym młodym kobietom. Celem tego zabiegu nie była jednak początkowo walka z chorobą. Chciano w ten sposób zapobiec oszpeceniu kobiet, które były wysyłane do towarzystwa bogatym mieszkańcom Chin. Jak się szybko zresztą przekonano, nie był to zbyt skuteczny sposób. Część materiału była nazbyt wysuszona i nie działała, z kolei strupy zbyt mało wysuszone po zetknięciu z błoną śluzową nosa doprowadzały do zarażenia. Ale nikt się tym specjalnie nie przejmował, bo dzięki temu odbywała się selekcja naturalna. Kobiety, które zachorowały, odpadały automatycznie.

Jak Chińczycy wpadli na taki pomysł?
To nie były naukowe metody, tylko wynikały z obserwacji. Zresztą Edward Jenner, brytyjski lekarz, uznawany za odkrywcę szczepienia przeciw ospie prawdziwej, też bazował na doświadczeniach. W jego czasach (przełom XVIII i XIX w. – red.) stosowano naturalne metody uodpornienia, np. wariolizację, czyli zakażano prawdziwą ospą. Kłopot polegał na tym, że część osób zaczynała chorować i umierała, poza tym taka osoba była nosicielem wirusa. Ale Jenner zaobserwował, że kobiety zatrudnione do dojenia krów najczęściej nie przechodzą ospy albo choroba przebiega u nich łagodnie. Zorientował się, że dotyczy to tych dojarek, które miały charakterystyczne guzki po przebyciu krowianki, czyli ospy krowiej. Uznał, że to może być sposób na zyskanie odporności. Żeby to sprawdzić, przeprowadził pewien eksperyment – zaraził małego chłopca krowianką, a po jakimś czasie „zaszczepił" go ospą prawdziwą. Chłopiec nie zachorował. To było przełomowe odkrycie. Bowiem krowianka nie była śmiertelna dla ludzi, a jednocześnie dawała odporność. To był początek drogi, który doprowadził do zupełnego wyeliminowania czarnej ospy.

Wszyscy ludzie godzili się na takie eksperymenty?
Oczywiście, że nie. Ospa zawsze wywoływała ogromne emocje. I także w tamtych czasach pojawiały się ru-

chy, które propagowały szczepienia, i takie, które były im przeciwne. Sięgano po przeróżne argumenty: jak od krowy, to może rogi komuś wyrosną, jakieś wstrętne dojarki z plebsu, a tu błękitną krew zanieczyścimy. Dochodziło nawet do rozruchów w miastach, tym bardziej że szczepienia były obowiązkowe. Przypisywano im różne dolegliwości i wszystkie możliwe choroby łącznie z kiłą. Doszło do tego, że królowa Wiktoria publicznie zaszczepiła się nową metodą, żeby przerwać protesty. Masowa histeria ucichła, a ospę w Anglii udało się wyeliminować.

Jak to wyglądało w tamtym czasie w Polsce?

Trzeba pamiętać, że Polska w tym czasie była pod zaborami. I była jednym z pierwszych krajów, w których (w 1801 r. w Wilnie i Warszawie) zastosowano tzw. krowiankę. W 1808 r. został wydany, a w 1811 r. wszedł w życie edykt króla saskiego i księcia warszawskiego zarazem, zakazujący wariolizacji (czyli brania materiału od ludzi chorujących na ospę) i nakazujący szczepienia nową metodą. W 1811 r. władze Księstwa Warszawskiego wydały nawet dekret nakazujący szczepienie przeciwko ospie dzieci w pierwszym roku życia. Jednocześnie Polska wpisała się na listę ruchów antyszczepionkowych. Ale powodem protestów nie były mity i przesądy na temat szczepień. W Polsce były to ruchy o nastawieniu nacjonalistycznym. W 1903 r. ukazała się broszura „O bezsensowności szczepień", w której głównym argumentem było to, że wrogowie, czyli Prusacy, chcą zniszczyć populację. Ówcześni antyszczepionkowcy wykorzystywali do propagowania swoich poglądów aktualną sytuację w Polsce. Okazało się jednak, że ta metoda, której celem miało niby być zniszczenie całej populacji, zahamowała rozwój choroby. Niestety ruchy antyszczepionkowe nie upadły z tego powodu. Działają do dziś mniej lub bardziej aktywnie, w zależności od potrzeby. Choć strach przed chorobą był naprawdę duży ze względu na jej straszny przebieg. Ci, którzy przeżyli ospę, mieli ślady po ropnych pęcherzach charakterystycznych dla tej choroby. Dowodem na to, jak duży był strach przed chorobą, jest historia z 1977 r. z Ogaden – pogranicza somalijsko-etiopskiego. Kiedy zrzucono tam szczepionkę, ścierające się ze sobą wojska odstawiały na bok broń po to, by przyjąć preparat, po czym kontynuowały walkę.

Kiedy skończyła się ospa?

Ostatni przypadek ospy prawdziwej miał miejsce w 1978 r. w Anglii. Zakaziła się nią pracownica Uniwersytetu Medycznego w Birmingham. Zmarła po zakażeniu wirusem ospy prawdziwej hodowanym w laboratorium wydziału anatomii. Był to przypadek, ale samobójstwo popełnił prof. Henry Bedson, rektor wydziału mikrobiologii, szef laboratorium, bardzo zasłużony w zwalczaniu ospy. Choroba wśród personelu naraziła bowiem na szwank jego dobre imię, a także nadszarpnęła wizerunek placówki. Mogła bowiem pogrążyć 200 lat badań i dążeń do wyeliminowania choroby. Ostatecznie w 1980 r. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) ogłosiła, że świat jest wolny od ospy prawdziwej, w tym roku obchodziliśmy 55. rocznicę tych wydarzeń. W Polsce po raz ostatni pojawiła się we Wrocławiu na początku lat 60. Do kraju przywlókł ją oficer SB wracający z Indii. On sam przechodził ją dość łagodnie, ale zaraziła się od niego pielęgniarka. Niestety początkowo nikt nie zdiagnozował choroby – ospę rozpoznano dopiero po śmierci dziewczyny. W jej pogrzebie brało udział ponad 80 osób. Wiele z nich ją ucałowało na pożegnanie. I tak się zaczęło. Szybko zachorowało kilkadziesiąt osób. Podjęto działania natychmiast: zarządzono przymusowe szczepienia, a kiedy ktoś odmawiał, przychodzili panowie w niebieskich mundurach i siłą prowadzili do lekarza. Miasto zostało na kilka tygodni sparaliżowane i odcięte od reszty kraju kordonem sanitarnym. A i tak ospa się wydostała, leczono ją w kilku województwach. Zagrożenie było ogromne, kilka osób zmarło i obawiano się powrotu choroby w Europie. Wspominam o tym, bowiem teraz często mylnie uważa się, że szczepienia są przymusowe, tymczasem one są powszechne. To ogromna różnica.

Szczepionka przeciwko ospie była więc przypadkowym odkryciem. A jak było z zapobieganiem innym chorobom?

Rozwojowi nauki towarzyszyły przeróżne wpadki. Także dlatego, że długo nie było wiadomo, jak się przenoszą choroby. Pojawiało się wiele absurdalnych teorii. Przez wiele lat trwały dyskusje, czy w ogóle istnieją bakterie, nie mówiąc o wirusach. Panowało przekonanie, że choroby przenoszą się przez morowe powietrze, miazmaty, czyli wyziewy zgniłego powietrza pochodzące z wnętrza ziemi i wdzierające się

fot. Mateusz Grochocki/East News

WŁODZIMIERZ GUT

profesor biologii, doktor habilitowany nauk medycznych, specjalista w dziedzinie wirusologii oraz wakcynologii

do ciała. Uważano, że miazmaty są powodem m.in. dżumy, cholery, malarii i czarnej ospy. Jeden z czołowych biologów w XIX w. wypił publicznie hodowlę bakterii cholery, która mogła wybić całe miasto. Chciał w ten sposób udowodnić, że choroby nie wywołują bakterie, ale roznoszone są przez miazmaty, czyli brudne powietrze. I nic mu się nie stało. Przez wiele lat zastanawiano się, dlaczego. Okazało się, że cierpiał na nadkwasotę żołądka, która spowodowała rozkład bakterii. Na szczęście później przyjęto szczepienia na cholerę. Przełomowym momentem w badaniach była na pewno szczepionka na wściekliznę, opracowana przez Francuza Ludwika Pasteura. Po raz pierwszy lekarz podał ją na prośbę rodziców chłopcu pogryzionemu przez wściekłego psa. Pasteur nie miał pewności, czy jego preparat – testowany wcześniej na królikach – jest już gotowy, ale zdecydował się go podać. Zadziałał. A przy okazji okazało się, że preparat jest skuteczny nie tylko jako szczepionka, lecz również jako lek i to nawet 21 dni po pokąsaniu. To ewenement, choć na tej podstawie próbuje się używać innych szczepionek już po ekspozycji na chorobę. Tak jest w przypadku odry – szczepionkę można podać w ciągu 72 godzin od styczności z chorobą.

Szczepienie przeciw odrze budzi ostatnio najwięcej emocji.

To nic zaskakującego. Powodów jest kilka. Po pierwsze, MMR to szczepionka przeciwko trzem chorobom: odrze, różyczce i śwince, a po drugie – zawiera żywe wirusy. Na dodatek dotyczy chorób, które traktowane są jako łagodne. To, swoją drogą, europocentryczne spojrzenie: u nas są łagodne, ale w innych krajach mają różny przebieg. A poza tym problemy często widoczne są później. To zresztą także przyczyniło się do niechęci do tej szczepionki. W 1967 r., kiedy w USA po długoletnich badaniach szczepienie weszło do powszechnego użycia, odkryto przyczynę choroby opisanej w 1935 r. Okazało się, że wiele lat po przejściu odry może pojawić się choroba centralnego układu nerwowego. Trzeba było to wpisać do ulotek szczepionki jako możliwy efekt uboczny. Potem okazało się, że wirus szczepionkowy nie może jednak wywołać tej choroby, ale zapis w ulotce został. Więc kiedy w Polsce w 1975 r. uruchomiono, początkowo z oporami, system szczepień, ostatecznie w 1976 r., od razu pojawiły się ruchy przekonujące, że grozi to

porażeniem układu nerwowego. W Polsce protesty wywołało również to, że szczepiono radzieckim preparatem L16. Choć w rzeczywistości był to amerykański szczep i ta sama metodologia, a szczepionka była identyczna – robiliśmy porównania i jedynym elementem, który był kontrowersyjny, były opakowania słabej jakości, które alkalizowały podłoże – to i tak pojawiły się głosy, że to broń biologiczna, która ma na celu wybicie Polaków.

To był też czas, kiedy w Wielkiej Brytanii pojawiły się badania wykazujące wpływ tego szczepienia na autyzm.

Doniesienia brytyjskiego lekarza Andrew Wakefielda i publikacja w magazynie „Lancet", sugerująca, że szczepienie może wywoływać autyzm, okazały się fałszywe, ale niewątpliwie przełożyły się na zwiększenie ruchów antyszczepionkowych. Badania były źle przeprowadzone, a sam Wakefield miał poważny konflikt interesów – zarabiał jako konsultant przy procesach odszkodowawczych i sam dawał sobie do ręki dowody na to, że szczepienia szkodzą. Pomijając nierzetelność badań, autyzm jest innym zespołem chorobowym, uwarunkowanym genetycznie, pojawiającym się jeszcze w życiu płodowym, kiedy nawet nie wiadomo, czy dziecko będzie szczepione czy nie.

Dlaczego szczepionki zawierające żywe wirusy budzą takie emocje?

Bo choć są skuteczniejsze, mogą wywoływać więcej efektów ubocznych. Edward Jenner wymyślił sposób, jak podawać szczepionkę żywą, ale osłabioną przez zetknięcie z innym organizmem, co nazywa się pasażem. Potem pojawił się nurt szczepionek zabitych (czyli zawierających nieaktywne drobnoustroje – red.). I te dwie szczepionki zdominowały wszystkie nowe odkrycia. Po odkryciu Pasteura była tendencja do tworzenia tych zabitych, uznawanych za bardzo bezpieczne. Nie dają dużej odporności, ale wywołują mniejsze efekty uboczne. I jedyną ich wadą – o ile są w ogóle skuteczne – jest to, że należy je powtarzać. Dlatego przy odrze również sięgnięto najpierw po zabity wirus. Ale szybko okazało się, że preparat nie działa: dawał wspaniałe wyniki, jeżeli chodzi o poziom przeciwciał, ale osoby, które zetknęły się z wirusem, chorowały znacznie ciężej. Przede wszystkim rozwijały się choroby współistniejące – występowały niebezpieczne zapalenia mózgu i płuc. Doszło do modyfikacji zakażenia. I okazało się, że nie ma innych możliwości – trzeba wykorzystać tylko żywą szczepionkę.

Kiedy powstała?

Po II wojnie światowej wymyślono ją w Ameryce. Wyizolowano szczep Edmonston, nazwany tak od rodzinnej miejscowości osoby, od której pobrano wirusa. Wszystkie szczepionki są właściwie z tego jednego szczepu. Ale to jest historia z lat 60. Wcześniej wiele zamieszania zrobiło odkrycie szczepienia przeciw polio. To jest historia z lat 40. Również amerykańska, ale pojawia się wątek polski. Nad zapobieganiem polio pracowało trzech wirusologów. Pierwszym twórcą szczepienia był Hilary Koprowski, polski Żyd, który w 1939 r. musiał uciekać z kraju. W USA na uniwersytecie zrobił karierę naukową, poświęcając się m.in. badaniom nad szczepieniami. Zaobserwował, że szczury bawełniane (używane w badaniach szczepionek, bardzo wrażliwe na ludzkie czynniki infekcji) zakażone polio nie chorują, a ich układ odpornościowy znacznie osłabia wirusa. Wówczas Koprowski postanowił pobierać fragmenty tkanki mózgowej szczurów z wciąż aktywnym, ale bardzo osłabionym wirusem, a następnie podawał go ludziom. I tak uzyskał szczepienie. Traf chciał, że jego skuteczność była sprawdzana m.in. w Kongo, gdzie akurat szalało polio. To jednak obszar o wysokim niedożywieniu, gdzie masowo szerzą się różne choroby. W związku z tym tej szczepionce przypisano wszystkie możliwe choroby, które tam się pojawiały. Po latach wykazano, że to nieprawda, ale wtedy to wystarczyło, by uznać, że szczepionka jest niebezpieczna. W ten sposób Koprowskiego ominęła Nagroda Nobla, choć wymyślił bardzo dobry preparat. Twórcą kolejnego był Jonas Edward Salk. To była szczepionka zabita, miała jednak wadę – dawała dużą ochronę przed porażeniami, czyli jednego z efektów choroby, jednak nie dawała odporności jelitowej. W efekcie chroniła osobę, która ją przyjęła, ale ta osoba mogła dalej zarażać. Jeżeli osoba, która wzięła zabitą szczepionkę, zetknęła się z chorobą, czyli aktywnym wirusem, co prawda szczepienie chroniło ją przed efektami choroby, jednak sam wirus namnażający się w jelitach mógł wydostać się do środowiska. I przedostawać się do innych organizmów. Nagroda Nobla ostatecznie trafiła w ręce Alberta Sabina, również naukowca polskiego pochodzenia, którego szczepionka nie różniła się od tej Koprowskiego. Została jednak zastosowana we właściwym czasie i kraju, co dało jej sukces. Trafiła

fot. Stanisław Dąbrowiecki/PAP

już dziś wynajmij Lożę VIP

2019

- Polska – Łotwa, mecz eliminacyjny do ME 2020 24.03
- Finał Pucharu Polski 2019 02.05
- 2019 PZM Warsaw FIM Speedway Grand Prix of Poland 18.05
- Polska – Izrael, mecz eliminacyjny do ME 2020 10.06
- Phil Collins: Still Not Dead Yet Live 26.06
- Bon Jovi: This House Is Not For Sale Tour 12.07
- P!NK Beautiful Trauma World Tour 2019 20.07
- Metallica WorldWired Tour 21.08
- Polska – Austria, mecz eliminacyjny do ME 2020 09.09
- Roztańczony PGE Narodowy 2019 21.09
- Polska – Macedonia, mecz eliminacyjny do ME 2020 13.10
- Polska – Słowenia, mecz eliminacyjny do ME 2020 19.11

PGE NARODOWY

bowiem do ZSRR, gdzie panowało polio. Dzięki szczepieniu udało się zwalczyć chorobę, co totalitarna propaganda przekuła w światowy sukces, nie mówiąc przy tym oczywiście o negatywnych konsekwencjach. Na konferencji prasowej padło zdanie, że nie ma żadnych efektów ubocznych, choć to fizycznie było niemożliwe.

W Polsce ze szczepieniem polio też były problemy. Lekarze mówią, że w latach 50. i 60. zaszczepione dzieci zapadały na chorobę Heinego-Medina.

Do Polski szczepienie przeciw polio trafiło w latach 50. Tutaj rolę odegrał Koprowski, który czuł się związany z Polską i dzięki jego staraniom Amerykanie nam podarowali preparat. Pierwsze masowe szczepienie w naszym kraju odbyło się w 1959 r. Jak donosił Państwowy Zakład Higieny, liczba zachorowań w ciągu pięciu lat spadła z tysiąca do 30 rocznie, a liczba zgonów – z kilkuset do dwóch. Niestety jest z tym związana również przykra historia, o której pani wspomina: jedna z partii szczepionki zawierała żywe, nieosłabione wirusy. To wywołało chorobę, głównie w Poznaniu, gdzie użyto tej serii. Okazało się, że był to błąd techniczki pracującej w laboratorium, skąd wysyłano szczepionkę. Stąd wiele ówczesnych zachorowań na chorobę Heinego-Medina. Ostatecznie przyjęto taką zasadę, że pierwszą podaje się szczepionkę zabitą, a potem żywą. A teraz daje się tylko zabitą. Problem ze szczepieniami jest jednak taki, że nie działają na wszystkich tam samo.

Czyli?

Gdyby człowiek był jednorodny genetycznie, to nie byłoby problemu: szczepionki działałyby na wszystkich tak samo. I byłyby tak samo skuteczne. Ale nie jesteśmy identyczni. W efekcie ten sam wirus jedną osobę uodporni, innej nie uodporni, bo jest za słaby, u innej osoby to szczepienie może wywołać łagodne objawy chorobowe. Czym są te objawy? To odpowiedź immunologiczna. Gdy uwalnia się wirus, pojawiają się pyrogeny (substancje wywołujące gorączkę – red.), rośnie temperatura. To znak, że szczepienie działa. Jednak może tak być, że u niektórych gorączka będzie zbyt wysoka. A jeśli nie dzieje się, to może oznaczać, że szczepienie nie działa.

Nie można personalizować szczepień?

Nie sposób tego zrobić. Więc można jedynie, żeby uniknąć niebezpiecznych sytuacji, wybierać te osoby, których nie można zaszczepić. A także te, dla których szczepienie byłoby niebezpieczne – osoby chore, z brakiem odporności, po przeszczepach czy w trakcie chemioterapii. I dla tych osób jedyną szansą na uniknięcie choroby jest to, żeby nie stykały się z patogenem. A to można osiągnąć jedynie w ten sposób, że się zaszczepi resztę populacji, żeby uniemożliwić pojawienie się choroby. Wszystko też zależy od odporności genetycznej.

Jak to?

Jeżeli dana populacja nie miała styczności z danym wirusem, nie ma naturalnej odporności. Kiedy społeczeństwo ma długą historię styczności z chorobą, jest genetycznie uodpornione.

Rozwija się odporność?

Wytłumaczenie jest proste. Choroba wybija osoby z danym genotypem, które są wrażliwe na chorobę, ci, co byli wrażliwi, wymarli. Zostają ci, którzy są bardziej odporni. I kolejne pokolenia mają podobne uwarunkowania genetyczne. Mniej lub bardziej uodpornione osoby na chorobę. Czarna śmierć wybijała niemal wszystkich. Potem tylko niektórych, a potem przestała działać. Chodzi o selekcję. To zresztą zostało wykorzystane w przypadku Indian i odry. Choroba, z którą rdzenni mieszkańcy Ameryki nie mieli styczności, okazała się zabójcza. Biali kolonizatorzy wykorzystali ją przeciw Indianom, którym podrzucano koce od dzieci chorych na odrę. Dla wielu to była choroba śmiertelna.

Wirusy to także broń biologiczna?

Zawsze były próby tworzenia takiej broni, kłopot polega na tym, że wybiłaby również tych, którzy są w jej posiadaniu. To broń obosieczna, więc raczej nie bywa stosowana. Ale wiadomo, że prace nad tym trwały, choćby w słynnym laboratorium militarnym w Mandżurii, gdzie Japończycy pracowali nad stworzeniem jeszcze bardziej zjadliwej dżumy. Prace były też prowadzone w Ameryce. W latach 70. w okolicy jednego z ośrodków wojskowych pojawił się niespodziewanie wirus grypy H1N1. Wyjątkowo niebezpieczny, wykorzystywany zarówno do badań nad szczepieniami, jak i do broni biologicznej. Kiedy się pojawił, wybuchła panika jak przy hiszpance. Na gwałt zaczęto produkować zupełnie nową szczepionkę. Prezydent Nixon zaczął postulować, żeby populacja się szczepiła. Ale okazało się, że szczepionka była niedopracowana i dawała skutki uboczne. To jedna ze spraw, obok Watergate, przez które stracił stanowisko.

To jedyna taka wpadka?

Niestety nie. Słynna była sprawa ze skwalenem. Podczas wojny w Iraku szczepiono żołnierzy przeciw wąglikowi, obawiając się, że to broń, której może użyć Saddam Hussein. Ponieważ produkcja odbywała się na masową skalę, do niektórych partii użyto skwalenu, czyli substancji pochodzenia zwierzęcego, która podbija odpowiedź immunologiczną. Zrobiono to, ponieważ zabrakło antygenów potrzebnych do produkcji szczepionki. I wtedy okazało się, że skwalen jest niebezpieczny i część żołnierzy zaczęła mieć objawy uboczne: porażenia, narkolepsje. Do dziś mówi się o tym jako o syndromie Zatoki Perskiej. A jednak błąd został powtórzony przy ostatniej panice z świńską grypą.

Wtedy kiedy Ewa Kopacz odmówiła zakupu szczepionek?

Tak. Wówczas obawiano się, że grypa wybije świat i wszystkie firmy rzuciły się do masowej produkcji, więc zabrakło antygenów. I znów użyto do części preparatów skwalenu. Niestety okazało się, że np. w Szwecji, gdzie to szczepienie było przymusowe, do teraz toczą się procesy właśnie m.in. o to, że u niektórych osób pojawiła się narkolepsja. Nasz rząd zażądał od firm odpowiedzialności za efekty uboczne. Kiedy te odmówiły, nie doszło do zakupu.

Jak widać, dzieje szczepień to historia prób i błędów.

Opowiem jeszcze inną historię, w której wykorzystano szczepienia w innym celu. Tak było ze szczepionką na tyfus, przy produkcji której zresztą Polacy mieli duży udział. Podczas okupacji nie była dostępna, bo Niemcy przejęli kontrolę nad produkcją. A ponieważ patogen jest bardzo niebezpieczny, do badań używano krzyżowej reakcji z bakterią proteus, której obecność mogła wskazywać na to, że badany choruje na tyfus. Ktoś wpadł na genialną metodę, żeby podawać tę bakterię niektórym więźniom, którzy symulowali tyfus – badania potwierdzały jego obecność. Wywożono ich jako martwych, co było sposobnością do ucieczki.

Przeciwnicy szczepień uważają, że to głównie zarobek dla firm.

A jest na odwrót – koncernom farmaceutycznym bardziej opłaca się choroba niż jej wyeliminowanie. Więcej zarobiłyby na lekach. ©℗

Długo nie wierzono w istnienie bakterii. Panowało przekonanie, że choroby przenoszą się przez morowe powietrze. Jeden z czołowych biologów w XIX w. wypił publicznie hodowlę bakterii cholery, która mogła wybić całe miasto. Chciał udowodnić, że chorób nie wywołują bakterie, ale są roznoszone przez miazmaty

PREZENTACJA

Partner: PKP INTERCITY

KOLEJ(NY) DOBRY ROK

Wyniki pierwszych trzech kwartałów 2018 r. potwierdzają trend – usługi PKP Intercity wybiera coraz więcej pasażerów, i to nie tylko w czasie wakacji. Coraz częściej koleją podróżujemy także służbowo.

Według danych Urzędu Transportu Kolejowego do października 2018 r. z kolei w Polsce skorzystało 257,58 mln osób (w tej liczbie zawierają się zarówno codzienne przejazdy na krótkich dystansach, jak i przewozy dalekobieżne). Czołowy przewoźnik na dłuższych trasach – PKP Intercity – zajął w tej konkurencji III miejsce z ponad 15 proc. udziału. Jeśli zaś wziąć pod uwagę tzw. pracę przewozową (czyli liczbę pasażerów przypadających na kilometr trasy), zajął miejsce pierwsze z 53,21 proc.

> Polacy wracają na kolej. To nas bardzo cieszy. Ma na to wpływ coraz bardziej komfortowy tabor, inwestycje w modernizację linii kolejowych oraz takie inicjatywy jak Wspólny Bilet – mówi minister infrastruktury Andrzej Adamczyk.

Szczególne dla tej kolejowej spółki były tegoroczne wakacje: w okresie od czerwca do końca sierpnia z pociągów PKP Intercity skorzystało 13,5 mln pasażerów. Rekord z ubiegłego roku został tym samym pobity o ponad 1 mln osób (wzrost o 8 proc.). W porównaniu z 2015 r. było jeszcze lepiej – usługi przewoźnika wybrało wówczas około 9 mln pasażerów. To m.in. zasługa większej dostępności przejazdów – w sezonie wakacyjnym było ich 394 dziennie (przewoźnik zwiększył liczbę o 20 w porównaniu z pierwszymi pięcioma miesiącami roku, przy czym dzięki bieżącej analizie można było kierować więcej wagonów na trasy szczególnie uczęszczane, a należą do nich przede wszystkim połączenia Warszawy z Krakowem i Trójmiastem, a także linie Kraków – Trójmiasto, Poznań – Wrocław i Poznań – Trójmiasto). Tak dobra frekwencja w okresie urlopowym nie zaskakuje – to wszak czas wyjazdów turystycznych. Także w innych miesiącach PKP Intercity odnotowały jednak wzrost przewozów.

W całym 2017 r. z usług przewoźnika skorzystało 42,8 mln pasażerów, co dawało 11-proc. wzrost rok do roku (o 4,3 mln), przy czym prognozy zakładały, że będzie ich 39,2 mln pasażerów. W okresie od stycznia do października 2018 r. PKP Intercity przewiozło już 38,7 mln pasażerów, co oznacza 7-proc. wzrost w stosunku do analogicznego okresu 2017 roku.

Wciąż najchętniej korzystamy z pociągów, wyjeżdżając w sprawach prywatnych, np. do rodziny (41 proc. ankietowanych) i turystycznie (30 proc.) – wynika z badania, które PKP Intercity przeprowadziły w dniach 1–24 października 2018 r. na próbie 1040 osób. Ten powód wskazało 52 proc. ankietowanych. 16 proc. badanych dojeżdża pociągiem do pracy lub szkoły, natomiast 12 proc. wybiera ten środek lokomocji w podróżach służbowych. Dlaczego? Po pierwsze dlatego, że tak jest najszybciej. Dla 47 proc. ważnym ułatwieniem była możliwość kupna biletu przez internet (zdalne kanały sprzedaży za pośrednictwem strony www.intercity.pl oraz aplikacji mobilnej cieszą się coraz większym zainteresowaniem nie tylko wśród pasażerów podróżujących służbowo). Nie bez znaczenia był komfort podróży. Po 41 proc. ankietowanych wskazało gwarancję miejsca siedzącego i możliwość pracy w czasie jazdy, a dostęp do gniazdek elektrycznych doceniło 39 proc. podróżujących w celach służbowych.

Wśród wszystkich ankietowanych najczęściej wskazywany najważniejszy powód decydujący o podróży pociągiem to komfort i wygoda (26 proc. wskazań). Na drugim miejscu uplasował się czas przejazdu (18 proc.), a na trzecim atrakcyjny koszt (w przypadku 11 proc. badanych). 6 proc. pytanych stwierdziło, że po prostu z przyjemnością podróżuje pociągiem. Warto np. powołać się na opinie o wprowadzonych we wszystkich pociągach Pendolino strefach ciszy, z których skorzystało już ponad 1 mln pasażerów (95 proc. z nich zadeklarowało, że w przyszłości wybierając się w podróż składem kategorii Express InterCity Premium, znów skorzysta z tej strefy).

Komfort podróży nie bierze się znikąd. Jest efektem już dokonanych inwestycji, jakie prowadzi spółka. W różnych fazach planowania i realizacji są następne. Mowa o wartej 7 mld zł strategii „PKP Intercity – Kolej Dużych Inwestycji", która ma zostać zrealizowana do 2023 r. Program obejmuje modernizację i zakup wagonów, lokomotyw oraz elektrycznych zespołów trakcyjnych. Ze wspomnianej sumy w 2018 r. aż 2 mld zł przypada na umowy podpisane w tym roku. Na torach pojawi się wkrótce np. 60 wagonów typu COMBI produkcji PESA Bydgoszcz. Są to wielofunkcyjne wagony o podwyższonym standardzie, z wydzielonymi przedziałami rodzinnymi oraz przedziałem dla osób niepełnosprawnych i...automatami do sprzedaży słodyczy i napojów. O szybkość podróży zadba m.in. 20 nowych lokomotyw elektrycznych Griffin, które będą rozwijać prędkość 160 km/godz., co pozwoli efektywnie wykorzystywać zmodernizowane linie kolejowe.

> W 2018 r. podpisaliśmy umowy na zakup 55 nowych i modernizację aż 285 posiadanych wagonów. Daje nam to aż 340 nowoczesnych i komfortowych wagonów, w których pasażerowie będą mogli korzystać z licznych udogodnień. Nowy i zmodernizowany tabor będzie obsługiwał kilkadziesiąt pociągów jeżdżących po całej Polsce. To bardzo dużo, a zgodnie z planem przygotowujemy się już do kolejnych inwestycji – informuje Marek Chraniuk, prezes zarządu PKP Intercity.

Tabliczka z alfabetem fenickim, XIV w. p.n.e.

fot. DeAgostini/Forum

Siła wygody

Nic tak mocno nie pcha ludzkości do przodu jak wygodnictwo jednostek i **lenistwo całych społeczeństw**

Andrzej Krajewski

Jeśli coś jest wygodne i wymaga od ludzi mniej wysiłku lub czasu, w końcu wygra. Ta prawidłowość jest zapisana w naturze człowieka. Popatrzmy: prawie już nie piszemy odręcznie, bo pióro wyparła klawiatura laptopa lub smartfona. W portfelu coraz więcej plastikowych kart, a mniej banknotów i monet. A najcenniejszą wartością stał się dziś czas, bo żyjąc w coraz większym pędzie, wciąż potrzebujemy go więcej. A ten stan rzeczy zawdzięczamy – o ironio – naszemu wielkiemu zamiłowaniu do rozleniwiającej wygody.

Komfort alfabetu

Gdyby ludzie byli bardziej skłonni do codziennego wysiłku, w zupełności zadowoliłoby ich pismo ideograficzne. Takie, jakiego używali przez wiele wieków starożytni Egipcjanie, a także Majowie i Aztekowie. Dziś posługują się nim niezwykle pracowici Japończycy oraz Chińczycy. Ideogramy wykształciły się kilka tysięcy lat temu z pisma piktograficznego. W nim każdy rysunek oznaczał określone pojęcie, co jest bardzo niewygodne – już sama liczba znaków prezentuje się imponująco, a jeszcze większe problemy sprawia zapisywanie bardziej skomplikowanych myśli.

Starożytni rozwiązali ten problem, wprowadzając różne typy znaków. Mogą one być symbolem, oznaczać konkretny wyraz lub tylko jedną sylabę. W efekcie wykształcony Egipcjanin pisał, używając ok. 5 tys. takich znaków. Współczesny Chińczyk stosuje na co dzień o 2 tys. mniej, choć opracowywane przez 400 naukowców „Wielkie Kompendium Chińskich Znaków" z 2010 r. zawiera aż 60 370 znaków, jakimi kiedykolwiek posługiwali się mieszkańcy Państwa Środka. Dopiero znajomość wszystkich daje stuprocentową gwarancję właściwego zrozumienia każdego tekstu. Mimo zawiłości rodzimego „alfabetu" Chiny mają się świetnie, a ich mieszkańcy radzą sobie z pisaniem i czytaniem bez problemów. Jednak używane na terenie Chin języki wcale nie są bardziej skomplikowane od angielskiego. Tymczasem ten ostatni do opisania świata potrzebuje ledwie 26 abstrakcyjnych liter. Ta różnica sprawiła, że to nie chińskie pismo podbiło świat. Chociaż powinno, ponieważ Państwo Środka od swego zjednoczenia w 221 r. p.n.e. przez ponad półtora tysiąca lat było najludniejszym, najwyżej rozwiniętym, a także zazwyczaj największym ze światowych mocarstw. Pierwszeństwo Wielkiej Brytanii oddało dopiero w XIX w.

Najważniejsze trendy w dziejach zazwyczaj wytyczają mocarstwa, jednak w przypadku pisma zrobili to bez oglądania się na chińską potęgę Fenicjanie, kupiecki lud, który nawet nie stworzył jednego państwa, lecz zamieszkiwał samorządne miasta, leżące na wybrzeżu dzisiejszego Libanu, Syrii i Izraela. Fenicka rewolucja była radykalna. Zamiast 5 tys. symboli zaoferowali światu 22 litery. W upraszczaniu poszli tak daleko, że pominęli samogłoski, zapisując jedynie spółgłoski (do dziś czynią tak m.in. Żydzi i Arabowie). Wprawdzie współczesne wykopaliska archeologiczne dowiodły, że alfabet nie jest tak naprawdę fenickim wynalazkiem. Ewoluującego w tym kierunku pisma, nazwanego pseudohieroglificznym, używano już ok. 2200 r. p.n.e. w mieście Byblos w Libanie (odkrył je francuski filolog i archeolog Maurice Dunand).

TWOJE DZIECKO MOŻE BYĆ NARAŻONE NA CHOROBY POWODOWANE PRZEZ PNEUMOKOKI[1]

INFEKCJE POWODOWANE PRZEZ BAKTERIE ZWANE *STREPTOCOCCUS PNEUMONIAE* MOGĄ PROWADZIĆ DO:

- ZAPALENIA OPON MÓZGOWO-RDZENIOWYCH
- POSOCZNICY (SEPSY)
- ZAPALENIA PŁUC
- ZAPALENIA UCHA ŚRODKOWEGO

Choroby te mogą powodować poważne komplikacje i problemy zdrowotne, ale można im zapobiegać[1].

W POLSCE DZIECI URODZONE PO 31 GRUDNIA 2016 R. PODLEGAJĄ OBOWIĄZKOWYM - BEZPŁATNYM SZCZEPIENIOM PRZECIW INWAZYJNYM ZAKAŻENIOM *STREPTOCOCCUS PNEUMONIAE* W RAMACH PROGRAMU SZCZEPIEŃ OCHRONNYCH[2-4]

POROZMAWIAJ Z LEKARZEM O TYM, JAK MOŻESZ CHRONIĆ SWOJE DZIECKO

Referencje:

1. *Centers for Disease Control and Prevention. Pneumococcal Disease*, https://www.cdc.gov/pneumococcal/about/index.html (dostęp z dn. 26.07.2017).

2. *Rozporządzenie Ministra Zdrowia z dn. 3.11.2016r. zmieniające rozporządzenie w sprawie obowiązkowych szczepień ochronnych*, http://www.dziennikustaw.gov.pl/du/2016/1815/1 (dostęp z dn. 26.07.2017).

3. *Program Szczepień Ochronnych na rok 2017. Komunikat Głównego Inspektora Sanitarnego z dn. 4.01.2017r.*, https://gis.gov.pl/images/ep/so/pso_2017_-_nowelizacja.pdf (dostęp z dn. 26.07.2017).

4. *Art. 17 ust. 11 ustawy z dnia 5 grudnia 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi* (Dz. U. z 2016 r. poz. 1866, 2003 i 2173).

Treści zamieszczone w materiale mają charakter wyłącznie informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma porady medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji z lekarzem, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Wszystkie działania niepożądane należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02 - 222 Warszawa, tel. (22) 492 13 01, fax (22) 492 13 09, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu http://www.urpl.gov.pl lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy: GSK Commercial Sp. z o. o. ul. Rzymowskiego 53, 02 - 697 Warszawa, tel. (22) 576 90 00, fax: (22) 576 90 01, http://www.pl.gsk.com.

PL/SYN/0038/17 Data przygotowania materiału: sierpień 2017

Fenicjanie najprawdopodobniej jedynie uprościli alfabet, pierwotnie składający się z ok. 100 znaków. Trafiał on wraz z nimi wszędzie, gdzie dopływały okręty kupców, po czym był adaptowany i dostosowywany do lokalnego języka. Grecy jako pierwsi dostrzegli, że łatwiej się czyta i przekaz informacji jest klarowniejszy, jeśli także każda samogłoska ma odpowiadającą jej literę. Tak doskonalił się najwygodniejszy w użyciu sposób zapisywania myśli. Gdyby pierwsze narodziły się klawiatury maszyn do pisania, należałoby go wymyślić. Analogiczną drogę przeszły cyfry. Ich współczesną wersję świat zawdzięcza Arabom, którzy skopiowali je od hinduskich matematyków, a następnie uprościli.

fot. Ashmolean Museum/East News

Banknot chiński z czasów dynastii Ming

Pieniądze to nie wszystko

„Pieniądz jest zjawiskiem bardzo starym, ale – podobnie jak rynek – zmiennym. Nie od razu wykształciła się jego najbardziej znana nam dziś forma. Płacidłem bywały w dziejach bardzo różne rzeczy" – podkreśla w książce „Trzeba mieć pieniądze" prof. Marcin Kula. „U Azteków w transakcjach detalicznych posługiwano się ziarnem kakaowym, przy małych transakcjach tkaninami, a w transakcjach na dużą skalę piórami rzadkich ptaków i złotym proszkiem. W Tybecie i w Afryce w roli płacideł występowały bryłki soli. We wczesnym okresie kolonizacji Ameryki przez Białych – tytoń. W Polsce wczesnośredniowiecznej – płatki lniane i skórki zwierzęce" – wylicza. Każdy z tych przykładów dowodzi, że waluta to rzecz oparta na umowie społecznej. Może nią być wszystko, pod warunkiem że dana społeczność wierzy, iż płacidło ma realną wartość i można za nie kupić jakieś dobro lub usługę. A jednak gdy ok. 635 r. p.n.e. w Lidii, małym państewku w Azji Mniejszej, zaczęto wypuszczać do obiegu krążki z elektrum, w przyszłość wiodła już tylko jedna droga.

Moneta z kruszcu, będącego naturalnym stopem złota i srebra, to płacidło niemal doskonałe. Złoto i srebro są metalami rzadkimi, przez co pod każdą szerokością geograficzną zachowują swoją wartość. Łatwo je zabrać ze sobą, jednocześnie trudno podrobić, co daje poczucie komfortu oraz zaufania. Bez nich dużo trudniej zawiera się każdą transakcję. Poza tym metale szlachetne są odporne na korozje i starzenie. Można je magazynować przez wieki. Mają jednak dwie wady: ciężar, który komplikuje większe wymiany, oraz ograniczone zasoby. Ten drugi feler poważnie utrudnia życie rządom, gdy potrzebują wypuścić więcej pieniądza do obiegu. W ogromnych państwach, gdy trzeba pokonywać duże odległości, kruszcowe monety okazywały się zbytnio uciążliwe. Na pomysł, jak sobie ułatwić życie, pierwsi wpadli Mongołowie, po podboju Chin w XIII w. Metal zastąpili papierem. Dzięki pisanym znakom dawało się go zabezpieczyć przed podrobieniem, a był dużo lżejszy. Tyle że stanowił jedynie symbol, bo wystawca musiał dać użytkownikowi gwarancję, że banknot może zawsze wymienić na coś cennego. „Wszystkie te papierowe pieniądze robione są z taką powagą i namaszczeniem, jakby to było złoto lub srebro czyste, gdyż na każdym z nich kilku urzędników do tego wyznaczonych podpisuje swe nazwisko i wytłacza swą pieczęć, i gdy to przez wszystkich wykonane zostanie, najwyższy mincarz, ustanowiony przez cesarza, zanurza swą pieczęć w cynobrze i pieczętuje nią pieniądz" – notował swe obserwacje w „Opisaniu świata" podróżnik Marco Polo.

Wygoda w tym wypadku wygrywała z ryzykiem, ponieważ nigdy nie istniała stuprocentowa gwarancja, że wystawca banknotu wymieni go w razie żądania na kruszec. A jednak papierowy pieniądz stopniowo podbił świat, bo był czymś o wiele praktyczniejszym w codziennym użyciu od monet, zarówno dla pojedynczych ludzi, jak i państw. Użyteczność sprawiała, że wszyscy chcieli wierzyć w grę pozorów, na której w końcu zaczęła się opierać cała światowa gospodarka. Ten paradoks znakomicie ilustruje, a zarazem tłumaczy angielska anegdota, którą przytacza w książce „Z dziejów pieniądza na świecie" Henryk Cywiński. Do Banku Anglii przychodzi klient z pięcioma funtami. Tam zadaje pytanie urzędnikowi: „Czy mógłby pan wymienić ten banknot?". Natychmiast pada odpowiedź: „Ależ oczywiście!". Wówczas petent mówi: „W takim razie zabieram go z powrotem. Musi pan jednak wiedzieć, że gdybym otrzymał odpowiedź odmowną, byłbym zmuszony prosić o natychmiastową wymianę".

fot. Materiały prasowe

Karta Diners' Club – pierwowzór karty kredytowej

Jeszcze wyższy stopień abstrakcji towarzyszył wynalezieniu kart płatniczych. Narodziły się one nie za sprawą bankierów, lecz amerykańskich właścicieli sklepów i ich klientów, biorących towary na krechę. Nie chcąc stracić stałego nabywcy, któremu przed wypłatą brakowało gotówki, kupcy zaczęli wydawać takim osobom papierowe notesiki. Wpisywano w nich, co zostało sprzedane i za ile. Po wypłacie klient regulował należności, a właściciel sklepu anulował dług bez pobierania odsetek. System odroczenia zapłaty w 1894 r. zaczęły naśladować amerykańskie hotele, zrzeszone w stowarzyszeniu Hotel Credit Letter Company. Wydawały one stałym gościom karty, pozwalające przesunąć płatność za nocleg w placówkach sieci. Tą samą drogą poszedł w 1914 r. zajmujący się dostarczaniem telegramów i przesyłek koncern Western Union. Papierowe notesiki zastąpił metalowymi blaszkami z wybitym numerem identyfikacyjnym. Posiadanie takiej karty pozwalało w wygodny sposób opłacić hurtem na poczet numeru wiele wcześniej zamówionych usług, oszczędzając czas i uwalniając się od konieczności częstych odwiedzin w placówkach WU.

Idea, aby własne pieniądze lub możność szybkiego kredytu pozostawić bankowi, a w portfelu nosić jedynie klucz do gotówki, od tego czasu czekała na moment, aż ktoś ją dostrzeże. Najwięcej bystrości wykazał w 1949 r. Frank McNamara. Zainspirował go pechowy obiad w nowojorskiej restauracji Major's Cabin Grill. Gdy przyszło do płacenia rachunku, spostrzegł, że zostawił portfel w kieszeni innej marynarki. Jak potem twierdził, udało mu się z restauracji dodzwonić do żony i ta uratowała go z opresji. Złośli-

wi znajomi opowiadali natomiast, że McNamara lokal mógł opuścić dopiero późnym wieczorem, kiedy odpracował należność za obiad na zmywaku. Po tak traumatycznym doświadczeniu biznesmen postanowił stworzyć coś wygodniejszego od banknotów. Wkrótce wraz z przyjacielem Ralfem Schneiderem założył firmę Diners Club. Wydawane przez nią papierowe kartoniki pozwalały od lutego 1950 r. na bezgotówkowe regulowanie rachunku w 27 nowojorskich restauracjach. Do końca 1951 r. Diners Club wydał karty płatnicze 42 tys. osób. Ten sukces zwiastował wspaniałą przyszłość kartom płatniczym. Siedem lat później dyrektor generalny American Express Ralph Reed, po zaoferowaniu przez jego konsorcjum finansowe kartonowych kart podróżnych, zauważył, że będą odporniejsze, jeśli zacznie się je robić z plastiku. Dziś w krajach wysokorozwiniętych średnio 75 proc. obywateli reguluje rachunki przy użyciu kart płatniczych, choć za rachunek osobisty, debet lub kredyt muszą co miesiąc płacić. Ale tak jest po prostu wygodniej.

Czas największą z wygód

„Pasażerowie, wsiadając do samolotu z odkrytą kabiną, ubierali się jak na wyprawę biegunową, ponieważ samolot nie posiadał urządzeń do grzania. Jako siedzenie służyły dzienniki, gdyż skromną przestrzeń należało wykorzystać, a równocześnie pocztę zabrać" – notował Stanisław Sarnowski wrażenia z lotu bombowcem Farman F-60 Goliath, przerobionym na samolot pasażerki. Był luty 1919 r. i połączenie lotnicze z Berlina przez Weimar do Lipska uruchomiło przedsiębiorstwo Deutsche Luft-Reederei. Możność podróżowania drogą powietrzną nie była niczym nowym. Dziesięć lat wcześniej w Niemczech powstały pierwsze w świecie pasażerskie linie lotnicze DELAG (Deutsche Luftschiffahrts-Aktiengesellschaft). Od listopada 1909 r. siedem sterowców DELAG-u wykonało w niecałe cztery lata ok. 1,6 tys. lotów na trasach między największymi miastami II Rzeszy, przewożąc ok. 34 tys. ludzi. Chętnych nie brakowało, choć bilet na lot kosztował ok. 200 marek, czyli tyle, co średnia miesięczna pensja. Sterowce zapewniały podobny komfort co pociągi, lecz były nieco szybsze, bo mogły się przemieszczać po liniach prostych. Tymczasem w dwudziestym stuleciu to czas stał się najbardziej deficytowym dobrem, a jego zyskiwanie kojarzy się z największą wygodą. Latające ze średnią prędkością 50–60 km na godzinę sterowce zaczęły przegrywać konkurencję z dużo mniej komfortowymi, lecz szybszymi samolotami.

Jak istotna jest szybkość, najlepiej rozumieli Amerykanie. Nowatorski samolot pasażerski L-10 Electra koncernu Lockheeda, przed II wojną światową zdominował rynek przewozów lotniczych na Starym Kontynencie dlatego, że osiągał prędkość przelotową 305 km/h. Maszyny produkowane przez niemieckiego Junkersa i holenderskiego Fokkera latały o ok. 100 km wolniej. Prawidłowość ta nie zmieniła się po II wojnie światowej. Wówczas zażartą walkę o pasażerów stoczyły koncern Boeinga oraz Douglas Aircraft Company. Wygrał Boeing, bo jego nowa maszyna B 307 Stratoliner przewoziła pasażerów z Nowego Jorku do Los Angeles w 13 godzin i 40 minut. Jej główny konkurent DC-4 Douglasa leciał tą samą trasą 17,5 godziny. Przytłaczająca większość ludzi wybierała samoloty tej linii, którymi podróżowało się szybciej. Wiedząc o tym, szefostwo firmy De Havilland postanowiło w 1949 r. rzucić wyzwanie Amerykanom. Brytyjczycy liczyli, iż przełamią ich dominację za sprawą silnika odrzutowego. De Havilland jako pierwsza w świecie zbudowała samolot pasażerski nimi napędzany. Odrzutowiec DH 106 Comet potrafił przewozić ludzi z prędkością prawie 900 km/godz. Natychmiast napłynęły zamówienia z całego świata. Jednak tuż po wejściu do użycia brytyjskie odrzutowce zaczęły wybuchać w powietrzu. Ich kadłub pękał podczas lotu na dużych wysokościach. To wykorzystał Boeing, oferując w 1954 r. liniom lotniczym swój nowatorski, napędzany czterema odrzutowymi silnikami model B 707, mogący latać ze średnią prędkością 950 km/h.

W 1960 r. z osób przeprawiających się przez Atlantyk 69 proc. wolało lecieć samolotem. Dekadę później było ich już 97 proc. Po wspaniałych stu latach rozwoju i doskonalenia transatlantyki zakończyły swój żywot. W końcu nie były w stanie płynąć z prędkością większą niż 30 węzłów (ok. 50 km/godz.) i na pokonanie Atlantyku potrzebowały pół tygodnia, a nie kilku godzin. Co ciekawe, samoloty także zderzyły się z barierą ekonomiczno-technologiczną, której nie udało się pokonać aż do dziś. Powszechnie używane maszyny pasażerskie nadal latają z prędkością zbliżoną do tej sprzed ponad pół wieku. Wprawdzie już pod koniec lat 60. wydawało się, że nadchodzi nowy przełom. Zwiastował go, zbudowany wspólnie przez Wielką Brytanię i Francję ponaddźwiękowy Concorde. Poruszając się z dwukrotną prędkością dźwięku, pokonywał on trasę z Londynu do Nowego Jorku w 3,5 godziny. Klasycznym maszynom Boeinga zajmowało to prawie 8 godzin. Jednak jak się przekonano, każda wygoda ma swoją cenową granicę. Z racji olbrzymiego zużycia paliwa pasażerowie latający Concordem musieli słono płacić za bilety, co sprawiało, że nigdy nie było ich zbyt wielu. Wygoda generuje więc zawsze postęp, lecz najskuteczniej wówczas, gdy jest możliwa na masową skalę. ©℗

Pierwsze banknoty były ręcznie malowanymi dziełami sztuki, a kartę płatniczą poprzedzały notesiki rozdawane klientom przez właścicieli sklepów i knajp

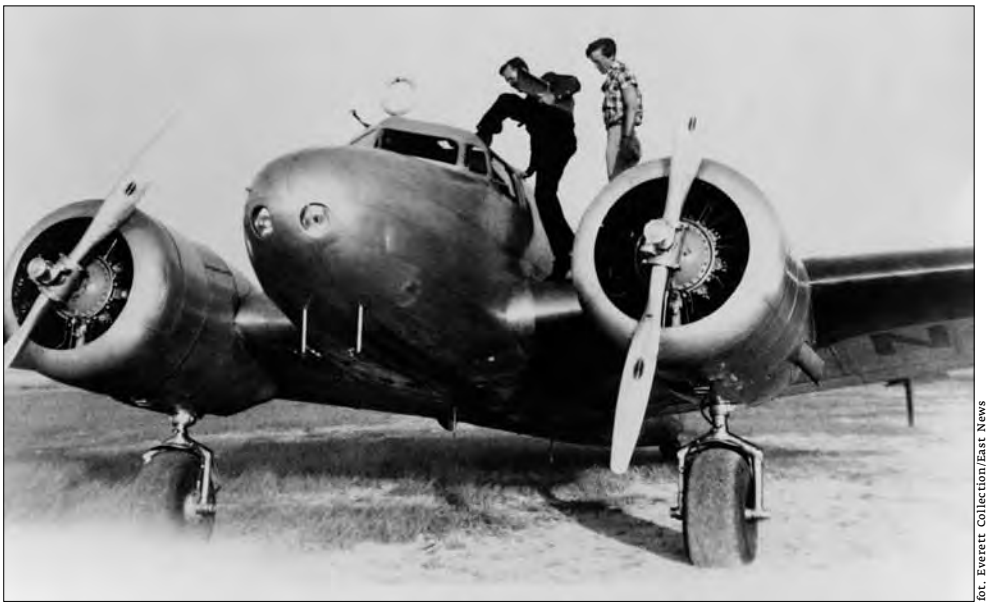

Amelia Earhart, pierwsza kobieta, która przeleciała nad Atlantykiem (1932 r.), na skrzydle samolotu Lockheed L-10E Electra

fot. Everett Collection/East News

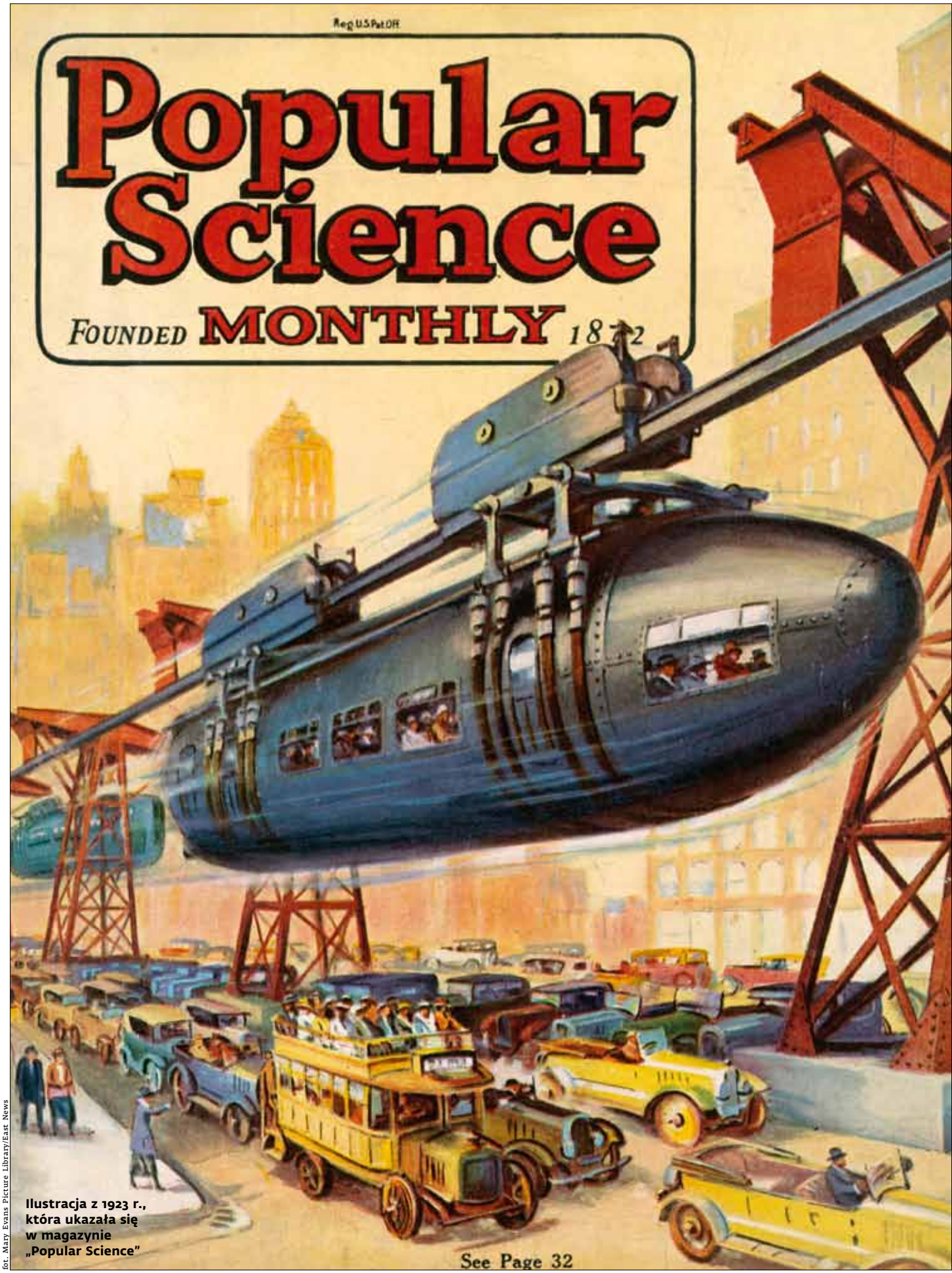

Ilustracja z 1923 r., która ukazała się w magazynie „Popular Science"

fot. Mary Evans Picture Library/East News

To, co i jak myślimy o przyszłości, determinuje to, co robimy dzisiaj. Jeśli uważamy przyszłość za możliwą do przewidzenia, to jesteśmy analfabetami

Więcej improwizacji, mniej przewidywania

Z **Rielem Millerem**
rozmawia Sebastian Stodolak

Cieszę się, że trafiłem na speca od przyszłości.
Ależ ja nim nie jestem.
Jak to? W pańskiej nocie biograficznej czarno na białym stoi, że para się pan „analizą przyszłości". Zajmował się pan tym dla OECD i UNESCO. Ktoś się pomylił?
(Śmiech) Nie jestem futurystą ani wróżbitą. Nie wiem, co się wydarzy jutro.
Czyli nie powie mi pan, jakich języków – oprócz angielskiego – powinna uczyć się moja córka? I czy wybór chińskiego to naprawdę dobry pomysł?
Byłbym kłamcą, gdybym śladem wielu „ekspertów" zapraszanych do telewizji twierdził, że posiadłem tajemną wiedzę o tym, co się zdarzy i próbował pana do tego przekonać. Nie wiem, czy język chiński będzie tak przydatny, jak się sądzi.
Jestem rozczarowany.
Analizowanie przyszłości dotyczy tak naprawdę tego, jak ludzie budują swoje wyobrażenia na jej temat. Bo myślenie o przyszłości cały czas się zmienia. Inaczej postrzegano ją 10 tys. lat temu, inaczej 200 lat temu i dekadę temu. Interesuje mnie, co sprawia, że jedni widzą przyszłość w jasnych, a inni w ciemnych barwach, jedni jako wynik zaplanowanego działania, inni jako rezultat przypadku, że dla niektórych przyszłością rządzi determinizm, inni widzą zaś sporo przestrzeni dla wolnej woli.
Nie przyda się pan więc ani mediom, ani politykom. Tu chcą pewników, konkretów.
To powszechny błąd. Dam panu przykład. Zaczynałem karierę w 1982 r. jako ekonomista Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju. OECD była wtedy najważniejszą instytucją zajmującą się prognozowaniem gospodarczym. W tamtym czasie sprawdzaliśmy wyniki naszych wcześniejszych prac poprzez zderzanie ich z prawdziwymi wskaźnikami. Okazało się, że nasze prognozy były bardzo niedokładne i to zwłaszcza w aspektach najistotniejszych dla formułowania polityk gospodarczych, czyli np. w szacowaniu faz końcowych i początkowych danych trendów. Byłem zszokowany, gdy szefowie państw członkowskich OECD poinformowani o tych niedokładnościach, mimo wszystko decydowali się z naszych prognoz korzystać dalej, jakby były w 100 proc. trafne.
Świadomie decydowali się kłamać?
Powiedziałbym, że dostarczali to, czego ich obywatele od nich oczekiwali.
Czyli?
Poczucie pewności. Ludzie chcą, żeby przyszłość była przewidywana.
To chyba nie dziwi. Czy potrzeba pewności nie jest naturalna?
Nie. Ona – podobnie jak poziom apetytu na ryzyko – ewoluuje i jej siła może się znacznie zmieniać. Pokolenie, które przeżyło wojny światowe, było pewne, że wkrótce wybuchnie trzecia – atomowa, i takie oczekiwanie determinowało ich wybory polityczne i życiowe. Wiedzieli, że ich plany będą nieustannie burzone przez zewnętrzne siły. Ich dzieci widziały, jak imperia, takie jak ZSRR, które miały trwać wiecznie, padają – i także zaczynały rozumieć, że przyszłość jest zaskakująca. A dziś milenialsi i kolejne pokolenia są przyzwyczajone do względnej stabilności, dającej złudzenie, że przyszłość da się wpisać w przewidywalne schematy. Tak jest zwłaszcza na Zachodzie, bo w Polsce, kraju transformacji, ludzie raczej są świadomi zmienności świata. Jeszcze w 1988 r. mieliście socjalizm, w rok później już kapitalizm i czołowe zderzenie z nowymi technologiami.
W latach 90. w połączeniach telefonicznych pośredniczyły jeszcze telefonistki w centralach, dzisiaj każdy ma komputer wielkości dłoni.
Bo świat jest zawsze dziwniejszy, niż nam się wydaje, i prawda bywa bardziej zaskakująca niż scenariusze filmowe. Zmiana, ewolucja – także szoki – są wpisane w naturę systemu społecznego i to dzięki nim nasz gatunek się rozwija. Powinniśmy walczyć z arogancją, która każe nam sądzić, że wszystko wiemy, w zamian powinniśmy być bardziej otwarci na tę cudowną złożoność nieustannie ewoluującego i pełnego niespodzianek wszechświata.
Ale świadomość zmienności i nieprzewidywalności nie wszystkich prowadzi do takich wniosków. Jak to wytłumaczyć?
Zjawiskiem, które nazywam future illiteracy, analfabetyzmem w korzystaniu z przyszłości. To, co i jak myślimy o przyszłości, determinuje to, co robimy dzisiaj. Jeśli uważamy przyszłość za możliwą do przewidzenia, to jesteśmy analfabetami nierozumiejącymi, że pewna w świecie jest tylko niepewność. Dlatego próbujemy podbijać, zarządzać, kolonizować przyszłość przez precyzyjne określanie nadchodzących zdarzeń. To błąd. Oczywiście nie chodzi o to, by w ogóle nie myśleć o jutrze, bo zastaniemy pustą lodówkę i umrzemy z głodu, ale o to, że szczęście, dobrobyt czy sens w życiu to kwestie, nad którymi nie możemy mieć kontroli. Nie można ich osiągnąć racjonalnym planowaniem. Wierząc w takie złudzenie, paradoksalnie stajemy się pesymistami, wszędzie dostrzegając zagrożenia. Na poziomie politycznym widzę to w międzynarodowych debatach, których wspólnym mianownikiem jest strach.

fot. Materiały prasowe

RIEL MILLER

ekonomista związany z OECD i UNESCO, pionier badań nad wykorzystaniem analizy przyszłości w projektowaniu programów publicznych. Gościł w Warszawie na konferencji „Masters and Robots" organizowanej przez fundację edukacyjną Digital University

Co to będzie, co to będzie?
Na dodatek, żeby uniknąć tych nadchodzących zagrożeń, formułuje się często recepty z użyciem starych narzędzi, które nie mogą być skuteczne w XXI w. Dziś mówi się o przemyśle 4.0, a przecież samo słowo przemysł jest już archaizmem, tak jak słowo „rolnictwo" stało się przeżytkiem w XIX w. Wyobrażanie sobie, że stare pojęcia mogą być wciąż pomocne, prowadzi do ślepego naśladownictwa i klęski. Chiny czasów Mao Zedonga chciały się uprzemysłowić, nie zauważając, że Zachód z modelu opartego na przemyśle przechodzi na model rozwoju, którego głównymi silnikami są usługi i kapitał ludzki.
Nie tylko komunizm chce uczynić przyszłość przewidywalną. UE stworzyła strategię lizbońską mającą zwiększyć naszą konkurencyjność, w Polsce mamy rozpisany przez premiera Mateusza Morawieckiego plan gospodarczych działań. Pokusa, by zaplanować, jest silna. Czy wszystkie te propozycje są bezsensowne?
Oczywiście, że nie. To nie jest kwestia zero-jedynkowa: że albo przyszłość zaplanujemy, albo pozwolimy się jej naturalnie wykluć i dopasujemy się do niej. Chodzi o relację między tymi dwoma podejściami. Jeśli przyjmiemy model, w którym chcemy kogoś naśladować, np. starszego brata...
Albo Irlandię.
...to zamykamy się w przestarzałym schemacie. Będziemy chcieli działać jak ktoś, kto nie jest taki jak my. Owszem, starszy brat czy Irlandia mogą dopingować do działania, ale w XXI w. pytanie, na które odpowiedź może ułatwić sukces w mierzeniu się z przyszłością, brzmi: co to znaczy być sobą? Jaki jest mój charakter – czy to jako jednostki, czy jako państwa albo narodu? Dopiero wiedząc, kim jesteśmy, możemy znaleźć model postępowania, który nas usatysfakcjonuje. Byłem niedawno w Maroku i pewien młody człowiek narzekał, że chciałby, aby jego kraj był jak Francja, ale „pewnie nigdy nie będzie". Zgadzam się, nie będzie. Ale czy to źle? To właśnie przyjęcie założenia, że Maroko powinno być jak Francja wywoływało u niego ten smutek, bo patrzył na wskaźniki gospodarcze czy społeczne obu państw, porównywał je i widział przepaść. Ten człowiek wykorzystywał myślenie o przyszłości w bardzo wąski, kontrproduktywny sposób, ustawiając siebie w opozycji do świata, w sprzeczności z wymogami XXI w. Powinien zaś najpierw poznać dogłębnie własny kraj, jego doświadczenia, atuty i słabe punkty, a potem, używając wyobraźni, napisać jego historię w odważny, pełny nadziei sposób. Rolą rządów dzisiaj nie jest mówienie ludziom, co i jak mają robić, żeby osiągać sukces, a wyposażanie ich w konieczne instrumenty i danie wolności działania. Uczymy obywateli pisać i czytać, zachęcamy do wykorzystywania tych umiejętności i obserwujemy, co z tym zrobią. Jedni będą pisać poezje, inni traktaty polityczne, a jeszcze inni będą tworzyć instrukcję budowania bomb. Wyobraźnia i otwartość to warunki konieczne, by nie umrzeć z głodu jak ślepiec w krainie obfitości. Wróćmy jednak na chwilę do pańskiej córki...
A jednak. Dziękuję.
Myślenie o przyszłości na poziomie indywidualnym powinno się opierać na świadomości, że skoro nie wiemy, co może nam się przydać, to dostrzegamy, że potencjalnie wszystko może nam się przydać. Powinniśmy doceniać rolę przypadku. Chiński, niemiecki, rosyjski – nauka wszystkich tych języków może, ale nie musi być przydatna. Nie musi mieć pan 100 proc. przekonania, że najlepszy dla córki będzie mandaryński, by posłać ją na kurs. Róbmy więc różne rzeczy, bo nie wiemy, do czego przydadzą się nam w przyszłości, zamiast zajmować się obliczaniem finansowego zwrotu z każdego działania, które podejmujemy. Każda porażka wpędza nas w depresję, gdyż jedyne, co widzimy, to straty i złe inwestycje.
Nie powinniśmy liczyć strat? Oglądać się za siebie?
Każde działanie pochłania zasoby, więc jeśli okazuje się nieskuteczne, trudno nam pogodzić się z tym, że już ich nie odzyskamy. Stoisz na przystanku i autobus spóźnia się pięć minut. Czy czekać dalej? Autobus może nie przyjechać i zmarnujesz kolejne minuty. Decyzja należy do cie-

Tak sobie wyobrażano miasta przyszłości w latach 40. XX w.

bie, bo ta podróż ma swój konkretny jednostkowy kontekst. Tak czy siak, nawet jeśli ten autobus nie przyjedzie, czas spędzony na czekaniu może nie być zmarnowany. Możesz poświęcić go na lekturę artykułu w gazecie, który może zainspiruje cię do zrobienia czegoś, czego inaczej byś nie zrobił. Możesz też po prostu rozejrzeć się wokoło. Problemem naszych czasów jest oderwanie od materii życia i całkowita koncentracja na bieżącym zadaniu. Ponowne połączenie się ze światem, chociażby przez uważną i świadomą obserwację przydrożnego drzewa czy przechodniów, pomaga pozbyć się tych klapek z oczu i otwiera nam przestrzeń dla nowych doświadczeń, uruchamia ukryty potencjał. Przecież wiele wynalazków powstało w drodze zabawy, w wyniku przypadkowej obserwacji, a nie metodycznych prac. Potrzeba nam więcej improwizacji i spontaniczności.

Mało ekonomiczne to stwierdzenia jak na ekonomistę. Za mało o PKB, inflacji, inwestycjach. Ludzie, koniec końców, zwracają się ku tym, którzy oferują im konkret.

Myślenie w kategoriach wskaźników nie jest właściwym podejściem, gdy mowa o przyszłości – i dobrze by było, gdyby zrozumieli to rządy i ekonomiści. Gdy to podejście było dominujące, utarło się, że te same rozwiązania są dobre dla wszystkich. To dlatego Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy promowały więc polityki z gatunku „jeden rozmiar dla wszystkich" w kwestii instytucji ekonomicznych. Teraz już lepiej rozumieją, że nie jest to dobre podejście. Po II wojnie światowej w Bretton-Woods osiągnięto porozumienie w sprawie kształtu globalnego systemu pieniężnego i narzucono je światu. Dzisiaj coś takiego nie jest możliwe. Stare struktury się kruszą. Nie tylko zresztą te międzynarodowe, ale i narodowe. Same państwa nie są już do końca spójne z kierunkiem, w którym ewoluuje społeczeństwo. XXI w. potrzebuje systemu opartego na współzależności, ale nie w rozumieniu społecznej homogenizacji.

fot. David A Hardy/Science Photo Library/East News

Czy to właśnie strach przed homogenizacją nie jest jednym ze szwów spajających nas z tą odchodzącą epoką?

Tak, ale jest bezzasadny. Jesteście jako Polacy od 30 lat zaprzęgnięci w proces globalizacji. Czy wasza kuchnia jest bardziej czy mniej różnorodna niż w 1989 r.?

Bardziej.

Właśnie. Ludzie chcą być traktowani jako unikatowe indywidua i potrzeba tylko, żeby zrozumieli, jakiego typu myślenie o przyszłości i jaki system organizacji polityczno-społecznej będzie najlepiej służył ich rozwojowi. Stworzenie takiego systemu wymaga jednak ogólnej zmiany mentalności całego społeczeństwa. Na razie uczy się nas w szkołach, że odpowiedzi są na półce i wystarczy po nie sięgnąć, a w miejscu pracy – że w razie wątpliwości wiedza znajduje się w pokoju menedżera. To mentalność z ery przemysłowej.

Uczy się nas też – chociażby w bajkach, a więc uczą już tego nasi rodzice – że przyszłość to raczej zagrożenie i należy się przed nią ubezpieczyć. Trzy świnki budują trzy domki, ale tylko najmądrzejsza i najbardziej pracowita z nich stawia taki, który wytrzymuje atak złego wilka. Czy z tego, co pan mówi, nie wynika, że ten podziw jest na wyrost?

To świetny przykład. Już na poziomie przedszkolnym wykształcamy u dzieci postawę oczekiwania od przyszłości konkretnych, najczęściej przerażających, zdarzeń. Przyszłość jest dla nas tym, przed czym już teraz powinniśmy się ubezpieczyć. Te świnki, zamiast budować sobie trzy osobne domki, powinny być może zamieszkać razem i stworzyć wspólny system żywienia złych wilków z okolicy, żeby te dały im spokój? Jesteśmy jak te świnki nauczeni powtarzać to, co robili nasi dziadowie. Taka strategia jest coraz mniej użyteczna w świecie, w którym mamy coraz więcej wolności i sposób na wyrażenie samych siebie. Często nas to przeraża, chcemy, by ktoś nam pokazał drogę...

I głosujemy na liderów „z wizją".

Tak. Kiedyś – wraz z postępem nauki i popularyzacją pisma – ludzie porzucili pogląd, że świat jest płaski. Dla wielu był to szok, bo runął stary po-

rządek. Takie osoby są podatne na strach. Dzisiaj także jesteśmy w okresie przejściowym: z ery wielkiego stabilnego przemysłu do ery nieustannych przemian.

Ery „twórczej destrukcji" na sterydach?

Dlatego wytrzymały system to ten o dużej elastyczności, o zdolności do ewoluowania, pozwalający na narodziny i śmierć, na rotację i zmianę. Systemy proste, zależne od alokacji władzy, oparte na hierarchii, nie potrafią się adaptować. Obecnie dominuje przekonanie, że istnieje jakiś model, do którego należy dążyć i jak się już go osiągnie, będzie on trwał przez pokolenia. To niemożliwe, bo warunkiem rozwoju i przetrwania jest zdolność do adaptacji i kwestionowania własnych założeń. Czy gdybym wybudował podziemny bunkier, odporny na wszystkie możliwe zdarzenia, włączając w to inwazję kosmitów, byłby pan skłonny w nim zamieszkać? Nie sądzę. Budowa systemu fortec to całkowicie chybiona idea polityczna. Zaryzykuję tezę, że myślenie w kategoriach kontrolowania przyszłości jest częściową przyczyną problemów, które dzisiaj wymagają globalnych skoordynowanych zadań: od walki z ociepleniem klimatu po nierówności społeczne. Nie kwestionuję tego, że są to problemy realne, ale raczej to, jak chcemy je rozwiązywać. Czy wykorzystujemy w tym celu naszą wyobraźnię odpowiednio? A może jesteśmy ofiarami imaginacyjnego ubóstwa i wciąż w starym stylu chcemy się bawić w Boga i władać przyszłością.

Jesteśmy na konferencji „Masters and Robots", mnóstwo tu ludzi zafascynowanych nowymi technologiami, a jednocześnie obawiających się o wpływ tych technologii na naszą cywilizację. Sztuczna inteligencja i roboty według niektórych mogą nie tyle pomóc ludziom, ile po prostu uczynić ich zbędnymi. Edukacja nie leczy z pesymizmu?

Nie taka, jaką mamy teraz. Imaginacyjne ubóstwo może dotknąć nawet ludzi po uniwersytetach. Zresztą, mówiąc szczerze, bogate społeczeństwa mają większe trudności z porzuceniem starych schematów działania, bo to dzięki nim stały się bogate. Trudniej im zrozumieć, że zastąpienie lekarza przez robota, który lepiej diagnozuje pacjenta i nie trzęsą mu się ręce przy zabiegach, pozwala lekarzowi zająć się tym, co stary system zaniedbywał – np. emocjonalnym dobrostanem pacjenta, i tym sposobem jeszcze mocniej zwiększyć efektywność kuracji. Ludzkości nigdy nie zabraknie zajęć. Jednak w wyniku naszego imaginacyjnego ubóstwa mamy trudności z wyobrażeniem sobie sposobów na zaadaptowanie się do zmian, wolimy się przed nimi bronić albo się przed nimi zabezpieczać. Brak nam jako społeczeństwom pewności siebie, że znajdziemy właściwe rozwiązania.

Kiedyś ludzie porzucili pogląd, że świat jest płaski. Dla wielu był to szok, bo runął stary porządek. Takie osoby są podatne na strach. Dzisiaj także jesteśmy w okresie przejściowym: z ery stabilnego przemysłu do epoki nieustannych przemian

A znajdziemy? Optymizm to dobra cecha, ale czasami może zamienić się w ślepą wiarę. Drugą pokaźną grupę uczestników konferencji stanowią osoby upatrujące w technologii rozwiązania wszystkich problemów ludzkości. Pan do nich należy?

Proszę nie dyskredytować ślepej wiary oraz szalonego entuzjazmu. Ludzkość potrzebuje przesady i skrajnego poświęcenia, bo dzięki nim tyle osiągnęliśmy. W tym wszystkim nie można jednak zapomnieć, że to nie technologie napędzają rozwój, ale raczej sposób ich wykorzystania. To my jako ludzie sprawiamy, że nóż raczej kroi chleb, niż zabija. Kolejna rzecz, że technologie, jak wszystko, podlegają modom. Te zaś przychodzą, odchodzą i powracają. Kiedyś nieustannie mówiło się o klonowaniu, dziś jest moda na nieustanne mówienie o robotach i sztucznej inteligencji, choć dużo z tych technologii powstało jeszcze w latach 60. i 70. XX w., np. uczenie maszynowe i rozpoznawanie wzorców czy algorytmy adaptacyjne. Prawda jest taka, że nie wiemy, która z nowych technologii i które z jej zastosowań przyniesie prawdziwą trwałą zmianę.

Gdybym był premierem Polski i uwierzył w to, co pan mówi, musiałbym spalić swój plan w kominku. Opiera się on przecież na krytykowanych przez pana założeniach: że istotne i korzystne zmiany można nie tylko wychwytywać, ale też wzmacniać. Czy wymaganie od polityków bierności nie jest zbyt ambitnym, przynajmniej w demokracji, podejściem?

Te założenia wpisują się w patologię myślenia starymi kategoriami przemysłowego determinizmu. To, że zatrudnienie w rolnictwie spadło w ciągu 150 lat z 70 proc. do kilku procent, nie wynikało z decyzji angielskiego monarchy czy amerykańskiego prezydenta. To był spontaniczny proces, któremu rządy chciały przeciwdziałać. Zakładanie, że państwa w rozumieniu scentralizowanych organizmów mogą być kapitanami korzystnych zmian w gospodarce, wynika z niezrozumienia naturalnej ewolucji systemu, który zmierza w stronę rozczłonkowania i rozwiązań oddolnych. Na całym świecie ludzie eksperymentują z własnymi możliwościami, wprowadzają własne rozwiązania, dopasowane do lokalnej historii. To małe transformacje prowadzą do dużej zmiany. Im dane państwo bardziej sprzyja, jak ja to nazywam, eksperymentalizmowi, tym lepiej. Dzisiaj, jeśli chcemy się rozwijać, nie budujmy mostu, ale pozwólmy na to, by po rzece pływało tysiąc różnych łodzi. Bo wielka strategia jest wynikiem skoordynowanych małych strategii. Czasami rząd staje im na drodze, ale one i tak koniec końców wygrywają. Weźmy płatności P2P – idea ta pojawiła się na przełomie tysiącleci, ale rządy i banki centralne uznały ją za groźną i zahamowały jej rozwój.

Ale PayPal, bo jak rozumiem o nim mowa, sobie poradził. A dzisiaj dodatkowo mamy rozwiązania jeszcze dalej idące, czyli kryptowaluty.

Rzeczywistość wymaga od rządów elastyczności, a nie tworzenia sztywnych planów opartych na matematycznej analizie, która mogłaby mieć zastosowanie w epoce uprzemysłowienia. Wielkim wyzwaniem dla wszystkich jest redefinicja reguł współpracy międzyludzkiej, opracowanie nowych kodów kulturowych. Na razie często tworzą się niespójne ze sobą, równoległe rzeczywistości – istnieją miejsca na świecie, w których ludzie nie podają sobie ręki, lecz są znajomymi na Facebooku. Jak budować zaufanie, podstawę kreatywnej współpracy, w takim świecie? ©℗

PREZENTACJA

Partner
Diners Club INTERNATIONAL

KOMFORT I BEZPIECZEŃSTWO NIE TYLKO W PODRÓŻY

Czy luksusowy wyjazd musi kosztować majątek?
Nie, wystarczy skorzystać z rozwiązań, które oferuje nam rynek.

Jak pokazują badania Diners Club Polacy wydają coraz więcej na wakacje. Co szósty turysta zadeklarował, że przeznaczy w tym roku na urlop 3–4 tys. zł na osobę. Co 16. zapowiedział, że kwota ta będzie jeszcze większa. Rosnące wynagrodzenia w połączeniu z dobrą koniunkturą na rynku i rozwojem gospodarki sprawiają, że Polacy podróżują nie tylko coraz więcej, lecz również coraz dalej i bardziej luksusowo.

W 2018 r. wyjazd urlopowy zadeklarowało ponad 70 proc. Polaków – o 15 pkt. proc. więcej niż przed rokiem. Do tego 27 proc. z nich wakacje zaplanowało poza krajem. Rok temu takich turystów było 13,9 proc. Nadal najwięcej zagranicznych wojaży odbywa się do jednego z państw w Europie lub bliskiej Afryce. Przybywa jednak turystów zainteresowanych wypoczynkiem w bardziej egzotycznych zakątkach globu. Mowa np. o Kenii lub Dominikanie, które plasują się coraz wyżej na urlopowej liście polskich turystów. Nie brakuje przy tym amatorów aktywnej turystyki za granicą. Zwłaszcza w sezonie zimowym. W związku z tym we włoskich Dolomitach albo szwajcarskich czy francuskich Alpach coraz częściej można natknąć się na rodaka. W zasięgu portfela Polaków są już takie kurorty jak Verbier (Szwajcaria), gdzie ceny domków zaczynają się od 15 tys. funtów, a wynajem Sir Richard Branson's The Lodge na 7 dni to koszt 112 tys. funtów. Miłośnicy białego szaleństwa mają tu do dyspozycji 400 km tras zjazdowych, a po udanym treningu mogą odprężyć się w apartamentach, basenach i winiarniach klasy premium.

Jednak nie tylko prestiżowa destynacja gwarantuje luksusowy wypoczynek. Zapewni go też komfort podróży oraz bezpieczeństwo pobytu za granicą, a te znajdziemy w pakiecie karty kredytowej Diners Club Premium Vintage, która w standardzie oferuje m.in. kompleksowe ubezpieczenie podróży zagranicznych.

– Ubezpieczenie oferowane w pakiecie karty obejmuje nie tylko NNW, koszty leczenia, niedogodności podczas podróży, związane np. z zaginięciem bagażu lub opóźnieniem lotu czy transport medyczny, ale także ochronę sprzętu narciarskiego i golfowego oraz assistance rowerowe. To opcja przydatna zwłaszcza dla osób podróżujących z własnym, wysokiej klasy sprzętem. Obawa, co się stanie w sytuacji jego zniszczenia lub zgubienia znika – mówi Paweł Kałudow z Diners Club Polska.

Bezpieczeństwo na wypadek wydatków losowych to niejedyna zaleta takiego rozwiązania. W dbałości o komfort podróżowania karta Diners Club Premium Vintage nie ma sobie równych, otwiera bowiem drzwi saloników na wielu lotniskach świata. A nic tak nie odpręża przed lotem, jak smaczna przekąska i lampka wina w relaksującym otoczeniu, z dala od lotniskowego zgiełku. Przed wejściem do saloniku uprzywilejowany podróżny również korzysta ze swojego statusu, przechodząc przez indywidualną kontrolę bezpieczeństwa (ang. Fast Track). Co ważne dla polskich podróżnych – wśród lotnisk objętych programem jest m.in. Lotnisko Chopina w Warszawie. Karta zachwyci również entuzjastów programów lojalnościowych, ponieważ umożliwia zbieranie punktów za dokonywane płatności i wymianę ich na bilety lotnicze lub rezerwacje hotelowe.

Posiadanie w portfelu karty uprawniającej do korzystania z atrakcyjnych usług dodanych przyda się również w miejscu zamieszkania. Bardzo przydatnym udogodnieniem jest usługa concierge, w ramach której osobisty „asystent" spełni niemal każde z nieograniczonego spektrum życzeń – od zakupu biletu na modny w tym sezonie spektakl, rezerwację stolika w prestiżowej restauracji, na organizacji oryginalnego przyjęcia kończąc. Pakiet usług dodanych zawiera również niezwykle użyteczny serwis urządzeń domowych lub sprzętu elektronicznego – wystarczy jeden telefon, aby został przysłany fachowiec.

Warto zatem pamiętać, że karta kredytowa może służyć nie tylko do płatności, ale do podniesienia komfortu w niemal każdej sytuacji.

Czy jesteś sfomowany?

Korzystamy z internetu chwilę przed zaśnięciem, tuż po przebudzeniu, a nawet podczas mszy. **4 mln Polaków przejawia silne objawy lęku przed odłączeniem od sieci.** Pora pomyśleć o odwyku

Marta Kawczyńska

Na początek zapytałam znajomych, jak radzą sobie z tym, żeby bycie online nie kradło im zbyt dużo czasu. Alicja, która na co dzień pracuje jako stewardessa, twierdzi, że ułatwia jej to praca. W trakcie lotów, które trwają trzy albo cztery godziny, obowiązuje ją zakaz korzystania z telefonu. Dopiero po dyżurze zerka, co ciekawego wydarzyło się na świecie, odpisuje na wiadomości albo przegląda portale. – Odbijam sobie podczas prywatnych podróży, robię dużo zdjęć i wrzucam na Instagrama.

Maria, która pisze doktorat, przyznaje, że sama sobie narzuca reżim. – Mogę zerknąć na sociale dopiero po dwóch, trzech godzinach pracy i napisaniu co najmniej kilku stron – mówi. Marcin, na co dzień reżyser filmów animowanych, żartuje, że gdy już sam stwierdzi, że media społecznościowe albo teksty na izraelskich portalach pochłonęły go bez reszty, włącza grę i w ten sposób „resetuje mózg". Magda od czasu do czasu robi sobie społeczny detoks i znika – raz z Facebooka, raz z Messengera. Na pytanie: „Czy czujecie się od tego w jakimś stopniu uzależnieni", wszyscy odpowiadają, że raczej nie. Tylko Tomek, analizując na głos przebieg swojego dnia, stwierdza, że telefon, a co za tym idzie wszelkie jego pokusy, towarzyszy mu od poranka aż po wieczór. – Nawet gdy śpię, to potrafię się kontrolnie obudzić i zerknąć, czy ktoś przypadkiem czegoś nie napisał. W półśnie też odpisuję. W komputerze zawsze mam kilka pootwieranych zakładek. Gdy coś robię, od czasu do czasu zerkam, co kto wrzucił na społecznościówki albo sam coś zapodaję. Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć – uprzedza moje słowa – Jestem fomersem – mówi z lekką nutką dumy w głosie.

Rodzinny spacer bez telefonu

FOMO (ang. Fear of Missing Out) w skrócie można obecnie zdefiniować jako „lęk przed odłączeniem". – To pewnego rodzaju strach przed tym, że nie będziemy na bieżąco, albo obawa, że przez bycie offline, a więc poza siecią, po prostu wypada się z obiegu – wyjaśnia dr Anna Jupowicz-Ginalska, inicjatorka i jedna z autorek raportu „FOMO. Polacy a lęk przed odłączeniem". Przyznaje, że od chwili, gdy zaczęła badania nad tym zjawiskiem, sama się kontroluje, a gdy wychodzi na rodzinny spacer, zostawia telefon w domu. – Jak się okazuje, osób, które u nas można zdefiniować jako „podręcznikowych fomersów", jest już 16 proc. Oznacza to, że wysoki „lęk przed odłączeniem" odczuwa 4 mln Polaków – mówi.

Choć FOMO zostało zdefiniowane już w połowie lat 90., dopiero od niedawna ten skrót używany jest powszechnie, przede wszystkim w odniesieniu do mediów społecznościowych. Jako pierwszy terminu „Fear of Missing Out" użył dr Dan Herman, specjalizujący się w strategii marketingowej. Zdefiniował go „jako obawę przed niewykorzystaniem wszystkich dostępnych możliwości i jednoczesną utratę spodziewanej radości, związanej z wyczerpaniem wszystkich tych możliwości". Z kolei amerykański autor Patrick McGinnis, który również uważany jest za twórcę tego terminu, w 2004 r. w jednym z wywiadów określił to zjawisko jako „nadoptymalizowanie". Obydwaj nie łączyli jednak FOMO wyłącznie z mediami społecznościowymi. – Zrobiła to dopiero prasa, która szybko zainteresowała się fenomenem. To dziennikarze spopularyzowali myśl, według której social media mają potęgować FOMO, uderzając w samoocenę i dobre samopoczucie użytkowników sieci – tłumaczy dr Jupowicz-Ginalska. Prawdziwość tej tezy została zweryfikowana w 2013 r. przez naukowców, którzy stworzyli jeden z najważniejszych tekstów na ten temat. W swojej pracy „Motivational, emotional and behavioral correlates of Fear of Missing Out" Andrew K. Przybylski, Kou Murayamy, Cody R. DeHaan i Valerie Gladwell nie tylko udowodnili związek między siecią, w tym głównie platformami społecznościowymi, a FOMO, ale również opracowali skalę tego zjawiska. Dzięki niej można oszacować stopień „sfomowania". – Kolejne lata przyniosły więcej publikacji naukowych oraz popularnonaukowych, w których FOMO analizowano w kontekście uzależnień, technologii oraz motywacji – wyjaśnia dr Jupowicz-Ginalska.

Dodaje, że polski raport to nie tylko FOMO w odniesieniu do wyżej wspomnianej skali. Jaki cel mu w takim razie przyświeca? – Po pierwsze, to potrzeba sprawdzenia, czy rzeczywiście ten problem jeszcze nas nie dotyczy. A jeśli jednak dotyczy – to w jakim zakresie. Po drugie, przeanalizowanie relacji między FOMO a używaniem social media. Byliśmy też ciekawi, czy dane pozyskane dla osób o wysokim, średnim i niskim FOMO wyróżniają się na tle danych odnoszących się do przeciętnego internauty. Chcieliśmy również znaleźć odpowiedź na pytanie, jakie czynniki wzmacniają FOMO. Naszą intencją było także zaproponowanie sposobów rozwiązania problemu tak, aby korzystanie z sieci częściej wpisywało się w ideę digital wellbeing. Chodziło nam o zestaw rekomendacji, które pozwoliłyby na kontrolowanie czasu spędzanego przed ekrana-

fot. Ivelin Radkov/Shutterstock

PREZENTACJA

Partner HICRON

KLIENT CHCE SIĘ PŁYNNIE PRZENOSIĆ MIĘDZY WIRTUALEM A REALEM

Większość decyzji zakupowych będzie coraz częściej podejmowana za pośrednictwem nowoczesnych technologii – mówi Szymon Włochowicz, COO Hicron.

Jakich trendów informatycznych możemy spodziewać się w 2019 r.?
Przede wszystkim zostanie podtrzymany trend z 2018 r., czyli digitalizacja. Jest ona rozumiana jako wchodzenie technik cyfrowych w praktycznie każdy obszar życia. Techniki komputerowo-informatyczne i informacyjne będą wykorzystywane w coraz większej liczbie procesów biznesowych od strony przedsiębiorstwa, konsumentów czy użytkowników. Techniki cyfrowe będą przy tym używane nie tylko w branżach tradycyjnie związanych z technologiami, takim jak sektor usług internetowych czy rozrywki cyfrowej, lecz także w bardziej tradycyjnych sektorach – takich, które do tej pory w bardzo ograniczonym stopniu korzystały z tych technologii. Dobrym przykładem jest motoryzacja, która będzie coraz szerzej wykorzystywać technologie cyfrowe w marketingu, sprzedaży i obsłudze samochodu. Firmy z tej branży zaczną częściej korzystać z technik cyfrowych, by w sprawny sposób poinformować potencjalnego klienta o ofercie, nowych rozwiązaniach związanych z posiadanym już pojazdem, akcesoriach, funkcjach i wprowadzanych usługach. Z punktu widzenia sektora automotive zmienia się także to, że klienci coraz częściej kupują nie sam produkt, czyli po prostu samochód, lecz także „usługę mobilności", czyli to, że klient może przemieszczać się z miejsca na miejsce. Nieważne, w jaki sposób usługa ta jest dostarczana: wynajem długo- lub krótkoterminowy, na minuty, a może poprzez car sharing. Mam tutaj na myśli również taką usługę jak np. Uber, który tę mobilność zapewnia. Wszystkie te rozwiązania opierają się na technikach cyfrowych. Cała branża musi przyzwyczaić się, że wszystkie nowe modele biznesowe czy usługi, które są pożądane przez klientów, opierają się o systemy informatyczne.

Czego branża motoryzacyjna nie robi, a powinna?
Powinna zacząć zauważać kwestie obecności we wszystkich dostępnych kanałach dostępu elektronicznego dla klienta. Wchodząc w relację z jakąś marką motoryzacyjną, klient powinien mieć możliwość nawiązania jej zarówno przez komputer i przeglądarkę webową, jak i przez telefon za pośrednictwem aplikacji czy przez media społecznościowe. Niezależnie od tego, na jakim urządzeniu są one uruchomione. Marki motoryzacyjne zaczną zauważać, że marketing to nie tylko reklama, lecz obecność marki w świadomości klienta. To także elementy związane ze stylem życia, dostarczanie wartościowych treści. Wpisuje się to w trend digitalizacji, gdyż wszystkie działania marketingowe odbywają się za pośrednictwem nośników cyfrowych.

Inną sprawą jest to, że marki motoryzacyjne nie do końca opanowały dostarczanie komunikatów spersonalizowanych. Większość producentów samochodów ma w swoim portfolio wiele produktów, każdy z nich jest kierowany do innej grupy docelowej. Dzięki rozwiązaniom cyfrowym można nimi zarządzać indywidualnie i dostarczać klientom dostosowane treści pod kątem obserwacji psychograficznej oraz behawioralnej.
Podobnie będzie na etapie sprzedaży: gdzie elektroniczny dostęp do wszelkich danych technicznych pozwoli konsumentom skonfigurować upatrzony samochód. W obszarze działań posprzedażowych kluczowe będzie to, że producenci będą musieli przyzwyczaić się do pełnej transparentności w zakresie poziomu usług i cen. Możemy to porównać do konkurencyjności w branży hotelarskiej. Jeżeli chcemy pojechać do hotelu, to znajdujemy stronę internetową, która porówna nam wiele ofert i pokaże opinie o przedstawionych propozycjach. Co więcej, w klarowny sposób przedstawi różnice cenowe względem standardu. To samo dzieje się i będzie się dziać z większą intensywnością w branży motoryzacyjnej. Dostęp do informacji o produktach, usługach i ich cenach dla obecnych klientów będzie znacznie większy. Z punktu widzenia osób zarządzających rynkiem motoryzacyjnym spowoduje to konieczność położenia większego nacisku na procesy obsługi sprzedażowej i posprzedażowej tak, aby zwiększać zadowolenie klientów.

Marketing przenika się z nowoczesnymi technologiami. Jak można je wykorzystać?
W świecie cyfrowym musi nastąpić powiązanie ze światem realnym. W przypadku branży motoryzacyjnej najbardziej popularnym sposobem jest zamówienie jazdy próbnej. I jest to przykład sytuacji, kiedy klient widzi coś w wydaniu wirtualnym i może przetestować to na żywo. Możliwe, że będziemy także obserwować trend odwrotny. Przykładowo: klient zobaczy wystawę samochodów w galerii handlowej albo reklamę pojazdu w gazecie. Tym samym powinien mieć możliwość natychmiastowego przejścia z realnej sytuacji, w której się znajduje, do świata cyfrowego, czyli na stronę internetową czy do aplikacji, która pozwoli mu zdobyć więcej przydatnych informacji na temat danego produktu. Zakłada się, że większość decyzji zakupowych będzie coraz częściej podejmowana za pośrednictwem nowoczesnych technologii. Dobrze zaprojektowane procesy pozwolą działom marketingowym na uzyskanie profilu potencjalnego klienta, a tym samym stworzenia dla niego dedykowanej ścieżki zakupowej opartej na personalizacji treści. Innymi słowy połączenie świata cyfrowego z realnym umożliwia stworzenie relacji pomiędzy marką a konsumentem, poprzez subskrypcję newsletteru, mediów społecznościowych itp.

Czy branża IT w Polsce i na świecie może zaproponować jakieś rozwiązania dla wsparcia biznesu motoryzacyjnego?
Jako Hicron proponujemy takie rozwiązania i prowadzimy projekty cyfrowego wsparcia biznesu w obszarze automotive na całym świecie: w Europie, Ameryce, Azji, Afryce i Australii. Realizujemy zlecenia najbardziej wymagających firm motoryzacyjnych, nie tylko w obrębie działań marketingowych, sprzedażowych i obsługowych. Przeprowadzamy także całą digitalizację biznesu: sprawne zarządzanie częściami zamiennymi, magazynami i składem samochodów, zamawianie aut i ich konfiguracja, obsługa wniosków gwarancyjnych. Cyfryzacja pozwala firmom na całym świecie na ogromne oszczędności.

mi komputerów, smartfonów czy w social mediach – odpowiada dr Jupowicz-Ginalska.

Inni bawią się bez ciebie

Z definicji Andrew Przybylskiego wynika, że FOMO to „wszechogarniający lęk, że inne osoby w danym momencie przeżywają bardziej satysfakcjonujące doświadczenia, w których ja nie uczestniczę". Potoczna definicja określa zjawisko jako „niepokój, że inni bawią się bez ciebie". – Warto podkreślić, że nie chodzi tu tylko o łączenie tego terminu z rozrywką. Przede wszystkim, jak napisał Przybylski, jest to „pragnienie pozostawania w stałej łączności z innymi i wiedzy na temat tego, co robią". Dziś ta „stała łączność" możliwa jest przede wszystkim dzięki social mediom – tłumaczy dr Jupowicz-Ginalska. – Mechanizm FOMO działa następująco: wiemy, że mamy dostęp do wielu różnych opcji i ze wszystkich chcemy korzystać jednocześnie i bez przerwy. Pomimo tego i tak nie możemy oprzeć się wrażeniu, że cały czas coś nas omija. Ujmując to metaforycznie: czasem gonimy króliczka, a gdy już go złapiemy, jesteśmy sfrustrowani, bo prawdopodobnie do złapania były inne, o wiele atrakcyjniejsze – wyjaśnia.

Fomers nieustannie porównuje się z innymi. – Jego szklanka zawsze będzie do połowy pusta. Zjawisko niedowartościowania jest tu mocno obecne. Media społecznościowe i urządzenia cyfrowe mocno podbijają bębenek frustracji. Poza tym wszystkim warto również zwrócić uwagę, że od dłuższego już czasu nie jesteśmy offline, czy online, ale inline (innymi słowy, niknie granica między tym, co jest offline, a co online). Większość z nas, a już na pewno fomersi, jest więc z mediami społecznymi na dobre zespolona – mówi Jupowicz-Ginalska.

Jak wynika z raportu, w Polsce duża część osób wysoko sfomowanych uważa, że inni ludzie mają więcej powodów do satysfakcji od nich. Aż 74 proc. z nich obawia się, że pozostali zdobyli więcej pozytywnych doświadczeń, a 69 proc. ma takie obawy w odniesieniu do znajomych. Ponadto 35 proc. fomersów przyznaje, że media społecznościowe wzmacniają w nich przekonanie, że zbyt mało wiedzą, a 43 proc., że nie dostają czegoś, co mają inni. – Osoby sfomowane są przekonane, że inni ludzie żyją lepiej, zasobniej i ciekawiej. To przeświadczenie ma, jak się wydaje, odbicie w ocenie swoich pozytywnych i negatywnych cech – wyjaśnia dr Jupowicz-Ginalska.

Jej słowa potwierdza dr Tomasz Baran, psycholog, który również brał udział w tworzeniu raportu. Z przeprowadzonych przez zespół badań wynika, że im wyższe FOMO, tym niższa samoocena. – Wpływ na to mają głównie media społecznościowe. Skłonność do negatywnego myślenia o sobie ma związek z nieustannym porównywaniem się do innych ludzi – obcych i znajomych, a także postrzeganiem swego życia przez pryzmat życia innych osób. Najwyraźniej ten, kto jest bardzo aktywny na platformach społecznościowych, szuka tam akceptacji, poklasku. To tak, jakby krzyczał: „zauważcie mnie", „doceńcie moje starania", „pogłaszczcie wirtualnie po głowie" albo „pozachwycajcie się" – wyjaśnia.

Instagram równa się akceptacja

Zdaniem autorów raportu niepokojące jest to, że aż jedna trzecia osób z wysokim FOMO czasami czuje się bezużyteczna i uważa, że jest do niczego, a niewiele mniej z nich, bo aż 29 proc., chciałoby mieć więcej szacunku dla siebie.

Choć 44 proc. z grupy wysokiego FOMO uważa się za osobę szczęśliwą, a za wartościową 41 proc., to aż 35 proc. sfomowanych twierdzi, że nie ma powodów, by być z siebie dumnym. – Między innymi dlatego fomersi mogą szukać akceptacji w mediach społecznościowych – uważa dr Baran. Dodaje, że często niska samoocena wiąże się z zaburzeniami depresyjnymi oraz problemami egzystencjalnymi. – Nie twierdziłbym jednak, że to wirtualny świat wywołuje problemy. Raczej osoby z problemami mogą szukać remedium na swoje kłopoty w wirtualnym świecie. I w pewnym sensie je znajdują, bo lajki mogą działać jak przytulenie czy pogłaskanie po głowie w realnym świecie: mogą tworzyć poczucie akceptacji i bliskości – wyjaśnia dr Baran.

Jak w tę definicję wpisują się niezwykle popularne profile takich osób jak np. trenerki Anna Lewandowska i Ewa Chodakowska? Czy naprawdę motywują, czy może wręcz przeciwnie, wpędzają w kompleksy i przyczyniają się do ciągłej pogoni za perfekcjonizmem? – Dla ludzi, którzy zarabiają w internecie, FOMO to nie problem, tylko część pracy. Kłopot mogą bardziej mieć ci, którzy kompulsywnie sprawdzają ich profile. Te osoby powinny przyjrzeć się same sobie i zadać sobie pytanie, po co to robią, co im to daje, co z tego mają dla siebie, bo być może należą do osób o bardzo wysokim FOMO i żyją nie swoim życiem – twierdzi dr Baran.

Z raportu wynika jednak, że co trzecia osoba intensywnie używająca social mediów uważa, że żyje życiem innych – rodziny (30 proc.), znajomych (27 proc.), gwiazd internetu (26 proc.) i popkultury (25 proc.). Dla porównania: w ogólnej grupie internautów powyżej 15. roku życia wskaźniki te zanotowano na poziomie 8–10 proc.

Okazuje się, że osoby z wysokim FOMO spędzają dużo więcej czasu w mediach społecznościowych niż reszta ich użytkowników. O ile przeciętnym internautom zajmuje to od kilku do kilkunastu minut dziennie (2–5 minut – 27 proc., 6–15 minut – 33 proc.), o tyle wśród osób z wysokim FOMO trwa to znacznie dłu-

żej (6–30 minut – 24 proc., 31–59 minut – 11 proc.).

Istotne są również dane dotyczące liczby serwisów społecznościowych, z których korzystają osoby sfomowane. Na trzech lub więcej portalach profile ma 25 proc. osób z wysokim FOMO, podczas gdy w grupie ogólnej jest to tylko 15 proc. użytkowników. – Wchodząc w buty fomersa, wytłumaczyłabym to tak: im więcej kont mam, im więcej portali jest w moim zasięgu, tym więcej wiem, jestem lepiej zorientowana w tym, co dzieje się na świecie i u moich znajomych. A to już dosłownie moment przed stwierdzeniem, że oto JA jestem w centrum wydarzeń albo bardzo pragnę w nim być – mówi dr Jupowicz-Ginalska.

Zwraca przy tym uwagę, że choć fomersi robią, co mogą, by „ciągle być w obiegu", nie są jednak zbyt łaskawi dla innych. – Są bardziej ostrożni niż klasyczni użytkownicy, rzadziej komentują, oszczędnie lajkują. Uważnie też selekcjonują znajomych, co jest akurat pozytywną stroną tego zjawiska – uważa dr Jupowicz-Ginalska.

Ucieczka od rzeczywistości

Czego fomersi szukają w sieci? Przede wszystkim bieżących informacji (73 proc.), wiedzy (72 proc.), relaksu (71 proc.). Gdy rozrywki w social mediach poszukuje 53 proc. osób z grupy ogólnej, w grupie wysokiego FOMO jest to już 69 proc. – Okazuje się, że swój status społeczny w sieci tworzy 43 proc. fomersów, a wizerunek – 45 proc. W grupie ogólnej to cel, który przyświeca tylko jednej piątej polskich internautów. Oznacza to, że choć działania autokreacyjne nie są głównym celem korzystania z sociali, w grupie wysokiego FOMO są one wyższe. Dowodzą tym samym, że te osoby mają dość wysoką świadomość, że właśnie platformy społecznościowe mogą być intencjonalnie wykorzystywane w procesie tworzenia marki osobistej. Nic więc dziwnego, że korzystają z nich nie tylko gwiazdy, ale także blogerki czy influencerki. Za nimi podążają te osoby, które też marzą o takiej popularności – tłumaczy dr Jupowicz-Ginalska.

„Od pewnego czasu propagowana jest idea digital wellbeing, czyli cyfrowego dobrostanu. – Chodzi o to, aby zachowywać zdrowe proporcje między użytkowaniem mediów cyfrowych a aktywnością w świecie rzeczywistym – mówią eksperci

Fomersi bardziej aktywnie korzystają też z mediów społecznościowych jako narzędzia regulacji nastroju – robi to aż 69 proc. – i ucieczki od prozy życia – 65 proc.

Nuda i lęk przed „wypadaniem z obiegu" najczęściej pojawiają się w odpowiedziach na pytanie, które zadawali autorzy raportu: „Co czujesz, gdy nie korzystasz z social mediów?". Tak zareagowało 34 proc. fomersów, podczas gdy wśród przeciętnych internautów wskaźniki osiągały odpowiednio 15 i 12 proc. Poza tym osoby z wysokim FOMO odczuwały samotność (30 proc.), niepokój (29 proc.), a nawet strach (22 proc.). Przedstawiciele grupy mówili o tym rzadziej (odpowiednio 12, 11 i 8 proc.).

– Zaskakujące może wydać się to, że jedna piąta fomersów, którzy nie korzystają akurat z mediów społecznościowych, ma objawy somatyczne, takie jak nudności, zawroty głowy czy bóle brzucha. Skarżą się też na zwiększoną potliwość – mówi dr Jupowicz-Ginalska.

Zwraca uwagę, że również brak w zasięgu ręki smartfona budzi niepokój co drugiego fomersa. – Idąc tym tropem, warto wskazać, że badani z wysokim FOMO częściej odczuwają dyskomfort, gdy nie mają telefonu i nie widzą powiadomień z serwisu społecznościowego – mówi.

Dodaje jednak, że przedstawicielom obu grup – zarówno fomersom, jak i internautom z grupy ogólnej – zdarza się mieć złudne wrażenie, że ich telefon dzwoni lub wibruje. – Do tego rodzaju omamów przyznaje się 19 proc. osób z grupy ogólnej i aż 40 proc. osób z wysokim FOMO. Nietrudno się domyślić, że są one gotowe do natychmiastowej reakcji, gdy pojawia się powiadomienie o wiadomości czy poście zamieszczonym na którejś z platform społecznościowych. Tak robi niemal połowa z nich – wyjaśnia dr Jupowicz-Ginalska.

Lajki podczas mszy

A gdzie i kiedy fomers najczęściej korzysta z mediów społecznościowych? – Zadziwiające jest to, że robią to również w okolicznościach, które całkowicie temu nie sprzyjają. Zdarza się, że przez swoje uzależnienie zaniedbują obowiązki domowe i zawodowe; chociaż te drugie trochę rzadziej – mówi badaczka.

I tak podczas wykładu lub lekcji korzysta ze społecznościówek 37 proc. z nich, w trakcie seansu kinowego lub spektaklu w teatrze – 25 proc.; na koncercie lub podczas zabawy w klubie – 33 proc.; w podróży (autobusem, metrem czy tramwajem) – 63 proc., a podczas prowadzenia auta – 25 proc.

Aż 60 proc. fomersów zasypia z telefonem w ręku, a zaraz po przebudzeniu sięga po niego 49 proc. 38 proc. badanych z wysokim FOMO sprawdza internet

w czasie posiłków. – Fomersi nie stronią od telefonu także podczas spotkań rodzinnych czy z bliskimi przyjaciółmi. Sama mam w rodzinie kogoś, kto alergicznie reaguje na delikatne sugestie, by zainteresował się tym, co dzieje się w realu. Codziennie widzimy, jak podczas spotkań, wizyt w restauracji czy kawiarni ludzie wyciągają telefony i np. odpisują na wiadomości. Ale kto tak nie robi? – pyta dr Jupowicz-Ginalska. I dodaje, że irytacja czy złość, które pojawiają się w reakcji na uwagę, by odłożyć telefon i przestać korzystać z mediów społecznościowych, są elementem innego zjawiska, określanego mianem phubbingu (pokrótce i kolokwialnie, ignorowania osób, z którymi się przebywa, przez korzystanie z telefonu).

Fomersi potrafią zaskoczyć. Są online nawet podczas mszy – przyznało się do 20 proc. z nich (w grupie ogólnej – 8 proc.). – To z pewnością zachowanie niestandardowe. Część naszego społeczeństwa uzna je zapewne za wręcz obrazoburcze. Przyznaję, że jako autorzy raportu też byliśmy nim zaskoczeni – mówi dr Baran. Choć sam nie był świadkiem takiej sytuacji, jest w stanie wyobrazić sobie, że gdy fomersa telefon „pali w kieszeni", bo właśnie otrzymał powiadomienie, to ukradkiem musi je przeczytać.

Zdaniem dr Justyny Jasiewicz z Uniwersytetu Warszawskiego, choć korzystanie z social mediów w kościele może wywołać zdziwienie, istnieje jeszcze druga strona medalu. – Ja również, podobnie jak koledzy, byłam zaskoczona tym wynikiem, ale myślę, że można na to zjawisko spojrzeć szerzej: media cyfrowe towarzyszą nam w tylu obszarach aktywności, że sfera duchowa czy religijna są kolejną z nich. I choć w pierwszym odruchu sprawy transcendentne i smartfon wydają się całkiem odległe, to jednak można zauważyć osoby, które korzystają właśnie z mediów cyfrowych w swoich praktykach duchowych i religijnych: w medytacji, modlitwie, afirmacjach. Oczywiście ten aspekt korzystania z technologii na razie nie jest wystarczająco rozpoznany, więc poruszamy się w sferze przypuszczeń, ale wydaje się, że szeroko rozumiana duchowość to kolejny z aspektów życia, w którym zakorzeniają się technologie cyfrowe.

Skoro FOMO wkracza w różne, nawet te uznawane za najbardziej intymne, sfery ludzkiego życia, to czy należy się go bać? Z raportu wynika, że połowa fomersów przyznaje się, że korzysta z social mediów dłużej, niż planowała, a jedna trzecia ma tego świadomość i próbuje się ograniczać. Z pewnością powodem do niepokoju jest to, że 36 proc. badanych z grupy o wysokim FOMO czuje, że już teraz ma problemy z uzależnieniem od mediów społecznościowych.

FOMO to „lęk, że inne osoby w danym momencie przeżywają ciekawsze doświadczenia, w których ja nie uczestniczę". Potoczna definicja określa zjawisko jako „niepokój, że inni bawią się bez ciebie"

Obserwować, nie demonizować

Zdaniem twórców raportu nie należy FOMO demonizować, ale trzeba mu się bacznie przyglądać. – Nasze badania potwierdzają, że istnieje grupa osób, które boją się utraty kontaktu z wirtualnym światem. Pokazują również, jak istotne miejsce w naszym życiu zajmują media społecznościowe i internet. To przestrzeń naszych różnorodnych aktywności, od zakupów przez bankowość, rozrywkę, edukację, komunikację aż po szukanie przyjaźni czy związków na całe życie – mówi dr Jasiewicz. Jej zdaniem potrzebne są dalsze badania, które pomogą stwierdzić, czy problem FOMO pogłębia się lub czy social media wzmacniają w nas negatywną samoocenę.

Dlatego też tak ważna jest propagowana od pewnego czasu idea digital wellbeing, czyli cyfrowego dobrostanu. – Chodzi o to, aby zachowywać zdrowe proporcje między użytkowaniem mediów cyfrowych a aktywnością w świecie rzeczywistym. W naszym raporcie tłumaczymy, jak obserwować samych siebie i na co stawiać, by zachować równowagę. Nasze rekomendacje są dwojakie: psychologiczne i edukacyjne. Wśród tych pierwszych zwracamy uwagę na tak proste rzeczy jak: spotkania z przyjaciółmi, realizowanie pasji sportowych i artystycznych, czytanie wydawanej na papierze prasy i książek. W drugim obszarze szczególne miejsce zajmuje konieczność wzmacniania kompetencji cyfrowych, które są związane nie tylko z umiejętnym korzystaniem z mediów cyfrowych, ale również z „umiejętnym niekorzystaniem", czyli świadomym, ale i łagodnym, bezproblemowym zrezygnowaniem z korzystania z nich na rzecz innych aktywności, spędzania czasu z bliskimi czy po postu nicnierobienia – wyjaśnia dr Jasiewicz.

Zdaniem dr. Barana osoby o wysokim FOMO powinny zastanowić się, czy przez siedzenie na telefonie nie zaniedbują siebie, bliskich i pracy. – Jeśli zachowujemy się kompulsywnie, brak informacji spędza nam sen z powiek, a jednocześnie czujemy się nimi przeciążeni, wtedy powinna nam się zapalić lampka ostrzegawcza – wyjaśnia.

Jego zdaniem nie należy jednak traktować FOMO w kategoriach patologii. – Owszem warto patrzeć na nie z pewną dozą ostrożności, ale nie jestem zwolennikiem nawoływania do odcięcia się od wirtualnego świata. Może to zabrzmi śmiesznie, ale korzystanie z niego, podobnie jak ze smartfonów, stało się dla współczesnego człowieka równie naturalne jak korzystanie z toalety – mówi.

Zwraca uwagę, że każde stulecie miało swojego „diabła". Były nim swego czasu maszyny parowe, pociągi i inne wynalazki ludzkości. Tak jak kiedyś człowiek rano sięgał po gazetę, żeby być na bieżąco, tak dziś sięga po telefon, bo jest to dla niego wygodne źródło pozyskiwania informacji. – Jestem w stanie wyobrazić sobie, że za 50 lat będzie głośno o tym, że ludzie są nadmiernie uzależnieni od różnego rodzaju elektroniki wszczepianej pod skórę, a naukowcy będą apelować, by w ramach zdrowych nawyków wracać do korzystania z „klasycznych" smartfonów – uważa. ©℗

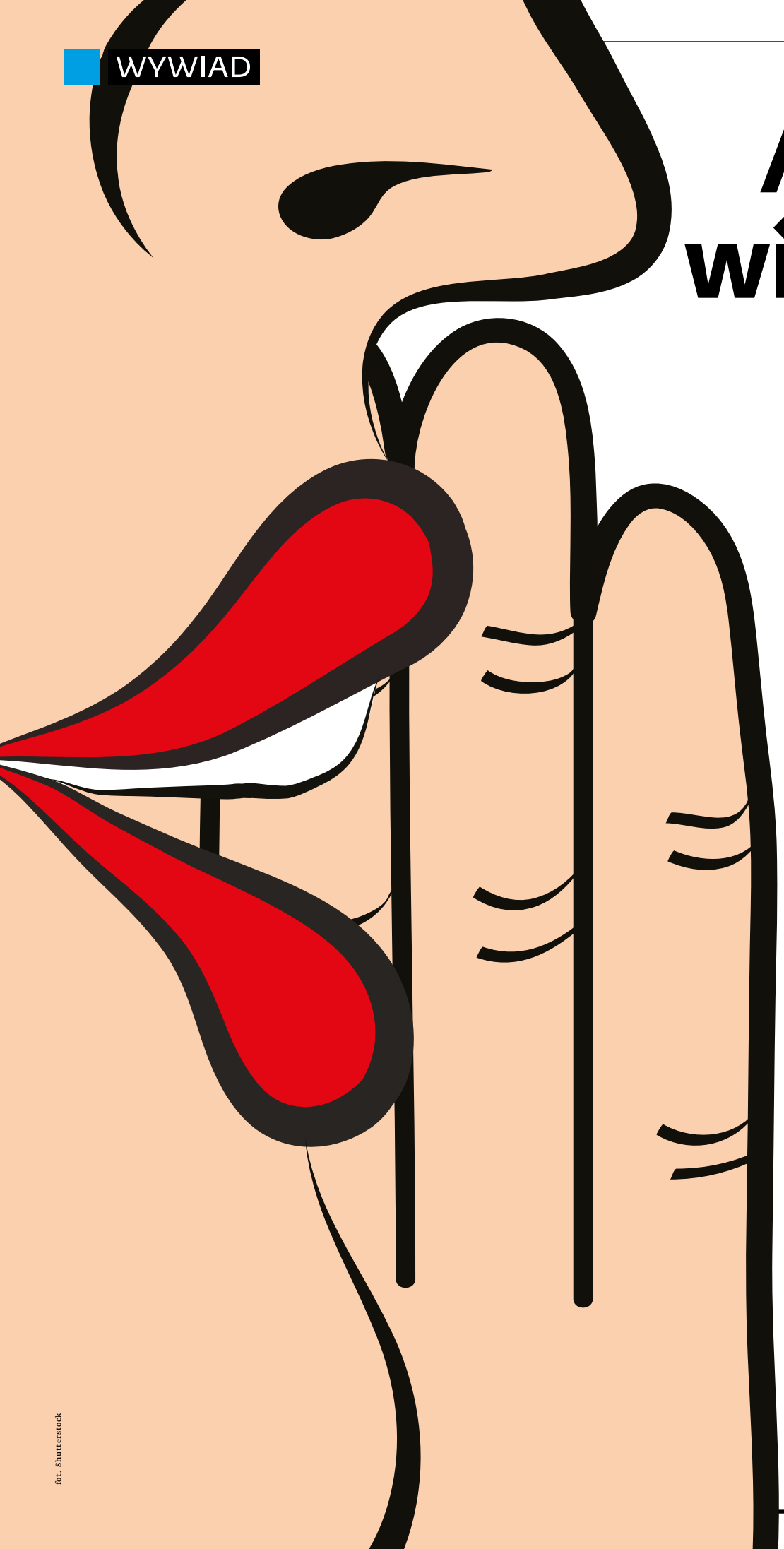

fot. Shutterstock

A czy wiecie, że...

Nowe technologie zmieniły plotkę. Wyrwała się z zamknięcia, przestała być wstydliwa. **Dziś króluje na salonach**

Z **Agnieszką Mościcką-Teske** rozmawia Dorota Kalinowska

Madonna je pleśń, żeby schudnąć, a Barack Obama jest muzułmaninem i nazywa się Husajn, po ojcu. A jaka była najdziwniejsza plotka, którą pani usłyszała?

Że Elvis wciąż żyje. Ma się dobrze i mieszka na Florydzie.

Podobno żyje też Michael Jackson, za to Beyoncé zginęła w wypadku i teraz występuje za nią sobowtór. Skąd w nas ten głód plotki?

Bo to znaczna część naszego życia codziennego, tym bardziej że plotkujemy o wszystkich i o wszystkim. I to od zawsze. Wszyscy. Tak, ludy pierwotne też, co sprawdzili w pierwszej połowie XX w. pionierzy badań nad plotką: antropolodzy Paul Radin i Elizabeth Colson oraz afrykanista Melville Herskovits. Obserwowali oni północnoamerykańskich Indian Winebago oraz grupy religijne na karaibskim Trynidadzie. Zauważyli, że występuje u nich, jak to określili, notoryczne plotkarstwo. Członkowie tych społeczności bardzo chętnie np. oczerniali innych czy umniejszali ich umiejęt-

ności, w tym te wartościowe, jak dostęp do wiedzy rytualnej.

Herskovits, który dodatkowo prowadził obserwacje na Haiti, zauważył też, że tamtejsi pieśniarze „oskarżali sąsiadów o niegościnność, nieuprzejmość, rozwiązłość seksualną i czary". Wygląda więc na to, że zakres tematyczny plotek niewiele się zmienił od tamtego czasu.

Od wieków jest ten sam. A uogólniając, plotki można podzielić na trzy kategorie. Pierwsza to zdarzenia nietypowe, jak np. kłopoty z prawem. Druga – sytuacje wyjątkowe, niezrozumiałe, które odbiegają od standardów przyjętych w danej grupie, jak np. związki poliamoryczne. I trzecia – sytuacje, które dotyczą tabu społecznego. To treści, których nie poruszamy otwarcie, tylko zachowujemy dla siebie i najbliższych, w tym m.in. seksualności – „Kowalska kocha się w godzinach pracy", zdrowia – „podobno choruje na odrę", i finansów – „kupiła działkę, nowy samochód i jeszcze do tego pojechała na wakacje do Tajlandii".

A my w ogóle mamy jakieś wyjście – możemy nie plotkować?

Nie, no skąd. Przecież to jedno z narzędzi komunikacji.

Raczej strzępienia języka.

To sposób, w jaki się ze sobą porozumiewamy. Przy czym dotyczy tylko pewnego wycinka sytuacji. Nieformalnych informacji, których osoba z własnej woli nie przekazałaby do publicznej wiadomości, a w każdym razie – nie zrobiłaby tego otwarcie.

A jaką część naszych codziennych rozmów stanowi?

Prawie 70 proc., kiedy mowa o konwersacjach prywatnych. Ale z innych badań wynika, że plotki są w większości pozytywne. Negatywnych jest jedynie ok. 14 proc.

Ale jak to? Zdrada, rozwiązłość, niegościnność...

Zgoda. Ale plotkujemy też o tym, że ktoś dostał awans, wyjechał za granicę, kupił willę. Co nie zmienia faktu, że uaktywnia się w nas wrodzony atawizm: szybciej dostrzegamy to, co nieprzyjemne, by móc zareagować walką albo ucieczką. Innymi słowy: jesteśmy wrażliwsi na sygnały o zagrożeniu, a tymi mogą być plotki o wydźwięku negatywnym. X kradnie, Y przywlókł chorobę z ostatniego wyjazdu. Mówią nam o tym, że ktoś jest w niebezpieczeństwie. Albo że ono dotyczy nas samych.

fot. Materiały prasowe

AGNIESZKA MOŚCICKA-TESKE

psycholog, psychoterapeutka, biegła sądowa, wykładowczyni Uniwersytetu SWPS

Nasze procesy poznawcze sprawiają, że jesteśmy ślepi na to, co dobre?

Niezupełnie ślepi, ale na pewno bardziej czujni na to, co może nam zaszkodzić. I mało tego: krócej pamiętamy o tym, co dobre. Na pocieszenie dodam, że psychologowie Steven i Susan Pinkerowie przekonują, że żyjemy w świecie, który staje się coraz bardziej bezpieczny. Agresji i przemocy jest mniej wokół nas. To tylko media koncentrują się na tym, co jest zagrożeniem.

A po co w ogóle plotkujemy?

Z trzech powodów, przy czym – co może zaskakiwać – plotka ma więcej celów pozytywnych niż negatywnych. Zresztą angielskie słowo „gossip", czyli plotka, pochodzi od staroangielskiego „godsibb" – co tłumaczy się też jako: opiekun, przyjaciel rodziny. A wracając do celów, to pierwszym z nich jest funkcja informacyjna.

Chyba dezinformacyjna.

Ależ skąd.

Słownik podaje: plotka to powtarzana z ust do ust fałszywa lub przynajmniej niepotwierdzona wiadomość, zazwyczaj szkodząca czyjejś opinii.

Ona jest przede wszystkim sposobem zdobywania informacji i wiedzy, służy do ich wymiany i weryfikacji, a tym samym zyskiwania orientacji. „A słyszałeś, że X kupił sobie nowy samochód?" – mówi jedna osoba. A druga: „Ale jak to? Przecież przyjechał starym". „Mówię ci, widziałem wczoraj jego żonę". „Którą żonę?! Tę starą?". „A nie, aktualną". „Aaaa, no tak. To jego była żona kupiła sobie auto". Ten prosty przykład pokazuje, że plotkowanie to wymiana informacji.

A druga funkcja plotki?

Budowa i integracja grupy oraz podtrzymywanie jej jedności, w tym pilnowanie norm moralnych i dostarczanie mechanizmów kontrolnych.

W jaki sposób?

Przez rozmowę o tych, którzy obowiązujące zasady złamali i informowanie, jak do tego doszło. Kontrast służy uwypukleniu oczekiwań i przekonań, co do których panuje powszechna zgoda. Ale zawsze w sposób niebezpośredni, nieformalny. Innymi słowy: wykorzystujemy plotkę do tego, by w grupie były przestrzegane normy. „Bo jeśli nie, to od razu kogoś obgadamy" – zdają się mówić jej członkowie. A większość z nas woli jednak nie być na językach.

Nie na wszystko mamy jednak wpływ – co z plotkami wyssanymi z palca?

To inna ich kategoria. Plotka, która nie bazuje na prawdziwych informacjach, siłą rzeczy musi pełnić inną funkcję. Nie tyle informować, co podtrzymywać wizerunek danej osoby lub go uzupełniać. W przypadku celebrytów – dodatkowo uaktualniać ich obecność w mediach. Także przez absurdalne historie tworzone przez same gwiazdy i ich sztaby.

A po co to w takim razie Kowalskiemu?

Żeby było mu łatwiej wprowadzić gwiazdy do własnego życia. Plotka pozwala wtedy Kowalskiemu budować poczucie przynależności do danej grupy społecznej. Bo jeśli mówię, że ta blond Ania z telewizji z mężem ostatnio jeździła na rowerze, to innym daję niejako znać, że jestem znajomą tej pary, a w sobie tworzę przekonanie, że bliżej mi do gwiazd.

Ale tylko do momentu, kiedy gwiazda nie zaliczy wpadki.

Niekoniecznie. Bo jak ktoś jest zagorzałym fanem gwiazdy, to dokona różnych sztuczek, łącznie z wyparciem, by poradzić sobie z myślą: „Ona/on nie jest idealny/a". Tak jak niektórzy potrafią uzasadnić bicie dziecka – „Muszę, bo to dobry sposób na wychowanie" czy „Tylko wtedy wyrośnie na silnego człowieka".

Ale może też próbować urealnić jej wizerunek.

Przestać traktować jak gwiazdę i ku swojej uciesze stwierdzić: „Tak, to człowiek taki jak ja". Oczywiście. Wyszła w kapciach na ulicę, ma odrosty, doczepiane włosy – to nic innego jak efekt zbliżenia, poczucie, że jestem taki sam/taka sama.

A trzecia funkcja plotki?

Realizacja indywidualnych potrzeb. I tu weźmy pod uwagę inną kategorię plotek, które mają negatywnie wpływać na czyjś wizerunek, oczerniać i ranić. A nierzadko wchodzić też w zakres ostracyzmu społecznego czy wręcz mobbingu. Bo plotka może być też jednym z mechanizmów manipulowania innymi, nawet do tego stopnia, że staje się elementem przemocowym.

Da wtedy poczucie władzy – złudne lub prawdziwe. Ale co jeszcze?

Kontroli nad sytuacją. Rozgrywania innych pod swoje dyktando. Ale pozwoli też zaspokajać wewnętrzną potrzebę bycia

Smaki i aromaty z ulubionych kawiarni

W różnych krajach kultura picia kawy wygląda inaczej. Podobno Włosi piją espresso na stojąco, Grecy lubią kawę na słodko, a Polacy rozpływają się nad własną odmianą cafè latte, czyli tzw. „białą".
Jedno jest pewne, picie aromatycznej kawy w wielu państwach to już codzienny rytuał. Nazwy takie jak americano, espresso macchiato, flat white czy cafe cortado, znane do niedawna tylko profesjonalnym baristom, dziś masowo podbijają kubki smakowe Polaków. Niewielu jednak wie, że by poznać smak prawdziwego espresso doppio nie trzeba wyruszyć w podróż do Włoch, ani nawet wybrać się do ulubionej kawiarni w centrum.

Dzięki niezwykle zaawansowanym technologiom innowacyjne ekspresy EQ.6 plus marki Siemens umożliwiają przygotowanie tych najpopularniejszych rodzajów kawy we własnym domu. Wysokiej jakości niezawodny młynek ceramiczny nowych urządzeń – ceramDrive – który mieli kawę nadzwyczaj drobno, wydobędzie z każdej kawy jeszcze więcej aromatu!
– Projektanci marki Siemens zadbali o to, aby w nowej serii ekspresów EQ.6 plus za sprawą specjalnej funkcji oneTouch oprócz espresso, cappuccino i latte macchiato, użytkownicy mogli łatwo i wygodnie zaparzyć także espresso macchiato, americano, flat white, a nawet cafe cortado. Wystarczy nacisnąć jeden przycisk i gotowe – dodaje Piotr Ciach, Senior Category Manager marki Siemens.
Dzięki przełomowej technologii sensoFlow System, która zapewnia idealną temperaturę parzenia, każdemu uda się przygotować prawdziwe, klasyczne espresso. Z kolei program aromaDoubleShot pozwoli wydobyć z niego bardziej intensywne aromaty kawy.
– Espresso będzie miało idealny smak wyłącznie wtedy, gdy zostanie zaparzone w odpowiedni sposób. Unikalny system sensoFlow marki Siemens utrzymuje optymalną temperaturę ok. 90° C przez cały czas parzenia. To dzięki tej technologii z łatwością przygotujemy w domu świetne espresso czy flat white – kawy doceniane przez czołowych baristów na świecie – komentuje Marcin Michalik, Mistrz Polski Latte Art, właściciel szkoły baristów Colours of Coffee.

Domowe Latte Art

Obecnie kultura picia kawy wiąże się ze sztuką jej podania. Piękne, wymyślne wzory na powierzchni filiżanki wywołują na twarzy uśmiech i sprawiają, że napój smakuje jeszcze lepiej. Podstawowym składnikiem kawy w wersji latte art jest dobrze spienione mleko. To właśnie nowoczesne ekspresy EQ.6 plus zapewniają grubą, gęstą, mleczną piankę, która pozwala ze zwykłej kawy, zrobić w domu małe dzieło sztuki. Dodatkowy program, dostępny w modelu EQ.6 plus s700 TE657319RW, pozwala na regulację proporcji kawa-mleko, dzięki której każdą białą kawę można zaserwować według indywidualnych preferencji. A w błyskawicznym przygotowaniu wszystkich napojów pomoże m.in. możliwość utworzenia od 1 do 4 profili użytkownika i zapamiętania ustawień wyboru pod własną nazwą.

Czysta przyjemność

Mleczna kawa – wciąż jeszcze bardzo popularna – smakuje pysznie, natomiast czyszczenie systemu spieniania mleka niestety nie należy już do przyjemności. Nowy, opracowany przez markę Siemens system autoMilk Clean to w pełni automatyczny, parowy system, który aktywuje się po każdym parzeniu kawy, zwalniając użytkownika z codziennego mycia modułu spieniania mleka. Ekspres sam utrzymuje idealną czystość, a użytkownik może bez przeszkód przygotować pyszną kawową kompozycję z puszystą pianką nawet dla dwóch osób jednocześnie. Dzięki funkcji oneTouch DoubleCup nowego ekspresu EQ.6 plus (np. model TE657319RW) możliwe jest przygotowanie dwóch kaw w tym samym czasie.

Wyjątkowy design

Eleganckie, szybkie i niezwykle intuicyjne w obsłudze. EQ.6 plus to połączenie elegancji i profesjonalizmu. Gustowne wzornictwo, stonowana, ale wyjątkowa kolorystyka (np. ciemny brąz – ristretto) i klasyczne bryły sprawią, że idelanie wkomponują się w obecne trendy kuchenne.

w niejasnych relacjach – niektórzy tak mają, że lubią intrygi, spiskowanie, knucie. Oraz – poprawiać wizerunek własny. „Zobaczcie, jak on się zachowuje", „Co on w ogóle wyprawia?!", „Ależ to jest niedopuszczalne!". Przecież gdy porównuję się z osobą oplotkowywaną, to tym samym stawiam siebie w korzystniejszym świetle. A to nic innego jak efekt brilliant but cruel, jak opisała go Teresa Amabile. W największym skrócie polega on na tym, że osoby krytykujące postrzegamy jako okrutne, ale jednocześnie inteligentne. Dwa, uznajemy, że są one niejako ponad innymi. Szczególnie że one same przyznają sobie moralne prawo do wyznaczania norm w grupie, mówienia, co jest dobre, a co nie, co można, a czego nie można robić.

Inna sprawa, że takie osoby przy okazji doskonale maskują swoje słabe umiejętności komunikacyjne.

Jeśli mam niską otwartość na szczerość w relacji, okazywanie własnych emocji, tym chętniej zajmę się sytuacją i emocjami innych. Nie umiem mówić o sobie, to chętnie obgadam innych. Przeniosę uwagę na innych. Ale, o czym rzadziej się mówi, to może być też mechanizm radzenia sobie ze stresem czy trudnościami – nie chcę, żeby pytali, co u mnie w domu, to szybko wrzucę temat zastępczy: „A słyszeliście, że Kaśka dostała spadek?".

Albo od razu zaatakuję tych, których nie ma.

Tak, bo aż 70 proc. plotek dotyczy nieobecnych. Ale to też nie takie proste, bo najpierw, jak pokazały analizy konwersacyjne, upewnię się, czy otoczenie jest na to gotowe – to się nazywa presekwencją. Rzucę niezobowiązująco „A wiecie, że..." i będę obserwować reakcję. Czy rozmówcy z zaciekawieniem zwracają się w moją stronę, unoszą brwi, otwierają szerzej oczy, przestają rozmawiać ze sobą. Jeśli tak, to mam ich przychylność i zgodę na kontynuowanie tematu.

Skoro już o wstępie do plotkowania mowa, to kiedy to się w ogóle zaczyna?

Można przypuszczać, że pierwsze oznaki pojawiają się już około trzeciego roku życia, kiedy zaczynamy funkcjonować w grupie społecznej. Ale oczywiście cele plotkowania są wtedy inne, pomieszane, chaotyczne, często wymuszone przez dorosłych na zasadzie „A jak twój kolega się dziś zachowywał w przedszkolu?". To raczej ćwiczenie w komunikowaniu się. Dopiero około siódmego roku życia mamy do czynienia z regularnym plotkowaniem. To czas, kiedy potrafimy przyjąć perspektywę innej osoby i widzieć łańcuch przyczynowo-skutkowy, w tym korzyści wynikające z plotkowania.

> **Plotka w internecie rozprzestrzenia się szybciej. Z reguły zyskuje pozory naukowości. Będzie ubrana w różnego rodzaju dane, a to statystykę, a to tytuły naukowe**

A jak plotkujemy, kiedy już podrośniemy?

Tym chętniej, im mniejsza świadomość własnych stanów emocjonalnych. Im mniej tolerancyjni będziemy. I im chętniej sięgać będziemy po stereotypy. Bo jak Kowalski się rozwodzi – a w grupie ceni się tradycyjne wartości – i do tego nie kryje się ze swoją radością, bo mówi, że „nareszcie zacznie czerpać z życia pełnymi garściami", to szybko się znajdzie na cenzurowanym.

A kto jeszcze będzie mieć większą tendencję do plotkowania?

Kobieta czy mężczyzna? Nie ma znaczenia. Liczą się raczej cechy indywidualne, szczególnie – osobowościowe. W plotkowaniu mogą przodować osoby z cechami osobowości z pogranicza i z wysokim poziomem psychopatii. Te pierwsze lubią prowokować, same być w sytuacjach ekstremalnych i innych w nich stawiać. Drugie – rozgrywać i manipulować innymi, także przez plotkowanie. Inna rzecz, że służyć też temu będą określone środowiska.

Czyli jakie?

Powiem tak: jeśli w otoczeniu nie ma przyzwolenia na nieetyczne zachowania, łamanie reguł i zasad społecznych, to nie ma też zgody na rozpowszechnianie absurdalnych i nieprawdziwych informacji. „A co ty za głupoty opowiadasz?" – padnie. Kiedy z kolei w firmie panuje atmosfera naśmiewania się z innych i widoczna jest tendencja do traktowania drugiego instrumentalnie, to plotka może się nawet rozwinąć w hejt, usystematyzowaną przemoc. Ten – w szkole czy internecie – bazować będzie dodatkowo na anonimowości i grupowości. I stale rosnąć w siłę – każda kolejna osoba doda coś od siebie, przekręci, włączy kolejne grupy, działy, społeczności...

Jak jeszcze plotkę zmieniły nowe technologie, media społecznościowe?

Sprawiły, że stała się powszechnie dostępna. Bo o ile plotki przekazywane ustnie zatrzymywane są w środowisku, w którym się pojawiły, o tyle do tych w sieci dociera o wiele więcej osób. Po drugie – plotka w internecie rozprzestrzenia się szybciej, i po trzecie – z reguły zyska wcześniej pozory naukowości. Będzie ubrana w różnego rodzaju dane, a to statystykę, a to tytuły naukowe.

Albo też będzie zawierała dużo

szczegółów, co pokazuje przykład z Włoch. Pojawiła się tam fałszywa informacja, że tamtejszy senat powołał fundusz dla byłych polityków, którzy nie mogą znaleźć pracy. Jego wartość: 134 mld euro. Za utworzeniem funduszu głosowało 257 senatorów, przeciw było 165.

Mało tego, tym bardziej będziemy gotowi w taką plotkę uwierzyć, bo porusza ona temat, który nas interesuje i angażuje. Przecież fundusz miał być stworzony ze środków, które przekazujemy państwu, z naszych – moich – pieniędzy. A poza tym dotyczy obszarów, w których pozostaje wiele niejasności i niepewności. Z punktu widzenia tych, którzy tę plotkę będą czytać i powielać: oni będą odczuwać większy udział w życiu społeczności. Bo ktoś za chwilę polubi ich post lub komentarz czy wda się w polemikę. Innymi słowy zajmowanie się plotkami pozwoli im włączyć się do społeczności.

A dlaczego chcemy plotkami w sieci załatwiać też osobiste porachunki?

Bo mamy świadomość, że jak coś jest kontrowersyjne, a plotka z reguły taka właśnie jest, to pewne jest pozyskanie uwagi innych. A jeśli chodzi o świat polityki i celebrycki, czyli osób publicznych, to dzięki temu zyskamy jeszcze większy rozgłos. Poprawę naszych notowań i zepsucie wizerunku innym.

Naukowcy są jednak sceptyczni co do siły plotki w sieci – eksperyment badaczy z Uniwersytetu Warszawskiego dowiódł, że tylko jedna na 10 tys. plotek na Twitterze ma szansę dotrzeć do ponad 2,5 tys. osób.

Bo też łatwiej jest ją w internecie zweryfikować. Jeśli korzystam z sieci, to mogę wejść na stronę konkretnego ministerstwa i sprawdzić, czy w rzeczywistości był przygotowany projekt utworzenia funduszy dla byłych polityków albo czy NASA rzeczywiście odkryła życie poza Ziemią. Nie muszę iść w tym celu do biblioteki czy szukać eksperta.

To dlaczego jednak tak rzadko weryfikujemy dziwne informacje, które zapełniają sieć?

Bo co do zasady wierzymy przekazom o tych, którzy są dla nas nieosiągalni – pasują nam do obrazu, który chcemy wytworzyć, albo tego, który chcą wytworzyć inni. A poza tym to szybki, prosty i tani sposób na poprawę samopoczucia – bez sprawdzania, jaki jest świat, oraz bez konieczności analizowania każdej sytuacji z osobna. To po prostu wygodny skrót myślowy. ©℗

fot. Shutterstock

Sandu Ciorbă

fot. YouTube

Każdy naród ma swoje disco

Mieszkaniec Bukaresztu nie przyzna się do słuchania **manele, rumuńskiej wersji popowego folku.** Ale przeboje z tego nurtu podbijają serca milionów słuchaczy

Zbigniew Parafianowicz

Alexandru „Sandu" Ciorbă i Nicolae Guță nie mieli łatwych początków. W rodzimej Rumunii salonowa krytyka długo nie doceniała ich muzyki, inspirowanego folkiem prostego popu nazywanego manele. Pierwszy z twórców – zanim podbił Internet – zdobył sławę za granicą. Drugiego najpierw docenili krytycy we Francji, przypisując mu, nie wiedzieć czemu, nowatorskie podejście do gypsy jazzu. Porównywano go nawet do Django Reinhardta – światowej sławy klasyka gry na gitarze.

Na ich tle kariera Marko Stojkovicia, znanego w Belgradzie szerzej pod pseudonimem artystycznym McStojan – wygląda na zupełnie prozaiczną. Serbski raper pierwsze kroki na scenie stawiał jako nieco wulgarny burzyciel klubowego ładu śpiewający o wdziękach serbskich dziewcząt ze wsi, miasta i emigracyjnej diaspory. Z biegiem czasu dawny buntownik zamienił w teledyskach stóg siana i tanie drinki na nowobogacki luksus. Zamiast występować na tle traktora, dziś śpiewa na pokładzie drogich jachtów, przy bentleyach i na plażach Florydy.

I jeszcze jeden artysta: Ekrem Jevrić, sam siebie określający jako gwiazdę Kanady i Ameryki. Pochodzący z Sandżaku, regionu na pograniczu Serbii i Czarnogóry, piosenkarz wyemigrował do Ameryki Północnej. Zmarł w 2016 r., ale zdążył – jak komentowała prasa – ponownie zjednoczyć byłą Jugosławię hitem „Kuća posô". Nostalgiczny spacer ulicami Nowego Jorku i śpiewane niczym mantra „z domu do pracy; z pracy do domu" z powodzeniem mogłoby wybrzmieć w dowolnej bałkańskiej jadłodajni z ćevapami od Zagrzebia przez Prisztinę po Skopje i Ohryd. Ekrem po dwóch tygodniach od upublicznienia „Kuća posô" miał 2 mln odsłon na YouTubie. Upomniał się też o niego wielki biznes. W tym wypadku dom mody Dolce & Gabbana (nazywany przez Ekrema – jak podaje „Independent" – Doggana), proponując wykonawcy udział w kampanii reklamowej.

Każdego z tych twórców łączy specyficzna muzyczna niezależność. Łatka obciachu. I wielki sukces u masowego odbiorcy. Ciorbă i Guță, Stojković i Jevrić grają na trudnych do wyłapania nutach. Odwołują się do istoty wrażliwości ludów, z których się wywodzą. Są środkowoeuropejskim odpowiednikiem disco polo, włoskiego italo disco czy niemieckich piosenek śpiewanych przez panów w różowych marynarkach i skórzanych krótkich spodenkach.

Taniec kur

Zapytany w Cluju czy Bukareszcie przeciętny Rumun nie przyzna się, że zna – a tym bardziej,

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia
składamy życzenia błogosławieństwa Bożego
w okresie świątecznym i na cały 2019 rok.

Życzymy sukcesów przy realizacji planów biznesowych
oraz inicjatyw społecznych.

Oby czas świąteczny spędzony wspólnie z rodziną
był pięknym zwieńczeniem mijającego roku,
a jednocześnie dobrą prognozą
na rok następny!

Wesołych Świąt

PKPCARGO

Ekrem Jevrić

że słucha – manele. Zaprzeczy, by miał sentyment do pop-folku, który od lat, według kompletnie niezrozumiałej logiki, podbija serca milionów. Prędzej dowiedzie swojej znajomości francuskiego i lektury Ciorana w „oryginale", niż zanuci „Od trzech dni chleję w gospodzie" Ciorby. Wielkie miasta odmawiają manelistom istnienia. Bukareszt to przecież jeden z kilkunastu Paryżów Wschodu i nikt nigdy nie woził do niego od rodziny ze wsi, na dachu zdezolowanej dacii, ćwiartki świniaka, zapasu jajek i słoików z wekami. Manele to dla wielkomiejskich Rumunów co najwyżej dziecinne teksty, których gramatyka poziomem dorównuje umiejętnościom trójkowego ucznia wczesnych klas podstawówki.

Wywodzący się z dobrej mieszczańskiej rodziny rumuński krytyk literacki George Pruteanu (zmarły w 2008 r.) określał manele mianem „intelektualnego gnoju" i „pseudomuzyki". Z kolei znany rumuński muzyk i zarazem deputowany rządzącej Partii Socjaldemokratycznej Mădălin Voicu porównał je do towaru „niszczącego mózg" i „sprzedawanego głupcom". Nieco bardziej wyrozumiały był Cezar Giosan, który na łamach renomowanego pisma „Dilema Veche" prognozował, że manele – podobnie jak wczesny rock and roll – z fazy prymitywizmu przejdzie do głównego nurtu. Równocześnie najbardziej radykalni przeciwnicy wzywali do zdelegalizowania żywiołowo rozwijającego się trendu. Na poziomie lokalnym to się zresztą udawało. Wiele miast w geście estetycznego obrzydzenia zakazywało wykonywania manele na festiwalach czy w transporcie publicznym. W 2010 r. oficjalnie zakazano go podczas Festiwalu Piwa w kulturalnej stolicy kraju – Jassach. „Będziemy mieli więcej toalet i osób do sprzątania. Zakazaliśmy również w kontrakcie manele" – komentował jeden z organizatorów, Bogdan Mindirigiu. Na podobny krok zdecydowano się w wołoskim Buzău. Lobbowały za tym lokalne organizacje pozarządowe, które argumentowały, że muzyka odstrasza zagranicznych turystów. Zakaz w Buzău – jak podawała agencja Agerpres – miała egzekwować policja.

Fenomenu manele nie da się wyjaśnić domniemaną prostotą ludu, który kupuje tandetę. Większość z wykonawców funkcjonuje w drugim obiegu, bo jest bojkotowana przez stacje radiowe i telewizyjne. Mimo to dla wielu pozostają półbogami

Tak jakby zapomniano, że historia literatury rumuńskiej zna kariery przypominające żywoty manelistów. Choćby poetę przełomu XVIII i XIX wieku, pierwszego reportażystę i domniemanego kompozytora muzyki do hymnu rumuńskiego – Antona Panna, który wywodził się z nizin społecznych, a jego twórczość polegała na studiowaniu – w przebraniu włóczęgi – powiedzeń ludu, prostego języka wsi i nieskomplikowanej moralności ówczesnych przedmieść Bukaresztu. Jego „Wariactwa Hodży Nasreddina" i „Zbiór przysłów albo historia słowa" wprost odnoszą się do legendarnego anatolijskiego filozofa i facecjonisty faworyzującego prosty lud kosztem elit. Oficjalna historia literatury woli jednak pamiętać Panna jako analityka folkloru. Jednak czytelnik jego pism łatwo skojarzy śpiewany na weselach czterowiersz „Taniec kur" (w którym „jaja kury są wysiedziałe", a „pana młodego śmierdzące") z wulgarnością obecną we współczesnych piosenkach.

Mimo niechęci elit manele trwa i rozwija się. Dziś gatunek szuka swoich korzeni. Przypomina sobie szalone i chude lata 90., gdy na scenie królował Albatros z Bukaresztu (Albatros din București.), Akcent z Tyrgowiszte (Accent din Târgoviște) czy Kondor z Krajowej (Condor din Craiova) – zespoły dysponujące co najwyżej śpiewającym tercetem i syntezatorem.

Sukces jak z rumuńskiego snu

Współczesny klasyk Sandu Ciorbă – zachęcający w piosence „Hai cu mine-n București" do wyprawy ciężarówką Roman w poszukiwaniu szczęścia w stolicy – to już jednak inna jakość. Ma prawie 2,5 mln odsłon na YouTubie. Równie dobry wynik notuje jego nostalgiczna pieśń „De trei zile beau la birt" o zapijaniu się w wiejskiej gospodzie po zawodzie miłosnym. Ponad 30 mln odsłon ma psychodeliczne „Pe Cimpoi" („Na dudach"), w którym Ciorbă ostrzega: „kiedy przychodzisz do nas, dziadu, nie przychodź bez dud", czy znana i popularna w Polsce „Dalibomba". 8 mln odsłon wypracowała ballada „Nie smagaj mnie, wietrze", gdzie Sandu żali się na los, od którego „pada na ziemię niczym liść / bo świat jest zły...".

Równie dobrze radzi sobie były spawacz na kolei, a dziś gwiazda nurtu Nicolae Guță, którego swego czasu na wyrost porównywano do Reinhardta. Jego piosenka „W mamaii", w której – nawiązując do słynnego kurortu czarnomorskiego – śpiewa: „Niech sobie pada, jadę do mamaii / nie ma problemu z szamką / nie pła-

fot. Europics/CEN/East News

cę za mieszkanie (...) Idę pić sobie kawę / gdzieś na plażę / w ogrodzie, w mojej mamaii" – obejrzało ponad 14 mln widzów. (Mamaia z tej piosenki nie jest zapisywana wielką literą. Może to być swoista gra słów, nawiązanie do ogrodu mamy). Mówimy o teledysku, w którym 50-letni mężczyzna (anty-Adonis) popija z 2,5-litrowego plastikowego pojemnika piwo, grilluje, tańczy i wyleguje się na stogu siana.

Tego fenomenu nie da się wyjaśnić domniemaną prostotą ludu, który naiwnie kupuje tandetę. Większość z wykonawców funkcjonuje w drugim obiegu, bo jest konsekwentnie bojkotowana przez stacje radiowe i telewizyjne. Mimo to – podobnie jak w przypadku antysystemowych ugrupowań politycznych – dla wielu pozostają półbogami. Byli spawacze porzucający narzędzia dla syntezatora, mercedesa, łańcucha z tombaku i półnagich kobiet są ucieleśnieniem awansu społecznego, który nie był dany po upadku komunizmu. Ich losy są uosobieniem „rumuńskiego snu" – kariery wbrew systemowi, krytyce wielkomiejskich mądrali i – jak pisał Tuwim – „oczytanych faj" z gazet, których nikt nie czyta. Świat przedstawiony przez manelistów – mimo że przerysowany i naiwny – bliski jest ukrytym lękom i tęsknotom narodów umownego międzymorza. Raz będzie to bieda i beznadzieja. Innym razem – sny o bogactwie i sławie czy też wczasach w mamai, która brzmi prawie jak Miami.

Z Jevriciem i Stojkoviciem jest podobnie. Niewielu w Belgradzie chwali się znajomością utworu, w którym McStojan recenzuje swoje przygody erotyczne. Równocześnie jego piosenki śpiewane w duecie z Sandrą Afriką ogląda w internecie ponad 30 mln osób. Teledysk „La Miami", który przez samego Stojkovicia na początku jest określany jako megahit, ma ich nawet dwa razy więcej.

Sokrates z Sandżaku

Jevrić to z kolei ucieleśnienie bólu związanego z życiem gastarbeitera, który w poszukiwaniu pracy – jak miliony mieszkańców Europy Środkowej – porzuca muzułmański Sandżak na rzecz Nowego Jorku. Jak się okazuje, jedyne, co ratuje Ekrema przed załamaniem, to właśnie łączność z mityczną i istniejącą już tylko we wspomnieniach Jugosławią – za pośrednictwem turbofolku. Dawne Bałkany są światem idealnym w przeciwieństwie do rzeczywistości „Kuća posô. Posô kuća" („Z domu do pracy, z pracy do domu"). Tandetna i prosta piosenka pozwala odzyskać wolność od obowiązującej w liberalnym mieście poprawności politycznej, gdy wykonawca śpiewa: „Hej, Nowy Jorku, ciemność wyłania się nad tobą, bo pozwoliłeś, by rządziła tobą kobieta".

Nagrany przypadkowo teledysk zmienił los Ekrema. Obszerny reportaż o nim zrobiło BBC. Cytowano w nim antropologa przekonującego, że teksty Jevricia można interpretować w kontekście prac Émile'a Durkheima, który badał beznadzieję ludzi zrywających więzy ze swoją wspólnotą i poszukujących lepszego jutra w społeczeństwie industrialnym. Bośniacko-czarnogórski pisarz i autor powieści „Syn" Andrej Nikolaidis określił „Kuća posô" mianem protest songu, w którym Ekrem jest współczesnym Sokratesem szukającym odpowiedzi na postawione w piosence retoryczne pytanie: „Co ja wiem? Niczego nie wiem. I skąd mam wiedzieć?".

Ludowa miłość, którą słuchacze zapałali do zabarwionej orientem tandety Ekrema, McStojana, Ciorby i Guţy, przekłada się na konkretne zyski i sławę. Mimo niechęci ich twórczość spontanicznie włada masową wyobraźnią. W Bułgarii ma swój odpowiednik w postaci czałgi. W Kosowie, Albanii i albańskiej części Macedonii z powodzeniem funkcjonuje tallava. W Grecji skiladiko. Według podobnego mechanizmu Polskę podbiło – radykalnie odmienne od bałkańskich odpowiedników, lecz tak samo oficjalnie wyklęte – disco polo. A Rosję pochłania leczący traumę gułagu, nawiązujący do kryminalnych obyczajów szanson. Może jest tak jak w bajce La Fontaine'a: bywa, że naturę udaje się wypędzić oknem, ale ona i tak wraca drzwiami. ©℗

Nicolae Guţă

fot. YouTube

REKLAMA

FOT. WIENERBERGER (2)

Dom bez toksyn

Zdrowy dom to budynek zaprojektowany i wykonany w taki sposób, że żadne jego elementy nie zagrażają zdrowiu mieszkańców. Materiały użyte do jego budowy i wykończenia nie powinny więc zawierać szkodliwych substancji. Ważna jest również odporność stosowanych materiałów na grzyby, pleśnie i inne niebezpieczne mikroorganizmy. Które produkty pozwolą nam wybudować dom bez toksyn?

Toksyny oddziałujące niekorzystnie na nasze zdrowie mają pochodzenie biologiczne oraz chemiczne. Do pierwszej grupy należą toksyny wytwarzane przez grzyby i pleśnie, bakterie, wirusy, pasożyty oraz glony. Same grzyby pleśniowe są odpowiedzialne m.in. za obniżenie odporności organizmu, alergie, choroby dróg oddechowych, bóle głowy, mięśni i stawów. Zagrożenie dla naszego zdrowia stanowią również toksyny pochodzenia chemicznego. To przede wszystkim rozpuszczalniki i formaldehydy, ale także lotne związki organiczne. Mogą się one pojawiać na skutek naturalnych procesów degradacji produktów, które je zawierają. Mają bardzo szkodliwy wpływ na nasze zdrowie: pogarszają samopoczucie, działają drażniąco na drogi oddechowe i wywołują zaburzenia układu nerwowego. Choć produkty służące do wznoszenia i wykończenia domu, które zostały legalnie dopuszczone do sprzedaży nie są toksyczne, to w niesprzyjających warunkach, np. dużego czy długotrwałego zawilgocenia, mogą być pożywką dla chorobotwórczych mikroorganizmów.

Źródła toksyn w domu

Rozwój toksyn pochodzenia biologicznego wywołuje najczęściej nadmierna wilgoć. Sprzyjać temu zjawisku może skład materiału budowlanego, sposób jego produkcji i przechowywania, również na placu budowy. Szczególnie podatne na działanie czynników biologicznych są surowe drewno, tynki organiczne, zaprawy mineralne oraz niektóre materiały do murowania ścian. Poza wysoką wilgotnością ich rozwojowi sprzyja brak wymiany powietrza, wynikający np. z niewłaściwie działającej wentylacji czy zastosowania nieprzepuszczalnych materiałów ociepleniowych czy wykończeniowych.

Ściana zniszczona grzybem.

O tym, czy dom nie stanie się źródłem toksycznych związków, w dużym stopniu decyduje także skład chemiczny materiałów użytych do jego budowy i wykończenia. Źródłem toksyn pochodzenia chemicznego, takich jak chlorek winylu, styren czy formaldehyd mogą być m.in. lakiery do podłóg, farby zawierające rozpuszczalniki organiczne, profile okienne, wykładziny, drzwi, panele i płyty drewnopochodne. Także dodatki do tworzyw sztucznych, takie jak plastyfikatory, barwniki czy utwardzacze mogą wydzielać trujące substancje. Nie oznacza to jednak, że produkty zawierające te związki są zawsze szkodliwe, znaczenie dla zdrowia ma przede wszystkim ilość zastosowanych szkodliwych substancji. Źródłem toksyn w domu może być także paliwo wykorzystywane do jego ogrzewania. Niekorzystne dla naszego zdrowia jest przede wszystkim ogrzewanie węglowe. Podczas spalania węgla wydzielane są szkodliwe związki chemiczne, np. duże ilości tlenków siarki i azotu, niebezpieczne m.in. dla dróg oddechowych pyły i inne zanieczyszczenia, w tym substancje rakotwórcze.

Materiały na zdrowy, suchy dom

Budowę domu wolnego od toksyn należy rozpocząć od wyboru zdrowych materiałów konstrukcyjnych, z których budujemy bazę – ściany. Takim materiałem, wytwarzanym z naturalnych surowców – gliny, wody i drewnianych trocin – jest ceramika. Produkowane z niej wyroby – pustaki poryzowane, wypalane w bardzo wysokiej, sięgającej 1000°C temperaturze są całkowicie suche. Mury wykonane z ceramiki Porotherm charakteryzują się najniższą wilgotnością w porównaniu z innymi materiałami ściennymi, która wynosi zaledwie 1%. Są tym samym odporne na rozwój grzybów i pleśni. Bezpieczny dla zdrowia jest też skład ceramiki, a także dobór surowca do jej produkcji. Nowoczesne wyroby ceramiczne powstają z tego, co daje natura, czyli ze starannie wyselekcjonowanych złóż gliny.

Właściwości wełny mineralnej wykorzystuje się również przy produkcji materiałów ceramicznych (pustaki Porotherm T Dryfix) przeznaczonych m.in. do budowy ścian jednowarstwowych. Wypełnia ona drążenia pustaków, dzięki czemu wymurowana z nich ściana szybko oddaje wilgoć i osiąga wysoką izolacyjność termiczną, tworząc tym samym korzystny, zdrowy mikroklimat w budynku.

W domach z ceramiki panuje zdrowy i przyjemny mikroklimat również z uwagi na jej bardzo dobrą paroprzepuszczalność – zjawisko, które pozwala w naturalny sposób regulować wilgotność w pomieszczeniach i usuwać nadmiar wilgoci w przegrodach. Jest to ważne zarówno podczas użytkowania budynku, gdy produkujemy znaczne ilości pary wodnej (np. podczas gotowania, kąpieli), ale też z uwagi na wilgoć technologiczną, związaną z samym procesem budowy domu (stosowaniem mokrych zapraw, tynków czy wylewek zawierających wodę). Ściany wykonane z materiałów ceramicznych Porotherm odparowują nadmiar wilgoci i wysychają w krótkim czasie. Oznacza to, że szybko uzyskują tzw. wilgotność ustabilizowaną, czyli taką, jaka utrzymuje się w ścianie podczas użytkowania budynku. Jest to możliwe dzięki porowatej strukturze tego materiału. Jako budulec paroprzepuszczalny ceramika umożliwia swobodne przenikanie pary wodnej na zewnątrz budynku, a więc „oddychanie" ścian.
Na ograniczenie wilgotności muru wpływ ma także nowoczesna technologia murowania pustaków ceramicznych Porotherm na cienką spoinę. Jest to możliwe dzięki precyzyjnemu szlifowaniu powierzchni wspornych elementów murowych. Pustaki w technologii Porotherm Dryfix – bo o niej mowa – są murowane na cienką warstwę trwałej, suchej zaprawy, która nie tylko nie wymaga rozrabiania z wodą (jest gotowa do aplikacji i dostarczana w lekkich puszkach), ale niemal jej nie zawiera. Rozwiązanie to umożliwia trwałe i niemal bezszczelinowe łączenie pustaków, dzięki czemu gotowa ściana jest bardzo ciepła, a także pozbawiona wilgoci, nieuniknionej w przypadku stosowania tradycyjnych, mokrych zapraw murarskich.

Kompleksowy sposób na dom bez toksyn

Chcąc w pełni wykorzystać wyjątkowe walory zdrowotne ceramiki, należy zadbać również o odpowiedni dobór innych materiałów oraz rzetelne wykonawstwo. Nawet najlepszy materiał nie spełni swojej roli, jeśli zostanie nieprawidłowo zamontowany. Przyczyną wilgoci, a w konsekwencji namnażania grzybów i pleśni są m.in. źle wykonane izolacje przeciwwilgociowe. Aby uniknąć błędów na tym etapie zaleca się stosować zaawansowane systemy hydroizolacyjne mineralne i polimerowe, np. folie w płynie – wykonane na bazie żywic syntetycznych. Jeśli chcemy, żeby „oddychająca" była cała ściana, a nie tylko mur z ceramiki, cecha ta powinna dotyczyć wszystkich jej warstw. Należy więc stosować paroprzepuszczalne tynki, a w przypadku ścian warstwowych również paroprzepuszczalne materiały termoizolacyjne, np. wełnę mineralną.
Wybierając farby, zdecydujmy się na produkty dyspersyjne, w których głównym rozpuszczalnikiem jest woda. Dobrym wyborem są farby zawierające środki biobójcze, które zabezpieczają przed rozwojem grzybów i drobnoustrojów, takie właściwości mają farby z dodatkiem np. nanosrebra. Warto sięgać także po farby przeznaczone dla alergików rekomendowane przez Polskie Towarzystwo Alergologiczne, a także te oznaczone logiem Błękitnego Anioła lub EU Flower. Jeśli chcemy żyć w zdrowym domu, postawmy też na czyste ogrzewanie – np. pompę ciepła, która nie emituje żadnych spalin lub kocioł kondensacyjny, charakteryzujący się ograniczoną emisją zanieczyszczeń.

REKLAMA

FOT. VIESSMANN (3)

Odnawialne źródła energii kontra smog

Problem smogu dotyczy mieszkańców wielu obszarów kraju. To, czy i jak szybko się z nim uporamy zależy od naszych decyzji, przede wszystkim dotyczących sposobu ogrzewania domów.

Według najnowszego raportu WHO z 50 najbardziej zanieczyszczonych miast w Unii Europejskiej, aż 36 leży w Polsce. W wielu z nich problemem jest smog, czyli zjawisko występujące na skutek koncentracji zanieczyszczeń powietrza, której sprzyjają pewne warunki atmosferyczne – np. bezwietrzna pogoda lub mgła. Brak widocznego smogu nie oznacza jednak, że obszar, na którym zamieszkujemy może pochwalić się czystym powietrzem. Głównym źródłem jego zanieczyszczenia jest emisja pyłów i szkodliwych gazów, pochodzących z domowych pieców grzewczych oraz lokalnych kotłowni węglowych. W naszym kraju wciąż użytkownych jest wiele kotłów na węgiel, niespełniających podstawowych standardów emisyjnych. Są one źródłem niebezpiecznych dla zdrowia pyłów PM2,5 i PM10 oraz rakotwórczego benzopirenu. Aby uporać się z poważnym problemem, jakim jest zła jakość powietrza, powinnyśmy zadbać o to, aby domy, w których mieszkamy były budynkami zdrowymi. Zdrowy dom nie zatruwa swoich mieszańców ani środowiska. Nie emituje do atmosfery groźnych dla zdrowia spalin, a do ogrzewania wykorzystuje urządzenia bazujące na odnawialnych źródłach energii (OZE).

Pompa ciepła w walce ze smogiem

Jednym z urządzeń grzewczych korzystających z odnawialnych źródeł energii jest pompa ciepła. Pozyskuje ona energię zakumulowaną w trzech niewyczerpalnych źródłach – powietrzu, gruncie lub wodzie, i przekształca ją w ciepło. Ogrzewanie domu pompą ciepła nie wiąże się ze spalaniem paliwa. Urządzenie to nie emituje żadnych spalin do atmosfery – jest więc bezpieczne dla środowiska oraz zdrowia ludzi.
Zwolennicy „tradycyjnych" sposobów ogrzewania podkreślają, że do swej pracy pompa ciepła potrzebuje energii elektrycznej produkowanej przez elektrownie węglowe. Prąd jest potrzebny do zasilania urządzenia i pracy sprężarki. Pompa ciepła zużywa go jednak niewiele w stosunku do ilości energii cieplnej, którą przekazuje do instalacji grzewczej.
Pompy ciepła w naszych domach mogą być też w 100% zasilane energią odnawialną, a to za sprawą mikroinstalacji fotowoltaicznych. Zamontowane np. na dachu budynku panele solarne pozyskują energię promieniowania słonecznego, a instalacja zmienia ją w darmowy, ekologiczny prąd, którym można zasilać wszystkie odbiorniki w domu, w tym również pompę ciepła. Jej połączenie z instalacją fotowoltaiczną przyczynia się aktywnie do poprawy jakości powietrza, jakim oddychamy. Przynosi również wymierne korzyści finansowe w postaci ograniczonych do minimum kosztów energii, bowiem korzystanie z OZE nie wiąże się z regularnymi opłatami.

Dobre prognozy

Pozytywne skutki zastąpienia węgla energią odnawialną są już widoczne chociażby w Chinach, gdzie mieszkańcy Pekinu (do niedawna jednego z najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie) zimą 2017 roku mogli ponownie ujrzeć przejrzyste niebo. To dzięki wsparciu finansowemu oraz programom rządowym promującym likwidację smogu i wymianę kotłów węglowych na powietrzne pompy ciepła. Efektem tych inicjatyw w Pekinie był montaż

Według ekspertów przejście na odnawialne źródła energii jest najbardziej perspektywicznym sposobem rozwiązania problemu zanieczyszczonego powietrza.

500 000 sztuk powietrznych pomp ciepła w latach 2016 i 2017, zmniejszenie zużycia węgla w kotłach o blisko 2 miliony ton rocznie oraz spadek stężenia pyłów PM 2,5 z 110 $\mu g/m^3$ do 53 $\mu g/m^3$.
Za tym przykładem może iść również nasz kraj i są ku temu dobre przesłania. Polska jest bowiem jedynym rynkiem w Europie, w którym zanotowano siedem lat z rzędu wzrost sprzedaży liczby pomp ciepła. Z szacunków PORT PC wynika, że w 2017 roku rynek powietrznych pomp ciepła stosowanych do instalacji centralnego ogrzewania wzrósł o 55%, a rynek wszystkich typów pomp ciepła związanych z centralnym ogrzewaniem o 30%. Cały rynek pomp ciepła w Polsce odnotował z kolei wzrost na poziomie 22% – w 2017 roku sprzedano łącznie około 27 000 sztuk tych urządzeń.

Programy wsparcia

Walka ze smogiem również w naszym kraju jest wspomagana poprzez programy, które umożliwiają inwestorom uzyskanie dofinansowania na działania proekologiczne. Taką inicjatywą jest funkcjonujący obecnie Program Czyste Powietrze, skierowany do właścicieli domów jednorodzinnych i osób posiadających zgodę na rozpoczęcie budowy budynku jednorodzinnego. Jego głównym celem jest zmniejszenie emisji pyłów i innych zanieczyszczeń wprowadzanych do atmosfery przez domy jednorodzinne, dlatego skupia się m.in. na wymianie starych pieców i kotłów na paliwo stałe, termomodernizacji budynków jednorodzinnych oraz wspomaganiu inwestycji w odnawialne źródła energii, w tym również w pompy ciepła i fotowoltaikę. Planując budowę domu lub zmianę źródła ciepła w istniejącym budynku, warto więc ubiegać się o dofinansowanie.
Inwestycja w OZE nie tylko pomoże chronić środowisko i zwalczać smog – zwiększy również domowy budżet, po pierwsze dzięki wsparciu finansowemu m.in. na zakup i montaż pompy ciepła oraz fotowoltaiki, po drugie dzięki stałym oszczędnościom na koszach energii.

Digitalizacja: przyszłość rynku instalacyjnego – Sebastian Walerysiak, prezes firmy VIESSMANN SP. Z O.O.

Obecnie funkcjonujące systemy grzewcze w dużej mierze opierają się na paliwach kopalnych, od których rynek ogrzewnictwa chce odejść na rzecz rozwiązań ekologicznych. W jaki sposób będzie następowała ta zmiana?

Sebastian Walerysiak: Odejście od paliw kopalnych będzie wymagało dużej przemiany strukturalnej w systemach grzewczych. Z rynkiem grzewczym nieodzownie związana jest też energia elektryczna, dlatego przełom energetyczny oznacza skojarzenie sektorów elektroenergetyki, ciepłownictwa i mobilności, ale też konieczność zwiększenia efektywności energetycznej systemów i urządzeń. Dużą rolę będzie też odgrywała digitalizacja rynku.

Jak należy rozumieć digitalizacją w branży instalacyjnej?

S.W.: Digitalizacja oznacza cyfryzację na każdym polu: począwszy od funkcjonowania samego przedsiębiorstwa, przez opracowywanie nowych rozwiązań i produkcję, po pracę urządzeń w realnych warunkach. Digitalizacja oznacza również całościową kontrolę i zarządzanie energią cieplną w obiektach. To także kompleksowa wymiana danych i globalna integracja wszystkich systemów. Tak aby poszczególne pomieszczenia były zintegrowane z całym budynkiem, ten z jego otoczeniem, a nawet całym miastem.

Co digitalizacja będzie oznaczała dla przyszłych użytkowników takich nowoczesnych systemów grzewczych?

S.W.: Zmiany, jakie niesie branża grzewcza dla użytkowników i instalatorów będą ogromne. Użytkownik z pewnością będzie mniej świadomy zasad pracy domowych urządzeń grzewczych. Skupi się na tym, co dla niego najistotniejsze, a więc na komforcie cieplnym, funkcjonalności i wygodzie korzystania z domowych systemów, począwszy od sterowania głosowego, na sztucznej inteligencji kończąc. Digitalizacja sprawi, że optymalna i ekonomiczna praca instalacji nie będzie wymagała praktycznie żadnego zaangażowania ze strony użytkownika.

W takim razie co te zmiany oznaczają dla instalatorów? Czy szeroko pojęta cyfryzacja ograniczy ich rolę?

S.W.: Nie, ich praca będzie równie istotna, z tym że dotyczyć będzie innego wymiaru. Instalator w przyszłości będzie musiał posiąść zupełnie inną wiedzę niż dotychczas. Będzie ona oparta o szeroko pojęte technologie internetowe, komunikacyjne i informatyczne. Digitalizacja pozwoli też uniknąć wielu błędów, ponieważ nowoczesne systemy będą wskazywały odpowiedni kierunek instalatorom na każdym etapie ich pracy.

Jak zmienią się same urządzenia związane z rynkiem grzewczym?

S.W.: Z pewnością z rynku znikną niektóre grupy produktów. W przypadku naszej oferty przestaje w niej funkcjonować kocioł na biomasę. Będzie też dalej postępował bardzo szybki rozwój urządzeń związanych z prądem, takich jak pompy ciepła, fotowoltaika, systemy zarządzania energią.

Czyli Viessmann już teraz odchodzi od paliw stałych i stawia na digitalizację?

S.W.: W ofercie naszej firmy nigdy nie było kotła węglowego. Jedynym przejawem paliw stałych są kotły na biomasę. Z techniki olejowej i gazowej przechodzimy sukcesywnie w kierunku energii elektrycznej bazującej na OZE, a już teraz oferujemy całe zintegrowane systemy grzewcze z pełnym ich zarządzaniem przez internet.

Otarłem się o Paulo Coelho

Ja nawet **nie rozumiem, dlaczego mi się coś udaje.** Bardzo chciałbym zrozumieć fenomen „Weź nie pytaj". Napisałbym wtedy drugą taką piosenkę

PAWEŁ DOMAGAŁA

piosenkarz, muzyk, aktor, znany m.in. z serialu „O mnie się nie martw". Na zdjęciu w 2015 r., jeszcze przed wydaniem debiutanckiej płyty

fot. Darek Golik

Z **Pawłem Domagałą**
rozmawia Robert Mazurek

Prosił pan, by nie pytać o politykę. Ani mi to w głowie było, tymczasem pan już mówił o polityce.
Ja tylko odniosłem się do przedziwnych, absurdalnych zarzutów. Wybuchła g...oburza, bo w jednej z prostszych piosenek, które napisałem, czyli „Weź nie pytaj", pojawił się zwrot „Nie chcę żyć polityką / Kiedy tłumy na mieście / Ja córkom zrobię jeść".
„Mieście – jeść", rym bardzo dobry, tylko trochę niedokładny.
Nie ma nic gorszego niż rymy w piosenkach... A wracając do tej g...oburzy, to...
Oskarżono pana i panu podobnych, że jesteście oportunistami, jeśli nie pisowcami.
A wie pan, że tłumacząc się, zacytowałem pana z wywiadu dla „Kultury Liberalnej" i powiedziałem, że jestem dezerterem z wojny polsko-polskiej?
A naprawdę nim pan jest?
Naprawdę. Nigdy się nie angażowałem w politykę, poza tym, że chodzę na wybory, choć zastanawiam się, czy to ma sens.
Pewien wójt przegrał jednym głosem.
No tak, wtedy to miało sens. U mnie ma mniejszy.
To na kogo pan głosuje?
W samorządowych byłem poza Warszawą i nie mogłem wziąć udziału. A na prezydenta Polski... Wyłączył pan to?
Wyłączam.
Na...

Robert Mazurek

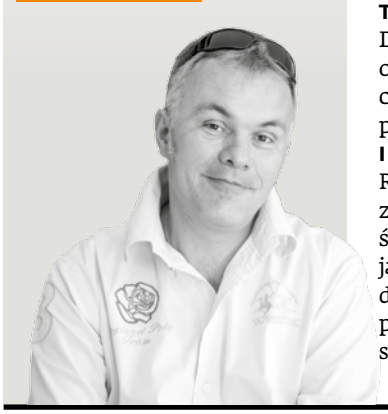

Nie! Naprawdę?!
Serio.
Uwaga dla redakcji: redaktor Mazurek umarł, a wywiad dokończyła kelnerka.
Poprzednio pana dobiłem i kończył przypadkowy przechodzień.
To niemożliwe, że pan tak głosował! Nie znam absolutnie nikogo, kto by głosował na tego człowieka.
Ja też nie... (śmiech) On sam też pewnie nie spotkał nigdy swojego wyborcy. A tak poważnie, to ja cały czas powtarzam, że nie mam żadnych szczególnych kompetencji, by mówić ludziom, jak mają żyć czy zajmować się polityką. Nie znam się na tym, to nie moja sprawa i tyle.
Serial, reklama, platynowe płyty – jest pan megagwiazdą.
Naprawdę?
Ma pan trzy miejsca parkingowe, mało?
To pan mieszka w kamienicy w centrum, a ja w bloku na obrzeżach.
Ale ja nie mam gdzie parkować.
Dwa miejsca są moje, bo były w promocji, a trzecie sąsiada, który wpada tylko na weekendy, więc czasem korzystam. Ale mówiąc serio, byłoby niewiarygodnym absurdem mówić o sobie, że się jest gwiazdą.
Małgorzata Kożuchowska ma image gwiazdy i jest nią.
A ja jestem zupełnie inny. Nie mogę sobie teraz pozwolić na to, by przestać pracować, bo to wszystko jest na chwilę. Czasy są tak szybkie, że zaraz mogę wypaść.
Ma pan swoje pięć minut i trzeba je wykorzystać?
Robię dokładnie to, co zawsze. Po prostu nastąpił szczęśliwy zbieg okoliczności, że popularność serialu zbiegła się z sukcesem płyty, ale to dlatego, że bardzo dużo pracowałem i podejmowałem ryzykowne decyzje.
Ryzykowne?
Pierwszą płytę wydałem własnym sumptem.
To nie jest aż tak kosztowne.
Dla mnie to były wszystkie oszczędności zgromadzone na czas, gdy nie będę miał żadnych propozycji. Zaryzykowałem.
I sukces. A druga płyta?
Razem z Łukaszem Borowieckim, z którym piszę muzykę, założyliśmy firmę i wydaliśmy płytę tak jak pierwszą – sami, bez wsparcia dużej firmy. I było tak samo jak za pierwszym razem – gdyby się nie sprzedała, nie byłoby trzeciej płyty.

3m

A będzie?
Teraz już mogę powiedzieć, że będzie, i muzycznie chciałbym zerknąć odważniej w stronę folku.
Folku? Jak Bob Dylan przygrywający sobie na harmonijce?
Marzyłoby mi się coś takiego, tacy Mumford & Sons albo The Record Company. Na tej płycie jest jeden taki utwór, „Obietnica", i w takim kierunku chciałbym pójść.
„1984"? Dlaczego orwellowski tytuł?
To w ogóle nie jest orwellowski tytuł.
Jak to nie? To pierwsze skojarzenie.
A ja w ogóle tak nie myślałem!
No co pan?!
Znowu mnie pan przecenia intelektualnie. Dla mnie po prostu rok urodzenia. Zdjęcie na okładce płyty nie jest z 1984 r.
Prędzej ja tak wtedy wyglądałem.
O, zawsze mnie pytali, co to za zdjęcie na okładce, to będę teraz mówił, że to Mazurek z 1984 r.
Wydaje pan płyty sam jak hiphopowcy, ale oni mają inne ciuchy, złote łańcuchy. A ta szpanerska bluza po ile?
To sieciówka. Za dziewięć dych. Nie podoba się panu?
Damska, jak lubię.
Unisex, z różami. I rzeczywiście może ją nosić i Zuza, i ja. Krakowska oszczędność.
Czytałem, że macie też z żoną wspólne kalosze.
Nie kalosze, ale mamy bardzo podobne buty, ja mam bardzo małą stopę, więc Zuzka kiedyś wyszła z domu w jednym bucie moim, w drugim swoim.
Gdzie pańska skórzana kurtka?
Nie mam i mieć nie będę. Moi rodzice całe życie szyli kurtki skórzane i miałem w domu pełno kawałków skóry, jestem zwolniony z obowiązku posiadania.
Ile ma pan tatuaży?
Żadnego. Teraz tatuaże tak spowszechniały, że szokujące jest ich nie mieć.
Miał pan przynajmniej farbowane włosy jak gwiazda pop, ale już nie ma.
Do serialu musieli mi pofarbować, przez pół roku musiałem je tlenić i wyglądałem jak utyty NRD-owski łyżwiarz figurowy.
W Czechosłowacji byli hokeiści, ale NRD-owskich łyżwiarzy nie znałem.
Pokażę panu moje zdjęcia, wyglądali jak ja.

Cała sztuka współczesna interesuje się tylko złem, tylko ono ją ciekawi. Teatr i kino skupiły się na wyciąganiu z człowieka zła, pokazywaniu, że w na pozór dobrym człowieku drzemią jakieś pokłady podłości. I ja się z tym całkowicie nie zgadzam

À propos podtytych, to Staszek Sojka opowiadał mi, że w 1986 r. w wytwórni RCA Records nie mógł się przebić, bo ładnie śpiewał, ale był takim „podtytym family manem bez targetu".
A ja nie poszedłem do wielkiej wytwórni i może dlatego nie wiedziałem, że nie powinienem wydawać płyty.
Wracając do sławy, to skończy pan jak miś na Krupówkach, z którym można sobie zrobić zdjęcie.
Nie, bo nie robię sobie zdjęć i nie daję autografów w sytuacjach prywatnych. I nie robię od tego absolutnie żadnych wyjątków. Po koncercie czy spektaklu proszę bardzo, ale tylko wtedy. A jak już jestem z dzieckiem i ktoś jest bardzo natarczywy, to naprawdę jestem bardzo niemiły. Nauczył mnie tego KęKę... (popularny raper – red.).
Kolega z Radomia.
Byliśmy razem na wakacjach i to on ukuł powiedzenie „sytuacja prywatna".
70 mln odsłon na YouTubie świadczy, że ma pan całkiem sporo tych fanów.
No 70 mln to robi wrażenie, ale Sławomir ma prawie 200 mln, więc zależy, do kogo mnie pan porównuje.
Sławomir to przecież aktor, niegdyś pański kolega z Kabaretu na Koniec Świata.
Muzycznie bardzo się różnimy ze Sławkiem.
On to robi dla forsy, dla szpanu?
Sławek naprawdę ma takie poczucie humoru i zawsze je miał. Przecież pamięta pan, że jego pierwszy hit „Megiera" miał premierę w kabarecie i śpiewał go w piwnicy na Olesińskiej...
A ja płakałem ze śmiechu. Inaczej to tam brzmiało.
Prywatnie Sławek Zapała jest superczłowiekiem, a aktorsko kreacja Sławomira jest genialna, to jedna z lepszych ról, wymyślona od początku do końca. On jest takim Amerykaninem, który wrócił do ojczyzny i się bawi.
A pan jest normalnym chłopakiem. W serialu nieudacznikiem, muzycznie już nie, ale wciąż z sąsiedztwa.
W serialu oczywiście rysuję tę postać bardzo grubą kreską, w muzyce jest inaczej, ale zawsze bardzo chcę być chłopakiem z sąsiedztwa, nawet jeśli niektórzy postrzegają mnie inaczej.
Czyli jak?
Trzy, cztery lata temu mnie nie dostrzegali, a teraz jestem ich kumplem i poklepują mnie po ramieniu. Na szczęście przyszło to na mnie w odpowiednim wieku i chyba jestem na tyle ogarnięty, by mi nie odbiło. Ale to rzeczywiście jest praca, by zostać cały czas takim samym, by się nie zmienić w kogoś, kim nigdy nie chciałeś być.
Byłem na pańskim koncercie.
Wiem, zaprosiłem pana.
Pełna sala, panie od studentek do czterdziestu kilku lat, same, tęskniące za miłością lub szczęśliwie zakochane z chłopakami, wszystkie rozanielone.
Jeśli tak pan to odebrał, to jestem przeszczęśliwy, bo właśnie po to wszystko to robię. Pan akurat jest człowiekiem starszym i spełnionym, ale na moje koncerty przychodzą również ludzie poszukujący swej miłości. Wydaje mi się, że jest przestrzeń na to, co robię, a jeśli widzowie po koncercie są szczęśliwsi niż przed, to ogromna radość.
Muzyka: Seweryn Krajewski, słowa: Paulo Coelho, przed państwem Paweł Domagała!
Zamiast się obrażać za Paulo Coelho, powiem, że to zaszczyt być porównanym do Seweryna Krajewskiego, w końcu pisał rewelacyjne melodie.
Pan słucha takiej muzyki?
No jasne! Gram muzykę, która mi się podoba. A słowa piszę takie, jakie potrafię. Jeśli są infantylne i proste, to dlatego że w tym momencie jestem infantylny i prosty. Tu nie ma filozofii, nie jestem zawodowym tekściarzem.
„Może to zabrzmieć patetycznie, ale jeśli mam jakiś cel w życiu, to jest nim potrzeba dawania ludziom nadziei, by nawet na zgliszczach swojego życia potrafili ją znaleźć. Chciałbym, by się nie poddawali, uwierzyli, że nie ma takiego dołu, z którego się nie można wydostać".
No tutaj rzeczywiście otarłem się o Paulo Coelho, ale w sumie to podtrzymuję. Chciałbym, by ludzie po wysłuchaniu mojej płyty, po moim koncercie poczuli się lepiej. Nawet jeśli wokół jest źle, to ja nie chcę gasić w nich nadziei, że wszystko się da wyprostować. Piszę te teksy pod konkretną osobę.
Co to znaczy?
Że każdy jest rezultatem spotkania z kimś, pojawiają się tam

zdania, które padły w rozmowie z przyjaciółmi.

Nie będzie pan musiał dokonać wyboru: granie czy śpiewanie?

Na razie nie. W muzyce za wszystko odpowiadam, zwłaszcza teraz, gdy jestem jeszcze wydawcą płyty. Piszę słowa i muzykę, śpiewam, decyduję o okładce – mam totalną wolność. To jest moje, to jest naprawdę „Paweł Domagała".

Film to gra zespołowa.

I nawet jeśli się na coś z reżyserem dogadam, bo spodoba mi się scenariusz, to nie wiem, co z tego zostanie. Oglądasz film i myślisz: „Ja w tym brałem udział? Nigdy!". Dlatego chcę zrobić film, pod którym będę mógł się podpisać. Nasz znajomy, Wojtek Solarz, zrobił „Okna" – film, pod którym może się w pełni podpisać.

I nikt go nie obejrzy, bo będzie na dwóch, trzech festiwalach. Sztuka dla sztuki.

Ja nie chcę robić kina artystycznego jak Wojtek, tylko dobre kino popularne. Muzyka daje mi wolność na tyle, że mogę sobie wybierać role, które wezmę.

I dlatego nie bierze pan żadnych? Ciągle albo serial, albo komedia romantyczna.

Już nie, od dłuższego czasu nie przyjmuję żadnej propozycji z komedią romantyczną. Mam poczucie, że jeśli zagram w jeszcze jednej komedii romantycznej, to po prostu umrę! Zwariuję i umrę. Dlatego nie biorę takich ról.

Na zawsze?

Teraz ich nie biorę, bo jestem tym zmęczony, sprawia mi to fizyczny ból.

A to dlaczego? Mówił mi pan trzy lata temu, że chce dawać ludziom szczęście, uśmiech.

I nic się nie zmieniło, lecz nie mam propozycji, które by mnie interesowały. Stąd mam coraz większą ochotę, by zrobić swój film, moja żona napisała nawet scenariusz. Nie powiem o czym, ale chciałbym robić filmy w stylu „Małej miss" czy Diablo Cody, scenarzystki choćby „Juno". Ostatnio duże wrażenie zrobiła na mnie dość banalna historyjka, czyli „Narodziny gwiazdy" Bradleya Coopera z Lady Gagą w roli głównej. W takich obszarach chciałbym się poruszać.

Takich filmów w Polsce nie ma.

Dlatego trzeba je stworzyć. U nas albo grasz w romantycznych komediach, albo masz Smarzowskiego i totalny dół.

Smarzowski nie jest dla pana?

Poświęcasz kilka miesięcy życia, by zrobić film, a to nie jest tym czymś, czemu chciałbym się poświęcić. Nie chciałbym spędzić kilku miesięcy, by zagrać w „Klerze" czy „Domu złym", i to nawet nie dlatego, że to są złe filmy, ale po prostu nie chcę poświęcać energii na takie klimaty.

Moja żona mówi, że do świetnej „Róży" w cenie biletu powinna być setka wódki, tylko nie wiadomo, czy przed, czy po.

I właśnie dlatego ja nie chcę brać udziału w takich filmach! To może być nawet dobre kino, ale nie niesie ludziom radości, optymizmu, wiary w dobro. A ja takie filmy chciałbym robić, takie kino środka gdzieś między komedią romantyczną a Smarzowskim.

Mówił pan: „Nie wszystko trzeba grać, mam swoją wizję zawodu, mam swoje ideały".

Mogę to powtórzyć.

REKLAMA

Wyślij SMS o treści SIWULA pod numer 74567 i pobierz tapetę (koszt 4,92 zł z VAT)

Stare, greckie przysłowie mówi, że kochające serce zawsze jest młode. Miłość jest tym, co czyni nas młodymi i chroni. Spoglądamy w oczy siwej Siwuli, stare i zmęczone, jakby przyprószone. Pali się w nich iskra, wtula się w nią źrebię. Za moment jej pastwiska naawiedzi listopadowa mgła. Mroźny grudzień owinie szronem nieliczne trawy o świcie, gdy Siwula wychodzi na swoim łańcuchu, zawsze w jedno i to samo miejsce. Kręci się wkoło, spogląda w niebo, patrzy w ziemię. Spędziła tak blisko 20 lat. Starszy człowiek zapnie jej łańcuch do drewnianego palika i podrepcze do swojej chaty, aby wrócić wieczorem po Siwule. Można by rzec, że kogoś obchodzi, bo przecież nawet wodę doniesie i łańcuch długi. Jednak starszy człowiek jest już bliżej mety, niż dalej. Pomimo, że dzielił z Siwulą od lat każdą kromkę chleba, teraz jest zbyt zmęczony i nie jest w stanie unieść wiadra. Idąc do niej, musi przysiadać na każdym kroku. Siwe skronie i te starcze oczy spoglądają na nas z nostalgią. Opowiada, jak to było za młodu, gdy dziadek miał konie, a on, mały Sylwester, pomagał w ich oporządzaniu. Wspomina młodość, opowiada nam całe życie. Koń - brzmiało wtedy dumnie. Każdy dbał lepiej jak o siebie. Dziś Panu Sylwestrowi wstyd za koniarzy. Ale powoli i za siebie. Mówi, że sił mu już brak. Wtedy, za czasów dziadka, sądzono, że rzeźnia jest szybkim sposobem na śmierć. "Nikt nie chciał być stary, to i koniom tego my szczędzili..." - dopowiada po chwili nasz rozmówca. Teraz Siwula urodziła ostatniego źrebaka, do tego najpewniej jest źrebna. "To już ponad moje siły, Pani, ja nie wiem, czy ja świąt doczekam, ja już by chciał do mojej Irenki, ona dawno tam, a człowiek tu sam został..." - słuchamy dalej Pana Sylwestra, który wzrusza się kiedy opowiada o swojej żonie i świętach, które przypominają mu o tym, jak bardzo samotny jest starszy człowiek bez miłości. W chacie zimno, blaszane miski leżą w zlewie, starszy Pan nerwowo stuka pomarszczonymi palcami o kraciastą ceratę na stole. Wezwał handlarza, nie zna innej drogi. Ma zabrać grubaśną, potężną Siwulę i jej malucha. "Gdyby ja mógł zabrać Siwulę ze sobą, to by się moja Irenka ucieszyła, ale Bóg nie daje nam zabierać, trzeba tu zostawić co tutejsze..." - kwituje i patrzy na nas z nadzieją w oczach.

Siwula, najpewniej przyszła mama, i jej maluch... Musimy mieć 9500 zł do końca grudnia, choć Panu Sylwestrowi bardzo zależało, aby spłacić długi przed Bożym Narodzeniem. Mówi, że ludzie będą mieli na święta, że obiecał i śmieją się trochę z niego, że próbuje ratować Siwulę. Jeśli się uda zebrać całą kwotę szybciej, będzie wspaniale.

Siwula wraz ze źrebakiem warta jest dla handlarza około 12 000 zł. Pan Sylwester chce od nas jednak jedynie tyle, ile ma długów - aby, jak dodaje, rozliczyć swoje ziemskie zobowiązania.

Prosimy, wesprzyjcie zbiórkę na Siwulę i malucha. 9500 zł do 31 grudnia. Za pomoc dziękuje Siwula, jej maluch i z całego serca Pan Sylwester.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem SIWULA na konto 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

FUNDACJA CENTAURUS
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

I to ideały nie pozwolą panu zagrać w „Klerze"?
Muszę teraz bardzo uważać na słowa, bo zaraz będzie g...oburza, że Domagała hejtuje Smarzowskiego, a mi chodzi tylko o ten klimat w kinie. Rzeczywistość nie jest tak straszna jak w filmach Smarzowskiego, gdyby taka była, to nic by tu nie funkcjonowało.
Co wygląda inaczej?
Wszystko. Nie cały polski Kościół jest taki jak w „Klerze", policja to nie tylko „Drogówka", życie rodzinne też nie wygląda tak jak w jego filmach. To jest konwencja autorska pokazywania zła, którą Smarzowski przyjął. Ja ją szanuję, ale nie podzielam. Inaczej postrzegam świat.
Pan musi grać tylko w filmach, które są zgodne z pańskim sposobem postrzegania świata?
Nie muszę, ale mogę.
I nie tęskni pan do obsadzania, jak mówią aktorzy, wbrew warunkom?
Nie mam z tym problemu, mogę zagrać twardziela, macho, to nie kłopot. Chodziło mi o coś innego. Otóż cała sztuka współczesna interesuje się tylko złem, tylko ono ją ciekawi. Teatr i kino skupiły się na wyciąganiu z człowieka zła, pokazywaniu, że w na pozór dobrym człowieku drzemią jakieś pokłady podłości. I ja się z tym całkowicie nie zgadzam. C.S. Lewis zaraził mnie zupełnie innym myśleniem. On uważał, że nawet w najgorszym człowieku jest takie dobro, którego on nie potrafiłby udać, jest w nim naturalna tęsknota za pięknem i dobrem. I chciałbym grać w filmach, które tej tęsknocie wychodzą naprzeciw, a nie ją zagłuszają.
To mówił pan trzy lata temu i...
I nic się nie stało, nie zmieniło? Tak, dlatego właśnie uciekam w muzykę.
Może pan to przeczytać?
O, znam to. To mój tekst „Kiedy stuknie mi 50 lat, wkoło fury i bzdury, dziewczyny młode do mnie: Ech! i Ach!, Ty zawołaj mnie: Weź nie świruj, weź nie młodniej, weź się starzej.
W wywiadzie mówił pan, że jak na rozmowę przyjedzie motorem, a obok będzie czekała 20-letnia dziewczyna, „To proszę mnie z tego publicznie rozliczyć. Gdybym w przyszłości p...rzył bzdury, to można mnie za to spokojnie linczować, hejt dozwolony".

„Gram muzykę, która mi się podoba. A słowa piszę takie, jakie potrafię. Jeśli są infantylne i proste, to dlatego że w tym momencie jestem infantylny i prosty. Tu nie ma filozofii

Podtrzymuję to, cóż mam powiedzieć?
Ale wie pan, że małżeństwa się rozpadają, i co wtedy?
Ja nie mówię o takiej sytuacji, tylko o tym, jak ktoś usprawiedliwia bzdurami swoje zdrady. Weźmy pana – załóżmy, że pańska żona już się panu znudziła i znajduje się obok piękna studentka, która mówi: „Jest pan fantastycznym dziennikarzem, genialnym, uwielbiam pana. Pańska żona pana nie docenia, nie wiem, czemu w ogóle ona się panu każe odchudzać!".
Przepraszam, ma pan numer do tej studentki?
I jeśli pan do niej zadzwoni, i zostawi dla niej swoje życie, to właśnie za ten rodzaj banalności będzie mnie można hejtować. Gdyby sam pan był świadkiem takiej sytuacji z boku, to dostrzegłby, jak groteskowo to wygląda. A ja nie chcę być groteskowy.
„Odkąd Chrystus zmartwychwstał, nie ma takiego zła, którego się nie da zwyciężyć. Nie ma takiego syfu, w którym Jezus nie stałby obok nas". Ludzie raczej uciekają od takich deklaracji wprost.
Ale ja tak myślę, tak żyję, wychowuję dzieci, a w każdym razie się staram. Mówię tak, bo tak jest, co mam ściemniać czy udawać.
Bycie zadeklarowanym katolikiem nakłada na człowieka obowiązki, trzeba do kościoła chodzić, modlić się z dziećmi...
I ja staram się to robić, taki family man ze mnie.
Jak Sojka w 1986 r.
Matko, żebym się tylko tak nie roztył! Ale dobrze, że rozmawiamy, bo muszę jedną rzecz wyjaśnić. To się zaczęło trzy lata temu od naszego wywiadu, kiedy zdecydowałem się powiedzieć otwarcie o wierze. No i dopadły mnie różne środowiska kościółkowe.
Oblazły pana?
Łapią mnie tak, że to paranoja! Dzwoni ksiądz, żebym do nich na rekolekcje przyjechał! Niech pan napisze teraz, żeby ci wszyscy duszpasterze palnęli się w łeb! Domagała na rekolekcjach? I co ja mam mówić tym dzieciakom? To zadanie księży, a nie brać celebrytę, żeby jeździł i się wdzięczył. Obłęd, po prostu obłęd! Naprawdę, niech się walną w łeb.
Pójdzie jasny komunikat.
Tak, odmawiam wszystkim kościółkowym środowiskom, które chcą ze mnie zrobić katolickiego celebrytę, który uświetnia i daje świadectwa. Ludzie, przecież wy macie pokazać tym dzieciakom Jezusa, a nie Domagałę.
Oni widocznie nie wierzą, że Jezus będzie wystarczająco atrakcyjny. Co innego w duecie z Domagałą.
Właśnie tak! Absurd i tyle. Rozumiem, że nie mają pomysłów, więc wpadli na to. Ale największy szok przeżyłem z czymś innym. Otóż dzwoni do mnie ksiądz, żeby zagrać koncert charytatywny na rzecz młodzieży, która chce jechać na Światowe Dni Młodzieży do Panamy. No to grzecznie pytam, czy ta młodzież jest zdrowa? Jest zdrowa. „To niech idą w wakacje do pracy, coś zarobią, postarają się" – mówię. No, sorry, ale co za dziadostwo! Naprawdę nie każdy musi jeździć na spotkania młodych do Ameryki. A jeśli nie ma pieniędzy, to niech zarobi, postara się, dlaczego ja mam dla zdrowych, normalnych ludzi zarabiać?
Redaktorka DGP mówi mi: „Boję się takich ludzi jak Domagała. To ciepłe kluchy, nic ci nie powie".
Rozumiem, że sytuację uratowałoby, gdybym wyjął nóż i pana ciachnął? Patrzę, że nam tu podano nóż, i się waham.
Ale może to pańskie dobro marnie się sprzedaje w kinie, w gazetach?
Co ja poradzę, skoro nie znalazłem jeszcze w życiu innego motoru do działania. To nie jest misja, chcę dać ludziom to, co mnie samemu dały filmy. Ja dlatego zostałem aktorem, że filmy dawały mi taką nadzieję.
To co pan oglądał?
Przede wszystkim „Milczenie owiec".
Udało się panu naprawdę mnie rozbawić.
Ciągle oglądałem „Braveheart", „Buntownika z wyboru" czy „Juno" i jakimś tajemniczym splotem wrażliwości one napędzały mnie do tego, by być lepszym.
Aż trudno uwierzyć, ale pan w tych piosenkach jest szczery.
No jestem! To takie infantylne, ale szczere, tak? To dlatego że mam za mało talentu, by wymyślić coś głębszego. Ba, ja nawet nie rozumiem, dlaczego mi się coś udaje. Bardzo chciałbym zrozumieć fenomen „Weź nie pytaj". Napisałbym wtedy drugą taką piosenkę...

©℗

Piotr Kofta

Kiedy w 1907 r. Joseph Conrad wydawał „Tajnego agenta" (niedawno ukazało się nowe, bardzo dobre polskie tłumaczenie Macieja Świerkockiego) – powieść o terrorystach nieudacznikach z podwójnym (a może i potrójnym) agentem Verlokiem na czele – świat służb specjalnych i szpiegowskich misji nie był jeszcze do końca zdefiniowany. Wiek XIX okazał się stuleciem wielkiego strachu imperiów przed inspirowaną z zewnątrz ludową, robotniczą bądź nacjonalistyczną rewoltą – i stuleciem wielkich wynalazków w dziedzinie aparatu państwowej kontroli – ale dopiero wiek XX przyniósł pełną profesjonalizację tej branży. Znajduje to odbicie w historii literatury: można prześledzić rozmaite ścieżki, jakimi wędrowały opowieści o szpiegach od czasów Conrada aż po naszą epokę fake newsów i wojen hybrydowych. I taka właśnie jest moja propozycja: przyjrzyjmy się temu. Wybór poniższych piętnastu powieści proszę uznać za uznaniowy i autorski – nie lubię powieści o Jamesie Bondzie, Roberta Ludluma uważam za lepszego pisarza od Frederica Forsytha, a motywy szpiegowskie zdarza mi się dostrzegać w dziwnych miejscach. Bo czy na przykład „Konrad Wallenrod" nie jest historią o krecie zainstalowanym w samym sercu zmilitaryzowanego państwa kolonialnego?

Od pana Verloca po pana Lichta.

Poczet nowoczesnych szpiegów

Robert Donat w wyreżyserowanej przez Alfreda Hitchcocka adaptacji „39 kroków"

fot. Collection Christophel/East News

1 John Buchan, „39 schodów", przeł. Marceli Szpak, Bookrage 2014 (wyd. oryg. 1915)

Buchan – żołnierz, polityk, zawodowy propagandysta – znał siłę słowa. Nie spodziewał się jednak zapewne, że zostanie prekursorem nowego gatunku literackiego: thrillera szpiegowskiego. Czytane po 100 latach „39 schodów" budzi wprawdzie przede wszystkim rozbawienie, ale zarazem zadziwia pewną instynktowną zręcznością, powielaną później i naśladowaną po tysiąckroć. Oto bowiem mamy wiekuisty schemat thrillera: przeciętny, porządny obywatel wbrew sobie zostaje wciągnięty w wir szpiegowskiej intrygi, staje się ruchomym celem, musi uciekać, bo chcą go dopaść wszyscy – i wrogowie, i swoi. U Buchana – ostatecznie jest to literatura propagandowa – za złowieszczą intrygą czają się naturalnie Niemcy, szykujący się do inwazji na Wyspy, ale współczesny czytelnik tej powieści matki zwraca uwagę na coś innego: brytyjski obłęd klasowy. „Według kryteriów roku 2014 Richard Hannay, główny bohater (...), to amoralna menda – pisze w posłowiu Wojciech Orliński – która dorobiła się w Afryce na niewolniczej pracy, a teraz, zaznając przygód w ojczyźnie, bez mrugnięcia okiem eksploatuje ludzi z klas niższych". Tak czy owak, był to wówczas wielki bestseller.

2 William Somerset Maugham, „Ashenden, czyli brytyjski agent", przeł. Jan S. Zaus, Rebis 1995 (1928)

O ile „39 schodów" uznaje się za powieść prekursorską dla całego nurtu szpiegowskiej literatury groszowej, o tyle „Ashenden" Williama Somerseta Maughama uchodzi za źródło poważniejszej inspiracji. Oto tytułowy bohater (po części autoportret samego autora, który parał się pracą dla służb) w czasie I wojny światowej ląduje w Szwajcarii jako rezydent brytyjskiego wywiadu – Szwajcaria z racji neutralności aż się kłębi od rozmaitych szpiegów pracujących dla różnych stron konfliktu, tak się składa, że spora część tej wesołej gromadki kłębi się w genewskim hotelu, w którym zamieszkuje Ashenden. Prócz roboty na miejscu ma fuchy wyjazdowe: a to we Włoszech, a to we Francji, wreszcie w Rosji w przeddzień rewolucji. Ludzie zdradzają, oszukują, giną (niekiedy przez pomyłkę) – Ashenden podchodzi do tego z zimnym dystansem, pisarskim zaciekawieniem, salonowym zblazowaniem i zawodowstwem bazującym na minimalizowaniu strat. Ta beznamiętna figura narracyjna okaże się znakomitym wynalazkiem Maughama i przetrwa do dziś: jest to język literackich profesjonalistów od czarnej roboty.

3 Kurt Vonnegut, „Matka noc", przeł. Lech Jęczmyk, Albatros 2013 (1962)

Howard W. Campbell Jr. nie istniał – ale mógłby istnieć. Ostatecznie wielki amerykański poeta Ezra Pound za pieniądze Mussoliniego wygłosił we włoskim radiu czasów II wojny światowej setki ogniście antysemickich pogadanek dla słuchaczy ze Stanów Zjednoczonych. Campbell, główny bohater i narrator „Matki nocy", zajmował się mniej więcej tym samym w Berlinie. Ale nie tylko tym.

„Nie poniosłem kary, bo całą wojnę byłem amerykańskim agentem. Moje audycje zawierały zaszyfrowane informacje. Szyfr polegał na manieryzmach, pauzach, zmianach akcentowania, kaszlnięciach i pozorowanych zająknięciach (...) Otrzymywałem instrukcje od nieznanych mi osób (...). Do dzisiaj nie wiem, jakie informacje przeze mnie przekazywano" – wyznaje Campbell i dodaje: „Ta użyteczność uratowała mnie od stryczka".

„Matka noc" nie jest, naturalnie, klasycznym thrillerem szpiegowskim, jest ponurą Vonnegutowską przypowiastką o fatalnych zbiegach okoliczności i winie, której

„Szpieg", ekranizacja powieści Johna le Carrégo

fot. Focus Features/Everett Collection/East News

nie sposób odkupić – nie dlatego, że to niemożliwe, ale dlatego, że nikt tego nie oczekuje. A że maszynerię losu ponownie wprawia w ruch pewien zakamuflowany sowiecki agent? Takie czasy. Kiedy Vonnegut kończył swoją książkę, amerykańskie tajne służby przygotowywały właśnie inwazję na zrewoltowaną Kubę.

4 **Arkadij Strugacki, Borys Strugacki, „Trudno być bogiem”,** przeł. Irena Piotrowska, Prószyński i S-ka 2008 (1964)

Powieść Strugackich przenosi konwencję thrillera szpiegowskiego w świat fantastyki i używa jej do swoich celów (zaledwie dwa lata później coś bardzo podobnego uczyni Ursula K. Le Guin w „Świecie Rocannona”), podmieniając szpiegów na naukowców, a wywiadowczą intrygę na refleksję antropologiczno-historyczną. Sprawy mają się tak: na pewnej planecie, cywilizacyjnie znajdującej się na etapie ziemskiego średniowiecza, istnieje siatka agenturalna z Ziemi – to historycy badający procesy dziejowe in statu nascendi. W tym świecie uchodzą za kupców, rycerzy, władców, innymi słowy, mają dobrą legendę. Problem w tym, że nie wolno im interweniować. Tymczasem mieszkańcy owej planety rządzą się dość obrzydliwie, urządzając sobie polowania na czarownice i intelektualistów oraz masowe egzekucje. Naukowcy nie przypominają bezradnych wojsk ONZ w Bośni, są raczej jak bogowie, którzy – mając nadludzkie moce – muszą pozostawać obojętni. Bardzo to osobliwa moralnie powieść, doczekała się też nader osobliwej ekranizacji w reżyserii Aleksieja Germana: brudnej, błotnistej, skatologicznej.

5 **John le Carré, „Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg”,** przeł. Jan Rybicki, Sonia Draga 2018 (1974)

John le Carré musiał się znaleźć w tym zestawieniu z tego samego powodu, dla którego nie ma w nim Iana Fleminga: bo to Fleming jest odpowiedzialny za fałszywą Bondowską mitologię, zaś le Carré zrobił wiele – być może najwięcej ze wszystkich pisarzy – by tę mitologię unieważnić.

„Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg” to jedna z jego najlepszych i najmroczniejszych powieści o szpiegowskim uniwersum luster i wielopiętrowej biurokracji. Bo wywiad w wydaniu le Carrégo to nade wszystko biurokracja, wysiłek intelektualny, gra w zaufanie i nieufność; żadnych strzelanin, pościgów i biegania po dachach.

Le Carré wiedział, o czym pisze, bo sam pracował dla MI6 – jego kariera w Niemczech zakończyła się na początku lat 60. wraz z zadenuncjowaniem całej siatki przez Kima Philby’ego. Tak zwana „Trylogia Karli” (obok „Druciarza...” w jej skład wchodzą jeszcze „Jego uczniowska mość” i „Ludzie Smileya”) jest próbą rozliczenia się z tą traumą. Historia śledztwa prowadzonego przez George’a Smileya w sprawie sowieckiego kreta w centrali MI6 pokazuje, by tak rzec, całe okablowanie szpiegowskiego świata. Książka doczekała się też rewelacyjnej ekranizacji: „Szpiega” w reżyserii Tomasa Alfredsona.

> **Wywiad w wydaniu Johna le Carrégo to nade wszystko biurokracja, wysiłek intelektualny, gra w zaufanie i nieufność; żadnych strzelanin, pościgów i biegania po dachach**

6 **Robert Ludlum, „Tożsamość Bourne’a”,** przeł. Paweł Wieczorek, Albatros 2014 (1980)

„Tożsamość Bourne’a” jest jednym z kluczowych tekstów założycielskich amerykańskiego thrillera szpiegowskiego – ale też po prostu jedną z najlepszych powieści szpiegowskich w dziejach. Paradoksalnie, odwołuje się przy tym do tego samego awanturniczego schematu, który wynalazł i przedstawił światu John Buchan w „39 schodach”: oto głównym bohaterem jest człowiek, którego chcą zabić wszyscy – i bliżej niesprecyzowani płatni zabójcy, i terroryści, i amerykański rząd. Ten człowiek nie wie, jak się nazywa ani kim jest

– będzie musiał to odkryć. I będzie musiał w pewnym sensie na nowo się narodzić (nazwisko Bourne zdaje się nieprzypadkowe).

Ciekawa jest sprawa z ekranizacją „Tożsamości...": film nakręcony w 2002 r. przez Douga Limana bardzo luźno korzysta z literackiego oryginału i w jakiejś mierze zmienia jego wymowę, zdejmując nacisk ze szpiegowskiej intrygi (u Ludluma są i kwestie lojalności, i demoniczny Carlos „Szakal") i przenosząc go na starcie samotnej jednostki z aparatem wszechwładnej kontroli. Pytanie, jak zekranizowano by książkę Ludluma dziś.

7 Len Deighton, „Gem w Berlinie", przeł. Michał Ronikier, Amber 1991 (1983)

Brytyjski historyk, znawca kuchni i pisarz Len Deighton – uważany, obok le Carrégo i Iana Fleminga, za jednego z ojców założycieli współczesnej brytyjskiej powieści szpiegowskiej – nie miał jakoś w Polsce szczęścia: wydawano go u nas w latach 90. na fali masowego zaopatrywania półek księgarskich w towary dotąd niedostępne z powodów politycznych, ale potem znikł. Szkoda – bo to wyśmienity twórca.

„Gem w Berlinie" otwiera cykl książek o Bernardzie Samsonie, oficerze MI6 pracującym w Londynie, niekiedy zaś na misjach wywiadowczo-szpiegowskich. Jest początek lat 80., zimna wojna trwa, ale już wiadomo, że światowy porządek odrobinę skruszał. Cenny wschodnioniemiecki informator MI6, niejaki „Brahms Cztery", zaczyna się gwałtownie domagać, by umożliwiono mu ucieczkę z NRD. Kwestią sporną jest, czy to szczera chęć czy pułapka zastawiona przez KGB. Samsonowi w udaniu się w podróż do kraju Ericha Mielkego i Markusa Wolfa nie pomaga świadomość, że w londyńskiej centrali ktoś puszcza farbę Moskwie.

„Gem w Berlinie", prócz tego, że jest pasjonującym thrillerem, jest powieścią bez litości wyśmiewającą arystokratyczne i nuworyszowskie pretensje elity brytyjskiego wywiadu. Szpiegostwo i owe pretensje nie pozostają zresztą sobie całkiem obojętne.

8 James Ellroy, „Amerykański spisek", przeł. Violetta Dobosz, Anna Wojtczak, Sonia Draga 2018 (1995)

Fabule „Amerykańskiego spisku" brak skromności (podobnie jak samemu Ellroyowi, nazywającemu siebie samego „Beethovenem kryminału") – ale jest to zaleta tej obłędnej powieści, na którą składa się cała orkiestra teorii spiskowych dotyczących dziejów Ameryki w epoce powojennej prosperity.

Znajdziemy tu mafię dyrygującą politykami (polecam zgryźliwy portret klanu Kennedych), CIA montujące zamach na Fidela Castro, totalitarne ambicje FBI z Edgarem Hooverem u sterów, podwójnych i potrójnych agentów, mormońskich morderców, oszalałych miliarderów...

Wizja Ellroya nie przewiduje przypadków: amerykańską historią sterowali zza kulis źli ludzie, a pracowali dla nich ludzie jeszcze gorsi – zdrajcy, zabójcy i narkomani. Wszystko, co istotne, zdarzyło się z udziałem tajnych służb. Wszystkie wpływowe środowiska zostały zinfiltrowane. Więcej nawet: wszyscy, których trafił szlag, zasłużyli na swój los, bo nie byli lepsi od swoich morderców. Zło bywa atrakcyjne – u Ellroya lśni, dumne ze swojej siły i urody.

fot. Fine Line Features/Everett Collection/East News

Nick Nolte w ekranizacji „Matki nocy" Kurta Vonneguta

9 Mai Jia, „Szyfr", przeł. Alicja Siewior-Kuś, Prószyński i S-ka 2015 (2002)

To z kolei bardzo szczególna powieść – chiński bestseller sprzed półtorej dekady, opowiadający historię geniusza matematycznego Ronga Jinzhena, zwerbowanego przez chiński kontrwywiad do pracy nad rozwikłaniem szyfru, którym posługują się zachodnie służby wywiadowcze. Mamy tu anturaż powieści szpiegowskiej, mamy tajemniczą, supertajną, odciętą od świata Jednostkę 701, a nawet korespondencyjny pojedynek intelektualny ucznia z mistrzem (autorem praktycznie niemożliwego do złamania szyfru jest dawny nauczyciel Ronga, polsko-żydowski profesor, który schronił się w Chinach w czasie wojny). Ale w gruncie rzeczy nie mamy thrillera, lecz narrację zgoła metafizyczną.

Rong Jinzhen to matematyk obdarzony fenomenalną intuicją, postrzegający świat liczb jako rodzaj poezji, w życiu codziennym zaś wycofany, autystyczny milczek ze skłonnościami do paranoi. W pewnym momencie (jego historię poznajemy w postaci apokryficznego dziennikarskiego śledztwa) okazuje się, że właśnie temu odludkowi dana być może epifania: bo łamanie szyfrów jest w istocie dekodowaniem Boga.

10 Wiktor Pielewin, „Napój ananasowy dla pięknej damy", przeł. Ewa Rojewska-Olejarczuk, W.A.B. 2013 (2011)

Mówi się podobno w Rosji, że Pielewin zdziwaczał, że pisze za dużo i ciągle to samo. Być może – jego teorie spiskowe i metafizyczne odjazdy rzeczywiście wykazują się pewną powtarzalnością. Niemniej kiedy pisał „Napój ananasowy dla pięknej damy", był jeszcze w świetnej formie. W tym zbiorze nowel interesują nas przede wszystkim dwie pierwsze (wypełniające mniej więcej 60 proc. książki), czyli „Operacja »Burning Bush«" oraz „Kody przeciwlotnicze Al-Efesbiego" – oryginalne wariacje na postzimnowojenne tematy wywiadowczo-szpiegowskie. Pielewin ma pewien dar: kpi na serio. Dzięki temu jesteśmy w stanie gładko przełknąć historię o Żydzie z Odessy, któremu – ponieważ ma piękny, głęboki głos – rosyjski wywiad zleca misję odgrywania Boga. I to bardzo konkretnego: Boga przemawiającego do prezydenta USA

Forteca Kręgliccy Eventy

Zapraszamy do stołu

KRĘGLICCY
Restauracje i Catering
Ul. Foksal 17, Warszawa 00-372
Tel. 022 826 01 09

restauracje@kregliccy.pl
www.kregliccy.pl

catering kregliccy catering_kregliccy

George'a W. Busha za pośrednictwem plomby dentystycznej. Drugi szpiegowski pomysł Pielewina jest równie bezczelny: oto agent FSB w kamuflażu mudżahedina uczy afgańskich bojowników, jak walczyć z amerykańskimi dronami wyposażonymi w systemy sztucznej inteligencji. To trzeba przeczytać: wybuchowy ładunek mrocznej satyry.

11 **Robert Harris, „Oficer i szpieg”,** przeł. Andrzej Niewiadomski, Albatros 2014 (2013)

Premiera filmu „J'accuse" Romana Polańskiego jest zapowiedziana na grudzień przyszłego roku, ale już teraz, od ręki, można się zapoznać z literackim pierwowzorem, powieścią „Oficer i szpieg" Roberta Harrisa. Książka traktuje o historii oskarżenia, uwięzienia i oczyszczenia z zarzutów Alfreda Dreyfusa, francuskiego oficera żydowskiego pochodzenia, którego obciążono zarzutami szpiegostwa na rzecz Niemiec. Casus Dreyfusa to jedno z najważniejszych wydarzeń w dziejach wolnej prasy (ostatecznie to media zmusiły władze francuskie do odwrotu, trwało to dobrze ponad dekadę), europejskiego sądownictwa, ale też agresywnego nacjonalizmu i antysemityzmu. Harris jednak podszedł do sprawy od innej strony: opowiada o losach Dreyfusa pośrednio, śledząc karierę wybitnego oficera francuskich służb specjalnych Georges'a Picquarta, którego konsekwencja i upór doprowadziły do ujawnienia rzeczywistego źródła agenturalnych przecieków. Jest to literatura świetnie skrojona, historycznie wiarygodna, dająca wgląd w kluczowy moment dziejów Europy, gdy wywiady – w obliczu nadciągającej wojny – błyskawicznie sprofesjonalizowały swoją działalność.

12 **Thomas Engström, „Na zachód od wolności”,** przeł. Emilia Fabisiak, Sonia Draga 2016 (2013)

Tytuł powieści szwedzkiego pisarza może wprowadzać w błąd, jej akcja lokuje się bowiem – przynajmniej początkowo – raczej na wschód od wolności, a ściślej: na terenach byłego NRD. Jest rok 2011, zimna wojna to dalekie wspomnienie, po zamachach z 11 września agencje wywiadowcze skupiły się na konflikcie wywróżonym niegdyś przez Benjamina Barbera w jego eseju „Dżihad kontra McŚwiat". Świat jednak nie stoi w miejscu: nowym polem starcia służb staje się przestrzeń internetu. W tym świecie próbuje się odnaleźć fachowiec ze starej szkoły, były berliński funkcjonariusz Stasi Ludwig Licht – obecnie upadły przedsiębiorca, alkoholik, cynik i flejtuch, a także szpiegowski freelancer podnajmowany przez lokalną komórkę CIA. Licht nie lubił NRD. Nie lubi również nowych Niemiec. W zasadzie nie lubi niczego ani nikogo. Tymczasem przypada mu w udziale opieka nad cennym źródłem informacji: młodą, atrakcyjną Amerykanką, prawniczką pracującą dla organizacji, która przypomina nieco WikiLeaks – trudno o bardziej niedobraną parę. Engström ogrywa to z dużym talentem, pokazując przy okazji, jak pisać nowoczesną literaturę szpiegowską.

Proza Jamesa Ellroya nie przewiduje przypadków: amerykańską historią sterowali zza kulis źli ludzie, a pracowali dla nich ludzie jeszcze gorsi – zdrajcy, zabójcy i narkomani

13 **Viet Thanh Nguyen, „Sympatyk”,** przeł. Radosław Madejski, Akurat 2016 (2015)

Jedna z najlepszych powieści napisanych w ostatnich latach w Stanach Zjednoczonych – jej autorem jest urodzony w Wietnamie, wychowany w Ameryce literaturoznawca, syn emigrantów z wietnamskiego Południa. A sama książka? Bardzo buntownicza, przewrotna, idąca w poprzek postkolonialnych schematów. Jest to, jakże by inaczej, historia młodego Wietnamczyka, który – cudem załapawszy się na ostatni transport z płonącego Sajgonu – zostaje w USA działaczem antykomunistycznej diaspory zinfiltrowanej przez CIA. Cel służb wydaje się oczywisty: chcą przeprowadzić w Wietnamie desant wyszkolonych emigrantów i dokonać zamachu stanu. Problem w tym, że służby nie rozumieją, dlaczego Ameryka przegrała wojnę. Tytułowy sympatyk z kolei rozumie to aż za dobrze; w każdym razie pojmuje to na tyle, że postanawia grać na dwie strony. Viet Thanh Nguyen ma dla czytelnika parę narracyjnych niespodzianek, genialnie groteskowy rozdział o kręceniu „Czasu Apokalipsy", ponadto głęboką refleksję o amerykańskiej pysze, a także o podwójnej, zawikłanej tożsamości człowieka zawieszonego między skrajnie odmiennymi kulturami i systemami politycznymi. Metafora podwójnego agenta okazuje się tu bardzo przydatna.

14 **Arturo Pérez-Reverte, „Falcó”,** przeł. Marzena Chrobak, Znak 2018 (2016)

Kolejna okazja, by uciec z kręgu kultury anglosaskiej – Pérez-Reverte, doświadczony hiszpański specjalista od literatury popularnej z wyższej półki (naprawdę rzadko przydarzają mu się słabsze momenty), mistrz powieści historycznej, sięgnął w końcu także po konwencję szpiegowską. Falcó to nazwisko głównego bohatera, gościa od brudnej agenturalnej roboty na usługach frankistowskiej armii – jest jesień 1936 r., od paru miesięcy trwa w Hiszpanii krwawa wojna domowa, ale interesy załatwiają tu także wielcy ówczesnego świata: Hiszpania stała się dla mocarstw poligonem ćwiczebnym, tyleż militarną, ile wywiadowczą próbą sił przed ostatecznym zwarciem. Falcó wie o tym wszystkim, jest jednak ryzykantem lojalnym wobec tego, kto aktualnie płaci – dlatego podejmuje się straceńczej misji odbicia wodza Falangi z republikańskiego więzienia (sojusznicy z Niemiec i Włoch mają pomóc). Będzie stylowo, elegancko, erotycznie, zaskakująco i z odrobiną postmodernistycznej ironii. Ale, jak to u Péreza-Reverte bywa, po lekturze zostanie nam nadspodziewanie dużo goryczy.

15 **Javier Marías, „Berta Isla”,** przeł. Tomasz Pindel, Sonia Draga 2018 (2017)

W twórczości znakomitego hiszpańskiego pisarza motywy zaczerpnięte z konwencji literatury szpiegowskiej pojawiają się często – najsłynniejsza trylogia powieściowa Maríasa, czyli „Twoja twarz jutro", jest wyznaniem agenta tajemniczej organizacji wywiadowczej. Ale świeżo wydana po polsku „Berta Isla" wydaje się ciekawa z innego powodu: to powieść szpiegowska à rebours. Historię poznajemy bowiem z punktu widzenia żony człowieka pracującego dla służb, faceta, który rusza w misje i znika – na miesiąc, dwa miesiące, pół roku. A któregoś razu po prostu nie wraca. Jest to więc rzecz o strachu, jałowych domysłach i czekaniu (całymi latami), perfekcyjnie zrealizowana i zaopatrzona w zaskakującą puentę. Marías wywraca szpiegowskie narracje na lewą stronę, stawiając nie na dynamiczną akcję, lecz na powolny, nieunikniony upływ czasu. A przy okazji opowiada o miłości – o tym, że miłość, podobnie jak zemsta, najlepiej wcale nie smakuje na gorąco. ©℗

CENTRUM REHABILITACJI
KOMBORNIA

ŻYJ BEZ BÓLU

- wykwalifikowana kadra fizjoterapeutów
- jedyne Medi SPA w Polsce z rewolucyjną technologią Indiba Activ
- bogata oferta zabiegowa w trakcie pobytu

LUKSUSOWE PAKIETY REHABILITACYJNE

- nowoczesne gabinety rehabilitacyjne
- komfortowe pokoje w standardzie 4* i 3*
- współpraca naukowo - medyczna z Wyższą Szkołą Rehabilitacji w Warszawie

ZAPYTAJ O PAKIET DOSTOSOWANY DO TWOICH POTRZEB
rehabilitacja@kombornia.pl

DWÓR KOMBORNIA HOTEL & SPA ★★★★

Dwór Kombornia Hotel&SPA**** to luksusowy butikowy hotel SPA, stworzony w zespole dworskim.

Zapraszamy do skorzystania z:

- Restauracji Magnolia wyróżnionej licznymi nagrodami
- Degustacji win w Salonie Win Karpackich
- Bogatej infrastuktury Wellness
- Zabiegów w ChocoWineSPA

Kombornia 1
38-420 Korczyna

Tel.: (+48) 13 435 43 60

recepcja@DworKombornia.pl
www.dworKombornia.pl

ŁUKASZ BĄK
szef sekretariatu redakcji

To był pracowity rok. Dlatego najbardziej doceniłem w nim **samochody, które dają wytchnienie.** Pozwalają zrelaksować się nawet wtedy, gdy siedzi się za ich kierownicą

Pędź i odpoczywaj

AUDI A6/A7 – Witamy na pokładzie pro

Choć jedynym sportem, jaki sam regularnie i z satysfakcją uprawiam, jest dźwiganie kieliszka z winem do ust, to szanuję tych, którzy są naprawdę aktywni fizycznie. Bo wiem, że to wymaga samodyscypliny i twardego charakteru. Ja w swoim życiu tylko raz wybrałem się na siłownię. I nie wspominam tego dobrze. Gdy zapytałem jakiegoś człowieka, który wyglądał, jakby połknął betonowy krąg od studni, na jakim urządzeniu powinienem ćwiczyć, żeby podobać się kobietom, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i odparł: „Ty to tylko na bankomacie". I to byłoby na tyle.

Ale chyba jestem wyjątkiem, sądząc po tym, ilu ludzi obecnie biega, jeździ na rowerze, chodzi na fitness, jogę, pilates albo pływa. I bardzo dobrze, bo to oznacza, że w przyszłości w szpitalach będzie mnóstwo pustych łóżek, a lekarze w przychodniach zamiast wystawiać L4, będą eksperymentowali z medyczną marihuaną. Wysiłek fizyczny uczyni nas zdrowymi i zadowolonymi z życia. Tak bardzo, że jedyne, o czym będziemy myśleć na łożu śmierci, to nowa limitowana seria butów New Balance. Wysportowani i pełni energii będziemy mogli sobie w spokoju skonać na odrę, z powodu smogu albo z wycieńczenia spowodowanego gigantycznym ociepleniem klimatu.

O ile rozumiem potrzebę uprawiania sportu, o tyle kompletnie nie kumam szumu, jaki wiele osób wokół tego robi. Uważają, że poranna przebieżka wokół domu to wydarzenie na miarę lotu za sterami myśliwca F-16 albo randki z Milą Kunis – natychmiast należy się tym pochwalić na FB, obowiązkowo załączając zdjęcie spoconej pachy. A przy okazji także smartwatcha wartego tyle co kawalerka, bezprzewodowych słuchawek, butów z najnowszej kolekcji, obcisłych gaci, starannie ogolonej brody, modnych okularów itd. Bo dzisiaj bieganie nie polega na ruszaniu nogami, tylko portfelem. Oraz na blokowaniu połowy miasta. Wiecie, co mam na myśli? Tak, te cholernie całe, pół- i ćwierćmaratony. Umówiliście się z teściową, że w niedzielę o 13.00 wpadniecie do niej na obiad, po czym okazuje się, że akurat tego dnia zamknięto osiem dzielnic. Tylko dlatego, że w 1,5-milionowym mieście kilkaset osób poczuło chęć pobiegania sobie między blokami i przy okazji oddania moczu pod czyimś balkonem. A miejski ratusz i policja natychmiast postanowili im pomóc w realizacji planów. Musicie zatem objechać to święto truchtania, zahaczając o sąsiednie województwo, co powoduje, że wchodzicie do mieszkania teściowej spóźnieni o jakieś trzy godziny. Chyba nie muszę wam tłumaczyć, jakie to niesie za sobą zagrożenia.

Obawiam się, że obecna moda na uprawianie sportu w wielu aspektach niesie za sobą więcej szkód niż pożytku. Ludzie, którzy biegają albo jeżdżą rowerami, czują się lepsi od tych, którzy tego nie robią. W wiosenno-letnie weekendy nie można dostać się samochodem do centrum miasta. Za każdym rogiem czai się rowerzysta gotów urwać wam lusterko, a następnie wytoczyć proces. A sąsiadka każe wam ściszać telewizor, bo nie może osiągnąć pranajamy.

Jakby tego było mało, nawet producenci samochodów doszli do wniosku, że powinni naprężyć muskuły i okazać tężyznę fizyczną. Sprowadza się to do tego, że w ostatnim czasie z zamiłowaniem dodają do nazw swoich samochodów przydomek „sport". W ten sposób chcą podkreślić, że ich auta to coś więcej niż zlepek blachy, gumy i plastiku. Że są szybsze, lepiej się prowadzą, gwarantują doznania rodem z torów wyścigowych i idealnie wpisują się w aktywny tryb życia, jaki prowadzicie. Ich zdaniem wzbogacenie nazwy auta o słowo „sport" ma spowodować, że zapragniecie go mieć. Bo dzięki temu, jadąc przez centrum Bydgoszczy, będziecie się czuli, jakbyście uczestniczyli w Grand Prix Monte Carlo. Albo w maratonie PZU.

Przykro mi bardzo, ale to bzdura. Dlaczego? Żeby się tego dowiedzieć, idźcie do salonu Opla i poproście o jazdę testową astrą sports tourer. Gwarantuję, że po przejechaniu 10 m podstawową wersją tego samochodu dojdziecie do wniosku, że jest energiczna jak żółw leżący na grzbiecie. Podobnie jest w przypadku toyoty auris touring sports kombi – równie dobrze w marketach budowlanych można by sprzedawać „Sports Taczki". To jednak i tak nic w porównaniu z golfem sportsvanem. Widzicie tę nazwę w jakiejś reklamie i dochodzicie do wniosku, że nareszcie znaleźliście idealny samochód dla rodziny – przestronny i bezpieczny, a wam dający frajdę z prowadzenia. Natychmiast podrywacie się z fotela, wybiegacie z domu w kapciach,

Za tydzień ranking najgorszych aut 2018

mu kosmicznego

Jeszcze niedawno wydawało się, że Audi ma spory problem ze znalezieniem własnej tożsamości. Było trochę jak dzieciak, którego jeden kumpel (Mercedes) poszedł w prawo, a drugi (BMW) w lewo. A ono zostało pośrodku i nie bardzo wiedziało, co ze sobą zrobić. Grzebało paluchem w ziemi, szukając swojego „ja". I najwyraźniej je znalazło. W końcu pojechało własną ścieżką, której na imię technologia. Efekt? Wciskacie na kierownicy przycisk, mówicie „Chce mi się siku", a nawigacja automatycznie szuka najbliższego parkingu lub stacji, na której znajduje się toaleta. Albo włączacie autonomiczny tryb jazdy, a samochód omija nawet zepsutą ciężarówkę stojącą na poboczu. Tylne lampy to dzieło sztuki, zaś dwa responsywne ekrany, z poziomu których obsługuje się wszystkie pokładowe urządzenia, zaprojektowane zostały w przyszłości. Do tego fenomenalne wyciszenie i nieprawdopodobny komfort jazdy. Oraz skrzynia biegów, której zaprogramowanie Audi powierzyło chyba małpom. Chcecie ruszyć, więc przestawiacie nogę z pedału hamulca na pedał gazu i... skrzynia zastanawia się: „Czego on chce? Kawy? Gazety? Nie, chyba powinnam ruszyć. No dobra. To trzy, dwa, jeden... PEŁNA MOOOOOOCCCC!!!!". Tak wygląda każdy start tym samochodem (przynajmniej z motorem Diesla). Przez pierwszą chwilę nie dzieje się nic, a potem dzieje się wszystko. I to bez względu na to, który tryb jazdy wybierzecie.

pędzicie do salonu VW, a gdy już jesteście na miejscu, okazuje się, że pod maską auta pracuje 85 kucyków. Nie żartuję. Podstawowy Sportsvan ma motor napędzający golarkę elektryczną i jest wolniejszy niż kolekcjoner złomu pchający wózek. Owszem, możecie dopłacić 30 tys. zł i mieć najmocniejszą w ofercie wersję 150-konną, ale na Boga, to nadal nie jest sportowy wóz.

Nie rozumiem, dlaczego wszystkim producentom nagle tak bardzo zaczęło zależeć na tym, by ich samochody uchodziły za sportowe, a prawie nikt już nie chce, by jego produkty nazywano komfortowymi. Przecież gdy rano jedziecie do pracy, to nie zależy wam na tym, byście złamali sobie kręgosłup na osiedlowym progu zwalniającym. Ani na tym, żebyście doznawali przeciążeń rzędu 3G w trakcie poszukiwania miejsca do zaparkowania pod Biedronką. Tak więc lepszy rezultat Toyota, Opel czy Volkswagen odniosłyby, dorzucając do nazw swoich modeli określenie „comfort". Golf comfortvan – przecież to i miłe dla ucha, i zachęcające, a przede wszystkim prawdziwe.

Prawda jest taka, że 99 proc. z nas na co dzień oczekuje od auta wygody, ciszy i spokoju. Tego, że odizoluje nas ono od zewnętrznego świata, korków, spalin innych aut, hałasów ulicy i ukoi nasze nerwy. Tak się składa, że w ciągu tego roku jeździłem kilkoma samochodami, które były pod tym względem wybitne i zapadły mi w pamięć. Oto one. ©℗

LEXUS ES 300H – Omotenashi*

Zawsze lubiłem lexusy za to, że nie próbują udawać czegoś, czym nie są. Gdy marka powstawała 30 lat temu, przed jej inżynierami postawiono jasny cel – to ma być drogowy odpowiednik wanny wypełnionej ciepłą wodą z solami morskimi. I tak zostało do dzisiaj. Gdybym musiał określić nowego ES 300h tylko jednym słowem, to powiedziałbym, że jest relaksujący. Wsiadacie do niego, zatrzaskujecie za sobą drzwi i zapominacie o wszystkim, co zostało po drugiej stronie. Wykonanie, wygoda foteli, przestronność, audio, materiały wykończeniowe, wyciszenie wnętrza – wszystko w tym samochodzie zostało zrobione z myślą o ludziach, dla których znacznie ważniejsze od tego, jak szybko dojadą na miejsce, jest to, w jakim stylu to zrobią. Oraz ile misiów polarnych przy okazji ocalą. Napęd hybrydowy zmodernizowano tak, że rzeczywiste średnie spalanie przy ekonomicznej jeździe zamyka się w 5–6 litrach benzyny.

**japońska gościnność, która wyraża się przede wszystkim w cieple, zrozumieniu i szacunku*

JAZDA POD PRĄD

RR PHANTOM – Sir, czy Meghan może usiąść ze mną z przodu?

Przyznaję, że przez długie lata kompletnie nie rozumiałem fenomenu Rolls-Royce'a. A jeszcze bardziej nie rozumiałem ludzi, którzy dochodzą do wniosku, że muszą sobie postawić na podjeździe barak na kołach, który zamiast deski rozdzielczej ma meblościankę. W dodatku z małymi dziurkami po kornikach. Rollsy kojarzyły mi się wyłącznie z tweedową marynarką, molami, kamiennym kominkiem i strzelaniem do kaczek. Ale po kilku chwilach spędzonych w towarzystwie najnowszego phantoma autentycznie pomyślałem, że mógłbym nim jeździć codziennie. Bez sensu jest pisanie o tym, co ma, a czego nie ma, jak i z czego jest zrobiony, czy jak jeździ – równie dobrze można by próbować opisać, jak wygląda Duch Święty. Tego po prostu nie da się zrobić przy użyciu słów. Trzeba to poczuć. Nowy phantom we wspaniały sposób łączy tradycję z najnowszymi zdobyczami techniki. Wyrywa się absolutnie wszystkim znanym motoryzacyjnym schematom i nie można z niczym go porównać. A nie, przepraszam, jednak można. Jest jak Pałac Buckingham, do którego Meghan Markle wniosła zupełnie nową jakość i estetykę.

KIA CEED – Golfa i spółkę aż zapiekło

Jestem pełen podziwu dla tego, jakie postępy robią Koreańczycy. O ile poprzednie wcielenia ich auta jechały w ogonku całego kompaktowego peletonu i miały opinię tańszego zamiennika europejskich modeli, to najnowsza generacja... Cóż, gdybym obecnie miał kupić sobie hatchbacka, to poważnie wziąłbym pod uwagę ceeda. Podoba mi się to, jak dobrze i praktycznie ma zrobione wnętrze, jakich materiałów użyto do jego wykonania, a przede wszystkim to, jak

jeździ. To pierwszy na rynku kompakt z drugim stopniem autonomicznej jazdy – zdejmujecie nogę z gazu, a auto samo utrzymuje się na swoim pasie ruchu, hamuje, przyspiesza itp. W korku możecie czytać gazetę bez obaw, że coś się stanie. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Kia kupiła po kilka sztuk golfów, focusów i astr, rozebrała je na części, a następnie z każdego wzięła to, co najlepsze. Efekt jest taki, że jeżeli potrzebujecie niedrogiego, porządnego, przestronnego samochodu do jazdy na co dzień, to już nie musicie biegać po salonach – walcie prosto do najbliższego dealera Kii. Tylko nie oczekujcie, że zobaczycie coś oryginalnego. Akurat ostatnią rzeczą, jaką można powiedzieć o ceedzie, jest to, że chwyta za serce.

HONDA NSX – Chodźmy się zabawić

fot. Materiały prasowe(5)

507 KM, niecałe 3 sekundy do setki, maksymalnie 305 km/h, trzy motory elektryczne, centralnie umieszczony doładowany silnik spalinowy, ceramiczne hamulce, dwa miejsca w środku i bagażnik o pojemności kosmetyczki. Przyznaję – to ani trochę nie brzmi jak wóz do jazdy na co dzień. Ale NSX w nieprawdopodobny sposób łączy komfort z osiągami godnymi rasowego supercara. W normalnym użytkowaniu jest cichy, spokojny, łagodny i bardzo oszczędny. Ale gdy tylko ustawicie pokrętło w tryb „race" i wciśniecie pedał gazu w podłogę, mózg eksploduje wam od przypływu adrenaliny i endorfin. Owszem, w dzisiejszych czasach niemal każda firma produkuje mocne i drogie samochody, w których można ustawiać twardość amortyzatorów, głośność wydechu, szybkość działania skrzyni biegów itp. Ale nawet w najbardziej komfortowych ustawieniach nie pozostawiają one wątpliwości, że stworzone zostały z myślą o tym, by spuścić wam manto na torze. W NSX jest inaczej – w codziennym użytkowaniu jeździ jak civic. W dodatku łatwo się do niego wsiada i z niego wysiada. Ma radio, nawigację i wycieraczki przedniej szyby działające bez zarzutu nawet powyżej 200 km/h. I napęd na cztery koła, który przyda się, gdy postanowicie szybko dostać się zimą na alpejskie stoki. Mówiąc krótko, honda to najlepszy samochód, jakim jeździłem w tym roku. W najbardziej oderwanych od rzeczywistości snach nie spodziewałem się, że coś takiego kiedyś napiszę.

WYWIAD

Z **Janem Emilem Młynarskim**
rozmawia Marcin Cichoński

Znów jadę razem z tatą

Są tacy, którzy myślą, że Bóg się rodzi tylko w Polsce.

Ale w Kalifornii rodzi się tak samo jak nad Wisłą

Młodzi ludzie często bardziej niż na pierwszą gwiazdkę czekają na ten moment, kiedy na ekranie ich telewizorów Kevin sam w Nowym Jorku spotka w hotelu Donalda Trumpa. Wydając płytę „Kolęda na cały rok" z tekstami ojca i zapraszając do współpracy wielkich artystów, myślałeś bardziej o pokoleniu starszym, które potrafi się zatrzymać?

Głęboko wierzę w to, że te kolędy mają na tyle uniwersalną treść i piękną melodię, czyli połączenie, które często jest trudne do osiągnięcia, że przez dobór artystów jestem w stanie z nimi dotrzeć do przeróżnych grup wiekowych. Stąd Alicja Majewska i np. Natalia Szroeder.

Muszę przyznać, że to ona jest największym zaskoczeniem płyty.

Byłem pewien, że to się uda, bo znam jej możliwości, które na co dzień wykorzystywane są w innym repertuarze. Inna estetyka, inna scena, inny szlak, droga. Mało kto wie, że ona pochodzi z muzycznej rodziny Szroederów, a ludzie z kręgu wydawnictwa Lado ABC są z nimi dość mocno związani. Jej stryjek Wojtek Szroeder zawiaduje całą społecznością sejneńską: Orkiestra Klezmerska z Sejn itd. Kacper Szroeder, który jest jej stryjecznym bratem, to trębacz, z którym się znam. Wiedziałem, że ona od najmłodszych lat do Sejn jeździ. Wiedziałem, że oprócz tego, co robi w mainstreamie, dokładnie wie, co chce osiągnąć. I że jeśli się spotkamy przy tych kolędach, to będzie wiedziała dokładnie, jak do tego podejść. I zaśpiewała jedną z piękniejszych kolęd na tej płycie. Bardzo wzruszającą. Przy takiej zbieraninie ludzi chciałem pokazać uniwersalizm. Cel kolęd jest taki, żeby były ponad podziałami, pokoleniami. Komponując i dobierając grupę artystów, kierowałem się dwoma kryteriami. Zależało mi na tym, by na płycie byli ludzie, którzy byli ważni dla ojca. Są Wiktor Zborowski i Marian Opania, którzy byli najbliższymi przyjaciółmi ojca i bardzo ładnie recytują „Kolędę Wołka z Osłem". Są Alicja Majewska, Artur Andrus, który przyjaźnił się z ojcem...

...a ta znajomość zaczęła się od relacji artysta – fan.

Tak było! Później się zaprzyjaźnili. A Alicja Majewska – ojciec napisał dla niej największe hity. Reprezentuje grupę wielkich artystów z czasów prosperity ojca jako autora. Jest Grzegorz Turnau i są wspaniałe wokalistki młodszego pokolenia, jak Gaba Kulka, Natalia Przybysz, Monika Borzym, Maniucha Bikont... Wyobraziłem sobie, jak wszyscy ci różni ludzie siedzą ze sobą przy stole i śpiewają.

Czyli typowa polska wigilia. Czy jako współtwórca tej płyty myślisz o tym, jak będzie ona odbierana? Ludzie będą słuchać jej wspólnie czy raczej w samotności?

I tak, i tak. Robiłem test – krzątałem się po domu, a płyta leciała w tle. Czyli to, co się dzieje w święta – jest mnóstwo krzątaniny, mnóstwo bodźców, dzieciaki mają prezenty, ludzie się odwiedzają. W domu jest straszliwy harmider. Ta płyta może sobie grać i to działa. Można usłyszeć co trzeci wers i zatrzymać się na nim przez chwilę. Te kolędy można było zrobić na milion sposobów, ale zamarzyłem sobie, aby brzmienie było jednorodne i opierało się na kwartecie smyczkowym. Lubię też słuchać tej płyty w samochodzie. Jestem wtedy sam na sam z tą poezją. I znowu jadę z tatą samochodem, jak to bywało nieraz za jego życia. Dlatego ta płyta jest dla mnie bardzo ważna.

W zeszłym roku miał premierę dokument „Młynarski. Piosenka finałowa", w którym opowiadałeś o ojcu. Miałem wrażenie – nie obraź się – że byłeś bardzo zmęczony tematem, pytaniami...

Tak było.

fot. Agata Grzybowska/Agencja Gazeta

JAN EMIL MŁYNARSKI

muzyk, kompozytor, wokalista. Niedawno wydał płytę „Kolęda na cały rok" ze świątecznymi piosenkami, które napisał jego ojciec Wojciech Młynarski

Teraz mam wrażenie, że myśl o ojcu w twej głowie rozkwita na nowo. Kiedy minął już czas, że każdy chciał usłyszeć wspomnienie, ty nagle odkrywasz Wojciecha Młynarskiego dla siebie.

Nie odkrywam. Teraz jest ten czas, że mogę wspomnienie zrobić po swojemu. Nie mówić tego, o co mnie ktoś pyta, albo na co liczy, że usłyszy. Nie muszę brać udziału w sytuacji, która przychodzi do mnie zewnątrz. Wychodzę do ludzi ze swoją opowieścią. Ona pewnie będzie trwała latami. Nie mam planu. Myślę, że kolędy to bardzo ważna rzecz. To jest też moje spotkanie z ojcem. Dużo z tych tekstów przeczytałem po raz pierwszy dopiero niedawno.

Przeczytałem o teczce, z której wyciągałeś teksty...

Tak. I np. było napisane „Kolęda". Przewracam kartkę – „Kolęda". Uzbierałem całą garść tych tekstów i zacząłem robić śledztwo. Zapytałem kilku osób, z którymi pracował. Przygotowałem się. Dla ojca kolędy były bardzo ważne. I czas świąt. Bo jemu nie było łatwo żyć, poruszać się w rzeczywistości, pomimo tego, że bardzo fachowo ją komentował. Jak przychodziły święta, to tęsknił za rzeczami, których nie było na co dzień. Żeby wszyscy byli razem, żeby sobie przebaczali, mówili sobie dobre rzeczy. Żeby nie czuć się samotnym. Większość tych tekstów jest o tym, żeby być razem, pamiętać o drugiej osobie. Dlatego to było dla mnie osobiste. Pamiętam jakieś urywki zdarzeń z przeszłości.

I jak wspominasz?

Większość świąt ojciec był w domu. W latach 80., kiedy byłem dzieckiem, wigilia to było 20–30 osób.

Ogrom!

To było kilka zaprzyjaźnionych rodzin, które przychodziły do nas. Nie mówiąc o tej grupie, która przychodziła koło 22–23, po swoich wigiliach do nas do

fot. Jacek Dominski/Reporter

Wojciech Młynarski podczas spektaklu „Młynarski obowiązkowo" w Teatrze 6. Piętro, Warszawa 2015 r.

domu. To był w zasadzie co roku ten sam skład. Śpiewało się kolędy, jak w każdym domu. Śpiewało się wszystkie, ale najważniejszą, intonowaną najpierw przez dziadka, który zmarł w 1987 r., a potem przez mojego wuja Marcina, który też już nie żyje, i ojca, to było „Bóg się rodzi" na rytm poloneza – doskonale pamiętam, jak siedzimy przy stole i śpiewamy tę kolędę. Ale też dziewczyny, moje siostry, i chrześniaczka mojego ojca Ariadna Lewańska śpiewały „Będzie kolęda", ojca kolędę. On sam za to intonował „Oj, maluśki, maluśki", góralską kolędę, bo bardzo ją lubił. Tak to się odbywało.

Czekałeś na święta jako dziecko?

Tak, pewnie! Była duża choinka pod sam sufit. Bardzo dużo ludzi w domu. U nas dbało się o to, by nie zabrakło dla nikogo miejsca przy stole. Byli też tacy, którzy przychodzili do nas tylko w święta. Pamiętam ich twarze, mimo że byli tylko raz. Był Krzysio Głogowski, wybitny znawca i tłumacz literatury rosyjskiej, też już nieżyjący, był u nas tylko w Wigilię i przynosił nam wykupione numerki na totolotka w kopercie. Tak dla każdego. On nie wiedział, co się u nas dzieje, kto czego potrzebuje. To był superprezent, bo się wyjmowało i czekało na losowanie. Te wszystkie wspomnienia powracają przy tej płycie.

Moi znajomi i przyjaciele ostatnio bardzo mocno odczuwają potrzebę powrotu do takiego prawdziwego ducha świąt: rodziny, stołu, przyjaźni. Jesteśmy prawie rówieśnikami – też tak masz?

Mam przede wszystkim potrzebę bycia z rodziną, dziećmi. Dopóki się nie ma dzieci, patrzy się na święta inaczej, a potem się to bardzo zmienia. W tym roku jest okazja o tyle wyjątkowa, że 26 grudnia gramy z Marcinem Maseckim koncert w Los Angeles. Lecimy tam 23 grudnia. Więc 24 będę miał choinkę na plaży. Nie mogę powiedzieć, że się nie cieszę z tego faktu, bo to jest miła odmiana. Ale lecę bez rodziny, więc będzie trochę smutno i tęskno. Wracając do pytania – nie generalizowałbym. Jest mnóstwo recept na święta. Patrzę po moich znajomych, jak one wyglądają: i są bardzo rodzinne, z siedzeniem w domach. Ludzie spędzają też święta w spa albo w ciepłych krajach, bo sobie mogą na to pozwolić, bo się społeczeństwo bogaci. Może potrzebują odmiany, są zmęczeni tym, że zawsze jest zimno, a od paru lat nie ma śniegu w grudniu albo jest go bardzo mało. Pamiętam, że święta kiedyś to był śnieg. Na pewno polskie święta są wyjątkowe. Wiem, że nie jestem oryginalny, ale tak jest w istocie.

Trudno było przyjąć zaproszenie na koncert w Los Angeles?

Oczywiście, że trudno. Każdy z nas sobie to jakoś przemyślał, dlatego wyjeżdżam tylko na koncert i zaraz wracam.

Bierzesz opłatek?

Pewnie weźmiemy. Dzielenie się opłatkiem jest pięknym symbolem, bez względu na to, czy chodzisz do kościoła, czy nie. Będziemy mieli dziwną wigilię – w Los Angeles na plaży.

Nad brzegiem Oceanu Spokojnego „Bóg się rodzi"?

Są tacy, którzy myślą, że Bóg się rodzi tylko w Polsce. Ale w Kalifornii rodzi się tak samo jak nad Wisłą. Córka zadała mi pytanie: „Jak jest ciepło tam, gdzie jedziesz, to jak Mikołaj jedzie na saniach"? Powiedziałem, że u nas też już nie ma śniegu, więc pewnie przyjedzie dryndą (po warszawsku bryczka – red.).

Powrócę do płyty. Na ile wtrącałeś się wokalistom w to, jak mają śpiewać?

Prowadziłem sesje. Ponieważ jestem producentem płyty, zastanawiałem się nad charakterem, wyrazem. By warunki głosowe i historia, jaka idzie za danym człowiekiem, korespondowały z danym tekstem. Ale potem stwierdziłem, że chciałbym, by to była taka chmurka w jednym kolorze. Może mieć kilka odcieni, ale jest w jednym kolorze. Zamarzyłem, żeby to była dość prosta i w miarę ascetyczna forma. Stąd właśnie kwartet smyczkowy. Zaaranżował go Nikola Kołodziejczyk, bardzo zdolny jazzowy aranżer z mojego pokolenia, którego bardzo szanuję. O wykonanie partii kwartetu zwróciłem się do Royal Sting Quartet, z którym miałem okazję spotkać się przy koncercie z Andrzejem Smolikiem z repertuarem Witolda Lutosławskiego w elektronicznym ujęciu. Potem rozpoczęliśmy nagrania wokalistów. Tu miałem rolę typowo producencką. Przekazanie wizji, uwag, kontrola całej technicznej strony. Wszyscy robią to na co dzień i wszyscy obdarzyli mnie zaufaniem i niejako oddali się w moje ręce, za co bardzo im dziękuję.

Ten rok w twoim życiu bardzo dużo zmienił. Ludzie uwierzyli wreszcie, że nie jesteś artystą, który jedzie na sławie ojca?

Dla mnie ta bajka się już dawno skończyła.

Dla ciebie: tak. Ale to, jak jesteś postrzegany, to inna sprawa.

Wszystko, co robię, odbywa się małymi krokami. Z jednej strony jest tak, że szczęśliwie udało nam się z Marcinem wydać płytę, która sama zrobiła karierę, ale w tym roku wydałem jeszcze dwie inne płyty. I jestem samodzielnie na scenie od 20 lat. Więc ciągłe odniesienia do mojego nazwiska czy słynnego ojca mało mnie obchodzą.

No, nie przesadzaj. Bardzo dużo pracy włożyliście w to, żeby ludzie się o waszej muzyce dowiedzieli.

Nam to przychodzi dosyć łatwo, bo to nasza pasja. Poświęciliśmy na nią mnóstwo czasu. Natomiast w 2018 r. wydarzyło się też dużo rzeczy, które finalizują kilka lat działania. Zacząłem grać koncerty solowe na perkusji. W przyszłym roku planuję wydanie solowej płyty. Zagrałem na festiwalu Unsound w Krakowie, zagrałem w Carnegie Hall z projektem „Głosy gór". Wydałem płytę „Fogg – pieśniarz Warszawy", która właśnie stała się złota. Razem z Agnieszką Glińską zrobiliśmy koncert z piosenkami Młynarskiego na PPA we Wrocławiu, bardzo dobrze przyjęty. W maju zrobiłem duży koncert w Opolu – pamięci Wojciecha Młynarskiego. Skomponowałem muzykę do spektaklu „Widok z mostu" w reżyserii Agnieszki Glińskiej w Teatrze Dramatycznym w Warszawie i zagrałem grubo ponad 150 koncertów w wielu krajach świata. Miałem intensywny rok, dlatego mam totalny dystans do tego, o co pytasz. Oczywiście – ludzie nie są jasnowidzami. Jeżeli widzą człowieka o tym nazwisku, który jest synem wielkiej postaci, to co mają sobie pomyśleć? „No tak – nie miał nic lepszego do roboty, to się zajął muzyką". A jeżeli mają więcej czasu, to wnikają głębiej. Ostatnio gramy w dużych salach. W każdym mieście przychodzi 1–1,5 tys. osób, które to zobaczą.

Mniej więcej pięć lat temu w warszawskim Mordorze rozmawialiśmy o Warszawskim Combo Tanecznym...

Tak, pierwsza płyta. To był ważny moment dla mnie.

Tam piliśmy lurowatą kawę za parę złotych w marnej kafejce. Teraz mówisz: Carnegie Hall, Los Angeles. Koncert organizowany w Muzeum Powstania Warszawskiego pokazuje na żywo TVN24. Zmienia cię to?

„Kolęda na cały rok", Wojciech Młynarski & Artyści, Agora

Ale parę lat temu doświadczenia nie były mniejsze. Wtedy byłem po latach grania z Kayah, okazjonalnych koncertach, np. z Jonem Lordem i jego koncertem symfonicznym, grałem przed pałacem króla Hiszpanii w Madrycie itp. Trudno by było to wszystko wymienić. Myślę, że teraz mam odrobinę więcej luzu. Mam dużo większą szansę i większe możliwości robienia rzeczy, które chcę robić, a nie tych, które muszę. Granie to jest świetna praca. W graniu sesyjnym jednak, tak jak w każdej innej pracy, jest bardzo duży obszar w postaci jakiejś obligacji, czegoś, co musisz zrobić, a nie do końca chcesz. Chociaż z zewnątrz wydaje się, że robisz cały czas coś, co bardzo lubisz, więc jest super. Ale myślę, że nie. Nie zmieniam się specjalnie. Nie odbiła mi palma.

Ale zyskałeś więcej pewności siebie.

Jest mi dużo łatwiej zrealizować swój pomysł. Prościej się z kimś umówić, przekazać to, co myślę. Ale nigdy specjalnie nie mogłem narzekać – gdy w 2000 r. zacząłem grać drum'n'bass w warszawskim klubie Punkt, to pod sceną było pięć osób. Po pół roku było 400, co niedziela czekali na koncerty. Od początku spotykałem kilku bardzo przychylnych dziennikarzy. I nie byli przychylni, bo jestem synem Młynarskiego, tylko wiedzieli i słyszeli, co robię. Nie mogę narzekać – drzwi nigdy nie były pozamykane. A ojciec nigdy tych drzwi dla mnie nie otwierał. Żadnych. Bo nie miał do tego głowy ani go to nie interesowało specjalnie. Sukces? Sukcesem jest to, że środowisko Lado ABC ma się świetnie i że możemy realizować swoje pomysły, pomagając sobie nawzajem. Mam mnóstwo planów – czasami boję się, że ich wszystkich nie zdążę zrealizować. Nikt niczego nie zrobi za mnie, natomiast mogę pomyśleć, co będzie na jesieni. To jest komfort.

Nauczyłeś się już odpoczywać? Podobno był z tym problem.

No właśnie nie. Jeszcze nie. Jest tempo, rodzaj życia w napięciu, że gdyby nastąpiło spowolnienie, to nie wiem, jakbym się czuł. Ale na pewno przyjdzie na to czas. Myślę, że to będzie przyszły rok. W przyszłym roku będzie nas trochę mniej – nie chciałbym, aby stare piosenki spowszedniały ludziom. ©℗

fot. Jiri Vaclavek/Shutterstock

Zakręceni

Małe, lekkie i w pojedynkę niewiele znaczą. **Ich siła tkwi w ilości**

Dariusz Koźlenko

Martynka, która choruje na rdzeniowy zanik mięśni i nie chodzi samodzielnie, potrzebowała ich ponad 5 milionów. Bartek, cierpiący na nieuleczalną dystrofię mięśniową Duchenne'a, prawie 4,5 miliona. Obliczenia mogą być niezbyt precyzyjne, bo ich wynik zależy od cen skupu. A te ostatnio mocno się wahają. Ale w przybliżeniu wygląda to tak: elektryczny wózek dla Martynki kosztował prawie 12,5 tys. zł. Zakładając, że 425 plastikowych zakrętek waży kilogram, a za każdy kilogram można dostać złotówkę, aby go kupić, trzeba było zebrać dokładnie 5 312 500 zakrętek. Na nieco tańszy wózek dla Bartka wystarczyło ich 4 250 000.

Martynka dostała wózek w 2013 r., a Bartek dwa lata temu. Jego mama podziękowała wszystkim, którzy zbierali zakrętki. Bo w pojedynkę zebrać takiej ilości się nie da. W przypadku zbierających, ich siła – jak w zakrętkach – też tkwi w ilości.

Zakręcony początek

Podobno akcja zaczęła się na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie. Był rok 2006. Studenci Wydziału Ekonomiczo-Rolniczego podejmują decyzję, by pomagać chorym dzieciom. A jako że są studentami ochrony środowiska, od początku zakładają, że będą to robić, zbierając surowce wtórne. W ten sposób osiągną jednocześnie dwa cele: będą pomagali dzieciom i planecie. Muszą tylko odpowiedzieć sobie na pytanie: jakie to mają być surowce?

Makulaturę zbierają wszyscy, więc odpada w przedbiegach. Kusi aluminium, ale to głównie puszki po piwie, a alkohol do działań charytatywnych na rzecz dzieci pasuje jak pięść do nosa. Więc pomysł też przepada. Ktoś rzuca, że może szkło, ale to towar delikatny, trudny do magazynowania, no i łatwo się skaleczyć. W odróżnieniu od plastiku.

Plastik okazuje się bezkonkurencyjny. Po pierwsze, jest wszędzie, po drugie, studentom ochrony środowiska jawi się jako jeden z najgroźniejszych wrogów ziemi. W tej sytuacji walka z nim to podwójna satysfakcja.

Dlaczego zakrętki, a nie butelki? To dla nich też oczywiste: bo są mniejsze i łatwiejsze do magazynowania. Można je gromadzić w domu, szkole, sklepie. Wszędzie. Wystarczy pudło czy kosz. Do worka wchodzi od 10 do 15 kilogramów zakrętek, a butelek, nawet zgniecionych, zaledwie dwa, góra trzy kilogramy. Z punktu widzenia logistyki zakrętka bije butelkę na głowę.

Akcję rozkręcają Kraków i Poznań. Dwa lata później dołączają Warszawa, Wrocław, Bydgoszcz i Katowice. Sześć lat później powstaje krakowska Fundacja Bez Tajemnic. – Do inicjatywy chciało dołączyć wiele osób spoza uczelni. Musiała powstać organizacja, która by im to umożliwiła – tłumaczy Michał Żukrowski, jeden z jej założycieli i koordynator programu „Zakrętki.info – Pomagamy nie tylko przyrodzie".

Efekt skali

W Fundacji Bez Tajemnic od początku dwie sprawy były bezdyskusyjne. Pierwsza, że nikt za swoją pracę nie bierze ani złotówki – dochody fundacji w całości przekazywane są na potrzeby

dzieci, a pieniądze na działalność pochodzą od sponsorów. I druga, że pomaga chorym z niepełnosprawnością ruchową. Przy takim założeniu łatwiej zdefiniować potrzeby – fundacja skupiła się na zakupie wózków inwalidzkich i sprzętu do rehabilitacji.

Nie jest to sprzęt tani. Żeby uzbierać wystarczającą ilość zakrętek, nie wystarczą dobre chęci. Specjalistyczny, przystosowany do indywidualnych potrzeb wózek kosztuje ponad 10 tys. zł. W przeliczeniu na zakrętki to ponad 10 ton. Nikt w pojedynkę tego nie uzbiera. Kilka czy kilkadziesiąt osób też nie da rady. Potrzebny jest efekt skali. Żeby go uzyskać, zbiórkę trzeba dobrze zorganizować. Od tego fundacja ma lokalnych koordynatorów.

W samym Krakowie jest ich ponad tuzin. W kraju drugie tyle. Współpracują z każdym, kto chce organizować zbiórkę – z przedszkolami, szkołami, firmami. Odpowiadają za przyjmowanie i magazynowanie zakrętek. Ponieważ nie dysponują żadnymi funduszami, magazyny urządzają na terenach ogródków działkowych, w wiejskich szopach albo w pomieszczeniach udostępnionych nieodpłatnie przez współpracujących z nimi przedsiębiorców. Kiedy uzbierają tonę, informują o tym fundację. Ta składa ofertę sprawdzonym firmom recyklingowym i przekazuje tej, która przedstawi najkorzystniejszą ofertę. System się sprawdza. W latach 2012–2013 fundacja pomogła 17 chorym. W tym Gabrysi, która urodziła się zdrowa, ale w drugim miesiącu życia stwierdzono u niej obniżone napięcie mięśniowe, a później brak postępów w rozwoju. Badania potwierdziły, że cierpi na rdzeniowy zanik mięśni. Nigdy samodzielnie nie usiadła, nie potrafi sama utrzymać głowy. Jedenaście ton zakrętek pozwoliło na zakup specjalistycznego wózka, który pomaga jej w utrzymaniu prawidłowej pozycji ciała.

W następnych latach udało się zebrać ponad 100 ton zakrętek i pomóc kolejnym 15 chorym.

Zakręcone lata Zuzy

Osiem lat temu na świat przyszła córka Agaty Dębskiej – Zuza. Zuza cierpi na mukowiscydozę, genetyczną, nieuleczalną chorobę. Jej organizm produkuje nadmiar lepkiego, gęstego śluzu, który gromadzi się w płucach. Są dni i noce, kiedy śluzu jest tyle, że Zuza ma kłopoty z oddychaniem. Wtedy pomagają inhalatory, ćwiczenia oddechowe, leki rozcieńczające i specjalistyczny sprzęt, który wywołując drgania w płucach, odrywa śluz i pozwala się go pozbyć. Śluz to też idealne środowisko dla bakterii. Kiedy rozmnożą się w nim, trudno je zwalczyć. Dlatego Zuza łyka leki na odporność, bo jak ognia musi unikać każdej infekcji. Musi też przyjmować kreon. Dzięki niemu Zuza tyje. Bo trzustka chorych na mukowiscydozę nie działa jak u zdrowych, więc ci, którzy nie przyjmują kreonu, nie trawią tłuszczu, białek i skrobi. Szybko zaczynają wyglądać jak chodzące szkielety. Jak mówi mama Zuzy, chorzy na mukowiscydozę nie umierają z jej powodu, tylko z powodu powikłań. Bo to choroba całego organizmu.

Same leki kosztują miesięcznie ok. 2 tys. zł. Do tego dochodzi kosztowna dieta, inhalatory, sprzęt rehabilitacyjny i wyjazdy na rehabilitacyjne turnusy. – Wiem, że dla niektórych ludzi takie wyjazdy to wczasy, ale dla nas to sprawa życia – mówi Agata Dębska. Nigdy nie prosiła nikogo o pieniądze, bo sama jest sceptycznie nastawiona do darowizn. Co innego 1 proc. z podatków. Albo zakrętki. One nic nikogo nie kosztują.

Uczniowie pabianickiego I Liceum Ogólnokształcącego zaczęli zbierać zakrętki w 2010 r. Akcję „Zakręcone miesiące" zorganizował łódzki urząd miasta, a pieniądze ze zbiórki przeznaczone były na specjalny ośrodek szkolno-wychowawczy. Uzbierali wtedy 213 kg. Od następnego roku zbierali już zakrętki dla Zuzy. Przez kolejnych siedem lat uzbierali prawie trzy tony. Nie oni jedyni. W akcję zbierania korków dla Zuzy zaangażowało się około dziesięciu okolicznych szkół. Bez koordynatorów i fundacji. Ale równie skutecznie.

Co parę tygodni pani Agata z mężem wsiadają do starego busa vito i robią objazd. Niektóre szkoły same dzwonią, kiedy uzbierają kilka worków, do innych dzwonią oni. W jednych trzeba się na odbiór zakrętek umówić, do innych mają klucze, by mogli sami je brać. Po objechaniu trzech, czterech placówek bus jest pełny. Mieści się do niego pół tony zakrętek. Czyli od 400 zł do 500 zł, w zależności od ceny skupu. – Nie wiem, ile tych ton w sumie było, ale dla nas to ogromna pomoc. Cieszymy się też z tego, że są dzieciaki, które zbierały w gimnazjum, potem poszły do liceum i dalej zbierają. To bardzo budujące – mówi Agata Dębska.

Bez komercji

Tomasz Podlodowski nawiązał bliższy kontakt z zakrętkami 10 lat temu, gdy urodził mu się syn. Syn chorował, a on sporo czasu spędzał z nim w szpitalach. Na korytarzach nasłuchał się, jak to trudno zdobyć pieniądze na leczenie, zabiegi rehabilitacyjne czy sprzęt, których nie refunduje NFZ. To właśnie na jednym z korytarzy usłyszał, że podobno w Niemczech ludzie zbierają nakrętki, które sprzedają, a pieniądze przeznaczają na leczenie chorych dzieci.

Tomasz podzwonił po znajomych i dowiedział się, że podobną akcję prowadzą studenci Politechniki Szczecińskiej. Wkrótce spotkał jedną z matek, która na własną rękę zbierała zakrętki, by sfinansować rehabilitację chorego dziecka, i szukała firmy, która je od niej odkupi. A ponieważ Tomasz Podlodowski od 1999 r. był właścicielem firmy recyklingowej, bez wahania kupił wszystkie. Tak się zaczęło.

Każda zebrana zakrętka skończy swój żywot i zyska nowy – po recyklingu ruszy w świat jako plastikowa donica, malarskie wiadro albo kolorowy granulat

Jak na profesjonalistę przystało, najpierw poznał zakrętki nieco bliżej. Lektura specjalistycznych tekstów i rozmowy z zaprzyjaźnionymi naukowcami zrobiły swoje. Wkrótce wiedział już, że zakrętka zakrętce nierówna. Że zakrętka od słoika z kawą jest zrobiona z innego polimeru niż ta od butelki z wodą mineralną. Fachowo rzecz ujmując, frakcja zbiórkowa (czyli wszystkie zakrętki, które trafiają do recyklingu) dzieli się na siedem rodzajów, w zależności od polimeru, z którego zostały wykonane. Niektóre z nich nie lubią się tak bardzo, że nie można ich mieszać, więc zanim zacznie się je przerabiać na cokolwiek, trzeba je posegregować.

Czasami nie jest to proste, bo np. zakrętka od „Kubusia" zbudowana jest z pięciu rodzajów polimerów, więc zanim trafi do recyklingu, trzeba ją rozebrać na pięć części. Dzięki koledze z Politechniki Krakowskiej, który skonstruował specjalną do tego celu maszynę, Tomasz Podlodowski nie ma z tym problemu. I dlatego z dumą może powiedzieć, że w jego firmie każda zebrana zakrętka skończy swój żywot i zyska nowy – po recyklingu ruszy w świat jako plastikowa donica, malarskie wiadro albo kolorowy granulat, który ktoś przerobi na coś równie pożytecznego.

Przez lata Tomasz Podlodowski wyposażył swoją firmę w najnowocześniejsze urządzenia do sortowania zakrętek, dzięki czemu dziś może je kupować po nieco wyższych cenach. Kiedy zaczynał 10 lat temu, był na rynku jedyny i za kilogram płacił 50 gr. Dziś złotówkę, choć konkurencja przez te lata urosła i nie zawsze jest to konkurencja uczciwa. Pojawiło się mnóstwo firm małych, garażowych – jak je nazywa Podlodowski. Firm, którym wydaje się, że recykling nakrętek to sprawa prosta, choć taka wcale nie jest. Firm nastawionych na szybki zysk, co często kończy się jeszcze szybszą klapą.

Tomasz Podlodowski nie darzy ich szacunkiem. Nie dlatego, że psują rynek. Raczej dlatego, że dla niego w interesie z zakrętkami nie chodzi o zysk, lecz o pomoc innym. Na każdym kroku powtarza, że w Polsce zakrętki kojarzą się z działalnością charytatywną i to ona jest ważniejsza od zysków. Wciąż więc skupuje zakrętki, choć w porównaniu z tym, co było 10 lat temu, interes jest na granicy opłacalności. Ale nie zamierza z niego rezygnować.

Poszukiwanie chętnych

Michał Żukrowski przyznaje, że Fundacja Bez Tajemnic ma ostatnio problem. Ale nie z brakiem zakrętek, bo tych w krakowskim magazynie jest kilka ton i wciąż przybywa.

– Poszukujemy nowych podopiecznych – mówi Żukrowski. – Może to efekt 500+ albo innych świadczeń, ale jesteśmy w sytuacji, że mamy fundusze, a osób kwalifikujących się do pomocy w ramach naszego programu jest coraz mniej.

A może to dlatego, że przez ostatnie kilka lat zakrętki zrobiły oszałamiającą karierę. Zbierają je przedszkolaki, uczniowie, pracownicy. Pudła na zakrętki stoją w sklepach i urzędach. Zbierane są dla chorych dzieci i bezpańskich psów. Z dobroci serca i dla prestiżu, bo to dobrze robi wizerunkowi firmy.

Wśród morza uczciwych trafiają się też oszuści, którzy korzystając z ich sławy, próbują na nich zarobić. Na portalach nietrudno trafić na ogłoszenia „sprzedam zakrętki".– Są tacy, którzy skupują zakrętki po bardzo niskich cenach, a potem starają się je odsprzedać drożej – mówi Tomasz Podlodowski. – Jeśli uznam, że pieniądze, które za nie zapłacę, nie trafią do dzieci, odmawiam. Od takich ludzi nie kupuję – podkreśla.

Dla plastiku nadszedł trudny czas. Do niedawna Chiny kupowały każdą jego ilość. Dziś mają dość własnych odpadów, więc zakupy za granicą ograniczyły do minimum. W związku z tym firmy recyklingowe też kupują mniej, ceny plastiku spadły, a wraz z nimi atrakcyjność zakrętek. Pojawiły się głosy, że zakręconej akcji grozi smutny koniec.

Włodzimierz Korkosiński z łódzkiej firmy Kormet, do której zakrętki zawozi Agata Dębska, twierdzi, że zapaści nie zauważa. Z roku na rok trafia ich do niego więcej. To samo mówi Tomasz Podlodowski. Wiele więc wskazuje na to, że zakrętki nie straciły magicznej mocy, a pogłoski o śmierci zakręconej akcji są przedwczesne. ©℗

Noworoczne postanowienie – zdobędę certyfikat ECDL!

W sierpniu br. decyzją Ministra Cyfryzacji do działającego na podstawie Ustawy Zintegrowanego Systemu Kwalifikacji włączono (i do Zintegrowanego Rejestru Kwalifikacji wpisano) kwalifikację Certyfikat Umiejętności Komputerowych – poziom podstawowy (CUK-pp), której szczególnym przypadkiem jest kwalifikacja ECDL BASE. Tak więc kandydatom, którzy w Polsce uzyskali bądź uzyskają kwalifikację ECDL BASE, Polskie Towarzystwo Informatyczne, jako instytucja certyfikująca, wydaje także certyfikat CUK-pp z oznaczonym poziomem Polskiej Ramy Kwalifikacji.

ECDL jest certyfikatem zaświadczającym, że jego posiadacz wykazuje się podstawowymi umiejętnościami obsługi komputerów i potrafi efektywnie je wykorzystać w codziennej pracy czy nauce. Od 1997 roku certyfikat obejmujący znakomitą większość krajów Europy, nosi nazwę "Europejski Certyfikat Umiejętności Komputerowych" (ECDL, European Computer Driving License). Z czasem zasięg certyfikacji poszerzył się jeszcze bardziej i obejmuje nie tylko kraje europejskie. W związku z tym - poza Europą - używana jest równolegle nazwa „Międzynarodowy Certyfikat Umiejętności Komputerowych" (ICDL, International Computer Driving License lub International Certification of Digital Literacy). Certyfikat ECDL/ICDL jest też nazywany Standardem Umiejętności Komputerowych (The Digital Skills Standard).

Rozpowszechnianiem idei ECDL oraz zapewnieniem porównywalnego i wysokiego poziomu egzaminów zajmuje się powołana w roku 1997 Fundacja ECDL (ECDL Foundation Ltd.) z siedzibą w stolicy Irlandii, Dublinie, która jest Światową Instytucją Certyfikującą ECDL/ICDL.

Polskie Towarzystwo Informatyczne (PTI) podjęło inicjatywę rozpropagowania idei i wdrożenia Certyfikatu Umiejętności Komputerowych w Polsce i jest jedyną instytucją na terenie naszego kraju upoważnioną do wydawania certyfikatów ECDL. Obecnie PTI jest także instytucją certyfikującą dla CUK-pp. O popularności certyfikatu ECDL świadczy to, że jest honorowany w 150 krajach świata, można go zdawać w 41 językach, a posiada go już ponad 12 milionów ludzi na całym świecie (w Polsce ok. 250 tysięcy). W Polsce egzaminy przeprowadzane są w ok. 800 autoryzowanych Laboratoriach Egzaminacyjnych, koordynowanych przez niemal 100 Centrów Egzaminacyjnych, pod kierunkiem ok. 3000 certyfikowanych egzaminatorów ECDL. Moduły ECDL pokrywają wszystkie 21 kompetencji odniesienia ramy kompetencji cyfrowej DigComp, będącej standardem dla wszystkich szkoleń z umiejętności komputerowych w Polsce, finansowanych ze środków Unii Europejskiej.

W maju 2018 roku Komisja Europejska wydała w języku angielskim przewodnik użytkownika po ramie kompetencji cyfrowych DigComp pt. DigComp into Action – Get inspired, make it happen, który ma za zadanie wspierać użytkowników we wdrażaniu tej ramy, między innymi przez pokazanie udanych implementacji z wielu krajów Europy. Opisano 20 różnych narzędzi i 30 studium przypadku. Jednym z nich jest nasz polski projekt ECDL Profile DIGCOMP, opisany jako projekt C22 na stronach 114-115.

W tegorocznym raporcie UNESCO (A Global Framework of Reference Digital Literacy…) pokazano program ICDL jako światowy, znaczący przykład ramy umiejętności cyfrowych. W raporcie przedstawiono istniejące ramy dla identyfikacji kompetencji cyfrowych na lokalnym, krajowym i międzynarodowym poziomie, odnosząc się także do ramy DigComp 2.0. Opisano ICDL jako przykład ramy funkcjonującej w wielu krajach pokazując, że 177 efektów uczenia się ICDL'a jest przyporządkowanych do ramy DigComp. To największa liczba efektów, wśród wszystkich pokazanych tam ram.

W roku 2017 program certyfikacyjny ICDL uzyskał – w wyniku audytu – Znak Dostosowania: Gotowość (Seal of Alignement: Readiness) od Międzynarodowego Stowarzyszenia Technologii w Edukacji ISTE (International Society for Technology in Education). Standardy ISTE są szczególnie popularne w USA, tak więc stanowią referencje dla rodziców czy nauczycieli młodych ludzi, planujących studia w USA. Są też punktem odniesienia dla ministerstw edukacji wielu krajów.

W lipcu 2018 r. serwis ACE CREDIT® (American Council on Education's College Credit Recommendation Service) dokonał ewaluacji 5 modułów ICDL i zarekomendował dla nich tzw. kredyty uczelniane. Amerykańskie kredyty uczelniane ACE działają na podobnej zasadzie jak europejskie kredyty ECTS. Umożliwiają zaliczenie do wymaganej od studentów liczby kredytów, także szkoleń i certyfikatów spoza programu nauczania poszczególnych uczelni. Ponad 2000 uczelni amerykańskich uznaje kredyty ACE. Ta akredytacja jest szczególnie istotna dla osób przygotowujących się do studiów w USA oraz dla instytucji amerykańskich lub ze Stanami Zjednoczonymi współpracujących.

W tegorocznym raporcie Europejskiej Fundacji Szkoleniowej (European Training Foudation) pt. Digital skills and competence and digital and online learning sporo miejsca poświęcono certyfikacji ECDL. Niektóre z konkluzji raportu: „Z perspektywy ustanowienia wspólnych ram odniesienia dla kompetencji cyfrowych, ECDL jest jedną z pierwszych i nadal jedną z najbardziej udanych inicjatyw…", „Obecnie ECDL jest przodującym w skali światowej procesem certyfikacji umiejętności komputerowych, oferującym elastyczne programy, zawierające podstawowe, średniozaawansowane i zaawansowane moduły, odpowiednie dla wielu zawodów".

ECDL jest więc wartościowym certyfikatem, uznawanym na całym świecie, który warto zdobyć! Centra Egzaminacyjne ECDL i Klasy z ECDL czekają na chętnych.

Wszystkim czytelnikom DGP najserdeczniejsze życzenia wspaniałych i rodzinnych Świąt Bożego Narodzenia oraz pełnego sukcesów Nowego Roku 2019 – składa zespół ECDL Polska

ECDL Polska

Najpierw o nich myślisz
Potem je planujesz
Gdy przychodzą i tak Cię zaskakują
By wreszcie dać poczucie bezpieczeństwa
Święta. Niech będą takie, jakie chcesz

The Banker
Bank of the Year 2018
POLAND

Bank Roku 2018 w Polsce
według magazynu **The Banker**

Santander
bank jaki chcesz

Santander Bank Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, przy al. Jana Pawła II 17, 00-854 Warszawa, zarejestrowana w Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, XII Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod nr KRS 0000008723, NIP 896-000-56-73. Kapitał zakładowy 1 020 883 050 zł, w całości opłacony.